

**DIANA PALMER**

**OLŚNIENIE**

Z minuty na minutę przyjęcie stawało się coraz bardziej hałaśliwe. Lacy Jarrett Whitehall przyglądała się temu w nastroju całkowitego zobojętnienia. Co ją obchodziły wariacki jazz, modne tańce, alkohol z lewego źródła, lejący się strumieniami do filiżanek od herbaty. Nie była właściwie uczestniczką, tylko widzem. Obserwacja radości innych ludzi nieco ją ożywiała, Lacy bowiem nie czuła w sobie życia już od bardzo dawna.

Wśród sąsiadów miała wielu starszych ludzi, dręczyły ją przeto wyrzuty sumienia z powodu zachowania, które w ich oczach musiało wydawać się rozpustne. Starsze pokolenie uważało charlestona za taniec wulgarny. A jazz za dekadenski. Tymczasem w domu Lacy panie publicznie paliły, przeklinały, bywało też, że zawijały pończochy pod kolana i nosiły rozpięte botki, klapiące przy każdym kroku, od których zresztą całe pokolenie nazwano flapperami. Było to szokujące w społeczeństwie, które dopiero od czasów wojny zaczęło wychodzić z epoki wiktoriańskiej. Wojna zmieniła wszystko. Jeszcze teraz, cztery lata po podpisaniu zawieszenia broni, ludzie otrząsali się z jej okrucieństw. Nie wszystkim się to udało. Niektórzy nawet nie dostali takiej szansy.

W drugim pokoju rozradowane pary tańczyły pod melodię *Yes, We Have No Bananas*, z rykiem dobywającą się z nowego radioodbiornika Lacy. Miało się wrażenie, że w pokoju gra orkiestra, toteż Lacy przeżyła chwilę zachwytu nad nowoczesnymi urządzeniami, które stają się czymś coraz bardziej powszechnym. Nikt z rozbawionych gości nie dumał oczywiście nad postępem techniki we wczesnych latach dwudziestych. Za bardzo byli zajęci pić nielegalnie kupionego alkoholu, specjału czasów prohibicji, i przejadaniem delikatesów ze stołu. Za pieniądze można dostać prawie wszystko, może nawet rozgrzeszenie, rozmyślała Lacy. Nie mogła za nie zdobyć tylko jednego: mężczyzny, którego pragnęła najbardziej na świecie.

Smukłymi, długimi palcami ujęła ucho filiżanki pełnej alkoholu. Paznokcie miała idealnie zaokrąglone na końcach i pomalowane na różowo. Ich barwa doskonale harmonizowała z sięgającą do kolan sukienką. Lacy pomyślała, że ten strój zaszokowałby Marion Whitehall i inne mieszkanki Spanish Flats. Podobnie jak jej przyjaciółki, włosy miała ostrzyżone na chłopczycę, zgodnie z panującą modą. Były gęste, ciemne i proste, a ich linia leciutko wznosiła się od ucha ku twarzy, niczym zarys liścia wyginającego się do słońca. Spod niezwykle efektownych rzęs spoglądały kontrastowo blade, błękitne oczy. Był w nich niepokój, który odbijał się również w miękkich, lecz niezupełnie rytmicznych ruchach jej wysokiej, niezwykle proporcjonalnej sylwetki. Lacy miała dwadzieścia cztery lata, lecz wyglądała na dwadzieścia jeden. Zdawało się, że rozstanie z Colemanem odmłodziło ją. Zaśmiała się gorzko, usiłując jakoś poradzić sobie z tą

myślą. Zamknęła oczy. Ból znieczulił ją na ostry smak mocnego alkoholu. Coleman! Czy kiedyś zdoła go zapomnieć?

Wszystko przez głupi żart. W ten właśnie sposób Ben, obecny szwagier Lacy, spowodował jej kompromitację. Spędziła całą noc zamknięta z Cole'em w opuszczonej budce dróżnika. Nic wtedy nie zaszło, jeśli nie liczyć awantury, którą zrobił jej Cole, uważając, że to jej wina. Liczyła się jednak opinia ludzi. W wielkich miastach nowa moralność i życie bez umiaru były krzykiem dnia, ale w Spanish Flats, teksańskim miasteczku odległym o dwie godziny jazdy od San Antonio, królowała jeszcze pruderia. A Whitehallowie, mimo iż nie bogaci, byli szeroko znani i bardzo poważani w społeczności Spanish Flats. Skoro więc zagrożona niesławą Marion Whitehall dostała ataku hysterii, Cole oszczędził wrażliwość matki i wziął ślub z Lacy. Wcale się jednak do tego nie palili.

Lacy trafiła na wychowanie do domu Marion Whitehall przed ośmioma laty, po śmierci jej rodziców na transatlantyku „Lusitania”, storpedowanym przez Niemców. Matka Lacy była najlepszą przyjaciółką rodziców Cole'a. Jedyna żyjąca krewna dziewczynki, bogata cioteczna babka, oświadczyła, że jest za stara na zajmowanie się nastolatką i bardzo stanowczo tego odmówiła. Zaproszenie Whitehallów stanowiło więc zrządzenie losu. Lacy zgodziła się przede wszystkim dlatego, że mogła być w ten sposób blisko Cole'a. Bałwochwalczo go uwielbiała, odkąd tylko jej majętna rodzina przeniosła się do Spanish Flats z Georgii, żeby zamieszkać bliżej ciotecznej babki Lucy i jej męża Horace'a Jacobsena, który wycofał się z interesów po zбиciu fortuny na budowie kolei. Lacy miała wówczas trzynaście lat. Dziadek Horace był w istocie założycielem miasteczka, które nazwał na pamiątkę rancza Whitehallów, dającego mu schronienie w trudnym okresie życia. Dziadkowie brylowali w elicie San Antonio, ale to nie jego wiktoriańska kamienica przerastająca inne domy, lecz właśnie ranczo Spanish Flats od samego początku fascynowało Lacy, podobnie jak wysoki mężczyzna zajmujący się tam hodowlą bydła. Była to miłość od pierwszego wejrzenia, chociaż znajomość zaczęła się od tego, że Cole ciężko skłął Lacy, bo podjechała za blisko do jednego z jego drogocennych byków, który omal nie wziął jej na rogi. Nie dała się jednak zniechęcić. Przeciwnie, chłodne, spokojne, władcze zachowanie Cole'a pociągało ją, stanowiło dla niej wyzwanie na długo przed tym, zanim dowiedziała się, kim jest ten mężczyzna.

Coleman Whitehall pod wieloma względami stanowił zagadkę. Był samotnikiem, podobnie jak jego indiański dziadek z plemienia Komanczów, który go wychował i pokazał mu zatracony już sposób życia i myślenia. Mimo to Cole traktował Lacy uprzejmie, a ona, przyglądając mu się, jak pracuje z kowbojami, chwilami dostrzegała w nim zupełnie kogo innego niż mroczny i poważny człowiek, którym był pozornie. Kim innym był bowiem smukły ranczer,

który pewnego ranka wstał bardzo wcześnie, złapał grzechotnika, pozbawił go zębów jadowych i wsadził do łóżka pewnemu kowbojowi w odwecie za paskudny dowcip. Potem, na widok piekła, które się rozpętało, omal nie pękł ze śmiechu, razem z innymi świadkami wydarzenia. Dostrzegła wtedy w Cole'u coś bardzo ulotnego i dobrze zapamiętała ten epizod.

Mimo odpowiedzialności za gospodarstwo Cole uległ pociągowi do samolotów i walki. Nauczył się pilotować podczas pokazu zorganizowanego przez objazdowy zespół lotników. Nowy sposób przemieszczania się zafascynował go całkowicie. Zatonięcie „Lusitanii” jeszcze bardziej zagrzało w nim krew do boju i przekonało, że Stany Zjednoczone niechybnie zmierzają ku przystąpieniu do wojny. Nadal ćwiczył pilotaż, chociaż śmierć ojca przeszkodziła mu w przyłączeniu się do amerykańskiej eskadry we Francji, znanej później jako doborowa eskadra Lafayette.

Po przyłączeniu się Stanów Zjednoczonych do wojny w 1917 roku opiekę nad ranczem i mieszkającymi tam kobietami pod nieobecność Cole'a przejął sąsiad. Dzięki jego doświadczeniu w sprawach finansowych udało się nie dopuścić do rozgrabienia ziemi. Tymczasem zaś Lacy i Katy oraz Ben i Marion z coraz większą trwogą śledzili w gazetach kolumny z listami ofiar. Coleman wydawał się jednak niezniszczalny. Dopiero w rok po zawieszeniu broni, gdy wrócił na ranczo z kumplem na holu, przysławszy wcześniej kilka lakonicznych listów, rodzina dowiedziała się, że Niemcy go zestrzelili. Cole wzmiankował tylko w jednym z listów, że jest ranny, ale przemilczał okoliczności. Najwyraźniej jednak nie miało to żadnych trwałych konsekwencji. Pozostał tym samym milkliwym, twardym człowiekiem, którym był przed pobylem we Francji.

No, niezupełnie tym samym. Lacy jak skarb pielęgnowała w myślach nieliczne wspomnienia ciepłego, uczuciowego Cole'a. Nie zawsze był przecież zimny, zwłaszcza nie w dniu, gdy odchodził na wojnę. Niekiedy wydawał się bardzo ludzki, czuły. Teraz jednak bił od niego chłód obcości, niezłomności, zapewne pochodzący z lat wojny. Prawdę mówiąc jednak, rodzina nie miała zielonego pojęcia, czym dla Cole'a była wojna, jako że nigdy o tym nie mówił.

Ben był jeszcze za młody na wojaczkę. Po powrocie Cole'a dreptał więc za starszym bratem z wytrzeszczonymi oczami, nieustannie błagając, by opowiedział mu o wojnie. Coleman jednak nie chciał puścić pary z ust. Ben uczeplił się więc Jude'a Sheridana, którego Coleman zwał Turkiem. Wyróżniał się on wśród pilotów dwunastoma dowiedzionymi zestrzeleniami. Był niefrasobliwym, aż za przystojnym człowiekiem, miał porywczy charakter i taką prezencję, że młoda Katy wzdychała do niego w bezsenne noce. Turek karmił Bena mrozącymi krew w żyłach opowieściami, w końcu jednak Coleman się tym zmęczył i zabronił Turkowi rozbudzać wyobraźnię swego młodszego brata.

Mniej więcej w tym samym czasie musiał zrugać Katy, nie dającą spokoju wysokiemu

przystojnemu lotnikowi z blond włosami, który został zarządcą rancza. Turek dobrze znał się na koniach i miał reputację potwornego kobieciarza. Cole nie mógł pozwolić, by Katy przekonała się o tym na własnej skórze, więc wyraźnie to siostrze powiedział. Turek jest jego przyjacielem, a nie potencjalną zdobyczą, i lepiej żeby o tym pamiętała. Jeszcze teraz Lacy miała przed oczami wyraz rozpacz, jaki odmalował się na pociągłej twarzy z zielonymi oczami, kiedy Cole rozwił marzenia i złamał serce Katy. A posunął się nawet do tego, że zagroził siostrze wyrzuceniem z rancza, wespół z Turkiem. Wtedy Katy się odcięła - od brata i od rodziny. Całkiem zgłupiała na punkcie nowej moralności. Kupowała sobie wyzywające stroje, zaczęła kłaść na twarz makijaż. Bywała na przyjęciach w San Antonio i piła nielegalnie produkowany alkohol. A im bardziej Cole jej groził, tym bardziej szalała.

Tymczasem Lacy i Cole od dawna oboje czuli do siebie pociąg. Ze strony Cole'a miał on wymiar czysto fizyczny, co znalazło swój wyraz w dniu jego wyjazdu na wojnę. Ale wbrew obietnicy, jaką stanowił tamten uścisk, od powrotu do domu Cole nawet nie dotknął Lacy aż do dnia wymuszonego ślubu. Nieco później, po kłótni w stodole, napięte stosunki między nimi osiągnęły apogeum. W ten deszczowy rano Cole przygwoździł ją swym ciałem do ściany i całował, aż wargi jej nabrzmiały, a ciało nie ogarnęło nieoczekiwane podniecenie. Nocą Cole przyszedł do jej pokoju i wziął ją w ciemnościach. Zrobił to jednak szybko i boleśnie. Lacy zapamiętała z tego siłę jego rąk, trzymających ją za nadgarstki, tak by w ciągu tej krótkiej chwili intymności nie mogła go nawet dotknąć. Jego twarde usta tłumili okrzyki bólu, jakie wydawała. Zaraz potem zostawił ją łkającą jak dziecko, z pobielającą twarzą, i drugi raz już jej nie ruszył. Następnego rana zachowywał się tak, jakby nic nie zaszło. Może był nawet bardziej nieprzyjemny niż przedtem. Lacy nie mogła pogodzić się z myślą, że będzie musiała wytrzymać jeszcze więcej jego brutalności i obojętności. Spakowała więc rzeczy i wyjechała do San Antonio, do ciotecznej babki Lucy, wdowy po Horasie. Wkrótce starsza pani zmarła. Lacy dostała po niej dom i mnóstwo pieniędzy, których wcale nie spodziewała się odziedziczyć. Ale bez Cole'a czuła się tak, jakby nie miała niczego.

Wciąż jeszcze drżała na wspomnienie wyjazdu ze Spanish Flats. Marion była urażona, Katy i Ben wstrząśnięci. A Coleman był... Colemanem. Nic po sobie nie pokazał. Przez następne osiem miesięcy nie odezwał się ani słowem, nie przysłał przeprosin. Początkowo Lacy nienawidziła go za ból, jaki jej zadał całkiem na zimno. Ale jedna z zamężnych przyjaciółek objaśniła ją, na czym polega zbliżenie, dzięki czemu Lacy trochę zrozumiała. Do ślubu pozostała dziewicą, nic więc dziwnego, że pierwszy raz okazał się trudny. Może Cole po prostu nie zachował się dostatecznie delikatnie. W każdym razie gdyby miało się to zdarzyć jeszcze raz, byłoby mniej przykre, a poza tym mogłoby skończyć się ciążą. Lacy zaróżowiła się lekko na tę

cudowną myśl. Była przecież całkiem samotna. Cole'a mieć nie mogła, ale z pewnością chciałyby mieć jego dziecko.

Dobrze, że odziedziczyła spadek po babce Lucy. Ponieważ została jej również spora sumka po rodzicach, wszystko razem pozwoliło jej na życie w wielkim stylu i wydawanie ekstrawaganckich przyjęć. Coleman nie znosił gości i wesołej zabawy. Lacy także mogłyby się bez tego obejść, gdyby Coleman otaczał ją miłością. Nawet nie miłością, lecz ciepłym uczuciem. Darzył ją jednak wyłącznie pogardą, która żarzyła się w jego ciemnych oczach za każdym razem, gdy na nią patrzył. Lacy miała pieniądze, tymczasem Cole stracił większość swoich. Było to kością niezgody od samego początku. Cole nigdy nie pogodził się z jej bogactwem... i swoim niedostatkiem. Nie spodziewała się takich uprzedzeń po przystojnym mężczyźnie, który wcale nie sprawiał wrażenia bigota.

Lacy wolno sączyła alkohol, wbijając wzrok w zegar. Marion napisała jej, że dzisiaj Cole przyjedzie w interesach do San Antonio, więc poprosiła go, żeby przy okazji odwiedził żonę. Kochana Marion, zawsze skłania ludzi ku sobie. Ale Marion nie była zorientowana w sytuacji. Ich stosunki osiągnęły szczyt beznadziejności. Lacy zastanawiała się nawet nad rozwodem, wiedziała jednak, że tak niedzisiejszy i akuratny człowiek jak Cole nigdy na to nie przystanie. Przecież właśnie zasady, w połączeniu z trwogą matki przed skandalem, kazały mu zaciągnąć Lacy do ołtarza po nocy spędzonej w budce dróżnika, chociaż nawet jej tam nie tknął. Najwyraźniej zadowalał go taki bieg rzeczy. Lacy mieszkała więc w San Antonio, a on wykonywał codzienne obowiązki w Spanish Flats. Zaśmiała się z goryczą. Oto spełnienie jej młodzięcych snów o małżeństwie, dzieciach i kochającym mężu. Miała dwadzieścia cztery lata, a zdawało jej się, że ma pięćdziesiąt.

Dzieci stanowiły odrębny problem. Wkrótce po ślubie zebrała się na odwagę i spytała Cole'a, czy chciałby je mieć. Łudziła się w swej naiwności, że dziecko ułatwi im wspólne życie. Ale twarz Cole'a gwałtownie poszarzała, a tego, co jej powiedział, wciąż jeszcze nie mogła przyjąć ze spokojem. Nie, odparł, nie chce mieć dzieci. Nie z taką rozpieszczoną, bogatą pannicą jak Lacy. Dodał jeszcze kilka obraźliwych uwag i odszedł rozwścieczony. Nigdy nie znalazła dość odwagi, by wrócić do tego tematu. W głębi serca żywiła nadzieję, że zaszła w ciążę po tej przykrej nocy, ale nic takiego się nie stało. Może zresztą i lepiej, bo Cole nikomu nie pozwalał się do siebie zbliżyć. Lacy próbowała wszystkiego, z wyjątkiem bycia sobą. Trudno jej było pozostawać sobą w obecności Cole'a, który potwornie ją krępował. Chciała go skłonić do zabawy, podrażnić się z nim, doprowadzić go do śmiechu. Chciała, żeby poczuł się przy niej młody, bo nigdy nie miał na to czasu. Odkąd go poznała, zawsze był dorosłym mężczyzną, samotnikiem o stalowym charakterze.

W drugim pokoju radio nadawało nowoorleański jazz, a para gości, których Lacy nie знаła, prezentowała nowe kroki charlestona. Po domu chodziło dużo obcych ludzi. Jakie to miało znaczenie? Przynajmniej zapełniali puste pokoje.

Lacy wolno zeszła do holu. Szara obcisła sukienka do kolan podkreślała smukłe linie jej ciała, eksponowała nogi w pończochach i pantofle na wysokim obcasie, zdobione klamrami. Znowu poczuła niepokój, tęsknotę. Przypomniała sobie twardość ust Cole'a tamtego ranka w stodołę, namiętność, jaka stała się ich udziałem i doprowadziła do... tego. Zadrzała. Nie ulegało dla niej wątpliwości, że kobiety pozwalają mężczyznom na takie traktowanie swego ciała wyłącznie po to, by począć dzieci.

Bess, jedna z zamężnych przyjaciółek Lacy, stwierdziła, że seks jest najwspanialszym doznaniem w jej życiu.

- Istna feeria - powiedziała ze śmiechem i miłością, którą od pięciu lat dzieliła z mężem. Wbrew złemu doświadczeniu Lacy bardzo chciała się więc przekonać, czy zbliżenie z mężczyzną może być przyjemne. Nie dość jednak, by przyjęła względy George'a Simona, w którym od kilku tygodni budziła nie zaspokojoną żądzę. George był uroczym człowiekiem, dobrym przyjacielem. Ale myśl o jego chutliwych dłoniach na ciele wydawała się Lacy niemiła. Wyobrażenie, że ktokolwiek inny niż Cole mógłby dotykać jej w ten sposób, miało posmak świętokradztwa.

Kompletna kłapa, pomyślała, wybuchając szorstkim śmiechem. To śmieszne - nieustannie marzyć o mężczyźnie, który jej nie kocha. Ale uwielbienie dla niego weszło jej w nawyk. I naprawdę go uwielbiała. Kochała w nim wszystko, od sposobu, w jaki dosiadał konia, przez charakterystyczne przechylenie głowy, wyrażające arogancką pewność siebie, po lśnienie skóry, która odbijała światło jak spizowy posąg. Cole nie zachwycał od pierwszego wejrzenia żadnej kobiety z wyjątkiem Lacy, miał jednak w sobie męskość, która przyprawiała Lacy o uderzenia gorąca i gwałtowne pulsowanie krwi. Od samego dotknięcia Cole'a zaczynała drżeć.

Westchnęła niepewnie, omiatając wzrokiem hol. Czy Cole przyjdzie? Serce mocno biło jej pod gorsetem. Chciała go tylko zobaczyć, tylko jeszcze raz na niego spojrzeć. Czułaby się wniebowzięta. Ale była już jedenasta, a Cole zwykle kładł się do łóżka przed dziewiątą, żeby móc wstać bladym świtem. Z ciężkim sercem odwróciła się i ruszyła do salonu. Nie, Cole dziś nie przyjdzie. Głupio było się łudzić.

Wróciła do gości. Dużo się śmiała i piła coraz więcej alkoholu. Policji zdarzało się niekiedy robić naloty, ale Lacy o to nie dbała. Niechby sobie przyszli i znaleźli alkohol. Mogła iść do więzienia. Coleman przyszedłby wtedy złożyć za nią kaucję. Może wzięłyby ją do domu i porwany namiętnością żarzącą się w nim tak długo, zrobiliby z nią to, co Rudolf Valentino z Agnes Ayres w jakże namiętym filmie *Szejk*. Serce jej podskoczyło. Przed dwoma laty szalała za tym filmem. A

wkrótce po obejrzeniu *Krwi i piasku* nauczyła się tanga. Ale oczywiście nikt z jej otoczenia nie dorównywał jako partner boskiemu Rudolfowi.

W zamyśleniu przełknęła jeszcze jeden łyk alkoholu. Nagle drgnęła, ktoś bowiem lekko dotknął jej ramienia. Podniosła głowę, wytrzeszczając oczy, ale zaraz trochę się uspokoiła, widząc George'a Simona.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała cichym głosem z wyraźnym południowym akcentem.

- Przepraszam - odpowiedział, radośnie szczerząc zęby. Owszem, użębienie miał bez zarzutu, aczkolwiek nieco łysiał i za dużo ważył. - Sądziłem, że zainteresuje cię gość, który przyszedł.

Zmarszczyła czoło. Wybiła już północ i mimo że wiktoriańskie gmaszysko było jeszcze pełne ludzi, rzadko zdarzało się, by ktokolwiek przychodził o tak późnej porze. Nagle sobie przypomniała. Cole!

- Mężczyzna czy kobieta? - spytała.

- Stanowczo mężczyzna - odrzekł George bez uśmiechu. - Wygląda, jakby zszedł z portretu nad kominkiem. Zresztą zostawiłem go, gdy stał i gapił się właśnie na ten obraz.

Lacy oblała sobie trunkiem przód modnej sukienki i zaczęła gorączkowo go wycierać chusteczką do nosa.

- Cholera - burknęła. - Ech, mniejsza z tym. Więc mówisz, że on jest w salonie?

- Ej, słonko... Zrobiłaś się biała jak kreda. Co się stało?

- Nic - odparła. Wszystko, pomyślała odwracając się i sztywno poszła długim korytarzem, skąpo oświetlonym kinkietami. Wysokie obcasy jej pantofli stukwały rytmicznie na gładkich deskach podłogi niczym mały werbel.

Zatrzymała się przy drzwiach i zawahała się z ręką na klamce. Już wiedziała, kto na nią czeka. Wiedziała z opisu George'a, ale jeszcze bardziej z intensywnego zapachu dymu, który uderzył ją w nozdrza, gdy tylko uchyliła drzwi.

Coleman Whitehall obrócił się na pięcie z precyzją atlety. Zresztą był atletą, gdyż praca na ranczu wymagała od niego siły mięśni. Zmrużył ciemne oczy spoglądając na Lacy. Ogorzałą twarz wieńczyły prawie czarne włosy, podobne odcieniem do włosów Lacy. Miał śniadą karnację w spadku po dziadku Komanczu, który ukształtował jego stalowy charakter i nauczył go, że uczucia są słabością, której należy unikać za wszelką cenę.

Miał na sobie robocze ubranie: wysokie buty i dżinsowe spodnie ze skórzanymi ochraniaczami, służącymi jako wzmocnienie materiału podczas jazdy konno. Na koszuli z niebieskim wzorem nosił kamizelkę, a na przegubach dłoni wzmacniające skórzane opaski. Do kieszeni ciągnął mu się rzemyk, zakończony niewątpliwie sakiewką z tytoniem, którą Cole



zawsze miał przy sobie razem z płaskim pakiecikiem bibulek do skręcania papierosów. Kowbojski kapelusz z szerokim rondem beztriosko cisnął na solidne wiktoriańskie krzesło z wysokimi poręczami. Głowę trzymał prosto i bez najmniejszego mrugnięcia patrzył na żonę potępiającym wzrokiem. Był żywym wyobrażeniem teksaskiego hodowcy bydła: spalona słońcem twarz, nieugięta duma i ostentacyjna pewność siebie.

Lacy zamknęła za sobą drzwi i zrobiła krok naprzód. Cole jej nie przeraził. Nigdy tak naprawdę się go nie bała, chociaż był przy niej gigantem. Przez cały ten czas, który spędziła mieszkając z nim pod jego dachem, prawie wcale się nie uśmiechał. Zastanawiała się, czy w ogóle kiedyś był chłopcem. Kochała go, ale on nie potrzebował miłości. Ani miłości, ani jej, Lacy. Świetnie radził sobie sam, czego dowiódł przez ostatnie osiem długich miesięcy.

- Witaj, Cole - powiedziała cicho. Uniósł dymiącego skręta do chudych, ostro zarysowanych warg, na których igrał kpiący uśmieszek.

- Witaj, maleńka. Chyba nieźle ci się wiedzie - powiedział, mierząc wzrokiem jej krótko obcięte włosy, śmiały, ciemny odcień szminki na wargach i spokojne, podejrzenie lśniące oczy. Stała przed nim modna kobieta, eksponująca swe długie, zgrabne nogi ze skandalicznie dobrym skutkiem.

Nie unikała jego spojrzenia. Szukała w twarzy Cole'a nowych rysów. Miał teraz dwadzieścia osiem lat, ale w czasie rozłąki postarzał się. Wojna dodała mu lat, a małżeństwo wcale na to nie pomogło.

- Dziękuję, nie narzekam - powiedziała, usiłując zachować beztrioski ton. Trudne było dla niej to spotkanie, skoro wciąż żyło w niej wspomnienie odejścia ze Spanish Flats, a przede wszystkim przyczyny, dla której odeszła. Cole zdawał się zupełnie tym nie przejmować, jej jednak drżały kolana. - Co sprowadza cię do San Antonio w środku nocy?

- Próbuję sprzedać bydło. Zbliża się zima. Trudno o paszę.

Podeszła bliżej, wciągając w nozdrza jego męski zapach, w którym niewątpliwie wyczuwalne były tytoń i skóra. Delikatnie dotknęła rękawa koszuli męża, z zachwytem wyczuwając pod materiałem jego ciepło, on jednak odtrącił jej dłoń i odszedł w stronę kominka.

Dziwnie się poczuła z ręką wyciągniętą w powietrzu, opuściła więc ją wzdłuż ciała i uśmiechnęła się ze smutkiem. Cole wciąż nie lubił jej dotyku. Brał, ale nigdy nie dawał. Lucy nie była pewna, czy w ogóle wie, że można cokolwiek komuś dać.

- Jak się czuje twoja matka? - spytała.

- Dobrze.

- A Katy i Bennett?

- Siostra i brat też dobrze.

Przyjrzała się jego prostym, wysokim plecocom, on tymczasem studiował swoją podobiznę nad kominkiem. Lacy kazała ją namalować zaraz po wyjeździe ze Spanish Flats. Było to jego zwierciadlane odbicie: mroczne, zamyślane, z oczami podążającymi za nią, dokądkolwiek szła. Na portrecie Cole miał na sobie robocze ubranie, czerwoną chustę pod szyją i biały kowbojski kapelusz na ciemnych, prostych włosach. Kochała ten obraz. Kochała tego człowieka.

- A to po co? - spytał pogardliwie, wykonując gest w stronę portretu. Odwrócił się i przeszył ją posępnym spojrzeniem. - Na pokaz? Żeby wszyscy wiedzieli, jaką jesteś oddaną żonką?

Uśmiechnęła się gorzko.

- Znowu będziemy się o to kłócić? Nie pasuję do życia na ranczu. Powtarzasz mi to od dnia, kiedy postawiłam tam nogę. Jestem... jak ty to nazwałś? Za delikatna. - Skłamała. Bardzo dobrze nadawała się do ranczerskiego życia i bardzo je lubiła. Gniewnie spojrzała na Cole'a. - Ale oboje wiemy, dlaczego wyjechałam ze Spanish Flats.

Oczy mu zabłysły, ciemna czerwień rozlała się po twarzy. Odwrócił od niej oczy. Cholera, pomyślała żałośnie Lacy. Zginę kiedyś przez ten niewyparzony jęczor. Splotła dłonie.

- Zresztą wcale nie zwracałeś na mnie uwagi - powiedziała. - I tą absolutną obojętnością w końcu mnie wypędziłeś.

- A co niby według ciebie miałem robić? - spytał. - Siedzieć na tyłku i cię podziwiać? Mam kłopoty z ranczem, przez cholerny zastój na rynku grozi mi bankructwo. Jestem zbyt zajęty dostarczaniem rodzinie środków utrzymania, żeby tańczyć wokół znudzonej panienci z towarzystwa. - Zmiażdżył ją zimnym, ponurym wzrokiem. - Ten elegancki mydłek, który mnie tutaj wprowadził, zdaje się uważać ciebie za swoją własność. Dlaczego?

Zabrzmiało to, jakby był zazdrosny. Serce jej raptownie drgnęło, nie dała jednak nic po sobie poznać.

- George jest moim przyjacielem. Chciałby się ze mną ożenić.

Masz już męża. Czy on o tym wie?

- Nie - powiedziała beztrosko. Działał jej teraz na nerwy. Nalała sobie filiżankę alkoholu, rozcieńczając go wodą. Potem zaczęła sączyć napitek, patrząc przy tym na Cole'a z wyzywającą miną. Wiedziała, że mąż pozna ten zapach. Tak też było. Dostrzegła jego spojrzenie pełne dezaprobaty. Głupkowato się uśmiechnęła znad porcelanowej krawędzi. - Może pójdziesz mu to powiedzieć?

- Do tej pory powinnaś była sama to zrobić. - Po co? Żeby obudzić w nim zazdrość? Widziała, jak Cole usiłuje nad sobą zapanować. Podniecało ją to. Prowokowanie Cole'a zawsze ją podniecało.

- No, więc dalej dawaj mu zachęty, to go zabiję - stwierdził.

Teraz zachowywał się jak jej właściciel i tym ją zirytował. Nie chciał jej, ale nie zamierzał pozwolić, by miał ją ktokolwiek inny. Czytała to w jego oczach.

- To całkiem możliwe, ty dzikusie. - Cofnęła się i spojrzała mu bez lęku prosto w oczy. - Pozwól, Coleman, że coś ci powiem. Być przez kogoś podziwianym i pożądanym to bardzo miła odmiana po tym, jak mnie ignorowałeś!

Wpatrywał się w nią z dziwnym wyrazem twarzy. Niemal rozbawionym.

- Gdzież był twój wojowniczy duch przez te wszystkie lata? - spytał złośliwie. - Nigdy dotąd go nie widziałem.

- Och, od czasu, jak od ciebie odeszłam, nabrałam mnóstwo złych przyzwyczajzeń. Uznałam, że lubię być sobą. Czyżbyś nie znosił, kiedy ktoś ci się sprzeciwia? Bóg świadkiem, że wszyscy na ranchu boją się ciebie jak ognia.

- Rozumiem, że ty nie - stwierdził z południowym akcentem, ostatni raz zaciągając się dymem ze skręta.

- Stanowczo nie. - Wypiła jeszcze trochę alkoholu. Czowała niczym nie skrepowaną swobodę. - Świetnie sobie daję radę bez ciebie. Mam wielki, piękny dom, ładne stroje i mnóstwo przyjaciół.

Cisnął niedopałek do kominka. W blasku pomarańczowożółtych płomieni skóra mu lśniła, a rysy jeszcze bardziej nabrały wyrazistości.

- Taki dom i takie stroje nie są dla ciebie odpowiednie, a twoi przyjaciele śmierdzą - powiedział bez chwili namysłu, stając przed nią z rękami na biodrach. - Zaczynasz pozwalać sobie tak samo jak Katy. To mi się nie podoba.

- Więc zrób coś z tym - prowokowała. - Powstrzymaj mnie, wielki człowieku. Możesz zrobić wszystko... zapytaj Bena, on jest twoim gorącym zwolennikiem.

Uśmiechnął się z nutą smutku.

- Już nie, odkąd wyjechałaś. Nawet Taggart i Cherry przestali się do mnie odzywać po twoim wyjeździe.

- Ładnie z twojej strony, że zaraz przyjechałeś wziąć mnie do domu - stwierdziła sarkastycznie. - Przez osiem miesięcy nawet kartki nie napisałeś.

- To ty chciałaś odejść. - Wpatrywał się w jej twarz ciemnymi oczami; przez chwilę zabłysł w nich dziwny ognik. - Nie jesteś szczęśliwa, Lacy - powiedział cicho.

- A ten tłum, który się tutaj kłębi, też cię nie uszczęśliwi.

- A może ty mnie uszczęśliwisz, co? - spytała agresywnie. Miała ochotę wybuchnąć płaczem. Wypiła następny łyk alkoholu, odwracając się od Cole'a. Nigdy w życiu nie czuła tak

wielkiej urazy. Miała wrażenie, że dyskretna elegancja tego pokoju pachnącego bzem nie pasuje do niej tak samo jak do niego. - Idź sobie stąd - powiedziała ponuro. - Nigdy nie było dla mnie miejsca w twoim życiu. Nawet nie chciałeś ze mną spać, aż do mojej ostatniej nocy w Spanish Flats. Postanowiłam powetować sobie straty i przenieść się do miasta, na swoje miejsce. Myślałam, że się z tego ucieszysz. Bądź co bądź, nasze małżeństwo było wymuszone.

- Mogłaś ze mną porozmawiać przed wyjazdem. - Pamiętał, jak paskudnie się czuł, kiedy odjeżdżała. Lacy na pewno nie zdawała sobie sprawy z tego, jaki cios zadaje jego dumie, choć postąpiła przecież w sposób całkowicie usprawiedliwiony. Cole zrobił wszystko, co w jego mocy, by ją od siebie oddalić. A wspomnienie bólu, jaki jej zadał w chwili nieopanowania, mąciło mu spokój sumienia.

Może jej nie kochał, ale tęsknił do niej. Gdy wyjechała, jego życie nagle straciło smak. Patrzył teraz na Lacy, bardzo uważając, żeby nie zdradzić się z uczuciami. Co za urocze stworzenie. Zaslugiwała na mężczyznę, który byłby dla niej dobry, troskliwie się nią zajął i dał jej gromadę dzieci... Przymknął oczy, odwrócił się.

Zresztą pewnie lepiej, że stało się tak, jak się stało. O tym wszystkim już mówiliśmy, prawda? - spytał cicho.

Tak - przyznała. - Chyba po prostu za bardzo się różnimy, żeby udało nam się małżeństwo. - Przygryzła wargę i spuściła powieki. - Znowu skłamała. Chciała jednak sprawić mu przyjemność, utwierdzając go w jego przekonaniu.

- Czy on jest twoim kochankiem? - spytał zniecierpliwiony, wykonując głową gest ku zamkniętym drzwiom. - Ten mydłek, który mnie tu przyprowadził?

- Nie mam kochanka, Cole - powiedziała, śmiało patrząc mu w oczy. - Nigdy nie miałam żadnego... z wyjątkiem ciebie.

Unikał jej spojrzenia, wlepiając wzrok w gzyms kominka. Machinalnie sięgnął do sakiewki. Zręcznie wyjął z niej kawałek cieniutkiej bibułki i nasypał na środek wąską smużkę tytoniu. Potem zrolował bibułkę i zakleił, pomagając sobie szybkim ruchem języka. Potarł zapalką o cegły paleniska i schylił głowę, by zapalić gotowego skręta. Obfity, ostry dym wypełnił pokój. Lacy wykręcała w dłoniach delikatną koronkową chusteczkę do nosa.

- Po co tu przyszedłeś? Wzruszył ramionami i skrzyżował z nią spojrzenia.

- Pijesz przez cały wieczór? - spytał krótko.

- Oczywiście - odpowiedziała bez wykrętów. Roześmiała się wyzywająco. - Szokuje cię to? A może żyjesz w średniowieczu, kiedy kobiety jeszcze nie robiły takich rzeczy?

- Przyzwoite kobiety nie robią takich rzeczy - powiedział z niezwykłym dla siebie naciskiem, piorunując ją wzrokiem. - I nie noszą takich strojów - dodał wskazując na widoczną

pod rąbkiem sukienki nogę Lacy, odzianą w zsuniętą pod kolano pończochę, która trzymała się na częściowo widocznej koronkowej podwiązce.

- Nie powiesz mi chyba, Cole, że szokuje cię widok moich nóg. - Uśmiechnęła się do niego prowokująco. - No, naturalnie, nigdy nie widziałeś mojego ciała, prawda? - Sprawiał wrażenie szczerze zakłopotanego, co bardzo jej się podobało. Wolno przesunęła dłońmi po ciele, z zadowoleniem stwierdzając, że jego wzrok podąża za tym ruchem. - Nie potrafisz nawet mówić o seksie, hm? Coś tak mrocznego i grzesznego przyzwoici ludzie robią tylko po ciemku, kiedy światło jest zgaszone...

- Przestań! - Odwrócił się do niej plecami i zaciągnął dymem, kładąc dłoń na oparciu krzesła. Zdawało jej się, że Cole z trudem łapie powietrze. - Mówienie o... o tym... niczego nie zmienia.

Nagle muzyka zagrała głośniejsze, przyciągając uwagę Cole'a.

- Czy przyjęcia odbywają się tu regularnie?

- Na to wygląda - potwierdziła. - Nie mogę znieść samej siebie, Cole.

- Ja też mam parę swoich problemów. - Usiadł na wiktoriańskim krześle. Tak bardzo do niego nie pasował, że mimo napięcia Lacy omal się nie uśmiechnęła. Przysiadła na krawędzi niebieskiej sofy, pokrytej aksamitem, i skromnie ułożyła dłonie na podolku.

- Elegancka panna Jarrett - powiedział cicho, bacznie jej się przyglądając. - Byłaś bohaterką moich kilku cudownych snów, kiedy byłem we Francji.

Zaskoczył ją. Nigdy przedtem nie mówił o Francji.

- Naprawdę? A ja codziennie do ciebie pisałam - wyznała wstydliwie.

- I nie wysłałaś żadnego listu - stwierdził z wątlwym uśmieszkiem. - Katy mi o tym powiedziała.

- Bałam się. W tobie było tyle rezerwy. A to, że byłam najlepszą przyjaciółką Katy i mieszkalam u ciebie w domu, nie wydawało mi się dostatecznym powodem, dla którego ucieszyłby cię mój list. Nawet po tym, jak sobie powiedzieliśmy do widzenia - dodała z dziwnym uczuciem skrępowania. - Zresztą ty też nie napisałeś do mnie ani razu.

Nie powiedział jej dlaczego. - Nie miałbym nic przeciwko temu, gdybym raz czy dwa dostał jakąś przesyłkę. Tam się zrobiło bardzo nieprzyjemnie.

Spojrzała na niego, a potem wbiła wzrok w ziemię.

- Zestrzelili cię, prawda?

- Zarobiłem parę skaleczeń - powiedział krótko. - Posłuchaj, a może wróciłabyś do Spanish Flats?

Serce jej podskoczyło. Cole był dumnym człowiekiem. Musiał długo zmagać się z sobą,

żeby przyjechać z taką prośbą.

- Dlaczego?

- Matka... źle się czuje - powiedział po chwili. - Do Katy zaleca się jakiś wariat z Chicago. Bennett usiłuje wyrwać się do Francji, żeby przyłączyć się do Ernesta Hemingwaya i pisarzy straconego pokolenia. - Przeczesał dłonią wilgotne włosy. - A Johnsonowi wczoraj zajęli ranczo.

Straszne. Spanish Flats było całym życiem Cole'a.

- Mam spadek po babce Lucy i jeszcze trochę pieniędzy po rodzicach - powiedziała cicho. - Mogłabym...

- Nie chcę twoich przeklętych pieniędzy! - Poderwał się zagniewany. - Nigdy nie chciałem!

- Wiem o tym, Cole - próbowała łagodzić. Również ona wstała i znalazła się bardzo blisko wysokiej, smukłej postaci. - Ale i tak bym ci je dała.

Przez chwilę coś iskrzyło mu się w oczach. Wyciągnął wolną rękę i lekko przesunął twardymi knykциями po jej gładkim policzku, przyprawiając ją o ciarki.

- Skóra jak płatek róży - szepnął. - Jaka gładka. Westchnęła, rozchylając pełne wargi. Znowu była wstydliwą dorastającą dziewczyną, znów gięły się pod nią kolana na widok uwielbianego Cole'a. Pragnęła go. Dostrzegł to jej spojrzenie i natychmiast raptownie się odsunął. Jak za dawnych czasów, pomyślała z goryczą. Nie chciał, żeby go dotykała. Powinna była się do tego przyzwyczaić.

- To był pomysł matki - powiedział szorstko, kopiąc jak piec. - Chce, żebyś wróciła do domu.

- Marion, nie ty. - Skinęła głową i westchnęła. - A ty nie chcesz, żebym wróciła, prawda, Cole? Nigdy nie chciałeś.

Bez słowa wpatrywał się w portret.

- Mogłabyś wrócić ze mną pociągiem. Jack Henry naprawia Forda, a Ben wziął wczoraj samochód mamy i gdzieś się zapodział.

Muzyka znowu zabrzmiała głośniej. Ktoś, prawdopodobnie mocno podchmielony, manipulował potencjometrem.

- Dlaczego miałabym wrócić? - spytała, dobywając z siebie resztki dumy. Pytanie zabrzmiało tak ostro, że Cole aż na nią spojrział. - Co mogę mieć w Spanish Flats, czego nie mam tutaj?

- Spokój - odrzekł krótko, z niechęcią patrząc w stronę drzwi, za którymi ryczała muzyka. - To nie są ludzie podobni do ciebie.

- Nie? - spytała z wymuszonym uśmiechem. - A jacy są do mnie podobni?

Uniósł brew.

- Oczywiście tacy jak Taggart i Cherry. Taggart i Cherry byli parą najstarszych służących na ranchu. Taggart włączył się z bandą Jamesa w końcu dziewiętnastego wieku, a Cherry wraz z teksaskimi kowbojami pędziła wielkie stada bydła szlakiem Chisholma do Kansas. Oboje umieli opowiadać, oj umieli, i gdyby kapali się częściej niż dwa razy w miesiącu, byłiby mile widzianymi gośćmi w domu. Ponieważ jednak tak nie było, Cole bardzo uważał, żeby podczas odwiedzin siedzieli na ganku, a sam zawsze stawał pod wiatr.

Lacy nie mogła pohamować szerokiego uśmiechu.

- Jest zima. Nie musisz się bać, że wiatr zawieje w twoją stronę.

Uśmiechnął się wątle i przez chwilę zdawało jej się, że ma przed sobą znacznie młodszego Cole'a. Zaraz jednak znów się zamknął jak ostryga.

Wróc ze mną do domu. Miała nadzieję, że dostrzeże w jego oczach coś zagadkowego, ale było tak, jakby chciała zajrzeć do zamkniętej książki.

Wciąż jeszcze nie powiedziałaś mi, czego mam się spodziewać, jeśli wrócę. - Alkohol całkiem pozbawił ją zahamowań.

- A czego chcesz? - spytał z kpiącym uśmiechem.

- Może ciebie... - Odwzajemniła uśmiezek. Twarz mu stężała. Oczy sposepniały.

- Tamtej nocy wcale ci się to nie podobało - powiedział krótko. - Płakałaś.

- Bolało mnie. Drugi raz nie będzie - powiedziała niefrasobliwie, korzystając z nowo nabytej wiedzy. Uniosła głowę, zataczając łuk podbródkiem. - To wszystko jest dobre na starość. Samotność, paru szwendających się gości, trochę głośnej muzyki i alkoholu, żeby zagłuszyć żal. Ale ja mam dwadzieścia cztery lata. Jeśli muszę się zestarzeć, to nie chcę tego robić sama. - Z dumną miną przysunęła się bliżej do niego. - Wrócę z tobą i będę z tobą mieszkać. Nawet będę udawać publicznie, że jesteśmy szczęśliwi. Ale tylko wtedy, gdy wprowadzisz się do mojego pokoju jak przyzwoity mąż. - Czowała niesmak z powodu tego ultimatum, ale chciała urodzić dziecko. Może uda jej się wziąć Cole'a na jakąś sztuczkę albo zaszantażować. Była absolutnie zdecydowana to zrobić.

- Co takiego? - spytał, jakby mocno go zaskoczyła. I naprawdę zadrżał.

- Chcę pozorów normalności i nie życzę sobie, cholera jasna, żeby twoja rodzina podśmiewała się ze mnie dlatego, że wszyscy widzą, jak bardzo mnie nie chcesz.

- Przestań kłąć!

- Będę klęła tyle, ile mi się podoba - oznajmiła. - Cassie nieustannie robiła mi okropne uwagi o twoim uporze w sprawie osobnego pokoju, podobnie jak Ben i Katy. Wszyscy wiedzieli, że nie zachowujesz się jak mąż. To było dla mnie jeszcze jedno upokorzenie więcej, jakby nie wystarczyło, że traktuje się mnie jak mebel. Więc mogę wrócić, ale na moich warunkach.

Przełknął ślinę. Bardzo uważnie przyjrzał się wszystkim rysom, wszystkim krzywiznom jej twarzy. Przez chwilę widziała, jak się waha. Nagle znów stał się nieprzenikniony.

- Nie pozwolę się prowadzić jak ślepy muł - powiedział bez ogródek. W jego głosie czaiła się groźba. Jeśli chcesz wrócić, proszę bardzo. Ale bez żadnych warunków. Dostaniesz swój dawny pokój i będziesz w nim spać sama.

- Tak dużą przykrość sprawiłoby ci spanie ze mną?

- Wzięła się pod boki. - George ma na to dużą ochotę. Zauważyła raptowne poruszenie jego klatki piersiowej.

- George może się wypchać.

- Jeśli ty nie chcesz, to zdecyduję się na niego - zagroziła. Niech Cole trochę się wysili, odwodząc ją od tego pomysłu. Niech ruszy głową i straci trochę nerwów.

- Zostanę tutaj i...

- Diabli cię nadali! - Brwi niemal mu się zetknęły na środku czoła. - Niech cię szlag trafi, Lacy!

- Możesz zamknąć oczy i myśleć o niebieskich migdałach - szepnęła przewrotnie, bo bardzo ją to śmieszyło. Pomysł uwiedzenia Cole'a i sprawienia mu tym przyjemności wydał jej się najwyśmienitszą zabawą, jaką miała od ośmiu miesięcy. A jeśli przy okazji weźmie na nim mały odwet, to co z tego? Myśl o ściągnięciu go do łóżka, drażnieniu się z nim i podsuwaniu mu pokus wydawała jej się wspaniała, szczególnie teraz, kiedy dowiedziała się, że za drugim razem nie powinno boleć. Jeśli uda jej się go zwabić, czekają ich niewysłowione rozkosze.

Cole burknął coś pod nosem, dokończył skręta i znowu cisnął go do kominka.

- Niech cię szlag trafi! - powtórzył. Stanęła przed nim tak, że musiał na nią spojrzeć.

- Dlaczego przyszedłeś do mnie tamtej nocy, jeśli mnie nie chciałeś?

- Bo... bo cię chciałem - wydusił z siebie.

- A teraz nie chcesz? O Boże! Przypiekała go na wolnym ogniu! Domagała się niemożliwości, ale przecież nie mógł też pozwolić jej na spełnienie groźby sprzed chwili. Myśl o Lacy z innym mężczyzną rozdzierała mu serce. Głęboko odetchnął. Nie wolno mu było okazać słabości, nie teraz. A że najlepszą obroną jest atak, Cole uniósł głowę i spojrzał gniewnie na żonę.

- Seks jest bronią kobiet - powiedział zimno. - Dziadek nauczył mnie obywać się bez tego.

- Twojemu dziadkowi prawie się udało zamienić cię w kamień! - odpaliła.

- Troska jest słabością - stwierdził krótko. - To choroba. Nie chcę być własnością żadnej kobiety, a już na pewno nie eleganckiej panienci z Georgii, mającej wypchany portfel.

Twarz jej zbielała, dłonie zacisnęły się w pięści. A więc wojna. W porządku. Sam tego chciał.



- Jeśli chcesz, żebym mimo wszystko wróciła, musisz się zgodzić na wspólny pokój - podjęła sztywnym tonem.

- Nie zgodzę się drugi raz być pośmiewiskiem rodziny. Dotykać mnie nie musisz - ustąpiła z nadzieją, że bliskość spowoduje to, czego nie mogła osiągnąć szantażem.

- Ale ze wspólnego pokoju nie zrezygnuję. Oczywiście jeśli chcesz, żebym wróciła - dodała z wyrachowaniem.

- A myślę, że mnie potrzebujesz, przynajmniej po to, żebym pomogła ci dogadać się z Katy. Mam rację?

- Czy ty nie masz ani krzty dumy, kobieto?

- Nie. Odrzuciłam całą dumę w dniu, kiedy wzięłam cię za męża - powiedziała. - Dumę, szacunek dla siebie i nadzieje na różową przyszłość. Jeśli chcesz, żebym wróciła, wrócę. Ale na moich warunkach.

- To jest szantaż - syknął.

Wyglądał tak groźnie, że omal się nie wycofała. Przypomniała sobie jednak, jak nauczyła się traktować George'a, gdy jego zachowanie wymykało jej się spod kontroli. Tyle że nie było wiadomo, czy metoda sprawdzi się na kamieniu. Kokieteryjnie podsunęła się nieco bliżej i wdzięcznie zatrzepotała rzęsami.

- Pocałuj mnie, ty głupcze! - powiedziała uwodzicielsko, lekko przekrzywiając głowę i rozchylając uszminkowane wargi.

Spojrzał na nią spod przymkniętych powiek. Miał nadzieję, że Lacy nie zauważy głośnego bicia jego serca, wywołanego tymi niewinnymi zalotami.

- Przestań - powiedział z irytacją. - Niech będzie. - Westchnął. - Zgadzam się na wspólny pokój.

- Wreszcie jakaś szczelina w kamieniu! - Lacy uśmiechnęła się kusicielsko. Cole rzeczywiście sprawiał wrażenie, jakby trochę miękł. Cud nad cudami! Czyżby przypadkiem znalazła na niego sposób?

Patrzył złym wzrokiem jeszcze kilka sekund, na wpół zirytowany, na wpół zaintrygowany tym nowym wcieleniem Lacy.

- Przyjdę po ciebie o siódmej. - Spojrzał w stronę drzwi. - A to stado kojotów lepiej wyślij do domu.

- Tak jest, wasza wysokość. - Dygnęła.

- Lacy... - powiedział ostrzegawczo.

- Jesteś niesamowicie przystojny, kiedy się złościysz. - Westchnęła.

Mars na jego czole jeszcze się pogłębił. Cole prawie trząśł się ze złości, a ona czuła dużą

przyjemność, że udało jej się do tego stopnia wytrącić go z równowagi. Jeśli miał słabości, to była dla niej mała nadzieja. Straciła osiem miesięcy, straciła kawał życia, a teraz nagle znalazła sposób, żeby do niego trafić.

- Dobranoc - powiedział stanowczo. Przesłała mu diaboliczny uśmiezek.

- Nie chciałbyś zostać?

- Nie chciałbym - odburknął.

- Więc ciesz się swoją ostatnią nocą w samotności - powiedziała z błyskiem w błękitnych oczach. Odwróciła się i odeszła, mimo że ledwie mogła utrzymać się na nogach. Gdy wróciła do pokoju, w którym przyjęcie trwało w najlepsze, głośno się śmiała.

Ale mężczyźnie wychodzącemu frontowymi drzwiami nie było do śmiechu. Za nic nie należało zgodzić się na jej warunki. Powinien był wysłać ją do diabła, lecz tak się stęsknił za jej widokiem, że umysł odmówił mu posłuszeństwa. Prawdopodobnie blefowała, mówiąc o sypianiu z tym wysokim klaunem. Ale jak mógł coś takiego ryzykować? Boże, zatłukłby tego faceta, gdyby odważył się choćby tknąć Lacy.

Gwałtowność kotłujących się w nim uczuć bardzo go niepokoiła. Przecież to tylko kobieta, tylko Lacy, która pętała się po domu od dawien dawna, była czymś takim jak kwiaty, które matka zawsze wstawiała do wazonu w korytarzu. Jednak od chwili, odkąd odwiedził ją w nocy, sprawy przedstawiały się zgoła inaczej. Nie planował tego. Małżeństwo było wymuszone. Chciał znaleźć sposób na usunięcie Lacy z rancza, zanim zostanie skonsumowane. Ale w końcu zaczął ją całować, no i jedno pociągnęło za sobą drugie. Nie miał z tego powodu poczucia winy, sumienie gryzło go tylko, że sprawił jej ból. Doznanie było wspaniałe, ale ryzyko powtórzenia go zbyt wielkie. Jak, do diabła, miał z nią dzielić pokój, a jednocześnie zachować swój sekret?

Pomyślał, że kiedy Lacy się dowie, straci ją. Początkowo się tym nie przejmował, ale naprawdę do niej tęsknił. Pragnął jej. Unikanie nie prowadziło do niczego. Próbował tego przez osiem miesięcy, dopiero jednak tego wieczoru poczuł, że żyje, pierwszy raz, odkąd Lacy odeszła. Westchnął. Niech tam, postara się robić wszystko w swoim czasie. Tak zawsze mówił Turek: nie połykaj życia jednym haustem. Może powinien spróbować. Wychodząc z domu Lacy, miał w oczach bezbrzeżny smutek.

Lacy ciężko opadła na wiktoriańskie krzesło. Nadal kręciło jej się w głowie po tym, gdy zdobyła się na taką stanowczość. Blefowała, ale Cole na szczęście tego nie wiedział. No, no, pomyślała, wyobraź sobie, że wstydliva, mała Lacy Jarrett postawiła na swoim z Colemanem Whitehallem. Oczywiście pomógł jej alkohol. Kiedyś byłaby za bardzo zmieszana, żeby choćby się do niego odezwać. Wróciła myślami do swoich pierwszych dni w Spanish Flats po śmierci rodziców.

Katy powitała ją życzliwie, podobnie jak Marion i Ben. Ale Cole zachowywał się oficjalnie, z dystansem, niemal wrogo. Schodzenie mu z drogi weszło jej w nawyk. Kiedy siadał do stołu podczas posiłku, starała się być niewidzialna. Mimo to prawie natychmiast się w nim zakochała.

Z rzadka zdarzało się, że Cole traktował ją łagodniej, Raz pomógł w ratowaniu kociaka z pyska psa włóczęgi. Włożył jej potem małe zwierzątko w dłonie i trzymał ją za rękę tak długo, że wściekle się zarumieniła i ledwie umiała wybąkać jakiekolwiek podziękowanie. Kiedy dostała porażenia słonecznego, bo chodziła bez nakrycia głowy, Cole zaniósł ją do domu i mimo że skakały przy niej Marion i Katy, siedział przy łóżku, póki nie przekonał się, że wszystko będzie dobrze. Zdarzało się też, że doganiał Lacy, gdy wychodziła na ulubione samotne spacerki. Pokazywał jej wtedy uprawy i wyjaśniał tajniki hodowli bydła. W końcu właściwie przestała się go bać, ale nadal tak ją krępował, że nie potrafiła ukryć tego uczucia, gdy tylko znajdował się blisko niej.

Jej reakcje zdawały się go irytować, jakby nie rozumiał, że są skutkiem fizycznego pociągu, a nie lęku. Cole nie chodził na przyjęcia, a Lacy nigdy nie widziała go w towarzystwie kobiety. Pracował od świtu do zmroku i jeszcze dłużej. Doglądał wszystkich zajęć na ranchu, sam nawet prowadził księgi i wykonywał gigantyczną papierkową robotę. Miał głowę do interesów, lecz również ponosił wielką odpowiedzialność. Na rozrywki nie zostawało mu dużo czasu.

Cios przyszedł, kiedy w Europie wybuchła wojna. Wszyscy byli pewni, że Stany Zjednoczone w końcu do niej przystąpią, więc Lacy zamartwiała się nieustannie, że Cole będzie musiał iść do wojska. Był młody, silny i patriotycznie nastawiony. Nawet gdyby nie dostał powołania, niechybnie zgłosiłby się na ochotnika. Zrozumiała to słuchając, jak komentuje aktualności z gazet.

Jego zainteresowania pochłaniała awiacja, jedna z nowo rozwijających się gałęzi techniki. Opowiadał o samolotach tak, jak niektórzy chłopcy gadają o dziewczynach. Czytał wszystko, co mógł na ten temat znaleźć. Lacy była jego jedynym chętnym słuchaczem. Chłoneła informacje, które Cole entuzjastycznie z nią dzielił, mimo iż jednocześnie modliła się, by gorączka latania nie

porwała go do Francji, dokąd ciągnęli młodzi Amerykanie, chcący wstąpić do eskadry Lafayette.

Przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny w kwietniu 1917 roku oznaczało koniec snów Lacy. Cole zgłosił się do wojska i poprosił o skierowanie do raczkującej Wojskowej Służby Powietrznej. Rok wcześniej chciał wstąpić na ochotnika do eskadry Lafayette, razem z innymi amerykańskimi pilotami przydzielonymi do Francuskich Sił Lotniczych, ale śmierć ojca i przejęty przez Cole'a ciężar odpowiedzialności za utrzymanie matki, siostry i brata, by nie wspominać Lacy, zniweczyły ten pomysł. Jednakże gdy prezydent Wilson ogłosił przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny, Cole natychmiast się zaciągnął. Znalazł sąsiadów gotowych dopilnować za niego spraw rancza, a matce i Lacy zostawił obowiązek prowadzenia ksiąg. Sam natomiast spakował się i wyjechał do Francji.

Z Lacy zblizali się do siebie coraz bardziej, chociaż ich stosunki wciąż były napięte i niepewne. Ale świadomość, że Cole idzie na wojnę i może już nigdy nie wrócić, okazała się rujnująca. Lacy wybuchnęła płaczem i była niepokieszona. Nawet Cole, który przedtem całkiem błędnie interpretował jej nerwowość, wreszcie pojął, w czym rzecz.

Rankiem w dniu, gdy Cole ubierał się do wyjazdu, przechodziła obok jego pokoju. Przeżyła szok, kiedy wciągnął ją do środka i zamknął drzwi. Koszulę miał z przodu całkowicie rozpiętą. Zwisła mu luźno, opadając na spodnie. W niekompletnym stroju wydawał się wyższy, potężniejszy. Lacy lęklawie zmierzyła wzrokiem jego opaloną, umięśnioną klatkę piersiową, porośniętą ciemnym, gęstym owłosieniem.

- Płakałaś - powiedział bez wstępów, bezlitośnie patrząc jej prosto w oczy.

Nie było sensu zaprzeczać. Widział zbyt wiele.

- Musisz jechać? - spytała żałośnie. , - To jest mój kraj, Lacy - powiedział zwyczajnie. - Byłoby pospolitym tchórzostwem, gdybym odmówił walki za ojczyznę. - Krzepkimi, śniadymi dłońmi mocno trzymał ją za ramiona. - Nie słyszałaś nic z tego, co mówiłem o lotnictwie wojskowym, o przewadze, jaką zdobędziemy nad tymi Hunami, jeśli pomożemy w doskonaleniu eskadry Lafayette?

- Dlaczego Francuzom? - spytała bezmyślnie. Jego zapach i bliskość wprawiały ją w rozkoszne zamroczenie. Chciała tylko, by trwało jak najdłużej.

- Bo amerykańskie lotnictwo nie ma swoich samolotów - powiedział. - Będzie latać na Nieuportach i Sopwithach.

- Latanie jest niebezpieczne... - zaczęła. Życie jest niebezpieczne, Lacy - odparł cicho. Spojrzał na jej usta, uszmiłkowane na ciemnoczerwono. Odruchowo wyciągnął rękę i przesunął kciukiem po jej dolnej wardze, uśmiechając się na widok czerwieni, która przeszła mu na palec. - Jak piętno - powiedział żartobliwie. - Mógłbym tym znaczyć bydło.

- To się zmywa - zwróciła mu uwagę Lacy.

- Naprawdę? - Sięgnął do kieszeni po chustkę do nosa, mocno przytrzymał Lacy za kark i zaczął drugą ręką ścierać jej szminę z ust.

- Cole, przestań! - zaprotestowała, usiłując odwrócić głowę.

- Nie będę szedł umalowany na stację - powiedział, skupiony na swym zajęciu.

Lacy znieruchomiała. Wytrzeszczyła oczy na jego męską, śniadą twarz.

- Ccco?

Skończywszy pracę, uśmiechnął się pobłaźliwie i cisnął chustkę na komodę.

- Słyszałaś. - Zmierzył spojrzeniem jej owalną twarz o miękkich rysach, od krótkich czarnych włosów, przez wielkie błękitne oczy, prosty mały nos, po usta, które wytarł ze szminki do czysta. - Przedtem byłoby to nie do pomyślenia. Ale nie wiem, kiedy wrócę. Czy nie należy pozwolić młodemu patriocie odejść ze wspomnieniem pocałunku?

Nerwowo skubnęła guziki jego koszuli. Przy okazji wyczuła palcami ciepło nagiego torsu, od czego przebiegły ją ciarki.

- Oczywiście - powiedziała, omal nie dusząc się tym słowem.

Z dziwnym wahaniem Cole ujął jej twarz w dłonie i stanął bliżej, prawie nad nią. Zaparło jej dech. Śniła o tej chwili od lat, z nadzieją ją przyzywała. Teraz chwila nadeszła, ale Lacy czuła się niezręcznie, wstydziła się i była śmiertelnie przerażona, że nie spełni oczekiwań.

- Wiesz... ja nie umiem się całować - wyznała pośpiesznie.

Spodziewała się Bóg wie czego, ale jedyną oznaką, że Cole ją słyszał, był wzmożony nacisk ciągnących ją rąk.

- Praktyka czyni mistrza, prawda, Lacy? - odezwał się gardłowo i bez dalszych wstępów czy choćby słowa przeprosin wpił w jej wargi swe twarde, pachnące kawą usta. Poddała się bez sprzeciwu jego sile i coraz gwałtowniejszemu pragnieniu. Nie umiała się całować, ale Cole ją uczył. Kosztował jej ust w ciszy wielkiego, wysokiego pokoju, mocno ją obejmując.

Na chwilę uniósł głowę, żeby zaczerpnąć tchu, i wtedy ich spojrzenia się spotkały. Lacy była oszołomiona, gięły się pod nią kolana. Lgnęła do Cole'a, a jej nabrzmiące, rozchylone wargi czekały na dalszy ciąg szaleństwa, do którego ją zaprosił.

- Nie przerywaj - szepnęła bezwstydnie.

- Nie wiem, czy w ogóle mógłbym - odrzekł również szeptem. Znowu opuścił głowę. Tym razem ich wargi zetknęły się delikatnie, Cole poznawał jej usta z czułością i leniwym pragnieniem, wnet jednak porwała go namiętność.

Lacy czuła za plecami zimną, twardą ścianę. Cole przyciskał ją do niej swym ciałem. Przez myśl jej nie przeszło, że kiedyś znajdą się w tak intymnej sytuacji. Nagle dotyk jego płaskiego

brzucha raptownie się zmienił, pocałunek stał się brutalny.

Przerażona Lacy odepchnęła go. Cole natychmiast się cofnął. Jego oczy zdradzały, że jest tak samo jak ona wstrząśnięty przekroczeniem barier przyzwoitości, do którego popchnęła go ślepa żądza. Odszedł od niej na kilka kroków. Policzki pały mu czerwienią.

Lacy miała nabrzmiałe i rozchylone wargi. Usiłowała złapać dech i wrócić do rzeczywistości. Nie wiedziała, co ma powiedzieć, co zrobić. W środku czuła niezwykle gorąco, a w dole brzucha odzywały się nie znane jej doznania. Gorset stał się wyraźnie za ciasny. Skubnęła koronkę bluzki, szukając stosownych słów.

- Bardzo cię przepraszam, Lacy - powiedział Cole napiętym, aż zbyt oficjalnym tonem. Nie patrzył na nią.

Nie zamierzałem doprowadzić do czegoś takiego.

- W porządku - odparła chrapliwie. - Powinnam była zaprotestować.

Zrobiłaś to. Za późno - dodał oschle, odwracając się w jej stronę. Potargane ciemne włosy opadły mu na czoło, a na policzkach wciąż jeszcze miał pozostałość rumieńców. W bardzo ciemnych oczach pobłyskiwały mu zagadkowe ogniki.

- Powinnam iść - wyjąkała Lacy.

- Owszem, powinnaś - przyznał. - Będziesz skompromitowana, jeśli ktoś z rodziny znajdzie nas sam na sam w mojej sypialni.

Ale Lacy ani drgnęła. Cole również nie. Ciężko oddychał.

- Chodź tutaj - powiedział cicho i rozłożył ramiona.

Z wdziękiem wtuliła się w Cole'a, przykładając rozgrzany policzek do jego chłodnej, wilgotnej piersi. Owłosienie delikatnie ją laskotało. Serce Cole'a biło mocno i szybko, ale trzymał Lacy pewnie, bardziej opiekuńczo niż namiętnie.

- Czekaj na mnie - szepnął jej do ucha.

- Do końca życia - odrzekła łamiącym się głosem. Ramiona wokół niej zacisnęły się na chwilę, zaraz jednak Cole odsunął ją od siebie i wzrokiem, z którego przebijało stłumione pragnienie, odszukał jej oczy.

- Kocham cię - wyznała drżąco Lacy, zapominając o dumie i godności.

- Tak - powiedział dźwięcznym, cichym głosem, choć jego twarz nie zdradzała niczego. - Postaraj się pomóc matce z Katy i Benem w czasie, gdy mnie nie będzie. Nie oddalaj się od domu sama.

- Dobrze. Wolno zaczerpnął powietrza do płuc.

- Wojna nie trwa wiecznie. A ja nie jestem samobójcą. Nie płacz już.

Udało jej się sprokurować drżący uśmiech.

- Dopóki jesteś, nie będę - obiecała. Czułe przesunął palcem po jej policzku.  
- Przez te wszystkie lata myślałem, że się mnie boisz. Ale to nie był strach, co? - spytał, nagle znów bardziej napięty. - Od dawna mnie kochasz, a ja nigdy tego nie zauważyłem.  
- Nie chciałam, żebyś się dowiedział.  
- Lepiej, że teraz wiem - stwierdził. Musnął jej usta w czułym pocałunku. - Napisz do mnie - szepnął. - Ja wrócę, Lacy.  
- Będę się za ciebie modlić każdego wieczoru - obiecała. - Och, Cole...  
- Nie płacz już - skarcił ją surowo na widok łez w oczach. - Nie mogę znieść, jak płaczesz.  
- Przepraszam. - Odsunęła się od niego. Jej twarz mówiła sama za siebie. - Lepiej już pójdę, dobrze?  
- Obawiam się, że musisz. - Spojrzał na nią ostatni raz. - Jak będę wyjeżdżał, powiemy sobie do widzenia.

- Powiemy - zgodziła się. Potem już nie widziała go bez świadków. Zanim sąsiad odwiózł go na stację, Cole bardzo oficjalnie pożegnał się z całą rodziną. Lacy przyglądała się odjeżdżającemu Fordowi i przez resztę dnia rozpaczliwie szlochała, podobnie jak Marion i Katy.

Cole pisał, ale nie do Lacy. Napisał do rodziny, a ponieważ nie było tam żadnego nawiązania do tego, co stało się w jego sypialni, Lacy także nie napisała. Najwyraźniej Cole bardzo chciał zapomnieć te intymne chwile. Nigdy potem nie wspomniał na ten temat. Dużo opowiadał o samolotach i pięknie Francji, przemilczał natomiast walki, w których bierze udział. Jednak widzieli jego nazwisko w teksańskich gazetach, relacjonujących przebieg starć lotniczych. Cole'a wraz z kilkoma innymi Amerykanami wymieniano wśród asów.

Czytając o wyczynach asów Katy zakochała się na zabój we wszystkich pilotach naraz, a szczególnie w jednym, niejakim Turku Sheridanie, blondynie z Montany mającym stalowe nerwy. Uważano go za najodważniejszego.

W końcu 1918 roku, gdy życie na ranchu nużąco zwolniło tempo, do Spanish Flats dotarła wiadomość o zranieniu Cole'a. Lacy omal nie oszalała, dopóki nie zawiadomiono ich, że Cole będzie żył. Autor listu, Turek Sheridan, napisał, że być może po wojnie przyjedzie z Col'em do Teksasu, obaj szybko się bowiem zaprzyjaźnili i obaj byli ranczerami.

Katy pławiła się w marzeniach związanych z potencjalnym nowym mieszkańcem Spanish Flats, ale Lacy martwiła się o Cole'a. Następny list był napisany zmienionym charakterem pisma, a jego ton był drętwy i bardzo oficjalny.

Cole wrócił do domu wkrótce po ogłoszeniu traktatu pokojowego w 1919 roku i rzeczywiście przywiózł ze sobą Turka. Lacy wybiegła Cole'owi na spotkanie, mimo iż wielokrotnie sobie postanawiała, że tego nie zrobi. Kiedy zasłonił się rękami i omal jej nie

odepchnął, poczuła, że coś w niej umarło. Cole publicznie ją odrzucił. Z maski na jego twarzy nie można było nic wyczytać, podobnie jak z samych oczu. Stał się zupełnie innym człowiekiem.

Z miejsca zajął się interesami, próbując doprowadzić rancho do porządku. Tymczasem Katy rozpoczęła długotrwałe i bardzo cierpliwe oblężenie Turka Sheridana, który w rzeczywistości miał na imię Jude. Wkrótce po wojnie umarła bogata babka cioteczna Lacy i zostawiła jej olbrzymi spadek. Lacy była jej wdzięczna, zdobyła bowiem znaczną niezależność. Z drugiej strony oddalało ją to jednak od Cole'a, który w powojennych czasach borykał się z poważnymi kłopotami finansowymi.

Na rancho zajęto się uprawą zbóż, by nie polegać jedynie na hodowli bydła. Turek wy dostał skądś stary dwupłatowiec i używał go do opylania upraw pestycydami. Wszystkich zaskoczyło, że Cole nie tylko nie zbliża się do maszyny, lecz również z nikim nie rozmawia już o samolotach. Dziwiło to Lacy, toteż pewnego dnia popełniła fatalną omyłkę. Zapytała Cole'a, czy przestał fascynować się lataniem. Odprawa, jaką dostała, ciężko zraniła jej dumę i uczucia. Od tej pory Lacy mijala Cole'a szerokim łukiem.

Po historii z zamknięciem w budce dróżnika Cole całkiem niesłusznie posądził Lacy o namówienie na to Bena. Lacy jeszcze teraz drżała na wspomnienie gniewnych oskarżeń, jakie ciskał jej w twarz, do czasu gdy rankiem któryś z kowbojów ich uwolnił. Cole był więc zapewne całkiem zadowolony, gdy wkrótce po wymuszonym ślubie spakowała manatki. Zastanawiało ją tylko, czemu teraz chce jej powrotu. Istniała mała, malutka szansa, że jednak do niej zatęsknił.

Wciągnęła go w układ na swoich warunkach, będą więc dzielić pokój. Ale na wspomnienie jedynej nocy, gdy byli ze sobą w łóżku, nachodziły ją lekkie wątpliwości, czy postępuje rozsądnie. Bardzo pragnęła mieć dziecko i bardzo kochała Cole'a, obawiała się jednak fizycznego wymiaru tych uczuć. Niech tam, zawsze można znaleźć jakieś wyjście, pomyślała. Tymczasem powrót do domu sam w sobie był niezwykle przyjemny. Trochę już ją zmęczyło życie na wysokich obrotach.



### 3

Gdy Katy Whitehall otworzyła oczy, oślepiła ją jasność. Z jękiem przewróciła się na drugi bok, uciekając przed słońcem bijącym do pokoju przez białe zasłony.

Z ciemnymi, długimi spletanymi włosami dziewczyny kontrastowała wybladła twarz. Wielkie zielone oczy otworzyły się i zamrugwały. Katy spróbowała unieść głowę; jęknęła, po czym zrezygnowana opadła na poduszki.

Do pokoju weszła Cassie. Spojrzała z wyrzutem na dziewczynę, potrząsnęła siwą głową i postawiła na stoliku przy łóżku filiżankę gorącej herbaty.

- A nie mówiłam! - stwierdziła z wyraźnym południowym akcentem, mierząc Katy oskarżycielskim spojrzeniem czarnych oczu. - Nie mówiłam, że po gorzale pęka głowa! Wstydz się! Żeby wracać do domu bladym świtem! Gdyby pan Cole tu był, wygarbowałby ci skórę.

- Ale go nie ma. Sprzedaje bydło w San Antonio. - Katy zmusiła swe smukłe ciało do przyjęcia pozycji siedzącej. Poprzez jasny materiał koszuli nocnej prześwitywał zarys drobnych piersi. Katy odgarnęła do tyłu włosy i sięgnęła po filiżankę.

- Może odwiedzi panienkę Lacy - zaryzykowała Cassie, opierając dłonie na rozłożystych biodrach.

Katy uważnie jej się przyjrzała.

- Tak myślisz?

- Cuda się zdarzają. Katy uśmiechnęła się z wysiłkiem, popijając słodką herbatę.

- Podobno. Ben nie powinien był im tego robić - powiedziała cicho.

- O jeden wyskok za dużo - potwierdziła Cassie. - Gdyby im dał spokój, może sami by się pobrali, tak zwyczajnie. - Wydęła wargi, a na jej śniadej twarzy pokazały się zmarszczki. - Pilnował jej, odkąd tu zamieszkała. Mój chłop, Jack, mówił, że jak robił przy bydle, to widział. Pan Cole gapił się na nią jak jastrząb na kurczaka. Miał ogień w oczach. Ogień i tęsknotę.

- Naczytałaś się za dużo romansów - skarciła ją Katy i zachichotała, bo stara kobieta niespokojnie przestąpiła z nogi na nogę i odwróciła wzrok. - Wiesz bardzo dobrze, że Cole jest nieprzystępny dla kobiet. Gdyby nie to, dawno już by się ożenił. A on nigdy nie biegał za dziewczynami. Zawsze miał czas tylko na interesy.

- No, bo musiał, nie? - Cassie ujęła się za nim. - Jak pan Bart umarł, to kto miał się zająć ziemią? Ben był za młody, a pani Marion nigdy nie miała do tego głowy.

- Chwała Cole'owi, bo inaczej wszyscy musielibyśmy szukać pracy. - Katy przeciągnęła się i zadrzała, gdyż od gwałtownego ruchu lupnęło jej w głowie. - Nie powinnam była pić trzeciego drinka - jęknęła, przyciskając obie dłonie do czoła.

- Pan Turek powiedział parę słów do słuchu temu młodemu człowiekowi, co cię wczoraj przyprowadził do domu - oznajmiła Cassie nie pytana.

Katy poczuła raptowne drgnienie serca, ale nie od razu podniosła głowę. Jej zielone oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

- Turek? Naprawdę? Cassie uśmiechnęła się. Kary była taka młoda, miała dopiero dwadzieścia jeden lat. Jej twarz zdradzała wszystko. Wprawdzie od dawna czuła miętę do Turka, ale nie należało dodatkowo jej zachęcać. Cole wyraźnie zapowiedział, że nie byłby z tego zadowolony.

- Pan Cole kazał mu cię pilnować - powiedziała stara kobieta.

- Nie potrzebuję pilnowania - zachnęła się Katy. - A i owszem, panienko, potrzebujesz. - Cassie gorąco zaprotestowała. - Włóczyz się po nocach, pijesz przy ludziach, klniesz jak szewc... Wstyd ściągasz na nas wszystkich! Twoja biedna mama boi się nawet iść do klubu na brydża, żeby czegoś nie usłyszeć na twój temat! Katy usiadła prosto.

- Danny Marlone nie uważa, żebym przynosiła mu wstyd - odparła, bezczelnością maskując efekt wzmianki o zranionej dumie matki.

- To jest zwykły gangster! - Cassie rozkręciła się na całego. - Oprych z Chicago, jeden z tych typów w pasiastych garniturach, fedorach i z dymiącym drogim cygarem w łapie! To nie jest mężczyzna dla ciebie! On cię zaprowadzi prosto do piekła!

Katy westchnęła znużona.

- Danny jest sympatyczny. Po prostu pochodzi z Północy i dlatego go nie lubisz. A ja go bardzo lubię. Jest dla mnie dobry. Kupuje mi różne rzeczy - dodała, dotykając diamentowego naszyjnika, który podarował jej ubiegłego wieczoru. Uśmiechnęła się. - Ma gest.

Cassie groźnie zmrużyła oczy.

- A co ty dajesz mu w zamian, dziewczyno? Katy naprawdę się zarumieniła.

- No... nie to! - powiedziała głośno i jeszcze bardziej się wyprostowała. Natychmiast też jęknęła, bo głowa omal jej nie pękła. - Nie sypiam z nim!

- On się pewnie spodziewa, że będziesz, jak ci daje takie prezenty - odparła burkliwie Cassie. Odwróciła się i podeszła do drzwi. - Pani Marion zabrała się z panią Harrison do fryzjera, bo pan Ben jeszcze nie oddał jej samochodu. Powiedziała, że wróci koło południa. Czyli wnet będzie w domu.

Z trzaskiem zamknęła drzwi. Katy spojrzała za nią gniewnym wzrokiem. Danny nie jest gangsterem! Może ma na sumieniu to i owo, owszem, prowadził spelunkę w Chicago. Ale jest sprytny i przystojny, i jest Włochem, i przyjemnie się z nim pokazać. Katy szczególnie lubiła, gdy w towarzystwie Danny'ego widział ją Turek, wiedziała bowiem, że zarządcy rancza psuje to krew,

co bardzo ją cieszyło.

Przekląty Turek! - pomyślała, odrzucając na bok koldrę. Diabli go nadali! Pozwala Cole'owi się szarogęścić, potulnie zgodził się trzymać łapy z dala od siostry szefa. Kiedy usłyszała o tym od Bena, omal nie zalała jej krew. Ben podsłuchał kłótnię Turka z Cole'em. No, i Cole postawił na swoim, jak zwykle. A Turek powiedział mu, że interesują go kobiety, nie małe dziewczynki takie jak Katy. Ależ jej to dopiekło! Od tej pory starannie unikała Turka, a gdy na przyjęciu w San Antonio poznała Danny'ego Marlone'a, zaczęła dawać nowemu znajomemu liczne zachęty. Pierwszy raz zdarzyło jej się posłużyć kobiecymi wdziękami do przyciągnięcia uwagi mężczyzny. Co za pech, dopiero wtedy uprzytomniła sobie, że może z Turkiem też by się jej udało. Ale było za późno. Cole się o to postarał.

Czasem nienawidziła tyranii starszego brata. O ile pamiętała, Cole był taki zawsze. Dowodził, decydował, wydawał rozkazy. Ben przez długi czas go podziwiał, chociaż z wiekiem uwielbienie zaczynało mu mijać. Ale Lacy... Och, biedna Lacy. Nic nie potrafiła ukryć, a Cole odnosił się do niej z całkowitą obojętnością. Na myśl o starszej przyjaciółce Katy miała łzy w oczach. Od wyjazdu Lacy Cole stał się bardziej wyciszony, może nawet osamotniony, jeśli człowiek ze stali bywa osamotniony. W każdym razie zaharowywał się na śmierć. A kiedy Marion poprosiła go, żeby zrobił sobie przerwę i pojechał odwiedzić Lacy, wcale nie zaprotestował. Może do niej tęskni. Katy szelmowsko się uśmiechnęła. To byłoby coś. Jej niewzruszony brat zakochany. Cassie mogła mieć rację - niewykluczone, że on czuje coś do Lacy, tylko świetnie umie maskować uczucia. Szczególnie od czasu powrotu z wojny.

Włożyła kusą sukienkę w niebieskie kropki, z kloszową spódnicą i bufiastymi rękawami. Wyglądała w niej jak lalka. Nie zaczesła długich włosów, tylko związała je niebieską kokardą. Nieźle, stwierdziła patrząc w lustro. Zdecydowanie nieźle. Uniosła gruby kosmyk. Może powinna ściąć włosy na krótko, jak Lacy? Podobała jej się fryzura Lacy, i sama Lacy także.

Na myśl o przyjaciółce ściągnęła cienkie brwi. W ubiegłym miesiącu była u niej w San Antonio na przyjęciu. To dziwne. Dom pełen ludzi i alkoholowe szaleństwa wydawały się nie pasować do Lacy. To Katy zawsze szukała mocnych wrażeń, a czasem i guza. Lacy była spokojna, zrównoważona; czuła się swobodnie tylko przy ludziach, których dobrze знаła. Ta Lacy nie wydawałaby szalonych przyjęć. Ale Cole ją zmienił. Ciągłą obojętnością i lekceważeniem zrobił z nią coś okropnego. Postarzył ją. Głupi Ben, dowcipny jak szczypiorek na wiosnę! Powinien był póki czas trzepnąć się w głowę i zrozumieć, że Lacy nie jest dla niego. Przecież Faye Cameron patrzy w niego jak w tęczę i chłonie każde jego słowo. Ale Ben nie ma czasu dla tego urwisa z blond włosami i niebieskimi oczami, mimo że większość chłopaków na ranchu wypatruje za nią oczy. Ben uznał, że jest za młoda, trzpiotowata i stanowczo nie dość wysmakowana dla

raczkującego pisarza, takiego jak na przykład on.

Ech, biedna Faye niech się sama martwi o swoje. Kary nie miała na to czasu. Spodziewała się, że po południu wpadnie Danny i zaprosi ją do Chicago. Jeszcze nie była pewna, co mu odpowie. Z rana wyjeżdżał. Skończył interesy w San Antonio, a nie miał przecież w planach poznania na przyjęciu młodej panny z Teksasu ani tygodnia pełnego randek.

Co powiedziałby Turek, gdyby zgodziła się wyjechać z Dannym? Intrygował ją ten problem. Natomiast bardzo dobrze wiedziała, co powiedziałby i zrobił jej brat. Należało więc wyjechać, zanim wróci z San Antonio. Najpierw jednak chciała zobaczyć minę Turka, kiedy mu o tym powie.

Turek był w korralu, gdzie wydawał polecenia kilku konnym pomocnikom. Jego niski głos przy końcu zdania lekko uciekał w wyższy rejestr. Katy z zachwytem przyjrzała się wysokiej, muskularnej sylwetce. Turek miał włosy ciemnoblonde, spalone słońcem, gęste i proste. Zwracały też uwagę wielkie, spracowane dłonie i równie wielkie stopy. Na sam widok Turka serce Katy zaczęło wyczyniać dziwne harce.

Kowboje zawrócili wierzchowce i odjechali. Turek patrzył za nimi spod zsuniętego na tył głowy słomkowego kapelusza z szerokim rondem. Dżinsowe spodnie zmysłowo obciskały jego długie, umięśnione nogi.

- Cześć, kowboju - odezwała się Katy. Głowa bolała ją już mniej, ale o sercu nie mogła tego powiedzieć. Każdym spojrzeniem na Turka zadawała mu nową ranę.

Turek odwrócił się. Na widok prześwitującego materiału jej sukienki skrzywił usta.

- Cześć, cukiereczku. Wybierasz się dokądś?

- Czekam na Danny'ego. - Wzruszyła ramionami. - Zabiera mnie na przejażdżkę swoim Alfa Romeo.

Szare oczy Turka spochmurniały. Nie powiedział ani słowa, ale wyraz jego twarzy był bardzo wymowny.

- Cole'owi by się to nie spodobało.

- Ale go nie ma - odparła arogancko.

- Na miłość boską, Katy! Co w ciebie ostatnio wstąpiło? - spytał z naciskiem. - Wyprawiasz jakieś brewerie i to w najgorszym możliwym czasie. Cole ma dość zmartwień z hipoteką i zdrowiem matki.

Była to prawda. Mimo swej żywotności, mimo wypraw do fryzjera i wymuszonej wesołości Marion chudła z dnia na dzień i była coraz słabsza. Katy nie lubiła, kiedy jej o tym przypominano, więc wyprostowała się z wyniosłą miną.

- I tak nijak matce nie pomogę - powiedziała. - Odkąd Cole zmusił Lacy do wyjazdu, jest

nie ta sama.

- On wcale jej nie zmusił - powiedział Turek. - Sama wyjechała.

- A po co miała tu siedzieć? - Katy była rozdrażniona. Cole ją ignorował, w najlepszym razie traktował jak dywan. Nawet nie mieszkali w jednym pokoju! Cole nigdy nie chciał się z nią ożenić. To Ben go do tego zmusił.

Ten szczeniak stanowi fatalny przypadek samozachwytu - stwierdził chłodno Turek. - Ktoś powinien podleczyć go z egoizmu.

Faye próbuje - powiedziała przekornie. - Może go dopadnie, jeśli starczy jej wytrwałości.

- To są dwa różne światy - odparł w zamyśleniu, jakby mówił o kimś innym. - Oni nie mają ze sobą nic wspólnego oprócz miejsca urodzenia. Ben ciągnie do miasta, chociaż urodził się tutaj. A ona jest dziewczyną ze wsi.

- Dwa światy mogą się połączyć. - Wbiła wzrok w ziemię. - Ty też pochodzisz z miasta. - Była to jawna zaczepka, bo nic o tym nie wiedziała. W ogóle o Turku wiedziała tylko, jak się naprawdę nazywa i czego dokonał na wojnie.

- Nie - odparł. - Urodziłem się w Montanie. Wyrosłem na ranchu nad Yellowstone.

- Nie wróciłeś tam po wojnie - bąknęła. Spochmurniałymi oczami przyjrzał się jej spode łba.

Znowu szpera. Nieustannie szpera, chce z niego coś wyciągnąć. Co z tego, że mu się podoba? Cole kazał mu trzymać ręce z dala od siostry, a on ma wobec przyjaciela za duży dług wdzięczności, żeby się spierać. Poza tym dzieciakowi przejdzie to zadurzenie.

- Nie miałem do czego - burknął.

- Nie masz żadnej rodziny? - dopytywała się dalej. Nie powinno było go to rozzłościć, ale rozzłościło.

Czasem Katy irytowała go ciągłym wścibianiem nosa w nie swoje sprawy. Spojrzał na nią nieprzyjaźnie.

- Miałem żonę. Umarła którejś zimy, gdy sprzedawałem bydło. Zamarzła na śmierć, siedząc na krześle. Zrobiło jej się słabo i nie była w stanie rozpalic ognia. Spodziewała się dziecka.

Katy czuła, jak z każdym słowem coraz bardziej sztywnieje. Patrzyła w twarz, która mogłaby być z kamienia... i nagle zrozumiała. Zraniony człowiek. Ciężko zraniony człowiek, zobojętniały na świat. Nie chce już ani miłości, ani zobowiązań. Teraz wszystko zaczęło się sensownie układać. To, że jej unika, to, że traktuje kobiety tak, jakby były stworzone jedynie dla rozrywki. Oczywiście. Duża liczba oznacza bezpieczeństwo. Mając mnóstwo kobiet nie musiał się przejmować tym, że z którąś bliżej się zwiąże.

Twarz jej zbieiała. Spojrzała na niego bezradnie. Zauważył to i ruszyło go sumienie.

- Tak - powiedział krótko. - Właśnie tak myślałem. To przeze mnie sprowadziłaś tutaj tego łobuza z Północy i zaczęłaś szaleć, prawda? Dlatego że nie skakałem dookoła ciebie jak na sznurku!

Jego słowa były jak uderzenie batem. Poczowała pieczenie w oczach i zaraz potem łzy.

A nim znowu targnęły wyrzuty sumienia. Katy była przecież zwykłym dzieciakiem. I nawet gdyby pragnął jej tak samo, jak ona jego, nie było sposobu, żeby coś z tego wyszło. Zresztą nie był pewien, czy potrafiłby cokolwiek jej dać. A Cole miał rację - Katy była zbyt wrażliwa na przelotny romans.

- Przepraszam, Katy, jeśli to cię rani. Ale zrozum, we mnie nie zostało już nic, co mógłbym komukolwiek ofiarować - powiedział cicho. - Nie chcę twojego młodego serca. Nie mogę dać ci mojego. Moje serce umarło, gdy straciłem Lorene. Gdyby nie Cole, już bym nie żył. Nie rozumiesz? Kochałem ją - powiedział szorstko. - Już nigdy nikogo nie zdołam pokochać.

- Nie prosiłam cię, żebyś mnie kochał! Nic takiego nie czuję... - wybuchnęła.

- Nie jestem ślepy! - odpalił z gniewem w szarych oczach. - Przez ostatnie miesiące chodzisz za mną, wzdychasz do mnie i wodzisz za mną smętnym wzrokiem! Zrobiłaś wszystko, żebym zwrócił na ciebie uwagę, może z wyjątkiem rozebrania się do naga!

Zamachnęła się i wymierzyła mu policzek, najmocniej jak umiała. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że po twarzy płyną jej łzy. Szlochała, patrząc na czerwony ślad zostawiony przez jej palec.

- Niech cię diabli wezmą! Niech cię diabli! Nic mnie nie obchodzisz! Nigdy mnie nie obchodziłeś!

- Boże ty mój - warknął. Sytuacja wymykała mu się spod kontroli. Wyciągnął ku niej rękę, chciał wyjaśnić.

Ale Katy odepchnęła go i uciekła na oślep przed siebie. Przebiegła obok korralu, gdzie trzymano zapasowe konie pod siodło, potem przez kępę drzew, których pierzaste, kolczaste gałęzie kołysały się na wietrze, i dalej drogą do stodoły. Szlochając przecisnęła się wśród snopów do najdalszego zakątka i położyła się na żółtym, pachnącym sianie. Cała drżała ze zdenerwowania i bólu.

Latami karmiła swe serce nadzieją, że któregoś dnia będzie miała Turka dla siebie. Kładła się spać marząc, jak by to było, gdyby ją pocałował, gdyby się w niej zakochał. Planowała przyszłość, której fundament stanowiła miłość do Turka. Było w niej miejsce na małżeństwo i dzieci. A teraz koniec. On nie potrafi nic jej dać. Katy nie wiedziała, jak uda jej się to przeżyć.

Rozległy się kroki, ale nie spojrzała w tamtą stronę. Zalał ją rumieniec wstydu. Nie mogła

spojrzeć w oczy Turka.

- Ty mały głuptasie - mruknął. Ukląkł przy niej i niezbyt delikatnie przewrócił ją na plecy. Spojrzał na nią złym wzrokiem. Czuł się bezsilny. - To nic nie pomoże, Katy.

- Zostaw mnie - szepnęła, drżąc. Przetarła oczy wierzchem dłoni. - Idź stąd, chcę być sama.

Złapał ją za nadgarstki i poderwał do góry. Postawił przed sobą. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Posłuchaj, pannico. Przeżyłem wojnę, chociaż bardzo chciałem zginąć. Twój brat zmusił mnie, żebym jakoś pociągnął dalej. Dopilnował, żebym przestał chlać, i dał mi robotę. Jestem mu za to wdzięczny. Ale kazał mi trzymać ręce z dala od ciebie, więc będę trzymał. Rozumiesz?

- Nie musisz szukać takich usprawiedliwień! - krzyknęła. - Oboje wiemy, że mnie nie chcesz.

- Naprawdę wiemy? - spytał pod nosem.

Spojrzenie Katy rozdzierało mu serce. On też przedtem jej się przyglądał, chociaż bardzo nie chciał się do tego przyznać. Przyglądał się i pożądał jej, hamowały go jednak sumienie i lojalność wobec Cole'a. Ale czy byłoby w tym coś złego, gdyby raz, tylko raz ją objął, dotknął jej i położył kres tej męce pragnienia, jaką przy niej przeżywał? Czy Katy potem go znienawidzi? Niech tam! Ona i tak zamierzała się komuś oddać. Może temu nędznemu bandziorowi? Czemu więc miałby się hamować? On przynajmniej nie zrobi jej krzywdy...

Przesunął dłonie na jej biodra. Klęcząc, szarpnął ją ku sobie i mocno przycisnął. Zetknęli się brzuchami. Zobaczył, jak rozszerzają się źrenice wstrząśniętej Katy. W końcu czerń zajęła prawie całe oczy. Turek roześmiał się gorzko, czując, jak dziewczyna drętwieje w tym jawnie zmysłowym uścisku.

- Czujesz, Katy? Czy twój gangster z Chicago nauczył cię, co to znaczy? - spytał sugestywnie, powoli przesuając jej biodra tak, by natknęła się na dowód pożądania. - Któregoś wieczoru widziałem cię w twoim pokoju - powiedział chrapliwie z wargami przy jej czole. - Stałaś przed zasłoną i zaczynałaś się rozbierać. Uniosłaś ramiona, przez koszulę było widać zarys piersi. Uciekłem do miasta poszukać kobiety, żeby uwolnić się od tego, co mi zrobiłaś.

- Nie wiedziałam... - szepnęła. Czuła, jak mimo dwóch warstw materiału, które ich dzieliły, nabrzmiewają jej piersi. Klatka piersiowa Turka była ciepła i twarda. Katy czuła sprężystą miękkość owłosienia, które musiało tam być.

- Czy ten gangster kocha się z tobą? - spytał półgłosem.

- Nie... jeszcze nie.

- A pozwolisz mu, Katy?

- Tak! - wypaliła. Niech się dzieje co chce. - Tak, bo ty nie będziesz chciał.

- Właśnie, że będę, malutka - westchnął i pochylił się. Przesunął dłoń z jej bioder na talię, a potem wyżej, by objąć od dołu piersi. Zważył je w dłoniach i pieszczotą kciuków podrażnił sutki. Katy stłumiła okrzyk; tymczasem Turek odnalazł jej usta i objąwszy je wargami, leciutko wessał.

Był to pierwszy pocałunek, jaki Katy wymieniła z Turkiem. Zamknęła oczy i odchyliła głowę, żeby dać mu jak najwięcej. Otworzyła usta, chciwie, gorączkowo, wpuszczając jego język do środka, oplatając swoim językiem. Otaczała ich duszna, bezgłówna ciemność stodoły.

Katy poczuła na guzikach sukienki lekko drżące palce. Zdrętwiała, ale nie powstrzymała Turka. Zostanie jej wspomnienie, gdy wyjedzie z Dannym. Bo już postanowiła. Po tym, co mu powiedziała, po tym, co zrobią w tej ciemnej stodole, nie może nie wyjechać.

- Wiesz, do czego to prowadzi? - spytał z ustami tuż przy jej wargach, gdy znalazł ostatni guzik, na wysokości talii.

- Tak - powiedziała drżąc. - Wyjadę... wyjadę z Dannym. - Wiedziała, że jeśli poprosi, Danny weźmie ją z sobą. Nie powie mu dlaczego, ale on i tak jej usłucha. Tymczasem jednak pragnęła tego mężczyzny, z którym właśnie była. - Nie musisz mnie kochać. Po prostu zostań moim kochankiem. Będę żyła z tą myślą całe życie! - Głos jej się załamał. - Skłamałam. Kocham cię! Zawsze cię kochałam i zawsze będę kochać. Kocham cię, Turku! - Głos znowu jej się załamał, bo dłonie mężczyzny poruszyły się.

- Ty mały głuptasie! Za młoda jesteś, żeby wiedzieć, czym jest miłość. To tylko seks - szepnął gniewnie. Ale kiedy wolno zsunął materiał sukienki z jej różowych piersi i opuścił go na wysokość talii, wcale nie wydawało mu się to tylko seksem. W zmysłowym oszołomieniu przyglądał się gładkiej skórze Katy i różowym sutkom twardniejącym od pożądania. - A skoro o małym mowa.... - powiedział i delikatnie dotknął sutek palcami, patrząc, jak Katy odpowiada całym ciałem, jak łapczywie chwyta powietrze.

Pozwoliła mu ułożyć się na sianie, zdjęć całą sukienkę, potem koszulkę, pas z podwiązkami, pończochy i pantofle, aż w końcu znalazła się przed nim całkiem naga i poczuła w nozdrzach zapach własnego ciała.

- Cole powiedział mi kiedyś, że twój dziadek był prawdziwym Komanczem. Staruszek mawiał podobno, że Indianie potrafią wyczuć kobietę nosem. Teraz wiem, co miał na myśli.

Odrzucił na bok koszulkę i sięgnął do klamry pasa. Uśmiechnął się zmysłowo do obserwującej go dziewczyny.

- Nie odwracaj oczu, Katy - powiedział. - Pozwoliłaś mi obejrzeć siebie. Teraz obejrzyj mnie.

Wytrzeszczyła oczy... Turek zsunął spodnie i wreszcie zobaczyła na własne oczy, jak



bardzo różnią się mężczyzna i kobieta, samiec i samica.

- Mój Boże, co za mina! - Roześmiał się cicho, odsuwając się na chwilę, by zdjąć resztę ubrania.

- Nigdy nie widziałam mężczyzny... w takim stanie - szepnęła, gdy ułożył się przy niej.

- Nawet tego męta z Chicago? - prowokował.

- Och... nie... - Znowu głos jej się załamał, bo zobaczyła Turka nad sobą.

- Nie martw się. Postaram się nie zrobić ci dużej krzywdy - powiedział cicho.

Ostrzeżenia Cole'a i jego własne złe przeczucia zginęły w przypiływie zbyt długo tamowanej namiętności. Turek zsunął dłoń po ciele Katy: pogłaskał delikatne piersi, przewędrował brzuch i znalazł się w uroczym zakątku. Dotknął jej w najintymniejszym miejscu. Katy wzdrygnęła się i chwyciła go za rękę.

- Pst - szepnął. Smakował prawie niezauważalne drżenie warg Katy i zupełnie nie zwracał uwagi na małą dłoń, która bez przekonania go odciągała. Znalazł wilgotne wejście do jej wnętrza i zaczął obwodzić je palcami. Dziewczyna wyprężyła się gwałtownie, wydając cichy, jękliwy okrzyk.

Uniósł głowę, tak że tylko ledwie muskał wargi Kary.

- Nie mam żadnego zabezpieczenia - szepnął. - A nie jestem pewien, czy zdążę na czas wyjść z ciebie. Dlatego pokochamy się w ten sposób. Będę twoim pierwszym mężczyzną, ale niezupełnie dosłownie. Rozumiesz? Dam ci spełnienie tak, żebyś nie zaszła, a potem pokażę ci, jak dotykać mnie.

- Ale... - zaprotestowała, gdy znów wprawił w ruch palce. Wydała okrzyk i zachłysnęła się powietrzem, bo Turek znalazł bardzo wrażliwe miejsce i zaczął je głaskać.

- Popatrz na mnie - szepnął, zwiększając nacisk i przyspieszając rytm. - I pozwól patrzeć na siebie.

W tej rozkosznej męce Katy zrobiła się krwistoczerwona na twarzy. Zaczęła wyginać ciało, czując na sobie wzrok Turka. Chłonał oczami jej wciąż nabrzmiewające piersi, nerwowe poruszenia długich, zgrabnych nóg, słyszał cudowne jęki rozkoszy, które nieprzytomnie go podniecały.

Nie mógł już wytrzymać. Gorzej. Zdawało mu się, że umiera. Chwycił Katy za rękę i położył ją na swym sterczącym członku, zacisnął na nim jej palce, żeby mu ulżyła.

- Boże, już nie mogę - szepnął cierpiącym głosem, mimo że jego palce poczynały sobie coraz śmielej. - Rób o tak... Pomóż mi!

Nauczył ją odpowiedniego ruchu, szeptał krępujące swą dosłownością wskazówki, ale Katy była zbyt podniecona, by protestować. Dotykała go, głaskała, zaciskała dłoń i czuła jego

pulsowanie.

- Turku! - wykrzyknęła w pewnej chwili chropawym, gardłowym głosem.

- Teraz - szepnął chrapliwie. - Poczuj to, Katy. Poczuj. Poczuj i pozwól mi patrzeć!

Jej ciałem zaczęły szarpać spazmy rozkoszy. Wyprężyła się i krzyknęła głośno, nagłaco. Turek patrzył, jak Katy osiąga spełnienie, i wyczuwał to dłonią, powoli wsuwając palce coraz głębiej. Zadrżał gwałtownie i właśnie w tej chwili gorączka podniecenia wzięła nad nim górę. Zapomniał o wszelkiej ostrożności.

- Do diabła z tym! - jęknął. Znowu przewrócił Katy na siano i wpił się gorącymi wargami w jej usta. Przetoczył się na nią i dłonią rozsunął jej nogi. Gwałtownym ruchem wszedł w nią swą męskością. Pochłonięta orgazmem Katy nawet nie czuła bólu. Powitała gorący, twardy członek wygięciem ciała w łuk. Zaciśnęła palce na biodrach mężczyzny, wpijając w nie paznokcie.

Turek kołysał się nad nią w szalonym rytmie, chciwie łapiąc powietrze ustami. Nigdy w życiu nie czuł jeszcze takiej rozkoszy.

- Bierz mnie - szeptał napiętym głosem, w którym podniecenie mieszało się z namiętnością. - Bierz mnie, Kary!

Znowu doznała orgazmu. Szeptane słowa, gwałtowne poruszenia jego ciała, gorączkowy rytm, w jakim się w nią zagłębiał, zaprowadziły ją drugi raz na szczyt. Zamknęła oczy i odchyliła głowę. Cichutko krzyknęła. Turek dopadł jej ust i zaczął poruszać językiem, tam i z powrotem, w rytmie ich rozkoszy. Słyszał, jak chrzęści pod nimi siano, wyczuwał nozdrzami ostrą, zatykającą woń ich połączenia, słyszał, jak głośno bije mu serce, i czuł, jak stykają się ich ciała, męskie, twarde i chropawe z delikatnym, miękkim, kobiecym. Zaraz potem wydarł mu się z piersi tak głośny krzyk rozkoszy, że aż Katy spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami. Zobaczyła, jak na nią opada: szyja napięta, jaskrawopurpurowa twarz, powieki spuszczone, zęby zaciśnięte. Szarpały nim skurcze, mięśnie mu falowały. Katy spojrzała w miejsce, którym byli złączeni, i ujrzała, jak Turek nagle z niej wychodzi i opada na nią. Poczowała wilgoć na brzuchu. Turek leżał na niej bezwładnie i chrapliwie łapał oddech.

- Boże - jęknął zdyszany. - Mam nadzieję, że zdążyłem wyjść na czas!

Dotknęła go z zachwytem. Powiedział, że tego nie robi, a potem jednak zrobił, jakby nie mógł się pohamować. Zamknęła oczy, wolno odpływając od rzeczywistości. Była trochę smutna, wiedziała bowiem, że to ich pierwszy i ostatni raz, jedyny. Że kocha, lecz musi go stracić.

- Dobrze się czujesz, Katy? - spytał, unosząc spoconą głowę. Popatrzył na nią z czułością i troską.

- Tak - odparła, dobywając z siebie resztki dumy. Nawet zdołała się uśmiechnąć, ale spojrzeć mu w oczy nie była w stanie.

- Właśnie dlatego za nic nie dotknąłbym cię wcześniej - powiedział łagodnie, przyglądając się, jak Katy powoli się odsuwa i zaczyna wkładać ubranie. - Bo potem przychodzi wstyd... a jeszcze potem poczucie winy.

Był dla niej czuły. Nienawidziła tej czułości, którą obudziły litość i wyrzuty sumienia. Z powrotem włożyła majtki i pas z podwiązkami. Przynajmniej nie będzie już więcej taka zażenowana. Danny'emu się to spodoba.

Nie wiedział o jej dziewictwie. Powiedział nawet kiedyś, że nie chciałby dziewicy. W ten sposób rozwiązała naraz wszystkie swoje problemy. Oddała dziewictwo jednemu mężczyźnie, którego kiedykolwiek kochała, żeby przygotować drogę jednemu mężczyźnie, który kocha ją.

- Powiedz coś - cicho odezwał się Turek. Patrzył na nią dość zawstydzony tym, że stracił panowanie nad sobą. Nie spodziewał się tego, co zaszło. Jego wielkie ciało, wstrząśnięte energią spełnienia, wciąż jeszcze lekko drżało. Czy to dlatego, że Katy była dziewicą? - zastanawiał się półprzytomnie. Nigdy czegoś takiego nie doznał.

- Czuję się dobrze - burknęła. Czy ten przeklęty wstyd nigdy nie ustąpi? Wiedziała, że Turek jej nie kocha, ale spodziewała się godnego, głębokiego przeżycia. A to był tylko seks. Bardzo przyjemny, udany. Ale bez jego miłości miał tylko znaczenie fizyczne. Zastanawiała się, czy zawsze będzie wspominać swój pierwszy raz z taką samą dozą goryczy.

Naciągnęła przez głowę koszulkę, a potem sukienkę. Słyszała, jak za jej plecami ubiera się Turek. Usiłowała odpędzić od siebie myśl, jak pięknie wyglądał nagi. Nigdy tego nie zapomni. On, naturalnie, zapomni o niej szybko. Będzie miał inne kobiety. Zamknęła oczy. Nie chciała nic o nich wiedzieć. Była tylko jedną z wielu i zawsze nią będzie. Teraz nie pozostała jej nawet szansa godnego odejścia. Poniewczasie zrozumiała, dlaczego Turek zachowywał wobec niej dystans. Nie chciał rozwiązać jej złudzeń.

Zapięła ostatni guzik i wsunęła stopy w pantofle na wysokich obcasach. Odwróciła się do niego z dumnie uniesioną głową.

- Dziękuję za lekcję - powiedziała cicho. Naprawdę się wzdrygnął.

- Nie - sprzeciwił się ledwie słyszalnym głosem, szukając spojrzenia jej zielonych oczu. - Nie wulgaryzuj tego. To nie było takie.

Usta jej zadrżały. Obawiała się, że zaraz pokaże po sobie bezbronność. Jakoś jednak udało jej się uśmiechnąć.

- W porządku - powiedziała.

Skoczył do przodu i chwycił ją za ramiona, uniemożliwiając natychmiastową ucieczkę.

- Nie wyjeżdżaj - poprosił. - Nie pozwól temu mężczyźnie zrobić z siebie zabawki. On cię wykorzysta i rzuci.

Spojrzała na niego oczami pełnymi miłości.

- Żegnaj, kowboju. - Uśmiechnęła się smutno. - Kochałam cię, Turku - szepnęła. Dotknęła jego twarzy czując, jak tężeją mu mięśnie. - Pewnie będę miała innych mężczyzn, ale już żadnemu nie oddam się tak zupełnie.

- On cię skrzywdzi! - Turek przestrzegł ją szorstko. Nie spodziewał się przedtem, że jej odejście tak go zaboli.

Przytknęła palce do jego twardych warg.

- Nie. Postarałeś się o to - powiedziała czule. - Nikt chyba nie mógłby zrobić tego tak wspaniale jak ty. - Raz jeszcze spojrzała mu w oczy z wyrazem smutku i rezygnacji. - Będę cię kochać do końca życia.

Odwróciła się i szybko odeszła, żeby nie widział łez. To było pożegnanie. Oboje o tym wiedzieli.

Długo po jej odejściu Turek siedział na stopniach prowadzących na górę stodoły i palił papierosy. W oczach miał zniechęcenie i smutek. Po śmierci Lorene nie chciał nikogo innego, nie na stałe. Owszem, pożądał Katy, temu nie mógł zaprzeczyć. Wytrzymał tak długo tylko dlatego, że dał słowo Cole'owi. Ale teraz...

Wstał i wyszedł z papierosem na zewnątrz, gdzie zgasił go, wdeptując w ziemię. Ze ściągniętą twarzą ruszył z powrotem w stronę domu. Miał wobec Cole'a wielki dług, ale musiał być jakiś sposób na rozwiązanie tego węzła. Może uda mu się porozmawiać z Katy, może razem coś wymyślą.

Minęło nie więcej niż pół godziny, odkąd Katy wyszła ze stodoły, akurat tyle, żeby wypalić w tym czasie trzy papierosy. Przeżył więc niemiłe zaskoczenie, gdy okazało się, że w domu jest pusto. Gdy Cassie weszła do kuchni ze spiżarni, zobaczyła, że Turek gapi się na schody.

- Jeśli szuka pan panny Katy, to jej tu nie ma - powiedziała. - Spakowała manatki i wyjechała z tym gangsterem.

Serce mu zamarło.

- Kiedy?

- Jeszcze nie ma pięciu minut. - Westchnęła. - Pan Cole będzie wściekły. I jak mam to powiedzieć pani Marion? - Jej zmęczone oczy obrysowane bruzdami zasnuły się mgłą. - Moja dziewczynka! Żeby wyjechała z takim... takim mężczyzną! Jak pan mógł ją tak puścić? - spytała stanowczo.

- Jest dorosła - powiedział, choć instynkt podpowiadał mu wyraźnie, że powinien rzucić się w pościg za tym człowiekiem i zabić go. Co jednak mógł zaofiarować Katy? Nie chciał się zenić. A po tym, co się stało, dziewczyna nie mogła tu zostać. Groziłoby to zerwaniem jego

przyjaźni z Cole'em. Katy by go znienawdziła. A ten facet z Chicago wydawał się całkiem szczerzy, gdy wyjaśniał poprzedniego wieczoru, że ich późny powrót z Katy był całkiem niewinny. Powiedział Turkowi, że zaopiekował się Katy. Nie chce jej skrzywdzić. Może nawet się pobiorą.

Marion Whitehall ledwie przeżyła ten wstrząs. Wróciwszy do domu, zastała Cassie we łzach. Została więc rażona nowiną, ledwie zdążyła odłożyć torebkę na stół w korytarzu. Wykrzywiła twarz, a jej czarne oczy, kontrastujące z falistymi siwymi włosami, były teraz pełne łez.

- Wyjechała? - zawołała. - Moja Katy wyjechała? Z mężczyzną? Dlaczego nikt jej nie zatrzymał?

- Pan Turek przyszedł za późno, a pan Cole jeszcze nie wrócił, ot co. - Cassie jęknęła żałośnie. - A ja byłam w ogrodzie. Nie miał jej kto zatrzymać. Pan Turek powiedział, że Katy jest dorosła i gdzieś sobie poszedł zły jak osa. Pan Cole oszaleje ze złości!

Marion usiadła. Było jej słabo. Katy. Jej dziecko. Jak ona mogła to zrobić?

- Czy Ben już wrócił do domu? - spytała.

- Nie sądzę - odparła Cassie, nadal chlipiąc. - Nie przyszedł na śniadanie, więc zajrzałam do jego pokoju i było pusto. Czyli jeszcze go nie ma. O Boże, co za straszny dzień! Jaki straszny powrót będzie miał pan Cole!

Marion czuła łzy, spływające jej po policzkach.

- Czy ona zostawiła jakiś list? Może chociaż liścik? Cokolwiek!

- Pójdę poszukać - zaofiarowała się Cassie, powoli ruszając ku schodom.

Właśnie w tej chwili frontowe drzwi otworzyły się z hukiem. Wpadł przez nie do środka Ben Whitehall. Oczy miał nieprzytomne, ciemne włosy potargane, a nieskazitelną kiedyś garnitur mocno wymięty.

- Mam! - wykrzyknął. - Mam! Mam! Dostałem pracę!

Chwycił Cassie i zawirował z nią w zaimprovizowanym tańcu. W uniesieniu nie zauważył, że nikt się nie uśmiecha.

- Będę pracował dla najlepszego pisma w San Antonio. - Roześmiał się. - Wzięli mnie na redaktora aktualności. Byłem na rozmowie z właścicielem i jego córką. Mam wrócić... - Urwał i zmarszczył czoło, wreszcie zauważył bowiem ponure twarze matki i gospodyni. - Co tam? Co się stało?

- Twoja siostra właśnie wyjechała do Chicago - powiedziała załamana Marion. Na twarzy miała wypisany wstyd i rozpacz. - Będzie mieszkać z właścicielem knajpy!

## 4

Ben osłupiał. Po chwili wyprostował się i przesunął dłonią po gęstych, ciemnych włosach. Spojrzał na matkę.

- Wyjechała z tym gangsterem? - spytał, jakby nie wierzył własnym uszom. - Dlaczego nikt jej nie zatrzymał?

- Turek najwyraźniej się spóźnił - powiedziała cicho Marion z oczami pełnymi łez. - Moja mała dziewczynka... w takim strasznym miejscu! Och, Ben! Co oni tam z nią zrobią?

- Spokojnie, mamó - niezręcznie próbował pocieszać Ben. Przykląkł przed nią i ujął jej dłonie. - Posłuchaj. Ona jest już duża. Czy na pewno nie wzięli ślubu?

- Nie wiem - jęknęła Marion. - Cassie szuka listu. Dlaczego ona to zrobiła? Ostatnio całkiem oszalała, ale nigdy nie spodziewałam się po niej czegoś takiego. Ben... - Pochyliła się zaniepokojona. - Coleman go zabije.

- Wiem - odparł. Należało się tego obawiać. Cole był bardzo porywczy, a do tego miał słabość do Katy. Ben nie wykluczał więc, że Cole wsiądzie do pierwszego pociągu na Północ, z pistoletem przy pasie.

- Jak mu to mamy powiedzieć? - Marion zamartwiała się, przygryzając wargę.

Ben uśmiechnął się na siłę. Co za niefart, pomyślał smutno. Człowiek wraca do domu z najlepszą nowiną, jaką można wymyślić, a tu nikt go nie słucha. Siostra odebrała mu audytorium.

- Jest - zawołała Cassie z korytarza, wymachując świstkiem papieru. - Zostawiła liścik.

Marion wzięła od niej kartkę roztrzęsioną dłonią i przeczytała na głos:

*Mamo i wszyscy inni Zaręczyliśmy się z Danny'm. Jedziemy dzisiaj do Chicago, do jego rodziców. Zapraszamy Was na wesele! Życze nam szczęścia. Kocham Was, Koty.*

Ben spojrzał matce w oczy.

- Wierzysz w to? Pokręciła głową.

- Ważne jest, żebyśmy przekonali do tego Colemana... Rozumiecie mnie? Ben, Cassie...

Oboje skinęli głowami. Cole'a nie należało bez potrzeby doprowadzać do wzburzenia. Było to zwyczajnie niebezpieczne.

Tymczasem Katy siedziała obok Danny'ego w supermodnym Alfa Romeo, zmuszała się do beztróskiego szczebiotu i udawała dziki entuzjizm dla długiej podróży na Północ. Danny Marlone uśmiechał się od ucha do ucha, a w zestawieniu z białą zębów jego skóra wydawała się jeszcze bardziej śniada niż w rzeczywistości. Przesłał towarzyszce ciepłe spojrzenie i zaczął pogwizdywać.

- Spodoba ci się w Chicago, dziecinko - powiedział. - Pokażę ci wszystkie najlepsze miejsca. Jest plaża... tam ci będzie dobrze. A ja mam duży dom, cały z kamienia, na wzgórzu, z widokiem na jezioro. Będiesz miała wszystko, czego dusza zapragnie. Wszystko.

- Wiesz, kochanie, mam na sumieniu takie jedno małe, nieszkodliwe kłamstwo - powiedziała, chcąc wyjaśnić sytuację.

Chwyił ją za rękę i przycisnął dłoń do swych ust.

- Co za nieszkodliwe kłamstwo? Przełknęła ślinę, starając się nie myśleć o Turku i tym, co przeżyli.

- No, nie chciałam, żeby mój brat cię zabił, więc powiedziałam, że się pobierzemy.

- Oj, kochanie, co za pośpiech! - Chichocząc, wyszczerzył do niej zęby. Zmieszana Katy nie odezwała się. - Całkiem nieźle by to brzmiało: pan Danny Marlone z żoną, co? - powiedział, kładąc dłoń na jej udzie. - Podoba mi się to. Poszalelibyśmy na całego. Zapowiedzi we wszystkich gazetach, na weselu tylko najelegantsi ludzie. Mogłaby przyjechać twoja rodzina. Starszy brat prowadziłby cię do ołtarza. Och, byłoby wspaniale, najmiłsza.

Zaparło jej dech. Nie wierzyła własnym uszom.

- Myślałam... myślałam, że po prostu masz ochotę na romans! - wypaliła.

- Chcę ciebie - powiedział, a wyraz jego oczu dziwnie ją upokorzył. Nie było w nim pożądania, lecz miłość, zwyczajna i czysta. Choć zachwycało ją to uczucie skierowane do niej, bardzo żałowała, że nie doczekała się takiego spojrzenia od Turka. Teraz już nigdy się to nie stanie. Nigdy.

- Na zawsze? - spytała szeptem. Skinął głową. Zjechał na pobocze i zaczął się w nią wpatrywać; silnik pracował na jałowym biegu.

- Na zawsze. Pobierzmy się.

- Nie jestem dziewicą - powiedziała wprost, bez wdawania się w szczegóły.

- Ja też nie, i co z tego?

Policzki jej poróżowiały. Uśmiechnęła się. Była szczerze zawstydzona.

- No...

Pochylił się i pocałował ją w usta. Nie było to przykre. Danny przesunął dłońmi po jej ramionach, opuścił je niżej, objął piersi. To też nie było przykre.

Roześmiał się.

- Ale za bardzo doświadczona też nie jesteś, kociaczkę - szepnął widząc, że znów spłonęła rumieńcem. Mrugnął do niej, ujął kierownicę i wrzucił bieg. - Dogadamy się. A teraz siadaj spokojnie i popatrz, jak to zasuwa! - Ostro wcisnął pedał gazu i samochód skoczył naprzód jak szalony.

Siedząc obok niego Katy poczuła się nagle tak, jakby wygrała los na loterii. Nie będzie zhańbiona. Zostanie szacowną mężatką, a Cole nie zabije Danny'ego.

Zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Zastanawiała się, co powiedziałby Turek, gdyby o tym wiedział. Pewnie uznałby z ulgą, że ma ją z głowy, pomyślała z goryczą. Pocieszyła się nadzieją, że nie zaszła w ciążę. Turek postarał się oszczędzić jej tego wstydu. Czym innym było wyjechać z Dannym bez cnoty, a czym innym byłoby sprezentować mu cudze dziecko. Na takie matactwa miała za dużo godności. Ale co będzie, jeśli Turek się spóźni?

Daleko stamtąd, na północnym krańcu San Antonio, Lacy trzymała za rękaw męża, pomagającego jej wsiąść do porannego pociągu, który przejeżdżał przez Floresville, zatrzymywał się więc też na bocznicy niedaleko Spanish Flats. Cole był tego ranka nadzwyczaj spokojny i oficjalny w każdym calu. Wciąż miał na sobie robocze ubranie, ale i tak przyciągał wzrok kobiet. Nie odwzajemniał jednak tych ukradkowych spojrzeń, zresztą nawet nie zwracał na nie uwagi. Pomógł Lacy zająć miejsce i leniwym ruchem opadł na siedzenie obok niej. Ta powolność z jego strony była bardzo myląca. Lacy widziała go raz czy dwa w pośpiechu. Poruszał się wtedy jak błyskawica i stanowił śmiertelne zagrożenie.

- Katy się ucieszy z młodszego towarzystwa - stwierdził, gdy pociąg szarpnął i ruszył ze stacji.

- A jaki jest ten facet z Chicago, z którym ona się spotyka? - spytała Lacy.

Wzruszył ramionami.

- Włoch. Śniady, dobrze wychowany, chyba trochę na bakier z prawem. Turkowi się nie podoba.

- Turkowi nie spodobałby się nikt, kto kręci się przy Katy, dobrze o tym wiesz - mruknęła oschle.

W oczach Cole'a pojawił się błysk gniewu.

- Turek jest moim najlepszym przyjacielem, ale nawet jemu nie wolno się z nią spoufalać. Katy nie będzie jedną z dziewczyn, które zaliczył i zostawił.

- W żadnym wypadku - powiedziała Lacy z przekąsem. - Za to świetnie nadaje się dla gangstera, co?

- To nie jest znajomość tego rodzaju. Ona jest na to za młoda. Po prostu przeżywa chwilę uniesień - powiedział.

Lacy patrzyła, jak Cole krzyżuje nogi i zaczyna skręcać sobie papierosa. Taki zdolny, pomyślała. Zawsze opanowany, bierze na siebie mnóstwo odpowiedzialności i wszystko robi jak należy. Czowała się przy nim bezpieczna, nawet w pierwszych dniach, które spędzili razem. Nigdy niczego się nie bała, gdy Cole przebywał niedaleko.



- Dlaczego nie pozwolisz Turkowi zbliżyć się do niej? - spytała wprost.

Obrócił się w jej stronę, swobodnie wyciągnął ramię wzdłuż oparcia i badawczo przyjrzał się żonie.

- Bo on uwodzi absolutnie wszystko, co się rusza i ma spódnicę - stwierdził rzeczowo. - Katy padłaby łatwym łupem, a potem sytuacja stałaby się nie do zniesienia. On miałby poczucie winy, ona w najlepszym razie byłaby skompromitowana. Musiałbym coś z tym zrobić, co tylko pogorszyłoby sprawę. Nie. Lepiej jest tak, jak jest.

- Nie sądzisz, że Turek mógłby się ustatkować, a nawet ożenić? - nalegała.

- Był żonaty - powiedział Cole. - Ona umarła. Od tej pory Turek nie chce już poważnych związków. Nie jestem pewien, czy byłby w stanie zdobyć się na coś takiego. Zrobił się samotnikiem.

- Tak samo jak ty - powiedziała z wątlym uśmiechem. Wzruszył ramionami.

- Ja się przyzwyczailem. Zbliżanie się do innych ludzi pochłania za dużo czasu i wysiłku. A oni najczęściej odkrywają jakąś słabość i ją wykorzystują. Jeśli trzyma się ich na dystans, nic takiego nie może się zdarzyć.

- Bardzo samotne jest takie życie - zwróciła mu uwagę.

- Samotność i niezależność to dwa różne określenia tego samego - wolności. Lubię moją wolność. Nie sądzę, żebym mógł żyć spętany i skrepowany.

- Nigdy nie próbowałam cię pętać ani krepować. Nie znoszę tylko, kiedy się mnie traktuje jak powietrze.

- Kiedy raz potraktowałem cię inaczej, płakałaś przez całą noc. Słyszałem, nawet przez ścianę.

Odwróciła twarz, ale złapał ją za podbródek i szarpnął, przesywając wściekłym spojrzeniem.

- Poszedłeś sobie - powiedziała niepewnie, rozglądając się dookoła. W zasięgu głosu nikogo nie było. W pociągu o tej porze jechało niewielu pasażerów. Popatrzyła mu w oczy. - Dobrze wiesz, że sprawiłeś mi ból, a do tego wyszedłeś ze mnie nie dość szybko. To naturalne, że płakałam.

- Więc co miałem powiedzieć albo zrobić? - spytał, mrużąc posepnie oczy. - Myślałem, że mnie chcesz. Rano sprawiałaś właśnie takie wrażenie.

Na wspomnienie tamtej chwili rozchyliła wargi. Poczula dotyk jego ciepłych, poszukujących ust, nacisk twardego, podnieconego ciała. To było takie przyjemne, odbierało jej jasność myślenia.

- Tak, chciałam cię - szepnęła. - Myślałam, że będzie tak jak rano. Ale potem, to było...

jakbyś mnie wykorzystał - dokończyła załamującym się głosem. - Nawet nie pozwoliłeś mi się dotknąć.

Zacisnął zęby, pierś falowała mu od rwanego, niemiarego oddechu. Bardzo, bardzo chciał jej powiedzieć, dlaczego tak ją skrzywdził. Zastanawiał się jednak, czy uwierzyłaby mu, nawet gdyby zdołał tak upokorzyć swą dumę.

- To już historia, Lacy - stwierdził krótko. Uniósł papierosa do warg i głęboko zaciągnął się dymem. - Będziemy teraz musieli ułożyć sprawę najlepiej, jak umiemy.

Wyrzała przez okno. Aż do horyzontu ciągnął się szmat płaskiej, nie rozgrodzonej ziemi.

- Pewnie nie przyszło ci do głowy, że moglibyśmy się rozwieść?

- Nie. Wygląda więc na to, że jesteś w pułapce, hm? Uśmiechnął się chłodno.

- Ja albo ty - odparła słodko i odwzajemniła uśmiech.

Spojrzał na schludny ciemny komplet, który włożyła tego dnia, i na dobrany do niego kapelusik.

- Cieszę się, że nie masz na sobie żadnej z tych bezwstydných nowych sukienek, na przykład takiej jak wczoraj wieczorem - zauważył. - Mam dość kłopotów z zaganianiem kowbojów do pracy i bez tego, żebyście wy, kobiety, mąciły im w głowach. I tak od dłuższego czasu szwendają się bez potrzeby koło domu, żeby popatrzeć na nogi Katy. Musiałem w końcu spalić jej dwie najbardziej wyzywające sukienki.

- To całkiem w twoim stylu, królu bydła - mruknęła złośliwie. - Kiedy brakuje ci argumentów, załatwiasz sprawę siłą. Zawsze taki byłeś, nawet w czasach młodości.

- Nie sądz, Lacy, że się zmienię. Jestem na to za stary. Pokręciła głową, wbijając wzrok w jego twarz; miał nieregularne rysy, prosty nos, szerokie usta i kwadratowy podbródek. Były na pewno piękniejsze twarze, ale Lacy kochała każdy jej szczegół: opaloną skórę, głęboko osadzone ciemne oczy, gęste brwi, gęste, proste włosy z grzywką spadającą na czoło. Cole był zmysłowy. To prawda, pomyślała nagle. Zmysłowość wyrażał nawet jego sposób poruszania się. Ale było to tylko złudzenie, gdyż seksu Cole nie znosił z zasady. Raz czy dwa Lacy zastanawiała się, skąd u niego te zahamowania i ile kobiet miał w swym życiu. Dziwne, ale czasem zdawało jej się, że żadnej.

- Gapisz się na mnie, kochanie - burknął, złapawszy ją na tych oględzinach.

- Jesteś bardzo zmysłowym mężczyzną - powiedziała cicho, przyglądając się, jak natychmiast tężeją mu rysy.

Odwrócił głowę i w milczeniu zaczął manipulować przy następnym papierosie.

- Przepraszam, jeśli cię obraziłam - powiedziała po chwili, moszcząc się na wygodnym siedzeniu. Pociąg tymczasem nabierał szybkości.

- Nie obraziłaś, nie o to chodzi - odparł beznamiętnie.

Lacy nie robiła więcej takich uwag. Mimo to nie spuszczała wzroku z Cole'a, obserwując grę jego mięśni przy każdym poruszeniu. On tymczasem siedział bez słowa z kapeluszem zsuniętym na oczy, trzymając w palcach dymiącego papierosa.

- Dlaczego ludzie nazywają Jude'a Turkiem? - spytała niespodziewanie.

Uśmiechnął się, ale nie otworzył oczu.

- Bo nie ma bardziej bitnych wojowników niż Turcy. A jego trzeba się bardzo pilnować, kiedy wpadnie w złość. To jest niezwykle uparty człowiek.

- Taki jak ty? - spytała wesoło, jakby się z nim przekomarzała.

Łypnął na nią jednym okiem.

- Mniej więcej w połowie taki - odrzekł. Oko spojrzało na jej pełne piersi i tam zatrzymało wzrok na dłuższą chwilę, potem znów przeniosło go na twarz Lacy i przyłapało ją na wstydlwym rumieńcu. - Zmieszana?

- To przecież ty nie chcesz rozmawiać o seksie - zwróciła mu uwagę.

Wyglądał tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko wzruszył ramionami i znowu zamknął oko. Żeby chociaż nauczył się ze mną rozmawiać, pomyślała żałośnie. Żebyśmy mogli po prostu się porozumieć. Czasem wydawało jej się, że w tym zamkniętym człowieku, tłumiącym wszelkie uczucia, jest wiele miłości i altruizmu. Ale Cole zdawał się ignorować tę część swojej natury. Był to najdziwniejszy i najbardziej zagadkowy mężczyzna, jakiego Lacy знаła. Pewnie dlatego po tylu latach znajomości nadal ją fascynował.

Ben czekał na nich przy bocznicy, ubrany po miejsku w beżowy garnitur i melonik. Stał z rękami wciśniętymi w kieszenie, oparty o ścianę budynku. Obok czekał starzejący się, ale nadal zgrabny czarny sportowy samochód ze złożonym dachem.

Lacy nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok postaci radosnego młodzieńca.

- Przyszły sławny pisarz - mruknęła pod nosem. - Myślisz, że mu się uda, Cole?

- Myślę, że będzie próbował i próbował, aż do śmierci odparł. - Nie rób mu nadziei - dodał nieoczekiwanie.

Spojrzała na niego gniewnie.

- Nigdy nie robiłam.

- On nadal ma na ciebie chętkę - powiedział i zmrużył oczy. - Jeśli tym razem zrobi choćby jeden ruch w twoją stronę, dam mu po mordzie, mimo iż jest moim bratem.

- Cole! - syknęła, wstrząśnięta hardością jego spojrzenia.

- Pamiętaj, co powiedziałem - ostrzegł i mocno ujął ją za ramię. W drugą rękę wziął torbę z rzeczami i ciągnąc Lacy za sobą, wysiadł z pociągu.

- Lacy, kochana! - odezwał się Ben najbardziej aktorskim tonem, na jaki go było stać, po czym rozłożył ramiona. - Jak się masz?

- Ma się dobrze - powiedział Cole. Jego spojrzenie wyraźnie mówiło młodszemu bratu, by nie ważył się zbliżyć choćby o krok. - Jak się czuje matka?

- Rozstrojona... - zaczął Ben, wyraźnie niemile zaskoczony nagłą zaborczością Cole'a. - Katy wyjechała.

Stojąca obok męża Lacy czuła, jak ciało Cole'a sztywnieje.

- Co takiego zrobiła? - spytał.

- Wszystko w porządku. Nie będzie żyła w grzechu ani nic w tym rodzaju - szybko powiedział Ben. - Wychodzi za mąż za Danny'ego Marlone'a. Danny zabrał ją do domu swej matki do czasu ślubu.

- Za szybko - stwierdził krótko Cole. - Dopiero co się poznali. I gdzie, do diabła, był Turek, kiedy to wszystko się działo?

- Na ranczu. Powiedział, że Katy jest dorosła. Zresztą - dodał smutno Ben - kiedy Turek się dowiedział, jej już dawno nie było.

- Powinien był za nią pojechać! - zagrział Cole. - I ty też!

- I co dalej, na miły Bóg? - spytał zimno Ben. - Ona już skończyła dwadzieścia jeden lat.

Cole świdrował go morderczym wzrokiem, póki Ben nie cofnął się o krok.

- Turek ma rację - wtrąciła łagodnie Lacy. Dotknęła ramienia męża. Zwróciło jej uwagę, że się nie odsunął.

Zaświtała jej wątła nadzieja. - Ona naprawdę jest dorosłą kobietą. Nie możesz jej zmusić do powrotu. A o ile znam Katy, nigdy nie uciekłyby z mężczyzną, którego by nie kochała.

- Dawno jej nie widziałas - odparł spokojnie Cole. - A ona się zmieniła. Zupełnie oszalała.

- Po prostu nadchodzi nowa epoka. - Ben zaśmiał się. - Czasy się zmieniają, na lepsze. Wszystko staje się bardziej swobodne, odrzuca sztywność. Dziewczęta zacierają ku wyzwoleniu, ot i wszystko.

- Dziewczęta zacierają ku zgubie, ot i wszystko - skontrował Cole. - Noszą krótkie spódniczki, przeklinają, piją, zabawiają się z mężczyznami... Młode pokolenie idzie prosto do diabła!

- No, twoje pokolenie rzeczywiście przyniosło światu dużo dobrego, nie ma co mówić - zaperzył się Ben. - Wojna kończąca wojny, tak to nazwano, co? Ilu ludzi zabiłeś, braciszku?

Cole uderzył go. Ruch jego pięści był tak szybki, że Ben nawet nie spostrzegł, co się szykuje. A Lacy nie powiedziała ani słowa. Nawet przysunęła się jeszcze bliżej Cole'a, kierując oskarżycielskie spojrzenie ku krwawemu śladowi na twarzy Bena, który gramolił się z ziemi, trąc

podbródek.

- W porządku, przesadziłem - mruknął, patrząc bykiem na starszego brata. - Ale ty też. Świat się zmienia. Jeśli nie umiesz się zmienić razem z nim, to zostaniesz z tyłu. Samochód stoi tutaj.

Poszedł przodem, a że wyglądał na bardzo zirytowanego, jednocześnie zaś starał się za wszelką cenę zachować godnie, Lacy z trudem powściągała uśmiech.

- Przeszło bez nagany? - burknął Cole, kierując na nią wzrok. - Myślałem, że rzucisz mi się na pomoc.

Pokręciła głową.

- Żałuję, że nie uderzyłeś go mocniej - powiedziała spokojnie.

Cole przystanął i spojrzał na nią, odkrywając w jej oczach ten sam żywioł, który tak mu się podobał, gdy Lacy była jeszcze nastolatką. W innym miejscu i czasie mogliby się z sobą zgodzić. Jaka szkoda, że sprawy stoją tak jak teraz. Powinien był od razu, na samym początku, powiedzieć prawdę.

Dotknął jej włosów. Były miękkie i chłodne. Zastanowiło go, dlaczego Lacy jest taka spięta.

- Boisz się tego? - spytał, patrząc jej w oczy. - Przestałaś oddychać.

- Nie zabieraj ręki - szepnęła. - Bałam się drgnąć, żebyś nie pomyślał, że nie chcę, byś mnie dotykał.

Palce mu zadrżały.

- Lacy...

- Jedziecie ze mną czy nie? - ryknął Ben z samochodu. Cole nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Dobra, synku. Już idziemy.

Cole poszedł pierwszy. Lacy cicho westchnęła. Dziękuję, Ben, pomyślała zjadliwie. Któregoś dnia też wyświadczę ci przysługę!

Gdy doszli do samochodu, jak burza nadleciała blond amazonka. Dziewczyna zeskoczyła z konia i na łeb na szyję runęła w stronę Bena.

- Cześć! - zawołała Faye Cameron, wskakując na stopień samochodu, by powitać Bena radosnym pocałunkiem w policzek. - Nie wiedziałam, że wróciłeś z wielkiego miasta! Jak się miewasz? Cześć, Lacy. To miło, że znów cię widzę. Och, Cole, jak wspaniale wyglądasz.

- Czego chcesz? - spytał mrukliwie Ben, miażdżąc ją wzrokiem. - Powiedziałem ci, że teraz nie mam czasu na wizyty. Jestem zajęty.

- Ale to jest moje urodzinowe przyjęcie. - W wielkich niebieskich oczach Faye zaiskrzyła

się nadzieja. - Kończę osiemnaście lat. Jejku, Ben... Obiecałeś, że przyjdiesz. Przyjęcie jest dzisiaj wieczorem.

Ben poprawił melonik. Sprawiał wrażenie, jakby mu było głupio, zresztą rzeczywiście było. Oto kłopoty z kobietami, pomyślał zirytowany. Pójdiesz z taką raz czy dwa do łóżka i od razu zdaje się jej, że ma cię na własność. Ale, prawdę mówiąc, dziewczucha w łóżku jest świetna, gorąca jak piec, no i zrobiłaby wszystko, żeby cię zadowolić. Gdyby nie jej ojciec, Ben już by ją był odwiedził. Ale stary wyraźnie go nie lubił i Ben nie potrafił przewidzieć, co by zrobił Ira Cameron, gdyby się dowiedział, że jego jedynaczka straciła cnotę.

- Ojej, serduszko, przepraszam - Ben łagodził sytuację. Delikatnie pogłaskał ją po włosach.  
- Ale wiesz, dostałem świetną robotę w San Antonio, będę redaktorem w czasopiśmie.

- To wspaniale, Ben! - wykrzyknęła entuzjastycznie. No, przynajmniej jedna osoba odniosła się właściwie do jego triumfu! Uśmiechnął się szeroko.

- Będę też jedynym dziennikarzem w zespole. Pan Bradley powiedział, że skoro jestem taki dobry, to nie będzie potrzebował nikogo oprócz mnie! Daje mi uczciwą pensję i własny pokój. Dostałem nawet zaproszenie do odwiedzenia Bradleyów w domu.

- To fantastyczne, Ben - powiedziała Faye. Zmarszczyła czoło. - Tylko czy redakcja w dużym mieście nie potrzebuje więcej niż jednego dziennikarza?

Bena też to zastanowiło, ale długo nie zaprzętał sobie tym głowy.

- Mówię ci, że jestem dobry. I nawet w San Antonio ludzie słyszeli o naszym ranczu i o tym, że jesteśmy solidnymi obywatelami. Pan Bradley uważa, że to dobrze dla gazety. Przyjadę za tydzień albo dwa, to ci o wszystkim opowiem, dobrze? Ale dziś akurat obiecałem pracodawcy przyjść do niego i jego córki na obiad... - dodał. Faye zdawała się rozumieć. - Możesz zdecydować za mnie.

- Jasne - powiedziała Faye, ale jej uśmiech mocno przybladł. Czyli szef Bena ma córkę. A jej Ben jest taki ambitny... Odsunęła się od samochodu i jakby nagle zbrzydła. - Jasne. Miło było cię zobaczyć. No, to do zobaczenia!

Pobiegła do konia, ale Lacy zdążyła zobaczyć grymas smutku i łzy na jej twarzy. Biedaczka, pomyślała. Ben jest strasznie niedelikatny.

Cole nie powiedział ani słowa. Może uważał, że Ben jest usprawiedliwiony. Ech, mężczyźni!

Wsiedli do samochodu. Ben zapalił silnik. Za nimi Faye Cameron siedziała wyprostowana w siodle. Jej młode piersi rysowały się pod żółtą koszulą, a dzinsowe spodnie wyraźnie podkreślały kształt bioder. W słońcu złote włosy dziewczyny wyglądały jak aureola. Na jej policzkach srebrzyły się strużki łez. Patrząc za odjeżdżającym samochodem, gniewnie pomachała

ręką.

- Któregoś dnia będzie ci zależało, Ben! - szepnęła złamanym głosem. - Już ja się o to postaram, żeby ci zależało!

Żałowała, że nie wie więcej o mężczyznach. W łóżku starała się być wszystkim, czego Ben pragnie. Bez słowa protestu pozwoliła mu wyprawiać ze swoim ciałem najbardziej nieprawdopodobne rzeczy, chociaż zastanawiała się, czy jest to całkiem normalne. Ben całował ją nawet po wnętrzu ud!

Naturalnie, Ben był doświadczony. Opowiedział jej o jednej ze swych kobiet, ze szczegółami opisując, co jej robił. Faye spiekła raka i głośno złapała oddech, ale cierpliwie słuchała. A kiedy Ben skończył i zobaczył wyraz jej twarzy, pchnął ją na łóżko i wziął ją na stojąco. Przyglądał jej się, jak leży, podtrzymując jej uda swymi mocnymi rękami. A potem, drżąc w chwili zaspokojenia, wybuchnął śmiechem. Na to wspomnienie zrobiło jej się gorąco. Poruszyła się niespokojnie w siodle, wargi jej się rozchyliły, piersi stwardniały od pożądania. Przed chwilą chciała, żeby pojechał się z nią kochać. Ale on nie miał zamiaru. Będzie musiała poczekać, aż znajdzie dla niej miejsce wśród swych licznych zajęć.

Wolno zawróciła konia, urażona jak nigdy przedtem. Gdyby tylko umiała czytać i pisać, gdyby była inteligentna i wykształcona... Ben chciał ją mieć w łóżku jedynie dlatego, że nie była dość sprytna, by pokazywać się z nim publicznie. Może zechciałby ją, gdyby zaszła w ciążę. Wydęła wargi. Tak. Może to jest jedyny sposób, żeby kiedykolwiek go zdobyć. Wtedy Cole kazałby mu się z nią ożenić. Uśmiechnęła się. Byliby kwita, bo to Ben wpędził Cole'a w małżeństwo z Lacy.

Poprawiła się w siodle i puściła konia skróconym galopem. Mimo wszystko dzień był piękny. Dobrze było mieć osiemnaście lat i stać się prawdziwą kobietą.

Za jej plecami głośniejsz zawarczał silnik samochodu, bo Ben dodał gazu. Zastanawiał się, czy Faye będzie mu sprawiać kłopoty. Słodkie z niej dziecko, ale ta Jessica Bradley to dopiero jest dzierlatka! Zaprzętnęła go myśl, że bardzo chciałby zrobić tej smukłej brunetce to, co robił małej Faye. Tylko jeszcze więcej. Zaczął pogwizdywać, a samochód nabrał z góry szaleńczej prędkości i długim bitym traktem zbliżał się do Spanish Flats.

## 5

Ben opuścił dach, więc stary, mały samochód z 1914 roku wypełnił się duszącym pyłem. Dobrze, że matka powstrzymała go przed wymalowaniem na burcie napisu: „Uwaga, ślicznotki, mogę uwieźć”, kwaśno pomyślała Lacy. Ale ludzie by się gapili! Ta moda naprawdę bierze młodych ludzi, nawet w takim Spanish Flats.

W dwuosobowym samochodzie ledwie się mieścili. Był prawie tak stary jak landarowaty Ford Cole'a, ale niewiele osób w okolicy mogło sobie pozwolić na nowy zakup. Nawet utrzymywanie zwykłego gruchota stanowiło po wojnie nie lada wyczyn, zważywszy na to, że ranczerzy żyją z darów ziemi. Lacy czuła kłujące drobinki w ustach, ale nic nie mówiła. Cole był przyzwyczajony do pyłu, miał go na co dzień. Gdyby zachowała się teraz jak rozpieszczony mieszcuch, co niekiedy jej się zdarzało, to Cole nabrałby o niej jeszcze gorszego mniemania.

Cole siedział obok niej, z ramieniem wyciągniętym wzdłuż oparcia, i patrzył prosto przed siebie. Był napięty jak struna. Lacy nie mogła dociec przyczyny. Musiała to być wina kłótni z Benem, no bo przecież nie jej bliskości. Może Ben nierozważnie obudził w Cole'u jakieś wspomnienia? A może chodzi o miejsce za kierownicą? Na tę myśl szeroko się uśmiechnęła. Cole ani słowem nie zaprotestował, gdy Ben postanowił ich zawieźć do domu, no ale czasami zachowywał się wobec młodszego brata wyrozumiale. A Ben wyraźnie uwielbiał prowadzić. Cole czuł się lepiej na końskim grzbiecie. Kiedyś zdarzyło mu się wpakować Forda w kupę siana, a rechoczących kowbojów uratowała wtedy od pewnej śmierci boska interwencja. Zaczęło padać właśnie w chwili, gdy Cole podszedł do pierwszego z nich. W każdym razie od tej pory Cole nieczęsto prowadził samochód.

- Jak ci było w wielkim mieście? - zainteresował się Ben, przekrzykując hałas silnika.

- Samotnie - odrzekła bez zastanowienia.

- Po ostatnim przyjęciu Katy mówiła co innego. - Zachichotał.

Lacy spojrzała na swe dłonie, splecione na kolanach.

- Pewnie tak. - Przypomniała sobie to przyjęcie. Było podobne do wszystkich innych. Ekstrawaganckie, głośnie i długie. Lacy była na nim jedyną osobą, która nie bawiła się dobrze. Bez Cole'a nic jej nie cieszyło.

Cole jakby przypadkiem musnął palcami jej szyję. Poczowała, jak puls jej przyśpiesza, oddech zamiera. Spojrzała w głąbię ciemnych oczu i przebiegł ją rozkoszny dreszcz pożądania. Mimo woli rozchyliła wargi. Zastanawiała się, co zrobiłby teraz Cole, gdyby nie było z nimi Bena. Wydawało jej się, że wie. Dałaby wszystko, żeby Ben wyskoczył w tej chwili z samochodu i znikł, zostawiając ją sam na sam z mężem.



Ben oczywiście nie znikł, natomiast uwagę Cole'a odciągnęło stado bydła, pędzone w oddali. Zmrużył oczy i zaczął się przyglądać, a Lacy uśmiechnęła się na widok jego zaangażowania. Prawdziwy hodowca bydła, zafascynowany wszystkim, co porusza się na czterech nogach.

Jazda do Spanish Flats zajęła tylko parę minut. Marion wybiegła im na spotkanie. Nie uściskała Cole'a. To było surowo zabronione, wszyscy w rodzinie znali i szanowali jego niechęć do fizycznego kontaktu. Uściskała jednak Lacy, długo i ciepło. Marion schudła i postarzała się.

- Tak się cieszę, kochanie, że jesteś tutaj - powiedziała z nieszczęśliwą miną. - Pomożesz mi znieść niedolę. Moje dziecko uciekło z gangsterem!

Lacy niezręcznie poklepała ją po plecach.

- Nie martw się, Marion. To jest już całkiem dorosła dziewczyna.

- A w najgorszym razie wkrótce będzie dorosła - dodał Cole. - Czy to prawda, że wychodzi za mąż?

- No pewnie - gładko skłamała Marion, w duchu pełna niepewności. Nawet uśmiechnęła się. - Wszyscy będziemy zaproszeni na ślub.

- Możesz jechać w imieniu nas wszystkich - oznajmił Cole. Uśmiech miał równie lodowaty jak ton głosu. - Gdybym pojechał, zabiłbym tego... - Omal nie dokończył. W jednej krótkiej chwili przypomniał Lacy i Marion o niebezpieczeństwie i w milczeniu odszedł.

- No, niewiele brakowało - powiedział Ben otrząsając się. - Na stacji otworzyłem usta nie w porę. Cole jeszcze jest wściekły.

- Dlaczego to zrobiłeś, Ben? - spytała cicho Lacy, patrząc na niego oskarżycielsko. - Wiesz, że on nie chce mówić o wojnie.

- Może właśnie dlatego - mruknął Ben. - On coś ukrywa. Chowa się z czymś, odkąd wrócił, a Turek mu w tym pomaga. I żaden z nich nie mówi prawdy.

- To ich sprawa, co się stało - stwierdziła Marion, lekko dotykając ramienia syna. - Nic nam do tego.

Ben ostentacyjnie się odsunął.

- Może i tak. Odstawię samochód i wniosę bagaże do domu.

Lacy weszła za Marion do wnętrza. Tam rzuciła się na nią Cassie i omal jej nie udusiła. Opłakała ją łzami radości i wydała mnóstwo okrzyków entuzjazmu, aż w końcu poszła przygotować gorącą herbatę.

- Przynajmniej ty dobrze wyglądasz - powiedziała Marion, kiedy usiadły w eleganckim salonie, popijając słodką herbatę z delikatnych porcelanowych filiżanek, które Marion przywiozła kiedyś ze swego panińskiego domu w Houston.

- Szkoda, że nie czuję się tak samo - wyznała Lacy. - Przez osiem miesięcy byłam jak martwa. Bez niego jest okropnie.

Marion odstawiła filiżankę na rzeźbiony stolik z dębowego drewna.

- On też nie był wcieleniem radości. Milczy jeszcze więcej niż zwykle. Bez przerwy pracuje. Wiesz, nawet nie musiałam go przymuszać, żeby pojechał cię odwiedzić. Zrobił to prawie z własnej woli.

- Może chciał sprawdzić, ilu mam kochanków. - Lacy zaśmiała się z goryczą.

- Na to jest za mądry - nastroszyła się Marion. - I ja też. Często się przyglądałam, jak na niego patrzysz. Tyle miłości na marne. Wiesz, Lacy, on i Turek są podobni. Odkąd wrócili, ani do nich przystąpił. Nie chcą wiązać się z kimkolwiek w jakikolwiek sposób. Nie wiem, co się stało, ale jestem prawie pewna, że Katy nie pojechała do Chicago z miłości do tego złotoustego gangstera, z którym się spotykała.

- Myślisz, że Turek coś jej powiedział? - spytała Lacy, przyglądając się pomarszczonej twarzy teściowej.

- Jestem tego pewna. Prawdopodobnie żeby nie robiła sobie nadziei albo coś równie okrutnego. Katy nie wyjechałaby bez powodu. Nie wydawała się zakochana. W każdym razie nie w Dannym Marlonie!

Lacy łączyła z Katy przyjaźń, mimo to zastanawiała się, czy ktokolwiek naprawdę wie, co tkwi w sercu tej dziewczyny. Lacy nie wiedziała, chociaż kochała ją jak młodszą siostrę. Jeśli istniał na świecie człowiek, któremu Katy oddałaby wszystko, to był nim Turek. Na najmniejszą wzmiankę o nim Katy wpadała w wielogodzinne rozmarzenie. Sposób, w jaki na niego patrzyła, i preteksty jakie wynajdywała, żeby być w pobliżu, niemal budziły litość. Natomiast Turek, jak powiedziała Marion, był podobny do Cole'a. Z twarzy nic nie można mu było wyczytać, a swoje słabości chował za tarczą humoru. Jeśli w ogóle miał słabości. Może przeżył osobistą tragedię? Cole powiedział, że żona Turka umarła. To mogło być zabójcze, szczególnie dla kogoś, kto tak bardzo czuje się mężczyzną. To, że nie udało mu się jej uratować, stawiało pod znakiem zapytania jego męskość.

- Ty też jesteś przygaszona - powiedziała cicho Marion.

- Martwi mnie Katy - zwierzyła się Lacy. - Czy to miły człowiek ten Danny? Czy będzie dla niej dobry?

- Myślę, że tak, kochanie. Ale niepokoi mnie jego zajęcie. Ma bar, gdzie sprzedają alkohol. Nie sądzę też, żeby był kryształowo uczciwy w interesach. Ale co możemy zrobić? Katy jest już dorosła. Ja wyszłam za mąż i urodziłam Colemana, kiedy byłam dokładnie w jej wieku. Mam związane ręce. - Wypiła jeszcze łyk herbaty. - Na szczęście przynajmniej Coleman mi uwierzył.

Nie pojedzie do Chicago z pistoletem.

- Uwierzył ci? - powtórzyła Lacy.

- Kochanie, przecież ja nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co Katy mi napisała - odpowiedziała cicho. - Nie sądzę, żeby ten człowiek miał zamiar się z nią ożenić.

- Ojej... - Lacy poczuła się zdruzgotana. Kochała Katy, która zawsze była dobrą dziewczyną, choć kokietką. A teraz... ojej! Wyjechała z mężczyzną, będzie z nim żyć! Katy, jak mogłaś? - pomyślała żałośnie. Jak mogłaś pozwolić, żeby Turek zrobił ci coś takiego?

Wtedy przypomniała sobie, w jaki sposób wymusiła na Cole'u, by dzielił z nią pokój. Nastraszyła go George'em. Trudno, cel uświęca środki, pocieszyła się. Lecz aż do nadchodzącego wieczoru nie mogła być pewna słuszności tej maksymy. Nie wiedziała, czy znajdzie w sobie dość odwagi, by przejść jeszcze raz to, co kiedyś. Bardzo kochała Cole'a. Ale czy to wystarczy, żeby ocalić małżeństwo?

Wybierając się do San Antonio na obiad Ben pożyczył od matki samochód. Skwapliwie zapewnił ją, że ma mnóstwo czasu na przejazd i że nie spowoduje wypadku.

Ech, te matki, pomyślał zapalając silnik. Miał przed sobą długi, kręty bity trakt. Po niebie ciągnęły chmury, łudził się jednak nadzieją, że nie będzie deszczu. Na wszelki wypadek miał zresztą w samochodzie dach, który mógł rozłożyć.

Wciąż jeszcze był rozdrażniony nową jakością swych stosunków z Cole'em. Do tej pory nie zdarzyło się, by w czasie kłótni Cole podniósł na niego rękę. Mimo porywczosci nie leżało to w jego charakterze. Musiał zostać trafiony w czułe miejsce. Cole zachowywał się bardzo tajemniczo, gdy chodziło o jego prywatne życie. A zwłaszcza o Lacy.

Ben skrzywił się przypominając sobie, jak doprowadził do tego katastrofального małżeństwa. Wcale nie zamierzał zapędzić tych dwojga w kozi róg. Chciał spletać im figła. Ale rano, kiedy ich znaleźiono, nie wydało mu się to śmieszne. Lacy była biała jak prześcieradło i zapłakana. Zazwyczaj miała w sobie mnóstwo wigoru, nigdy przedtem nie widział jej w takim stanie. Natomiast wyraz twarzy Cole'a całkowicie ją usprawiedliwiał: swą dzikością mógłby doprowadzić do łez silnego mężczyznę. Jeszcze tego samego dnia Ben pojechał odwiedzić ciotkę w Houston, żeby zejść ze sceny, póki brat nie ochłonie. Zanim wrócił, Cole i Lacy byli już po ślubie.

Pragnął Lacy dla siebie. Świadomość, że ona po prostu go lubi, nie dawała mu spokoju. Podobnie jak Katy, Ben przyzwyczał się do stawiania na swoim, szczególnie z kobietami. Westchnął na wspomnienie dziewczyn, z którymi chodził w San Antonio. Czasem nachodziła go pewność, że wie o kobietach więcej niż Cole. Zresztą starszy brat wydawał się dziwnie zamknięty w sobie. Zawsze się oddalał, kiedy Ben rozprawiał z Turkiem o miłosnych podbojach.

Turek żadnej nie popuści, pomyślał. Od dłuższego czasu powietrzny as stał się jego idolem. Cole wydawał mu się zbyt trudny do naśladowania. Turek był bardziej ludzki. Ben podziwiał jego powodzenie u kobiet, pewność siebie i swobodę. Turek miał temperament, podobnie jak Cole, ale wykazywał nieco więcej wyrozumiałości i mniejszą sztywność przekonań. Bena intrygowało, jak Cole radzi sobie z Lacy po zgaszeniu światła. Może to był główny powód, dla którego Lacy od niego odeszła. Mieli przecież osobne pokoje, a Ben podejrzewał, podobnie jak reszta rodziny, że małżeństwo nie zostało skonsumowane. To z pewnością bardzo dotknęłoby taką kobietę jak Lacy, zwłaszcza że wszyscy dookoła sądziliby, że nie pociąga męża. Siedziała w San Antonio osiem miesięcy, a z tego, co mówiła Katy, obskakiwał ją tam jakiś facet. Ale widocznie niewiele dla niej znaczył, skoro wróciła z Cole'em do domu. Pewnie na przekór wszystkiemu dalej go kochała.

Wrócił myślami do spotkania przy stacji i nagłego zjawienia się Faye Cameron. Dobra jest ta szelma, ale nie takiej kobiety mu trzeba. Pisarze są samotnikami. Nie mogą się ograniczyć do jednej kobiety. Potrzebują ich na pęczki.

Oczywiście miał teraz Jessicę Bradley, córkę wydawcy nowego czasopisma. Babeczka z niej jak trzeba. Bardzo ciemna karnacja, gładka skóra, zmysłowe usta i ciało, na widok którego aż swędziały go ręce. To była laleczka z pretensjami. Na myśl o niej zaczął pogwizdywać i przycisnął pedał gazu. Biedna mała Faye będzie musiała mierzyć nieco niżej. Zresztą córce ranczera potrzebny jest hodowca bydła, a nie sławny pisarz.

Gdy dojechał do eleganckiej rezydencji pod Alamo, Bradleyowie już na niego czekali. Randolph Bradley był wysoki, miał siwe włosy, starannie przystrzyżone wąsiki i bardzo niebieskie oczy. Jego córka najwyraźniej odziedziczyła urodę po matce, której portret wisiał nad pięknym kominkiem w wiktoriańskim salonie.

- Mama jest oczywiście w Europie - poinformowała go Jessica, gdy przed podaniem obiadu sączyli szampana w przestronnej jadalni. Przysunęła się bliżej, otaczając go chmurą czarownego zapachu. - Nie znosi peryferii. Jej zdaniem nie ma jak Nowy Jork. Ale papa uparł się, żebyśmy przyjechali tutaj wziąć w swoje ręce ten lokalny periodyk.

- Papa wie, gdzie jest interes - stwierdził Bradley, zadowolony z siebie. Spojrzał na Jessicę z góry i skrzywił się. - To małe pismo stanie się wielką dziennikarską siłą na zachodzie Stanów. Poczekaj, córko, a zobaczysz. - Zwrócił się do Bena. - Dobrze, Whitehall, opowiedz mi coś o sobie. Twoja rodzina, jak rozumiem, hoduje bydło na ranczu?

Ben poczuł się niezręcznie.

- No, tak - potwierdził z nikłym uśmiechem, starając się okazać taką samą pewność siebie i wytworność jak gospodarz. - Tym zajmuje się naturalnie mój brat. Ja lepiej czuję, no...

sprawy finansowe. - Dzięki Bogu, Cole nie mógł go usłyszeć, bo inaczej poczułby co innego, na przykład pięść brata.

- To dobrze, synu. Bydło jest paskudne - powiedział starszy pan, unosząc kieliszek. - Zrobimy z ciebie dziennikarza stulecia. Skandal, zbrodnia, tragedia... Zbijemy fortunę! Za powodzenie i zysk, synu!

Ben też uniósł kieliszek. Kryształ z Waterford, zorientował się. Pięknie. Wzmianka o skandalu, zbrodni i tragedii jakoś przeleciała mu mimo uszu.

- Za powodzenie i zysk! - powtórzył.

Wieczór był wspianiały. Stary Bradley wychodził z siebie, żeby okazać mu uprzejmość, a ciemne oczy Jessiki doprowadzały go swą zmysłowością na skraj nerwowego załamania. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co je, ale był wdzięczny matce, że w swoim czasie wymagała od niego przyzwoitych manier przy stole. Przynajmniej nie czuł zakłopotania przy wyborze właściwego widelca.

- No, tak - powiedział Bradley, gdy po skończeniu deseru usiedli w salonie, sącąc brandy.

- Dla mnie czas na spoczynek. O ósmej do łóżka, synu. To mnie trzyma w formie.

- Rozumiem, oczywiście - powiedział z wahaniem Ben. Niezgrabnie wstał. - Na mnie też już czas...

- Chcesz jechać o tej porze taki szmat drogi? Nie żartuj! - ofuknął go Bradley. - Zostaniesz u nas. Nie mogę poniewierać mojego gwiazdora. Potrzebuję cię, synu. Twoje kontakty w San Antonio będą dla mnie nieocenione... Co mówię „dla mnie”? Dla nas. Żyje się z reklamy, przecież wiesz, a ogłoszenia zbiera się na znane nazwisko. To jest interes. Śpij dobrze, synu. Dobranoc, kochanie - powiedział do Jessiki i nachyliwszy się, pocałował ją w policzek.

- Dobranoc, tato - powiedziała skromnie Jessica. - Zaprowadzę gościa do jego pokoju. Wczesne pójście spać nikomu z nas nie zaszkodzi.

- Też tak uważam - zachichotał Bradley, wspinając się po krętych schodach.

- Chodź Bennett - powiedziała Jessica. Odstawiła kieliszek i wzięła go za rękę.

Miała na sobie prześwitującą niebieską kreację z mnóstwem koronek, bardzo obcisłą. Benowi serce wyrывało się z piersi, biło w absolutnie szalonym rytmie. Jeszcze nigdy nie spotkał tak wyrafinowanej kobiety. Dokładnie w jego wieku, ale o wiele bardziej światowa. I niesamowicie seksowna!

Kiedy otworzyła drzwi do pokoju w przeciwległym skrzydle niż to, do którego udał się ojciec, spodziewał się, że powie mu dobranoc. Ale Jessica weszła razem z nim do środka i... zamknęła za sobą drzwi na klucz.

- No - szepnęła. - Teraz mogę zrobić to, na co czekałam cały wieczór.

- Co takiego? - spytał, wciągając nozdrzami jej zapach.

- To - szepnęła, przyciągając bliżej jego głowę. Boże, ależ ona całowała! Omal nie padł z wrażenia od pierwszego dotyku jej miękkich wilgotnych warg. Zaraz potem wsunęła mu do ust sprężysty, poszukujący język. Objął ją, w jednej chwili pozbawiony wszelkich hamulców, gdy poczuł zmysłowy ruch jej bioder, napierających na niego z wielką gwałtownością. To nie była dziewczica, tylko lepszy numer! Wkrótce Jessica poprowadziła go do łóżka, ale gdy wyciągnął rękę w jej stronę, cofnęła się.

- Jeszcze nie, chłopczyku. - Zaśmiała się cicho. Odsunęła się o kilka kroków, wygładziła sukienkę. Z triumfem w oczach odnotowała pożądanie, jakie wzbudza.

Zręcznie rozpięła guziki. Pozwoliła Benowi obejrzeć, jak zdejmuje górę, a potem zsuwa z siebie całą sukienkę. Stała przed nim w fioletowej koszulce i pończochach. Upewniwszy się, że Ben nie spuszcza z niej wzroku, zaczęła się bawić cienkimi ramiączkami, wolno zsuwając je z ramion. Rozchyliła wargi, dotykając językiem zębów.

Ben siedział sztywno na białej kołdrze, zaszokowany jej całkowitym brakiem skrępowania. Jessica zsunęła koszulkę ze swych małych, jędrnych piersi i opuściła ją na ziemię. Miała jeszcze na sobie majtki do kolan, pas z podwiązkami i pończochy. Nogą popchnęła koszulkę po wypastowanej podłodze i uniosła ramiona, żeby wyjąć szpilki z włosów. Potem rozpuściła długie, ciemne włosy. Ruszyła ku niemu, wypychając biodra do przodu.

- Jak ci się podobam, chłopczyku? - szepnęła. - Hm?

- Boże... jesteś śliczna! - dławił się Ben.

- Więc nie siedź tak, gołąbeczku. Pokaż Jessice, że ci się podoba - szepnęła, biorąc go za rękę.

Położyła je sobie na piersiach. Ben mocno przycisnął dłonie i poczuł jędrność sterczących sutek. Jessica lśnącymi od podniecenia oczami przyglądała się, jak Ben pieści jej piersi.

- Dalej, malutki. Nie leń się - prowokowała, zsuwając jego dłonie do majtek i pasa.

Zdjął je drżącymi rękami i z niesamowitym biciem serca zabrał się do zsuwania jedwabnych pończoch. Jessica zaśmiała się frywolnie i osunęła na kołdrę. Wspaniale wyglądała nago, gdy poruszała się zmysłowo tuż przed oczami Bena.

- Ej, będziesz tylko stał i wytrzeszczał oczy? - popędziła go.

- Co? - Zamrugał. - No, nie. Pewnie, że nie. - Czuł się tak, jakby robił to pierwszy raz. Ręce odmawiały mu posłuszeństwa, gdy zdejmował garnitur i większość tego, co miał pod spodem. Dzięki Bogu, ciało miał jak trzeba. Gładkie, niezbyt blade i dość muskularne. Ściągnął szorty i obrócił się. Stwierdził, że wzrok Jessiki powędrował prosto do jego męskości.

- A niech to. Wcale nie jesteś malutki, prawda? - Zachichotała, wyciągając do niego

ramiona. - Chodź tu, ty cudowny dzikusie. Kochaj mnie do nieprzytomności!

Teraz przynajmniej znalazł się na znanym terenie. Może nie był najlepszym dziennikarzem na świecie, ale wiedział, co robić z kobietą. Jessica pojęła to szybko i z pewnym zaskoczeniem.

Zaśmiał się w duchu, gdy nieco wstrząśnięta, lecz bardzo rozochociona, zareagowała na całowanie wewnętrznej strony ud. No, nieźle ją słyhać, pomyślał Ben, gdy przesunął się aż do piersi i zębami delikatnie chwycił ciemną, pachnącą sutkę. Jessica zdrętwiała i zaczęła jęczeć. Narobi mnóstwo hałasu, pomyślał. Miał nadzieję, że w pobliżu nie ma nikogo.

W czasie gdy Ben smakował uroki wieczornych godzin, Lacy przeklinała je tak samo jak nieprzemyślany szantaż, którym zmusiła Cole'a do dzielenia z nią pokoju. Samotnie przemierzała sypialnię tam i z powrotem, ubrana w pastelową różową koszulę nocną i luźny szlafrok. Mimo iż była żoną Cole'a, czuła się jak kokota. Zaczęło się zabawnie, teraz jednak ogarnęło ją zdenerwowanie. Przez cały dzień miała wrażenie, że w jej stosunkach z Cole'em pojawiło się coś nowego, trudno uchwytnego. Ciepło, którego przedtem brakowało, załączek czułości. Nie chciała tego czegoś narażać. Ale przecież była bardzo niedoświadczona. Nie wiedziała o mężczyznach prawie nic, tyle tylko, ile dowiedziała się podczas tamtego przykrego wieczoru z Cole'em.

Splotła dłonie i dalej maszerowała na bosaka po drewnianej podłodze. Od popołudnia nie widziała Cole'a ani razu. Większość czasu spędziła z Marion, przede wszystkim na rozmowie o Katy. A Cole nie przyszedł na kolację. Spędził cały wieczór z weterynarzem w oborze, zajmując się chorym bykiem. Pomyślała smutno, że może po prostu szuka wymówki od jej towarzystwa. Nie wykluczała, że będzie tak co wieczór.

Obróciła się gwałtownie na dźwięk otwieranych drzwi. Zamarła widząc, że Cole wchodzi ciężko do pokoju, w ubraniu pokrytym kurzem. Wyglądał tak, jakby właśnie stawił czoło stadu bydła, któremu wszedł w drogę.

- Jak tam twój byk? - spytała cicho.

Uniósł brwi. Ściągnąwszy kowbojski kapelusz, cisnął go przez pokój na krzesło i nawet zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Nie spodziewałem się takiego pytania, pani Whitehall - odpowiedział, stając przed nią.

- Naprawdę? - spytała ze skromnym, wstydliwym uśmiechem.

- Muszę się wykapać - powiedział. - I porządnie wyspać. - Przekrzywił głowę i spojrzał w jej stronę. - Chyba że... - zastrzegł się, przypuszczając szturm na obóz wroga. Omal się nie uśmiechnął, gdy zobaczył intensywny rumieniec na twarzy Lacy. Nie była w stanie na niego spojrzeć, chociaż bardzo się starała. Miał rację. Tylko udawała. Nie była nawet w połowie tak

pewna siebie, jak usiłowała okazać. Bardzo go to ucieszyło, dodało mu bowiem pewności siebie, której pilnie potrzebował.

Przysunął się bliżej, roztaczając zapach kurzu i bydła. A kiedy Lacy podniosła wzrok, zobaczyła w jego ciemnych oczach dziwny wyraz, łagodny, choć może tylko w jej wyobrażeniu.

- Zamiast od samego początku stawiać sprawy na płaszczyźnie fizycznej, może zacznijmy od tego, że lepiej się poznamy - zaproponował dźwięcznym, cichym głosem. - Tego akurat nigdy nie próbowaliśmy. Nawet zaraz po tym, jak tu zamieszkałaś.

Wyrażnie się odprężyła. Dostrzegł to i również się rozluźnił. Przez cały dzień dręczył się, a swoim ludziom porządnie zalał za skórę, trudny moment był bowiem coraz bliżej, a on nadal nie wiedział, jak to powiedzieć Lacy.

- Dobrze - przerwała mu bieg myśli. - Podoba mi się ten pomysł. - Zaryzykowała spojrzenie w jego stronę. - W San Antonio wcale nie zamierzałam być taka dosadna. Za dużo wypłam.

- Wiem. - Zawahał się. Miała wrażenie, że wstydzi się tak samo jak ona. - Lacy, jeśli chodzi o wspólny pokój...

- Nie zawstydzaj mnie, Cole - szepnęła, odwracając oczy.

- Chciałem powiedzieć, że... nie mam nic przeciwko temu - powiedział z wahaniem.

Podniosła głowę bardzo mile zaskoczona. Twarz jej pojaśniała. Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Dziękuję - szepnęła.

- W porządku, małeńka - powiedział, nieco odzyskując dawną pewność siebie. Knykciami jednej dłoni dotknął jej podbródka. - Myślę, że nie będziemy wykopywać się wzajemnie z łóżka.

Lacy promieniała.

- Mam nadzieję, że nie chrapiasz, kowboju - mruknęła.

- Co to, to nie. A pani? - zainteresował się, zdążając do łazienki.

Chwyliła z krzesła poduszkę i chciała w niego rzucić, ale ze śmiechem schronił się za drzwiami. Wkrótce usłyszała szum wody.

Wzięła do łóżka jakieś czasopismo. Dziwnie się czuła w jednym pokoju z mężczyzną. Nawet odgłosy dochodzące z łazienki były takie intymne. Zastanawiała się, jak Cole wygląda bez ubrania. Nigdy go nie widziała nago. W tę jedną jedyną noc, kiedy mieli zbliżenie, ani razu nie zapalił światła. Teraz była nawet niemal pewna, że nie całkiem się rozebrał. Odkąd wrócił z Francji, ani razu nie widziała go w rozpiętej koszuli, a tym bardziej bez koszuli, chociaż większość kowbojów od czasu do czasu świeciła nagą pierś, szczególnie latem. Ale nie Cole.

Mimo woli przypomniawszy sobie dzień jego wyjazdu do wojska. Wtedy koszulę miał



rozpiętą i całował ją, całował. Myślała wtedy, że to jest początek, ale okazało się inaczej. Wciąż jeszcze trudno jej było o tym rozmawiać.

Powrót do przeszłości zasępił ją. Pokręciła głową, jakby chciała się pozbyć niemiłych wspomnień. Zaraz jednak jej uwagę przykuł artykuł w czasopiśmie, zatonęła więc w lekturze.

Dużo później Cole wyszedł z łazienki, ubrany w granatową pizamę i szlafrok. Bądź co bądź, pokój należał do niego. W szafach obok ubrań, które żona włożyła tam, kiedy się wprowadziła, leżały jego rzeczy. Lacy zdobyła się na uśmiech.

- Zdaje się, że pojaśniała ci skóra - mruknęła.

Zachichotał i przystanął przed toaletką, żeby przeczesać mokre włosy. Mimo że był w nocnym stroju, widok zrobił na Lacy wrażenie bardzo intymnego.

- To ty chciałaś mieć wspólny pokój - przypomniał, zauważywszy jej minę. - Teraz za późno na zmieszanie.

- Na to wygląda - przyznała. Przyjrzała mu się. Był szalenie pociągający i męski. - W końcu nie powiedziałaś mi, jak tam twój byk.

- Weterynarz powiedział, że przeżyje. - Obrócił się do mosiężnego łóżka z wielkim materacem i badawczo mu się przyjrzał. - Z której strony chcesz spać?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to tutaj, gdzie leżę - powiedziała, odkładając czasopismo.

- Tak się składa, że sypiam akurat z drugiej strony - odrzekł. Usiadł po swojej stronie, ziewnął i opadł na poduszki. - Boże, ależ jestem zmęczony. Dni się robią coraz dłuższe albo ja się starzeję.

- Daleko ci jeszcze do starości. - Przyjrzała się jego pociągłej, śniadej twarzy. Ogolił się i jego gładki policzek aż dopraszał się pocałunku. Pomyślała jednak, że warto śpieszyć się powoli. - Śpij dobrze.

- Ty też. - Przewrócił się na bok i zmierzył ją badawczym spojrzeniem. - To miły widok obejrzyć panią w nocnej koszuli, pani Whitehall.

- Cieszę się, że tak myślisz - powiedziała, spuszczaając oczy. Żałowała, że nie ma więcej doświadczenia i nie wie, co robić dalej. Czy gdyby przysunęła się bliżej, Cole potraktowałby to jako zaproszenie, żeby się z nią kochać? Czy spodobałoby mu się to, czy też wyrósłby między nimi jeszcze jeden mur?

Cole leżący obok przeżywał podobne wahania. Nie chciał przynaglać Lacy. Dopiero co wróciła do domu. A on całkiem szczerze pragnął, by ich związek nie ograniczał się do sfery fizycznej. Omal nie roześmiał się, uświadamiając sobie ironię tej myśli. To przecież on przeciwstawiał się intymności bycia razem. I był bardzo niepewny, jak Lacy zareaguje, gdy

wreszcie się dowie. Miała co prawda czułe serce, ale nie chciał od niej litości. Chciał... czegoś więcej. Pamiętał też, że gdy pierwszy i ostatni raz byli razem w łóżku, Lacy żałośnie płakała.

- Czy sądzisz, że mógłbyś mnie pocałować na dobranoc? - spytała Lacy z wahaniem. - Tylko tyle. Nie proszę cię, żebyś...

- Nie wiem, czy mogłabyś, po ostatnim razie - powiedział cicho. - Ale jesteśmy małżeństwem, Lacy. I nie sądzę, żeby całowanie cię było jakąś karą. Chodź tu.

Przysunęła się. Ciemność stwarzała intymną atmosferę, mimo że na mosiężnej poręczy łóżka żarzyła się mała lampka nocna. Spojrzała mu w oczy właśnie wtedy, gdy jego usta zawisły nad jej wargami, by zaraz potem na chwilę się z nimi połączyć.

- Smakujesz kawą - szepnęła.

- A ty tytoniem - odpowiedziała również szeptem. Pocałował ją jeszcze raz. Podobało mu się delikatne, rozedrgane ciepło jej ust, smakowanych przez niego drobnymi poruszeniami warg, bez pośpiechu. Poczł podniecenie. Zdziwiło go, że przy Lacy dzieje się to tak szybko. Zamknął oczy i położył dłoń na szyi żony. Przekrzywił nieco jej głowę, żeby łatwiej móc dosięgnąć ust.

- Lacy - szepnęła niepewnie. - Otwórz trochę usta. O, tak - westchnął, a ona poczuła jego język wolno wsuwający się między wargi. Cole poznawał wewnątrz jej ust; duszną ciszę dookoła zakłócał jedynie szmer ich oddechów.

Lacy musnęła jego policzek i delikatnie przesunęła dłoń ku całującym ją wargom. Dotknęła miejsca, w którym byli połączeni. Bardzo ją to podnieciło. Jęknęła.

Cole nagle oderwał usta.

- Cholera, nie wytrzymam długo - powiedział niepewnie.

- Pocałunki są takie podniecające - odszepnęła, spoglądając mu w oczy.

- Tak, i prowadzą do czegoś, w czym nie jesteśmy zbyt dobrzy, nie sądzisz? - spytał trochę niezręcznie.

- Bolało - przyznała Lacy, przełknąwszy ślinę. - Moja zameżna przyjaciółka powiedziała, że zwykle tak jest... na początku.

Serce mu podskoczyło. On nigdy z nikim nie rozmawiał na ten temat. Nie mógłby poruszać tak intymnych spraw, no, chyba że z Turkiem. Ale przecież Turek był mężczyzną.

- Bardzo delikatnie to nazywasz, Lacy - powiedział. - Było źle. Naprawdę źle. Potem tygodniami męczyły mnie koszmary z tego powodu.

- Och, Cole - szepnęła cicho. - To nie była twoja wina. Nigdy nie miałam do ciebie pretensji. - Pochyliła się i czule przycisnęła wargi do jego powiek.

Boże, pragnął jej! Pragnął wręcz nieprzytomnie. Ale nie mógł pozwolić, by Lacy zaczęła go dotykać. Odsunął się więc i przetoczył na plecy.

- Już późno. Musimy trochę pospać - powiedział z czułością w głosie, jakiej Lacy nigdy przedtem u niego nie słyszała.

- To prawda. Zwinęła się w kłębek, twarzą do niego. Bardzo chciała poprosić, żeby ją przytulił, ale wyczuwała sztywność jego ramion i dłoni i wiedziała już, że mężczyźni niezwykle łatwo podniecają się ponad wszelkie granice. Nie chciała go do tego prowokować. Potrzebowali trochę czasu, by zapomnieć o przeszłości. Cole miał rację. Musieli się poznać. Na intymność przyjdzie czas później. Zamknęła oczy, wdychając zapach mydła Cole'a. Z uśmiechem na ustach zasnęła, bezpieczna w poczuciu, że mąż leży tuż obok niej.

## 6

Jessica przeciągnęła się z uśmiechem zaspokożenia na twarzy i w rozleniwieniu spojrzała na leżącego obok mężczyznę.

- Jest pan bardzo zaskakującym dżentelmenem, Ben. - Roześmiała się. - Naprawdę bardzo zaskakującym.

- Mogę być młody, ale nie niewinny - odparł z szerokim uśmiechem, zadowolony i z siebie, i z niej. W łóżku Jessica była dziką kocicą, pełną żaru i niechęci do pruderii, tak samo jak on. Nigdy przedtem z nikim nie próbował tego, co z nią. Wśród znanych mu kobiet była zupełnie wyjątkowa. - Czy jesteś pewna, że twój ojciec śpi? - spytał.

- Oczywiście. Próbujesz mnie stąd wygonić? - spytała.

- Prawdę mówiąc, nie sędzę, żebym mógł oderwać od ciebie wzrok - powiedział, unosząc się nad nią.

Objęła go rękami za szyję akurat w chwili, gdy nakrył ją swym ciałem.

- Miałam nadzieję, że to powiesz - szepnęła w stronę zbliżających się ust Bena. - Wyciągnęła rękę i pogłaskała go. Miała w oczach tyle samo niepohamowanej namiętności, co on. - Pokażę ci coś nowego... - szepnęła i roześmiała się z zachwytem, gdy zacisnął usta.

Czuł, że traci panowanie nad sobą. Zamknął oczy, zaczarowany magicznym ruchem palców Jessiki. Zanim wypchnęła biodra do góry, żeby go wchłonąć, zdążył jeszcze pomyśleć, że ta dziewczyna uzależnia bardziej niż alkohol...

W Chicago budził się ranek, zalewający miasto ciepłym złotym blaskiem. Katy Whitehall przeciągnęła się przy oknie, z zadumą spoglądając na południe. Zastanawiała się, czy Turek choć raz do niej zatęsknił. Bo jej brakowało go z każdą chwilą coraz bardziej. Wiedziała jednak, że w końcu uda jej się zubożnąć na myśli o Turku. Jakoś jej się uda.

Rozległo się pukanie do drzwi. Katy obróciła się i zobaczyła matkę Danny'ego. Pani Bella Marlone przyniosła jej filiżankę kawy.

- Proszę, dobra kawa, moja robota - odezwała się korpulentna starsza pani. Włosy miała spięte w kok, z którego uciekały siwe pasemka, a okrywała ją beżowa sukienka, starannie ściągnięta paskiem na okazałych rozmiarów brzuchu. - To ładnie, że bierzecie ślub, ty i Danny - powiedziała ciepło. - Lubię do rozmowy taką młodą dziewczynę jak ty. Chyba ci nie przeszkadza, że będę mieszkać z tobą i Dannyem? - spytała zatroskana. - We Włoszech, wiesz, nie tak jak tutaj. Rodzina *molto importante*... bardzo ważna.

- Rozumiem - odparła Katy. - Moja rodzina też trzyma się razem.

Pani Marlone skinęła głową. Usiadła na krześle i przyglądała się, jak Katy siada na

krawędzi łóżka i popija kawę.

- Danny mówi, że uroczystość w poniedziałek - powiedziała zniecka.

Katy zadrżała dłoń, zdołała jednak utrzymać filiżankę. Bardzo szybko! Ale może tak będzie najlepiej. Nie będzie miała czasu, żeby się rozmyślić i uciec do Spais Flats. Zupełnie jakby miała jakiś powód do powrotu. Przecież Turek jej nie chciał, nie na stałe. I nigdy by nie zechciał.

- Znakomity dzień - powiedziała serdecznie Katy. - Zaopiekuję się nim - dodała wolno.

- Obie się nim opiekujemy - powiedziała stanowczo mama Marlene. - Ja dla niego gotuję, piorę, zajmuję się bambini, jak będą. A ty masz dużo czasu, żeby ładnie wyglądać dla mojego chłopca.

Więc to tak ma być, pomyślała Katy smutno. Na co dzień teściowa despotka, żyjąca tylko po to, by uszczęśliwić synka. Westchnęła. Zanosilo się na kłopoty. Powiedziała to później Danny'emu, a on zmarszczył brwi.

- Posłuchaj, dziecinko - odparł wolno, zamykając ją w objęciach. - Jestem wszystkim, co mama ma w tym kraju. Przykro mi, jeśli to ci się nie podoba. Ale nie mogę wyrzucić jej na ulicę. Ona bardzo się dla mnie poświęca.

- Nic takiego nie miałam na myśli. - Katy próbowała go udobruchać. Przywołała na twarz wymuszony uśmiech i objęła Danny'ego za szyję. - Pomogę ci się nią opiekować - powiedziała, występując z ofertą pokoju.

- Grzeczna dziewczynka. - Pochylił się z uśmiechem i pocałował ją. To było przyjemne, pomyślała. Bardzo różniło się od zaborczych, gorączkowych pocałunków Turka. Mocniej zacisnęła powieki, chcąc zapomnieć o tamtym.

Kiedy Danny ją puścił, drżał. Twarz miał poczerwieniałą, gorące dłonie trzymał na jej piersiach, okrytych luźną bluzką.

- Pragnę cię - szepnął ochryple.

- W poniedziałek - odszepnęła z uśmiechem.

- Umrę - jęknął.

- To nieprawdopodobne. - Roześmiała się. Spojrzała mu w oczy i otrzeźwiała. - Danny, czy to ma dla ciebie znaczenie, że nie jestem dziewicą?

- No, coś ty - odparł szczerze. - Prawdę mówiąc, cieszę się. Będzie nam dobrze od pierwszego razu. A ja będę cię traktował jak należy, kociaczk. Chodź teraz na dół. Poznasz kilku moich ludzi.

Jego ludzie wyglądali na rasowych gangsterów. Grange był wysoki, potężny, śniady i nie odzywał się bez pytania. Sammy był niski, szczupły i miał lekki wytrzeszcz oczu. Po prezentacji

Katy skinęła im obu głową. Grange odpowiedział takim samym skinieniem, Sammy uśmiechnął się figlarnie i szeroko.

- Grange jest moim kierowcą - powiedział Danny, kopiąc cygaro. - A Sammy załatwia zadania specjalne.

Jeśli ktoś mi świni, bierze gościa na warsztat. Rozumiesz, co mam na myśli?

Chyba nie mógł... Nie, na pewno nie, powiedziała sobie stanowczo. Naczytała się za dużo książek. Odgarnęła do tyłu długie włosy i szeroko się uśmiechnęła.

- Przy was czuję się bezpieczna - powiedziała.

- Będziesz bezpieczna - powiedział Grange znudzonym, choć dźwięcznym głosem. - Nie pozwolimy skrzywdzić laleczki szefa.

- Pewnie, że nie. - Sammy zachichotał. Lekko poklepał się po piersi na wysokości wewnętrznej kieszeni. - Będziemy panią chronić przed zbrojami i różnymi innymi.

To „różnymi innymi” zabrzmiało złowieszczo. Spojrzała strapionym wzrokiem na Danny'ego.

- Nie wpadaj w histerię - powiedział delikatnie. - Wprawdzie mam kilku wrogów, ale nie warto się ich bać. Grange i Sammy trzymają rękę na pulsie.

- No, jeśli jesteś pewny...

- Jestem, jestem. - Zachichotał. - Chodź, kupię ci najbardziej szalową suknię ślubną. Powiedz, dziecinko, czy chcesz, żeby twoja rodzina przyjechała na ślub.

Chciała, ale nie mogła sobie wyobrazić Cole'a ani Turka w tym miejscu. Zmartwiła.

- Nie - powiedziała cicho. - Wolałabym bardzo kameralną, cichą uroczystość.

- Ja też. I szybką - dodał z taką nieszczęśliwą miną, że aż się roześmiała.

W poniedziałek wieczorem dotarła na ranczo wiadomość, że Katy i jej narzeczony z Chicago wzięli ślub. Cole przeczytał telegram w obecności Marion i Lacy, a potem zostawił je i poszedł przekazać nowinę Turkowi. Nie miał na to wielkiej ochoty. Od raptownego odjazdu Katy zauważył w przyjacielu olbrzymią zmianę. Bardzo go to poruszyło, zastanawiał się, czy do pewnego stopnia to nie on zawinił, przecież sam zabronił Turkowi zbliżyć się do Katy. Ale bez względu na uczucia Katy i Turka na rozważania było już za późno i Cole czuł się za to odpowiedzialny. Znalazł Turka w stajni, zajętego siodłaniem konia.

- Cześć, szefie. - Turek wyszczerzył zęby, zsunął kapelusz na tył głowy i ściągnął popręg. - Zdaje się, że mamy ładny dzień.

Cole machinalnie skinął głową. Skręcił papierosa i zapalił. Potem oparł się o ścianę stajni.

- Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli usłyszysz to ode mnie. Katy wyszła za mąż.

Turek zamrugnął. Tylko tyle, nic więcej. Potem odwrócił się do konia i szarpnął za popręg

tak, że zwierzę się spłoszyło i trzeba je było uspokoić.

- Za tego gangstera z Chicago? - spytał szorstko.

- Właśnie za niego. - Cole zaciągnął się dymem. - Będą mieszkać u jego matki.

- Fantastyczny początek małżeństwa. - Turek roześmiał się, ale gdy się odwrócił, by przekazać osiodłane zwierzę jednemu z kowbojów, jego oczy spochmurniały. Mężczyzna miał zwichnięty nadgarstek, więc Turek musiał mu pomóc wsiąść na konia. Gdzie tam twardemu człowiekowi słuchać lekarza, który zaleca odpoczynek! Turek mruknął coś na temat uporu kowboja, a Cole uważnie mu się przyglądał, nie zwiedziony bynajmniej pozorami zwyczajnej rozmowy. Wyraźnie widział, że Turek jest całkiem załamany.

- Katy nie miała dość ikry, by mi to powiedzieć osobiście. Przesłała telegram - podjął Cole po odjeździe kowboja.

- Jak to znosi twoja matka? - spytał Turek, poprawiając uzdę, której niczego nie brakowało.

- Bardzo dobrze. Aż się zdziwiłem. Lacy wygląda na nieco przejętą. Nie zna tego faceta, a Katy zajmuje w jej sercu co najmniej połowę miejsca. Przez wiele lat stanowczo za dużo kisiły się we własnym sosie.

Turek obrócił się i spojrzał na przyjaciela.

- A ty co myślisz?

- Zabiłbym tego skurwysyna - powiedział cicho Cole.

- Ja też. - Turek odszedł od boksu, zostawiając konia, i wyciągnął rękę po tytoń oraz bibułkę. Cole rzucił mu potrzebne rzeczy. Turek skręcił papierosa zadziwiająco pewnym ruchem palców. Był to jeden ze znaków firmowych tuza lotnictwa w czasie wojny: nerwy ze stali. Nic nie mogło wytrącić go z równowagi.

- Na miłość boską, powiedz coś - odezwał się Cole. - Przecież znam cię jak brata, więc przestań udawać, że guzik cię to obchodzi.

Turek podniósł głowę. W szarych oczach odbijało się zniechęcenie.

- Co mogę powiedzieć? To ty mi kazałeś trzymać ręce z dala od niej.

- Myślałem, że będzie następna w szeregu - powiedział rzeczowo Cole. - Nie wytrzymujesz zbyt długo z kobietami. Jesteś kolekcjonerem skalpów.

- Odkąd straciłem żonę, nie masz podstaw, by tak uważać - odparł krótko. - Ale nie sądziłem, że mogę jej cokolwiek dać.

- A teraz?

Wzruszył wielkimi ramionami. Wbił wzrok w znoszone, zakurzone buty.

- Przez cały czas myślę o Katy - wyznał z wahaniem w głosie. - Cały ten kult bohatera

traktowałem jak coś, co było, jest i będzie. Teraz dałbym wszystko za to, żeby zechciała na mnie spojrzeć w ten sposób. - Zamknął oczy, przejęty nagłym bólem. - O Boże, Cole, wypędziłem ją. To moja wina. Powiedziałem, że widzę, co do mnie czuje, ale niczego nie mogę jej dać. To musiała być kropla, która przepełniła czarę. - Zaciągnął się dymem i zaraz go wypuścił. - Wyjechała niedługo potem.

- Przyjmuję część winy na siebie - powiedział cierpliwie Cole. - Może gdybym ci nie powiedział nic na jej lemat...

Turek uśmiechnął się żałośnie.

- Zwyczajnie próbowałeś ją chronić. Jestem babiarz, obaj wiemy, jak bardzo lubię kobiety. Ale nigdy nie było tak jak z Katy. Wiesz, Cole, nie mógłbym bez mrugnięcia okiem traktować jej jak jeszcze jednej łatwej zdobyczy. Zawsze wydawała mi się kimś szczególnym.

- Może on będzie dla niej dobry - powiedział z wahaniem Cole.

- A może ja zostanę prezydentem - powiedział Turek, spoglądając bykiem. Skupił wzrok na koniuszku skręta. - Cholera, rzygać mi się chce na myśl o niej z tym wyszczekany gangsterem.

- Zatankuj do pełna - powiedział Cole, pół żartem, pół serio. - Polecimy do Chicago samolotem i ostrzelamy go z powietrza.

Turek uśmiechnął się nieszczercze. Spojrzał w twarz przyjaciela.

- Czasem zachowujesz się za bardzo po indiańsku. Lubisz się mścić i któregoś dnia może cię to załatwić.

Cole zacisnął swe cienkie wargi.

- Jestem uczuciowy.

- Nie widać po tobie - stwierdził Turek prychnając. - Czemu nie powiesz Lacy prawdy?

Cole przestał się uśmiechać.

- Uważaj - ostrzegł przyjaciela. - Są granice, których nawet ty nie możesz przekroczyć.

- No, to mnie uderz - powiedział Turek. - Ale i tak ci powiem. Mylisz się co do Lacy. To twarda dziewczyna. A jeśli nie będziesz się pilnował, to możesz ją stracić drugi raz.

- Na pewno nie, jeśli będzie to ode mnie zależało - wyrwało się Cole'owi.

- Więc przestań bawić się w tajemnice. W maskowaniu uczuć jesteś jeszcze gorszy niż ja. - Znow uniósł papierosa do ust i na chwilę rozdzieliła ich chmura dymu. - Ona musi coś do ciebie czuć, bo inaczej by nie wróciła. Przemyśl to, Cole.

- Przecież myślę - burknął. Westchnął ciężko, przeszukując wzrokiem horyzont. - Strasznie paskudzę to wszystko. Skrzywdziłem ją... - Odwrócił oczy i naprawdę poczerwieniał.

Turek przyjrzał mu się badawczo. Popychanie Cole'a do zwierzeń mogło okazać się



niebezpieczne, ale nie chciał, żeby przyjaciel dalej nosił się ze swymi ranami, dlatego bardzo starannie dobrał słowa.

- Wiesz, dla kobiet pierwszy raz jest czasem trudny. Kobiety nie są podobne do nas, trzeba nad nimi popracować.

Cole dosłownie wytrzeszczył na niego oczy.

- Co trzeba nad nimi? Turek wcisnął ręce do kieszeni.

- Muszą być podniecone. Jeśli nie są, to czują ból, nawet jeśli nie jest to pierwszy raz. - Obserwował nieruchome rysy Cole'a. - Nie wiedziałeś o tym?

Cole znowu ciężko westchnął. Palił papierosa ze wzrokiem utkwionym w horyzont.

- O Boże, nic dziwnego... - jęknął. - Nie wiedziałem tego - powiedział szorstko. - Nie wiedziałem. - Spojrzał na przyjaciela. - No, możesz się śmiać. Śmieć się!

Turek pokręcił głową.

- Z ciebie nie będę. Nigdy. Dobrze cię rozumiem. Zresztą znam tę historię - powiedział cicho. - Nie ma się czego krępować.

- Tak sądzisz? - Cole patrzył w ziemię, policzki miał zaróżowione. - Wolałbym umrzeć, niż pozwolić, żeby się dowiedziała.

- Nie musi, jeśli będziesz ostrożny - powiedział Turek i przymrużył powieki. - Możesz się postarać, żeby cię chciała.

Cole zazgrzytał zębami. Jego duma cierpiała katusze, ale uczucie do Lacy okazało się silniejsze. Niech tam, przecież Turek jest jego przyjacielem. Jediną osobą na świecie, która wie, dlaczego jest taki, jaki jest.

- Jak? - spytał krótko.

- Poproś, niech ci powie, co jej sprawia przyjemność - powiedział spokojnie Turek bez śladu kpiny czy rozbawienia. - To wydaje się cholernie wyrafinowane, podnieca kobiety do szaleństwa. Bądź pewny siebie. Uważaj na jej reakcje i zawsze udawaj, że wiesz, co robisz, nawet jeśli tak nie jest. Trzeba wykazać się sprytem - dodał z nikłym uśmiechem. - To jest jak planowanie kampanii, żołnierzu. Stawiasz sobie cel i cał po calu do niego dążysz.

- Skąd mogę wiedzieć, kiedy ona jest gotowa? - spytał cicho.

Turek opisał mu bez najmniejszego zakłopotania oznaki kobiecego podniecenia.

- Jedno jest ważne - dodał. - Kiedy kobieta przeżywa rozkosz, nie oczekuj, że będzie się uśmiechać. Przeciwnie, będzie wyglądać, jakbyś ją darł na sztuki. Może płakać, jęczeć, gryźć i drapać. Nie bój się, że ją krzywdzisz. Jeśli tak będzie, to ci powie. Rozkosz i ból czasem wyglądają zupełnie tak samo. A poza tym masz szczęście, że ona nie wie więcej od ciebie - stwierdził. - Nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jaką ci to daje przewagę.

- Cholera - westchnął Cole, przyglądając się papierosowi. - Że też w moim wieku jestem taki kolek. Ale przed wojną jak tata umarł, musiałem zapracować na utrzymanie rodziny. A potem... potem nie miałem odwagi spróbować. Lacy nigdy się nie dowie, jakie przeżyłem piekło, kiedy musiałem się z nią ożenić. Zawsze jej chciałem, ale nie mogę strawić litości. Nie wiedziałem, jak zareaguje, musiałbym sprawdzić... - Na chwilę zamknął oczy, potem odwrócił wzrok. Zaciągnął się dymem. - Co innego walczyć z Niemcami, a co innego znaleźć się z Lacy i... no, robić to.

- Żałujesz, że ci zabrałem lufę sprzed skroni, co, kowboju? - spytał prowokująco Turek. - Ja nie żałuję. Któregoś dnia ty też stwierdzisz, że nie żałujesz. Lacy jest niezwykłą kobietą. Przekonasz się. A jeśli nie będziesz się z nią śpieszył i postąpisz tak, jak ci mówię, to możesz odkryć w sobie talenty, których istnienia nawet nie podejrzewałeś.

- Skąd, do diabła, dowiedziałeś się tyle o kobietach? - spytał zaintrygowany Cole.

- Zawsze jakoś padały mi w objęcia - odrzekł Turek chichocząc. - A małżeństwo jest wspaniałą lekcją. Ze swoją kobietą możesz urządzać fascynujące poszukiwania, odkrywać sposoby dawania i brania rozkoszy. - Spojrzał mu w oczy. - To jest bardziej podniecające niż wielka bitwa.

- Doświadczenie trochę pomaga - westchnął Cole.

- Zdobywanie doświadczeń jest ciekawsze. I bardziej zabawne - oświadczył Turek, szczerząc zęby.

Cole dokończył papierosa.

- Byłoby mi łatwiej, gdybym mógł z nią spędzać trochę więcej czasu. Ale sprawy układają się kiepsko i idą coraz gorzej - stwierdził kierując znaczące spojrzenie na bydło za płotem. - Popatrz na te sukinsyny. Nie mam dla nich dość żarcia. Nie stać mnie, żeby kupić im dość paszy na zimę. A bez nich nigdy nie spłacę kredytu w banku. Stary Henry już sobie ostrzy zęby na to ranczo. Wykupił dług Johnsona, a przecież Johnson był winien mniej niż ja.

- Masz przyjaciół - przypomniał mu Turek. - Sąsiedzi znają cię od niepamiętnych czasów. Dużo dla nich zrobiłeś. Nie zapomną o tobie. Jeśli dojdzie do walki, staną po twojej stronie.

- Co oni mogą? Ekonomia zabija nas wszystkich. Gada się o dobrobycie, ale popatrz dookoła. Farmerzy bankrutują jeden za drugim. Może na Wall Street jest wspaniale, ale stąd do Nowego Jorku jest kawał drogi. Mnie się zdaje, że zmierzamy ku katastrofie. Ożywienie w gospodarce to pięknie brzmi. Zbyt pięknie, żeby było prawdziwe. To nienaturalne.

- Przez tę wojnę wszystko strasznie podrożało. Wojna się skończyła, ale dużo ludzi nie ma pracy. Ranczerzy i farmerzy cierpią z tego powodu dużo bardziej niż biznesmeni. Bardzo chciałbym, żeby Coolidge coś z tym zrobił.

- Daj mu czas - odparł Cole. - Dopiero zaczął kadencję. Może coś zrobi.

- Może. - Turek cisnął papierosa na ziemię i wdeptał go piętą w błoto. - Chyba urządzę sobie przejażdżkę wzdłuż granicy rancza. Jestem akurat w nastroju do kopania dziur pod słupy.

- Nie łam rąk nad Katy - powiedział Cole, gdy Turek dosiadł swego wałacha. - Dziewczyna Whitehallów da sobie radę.

- Na pewno. - Turek podsunął do góry kapelusz, zasłaniający mu oczy. - Tak jest lepiej. Co ja mógłbym jej dać?

- Może więcej, niż sądzisz - odparł Cole. - W każdym razie przykro mi, że załatwiłem sprawę za ciebie. Dla mnie Katy też jest kimś wyjątkowym.

Turek krzywo się uśmiechnął.

- Na razie.

Cole przyglądał się odjazdowi przyjaciela z mieszanymi uczuciami. Wyglądało na to, że ostatnio nic mu nie wychodzi. Ech, te kobiety.

Lacy. Wrócił myślą do rozmowy sprzed kilku wieczorów i cudownego pocałunku, jaki wymienili. Od tej pory już jej nie dotknął. Owszem, rozmawiali, poszli na spacer nad strumień, ale kochać się z nią nie próbował, nawet jej nie pocałował. Nie było to łatwe, gdyż spali w jednym łóżku. Wynajdywał więc sobie pracę do późnych godzin i przychodził przeważnie wtedy, gdy Lacy już spała. Miał dziwne przeczucie, że żona chciałaby się z nim kochać, jak jednak miał to robić ubrany, nie ryzykując pytania „dlaczego?” Ech, może z czasem nabierze do niej zaufania i pozbędzie się tych lęków.

Zaklął pod nosem i zaczął siodłać konia. Czas zająć się bydłem. O resztę mógł się martwić w wolnych chwilach.

Spojrzał na horyzont. Ciekawe, jak wiedzie się Benowi. Chłopak niesamowicie podnieca się swoim nowym zajęciem. Młody jest i narwany. Może gdyby kiedyś spokojnie pogadali, uniknęliby wielu spięć.

Tymczasem w San Antonio Ben radził sobie znakomicie. Matka pozwoliła mu zatrzymać na pewien czas samochód, a w pracy szło mu nie najgorzej.

Przeprowadził się do pensjonatu i każdego wieczoru wypuszczał się do miasta z Jessicą. Nadal podniecała go do szaleństwa. Z coraz większym trudem znajdowali miejsce, gdzie mogliby iść razem, ale było to również ekscytujące. Któregoś wieczoru wyniósł pod kurtką prześcieradło z pensjonatu. Rozłożyli je na przednich siedzeniach samochodu i kochali się jak wariaci w chłodny wieczór pod dębem. Ciała mieli tak gorące, że nie zwracali uwagi na zimno dookoła. Oboje rozebrali się do naga, a groźba, że ktoś ich nakryje, jeszcze dodawała pieprzu całej zabawie. Potem Jessica leżała na jego kolanach, wciąż naga, i przy księżycu pozwalała mu robić rzeczy,

których samo wspomnienie go podniecało.

Jedynym mankamentem w nowym życiu było dziennikarstwo. Początkowo właśnie praca wciągała go najbardziej. Bena w zasadzie nie interesowały teksty o seksie ani skandalach, ale tego właśnie wymagał od niego pan Bradley. Właściciel lokalnej gazety robił, co mógł, żeby dotrzymać im kroku, ale brukowiec Bradleya sprzedawał się o niebo lepiej. Był w tym duży udział Bena. Miał taki talent, że z najsuchszego policyjnego doniesienia umiał stworzyć smakowity skandal. Bradleyowi grożono procesami; raz nawet w redakcyjnym pokoju brat bohaterki tekstu zdzielił Bena pięścią w nos. Ale nakład i tak rósł. Włączenie do pisma krzyżówki stanowiło kolejne celne posunięcie, udało im się bowiem podchwycić modę.

Któregoś dnia Bradley polecił Benowi coś wymyślić, bo w tygodniu nie było żadnych wiadomości, które zapewniłyby numerowi sukces. Ben ochoczo wykorzystał więc jedną z opowieści Turka i zrobił z niej tekst na pierwszą stronę.

Wygląda na to, pisał, że po okolicznych ranczach włóczy się jakieś dzikie stworzenie wielkości niedźwiedzia grizzly, z olbrzymimi łapami. Stworzenie to chodzi tak jak człowiek i ma futro, które przypomina ludzkie włosy. Jeden z ranczerów znalazł kołtun takiej sierści, zaczepiony na drucie kolczastym w pobliżu zmasakrowanych ciał dwóch krów. Ben zdobył nawet fotografię tego kołtuna, który w istocie był kosmykiem jego własnych włosów, ściętym nożyczkami przez Jessicę. Nadziali je na drut kolczasty, a redakcyjny fotograf zrobił zdjęcie. Historia chwyciła i sprzedaż znowu wzrosła. Tydzień w tydzień Ben dokładał coś nowego.

Jego zażyłość z Jessicą rozwijała się błyskawicznie. O dziennikarskich sukcesach Bena zaczęło być głośno w kraju, a pan Bradley pracowicie podsyczał te pogłoski, Jessica zaś, widząc nadarżającą się okazję, zaczęła czynić subtelne i mniej subtelne aluzje do małżeństwa.

Ben z zapalem się oświadczył. I wtedy Jessica oznajmiła mu, że wraz z ojcem chcieliby poznać rodzinę Whitehallów. Ben omal nie dostał apopleksji na myśl o wzięciu ich do Spanish Flats. Owszem, dom wyglądał całkiem elegancko, dawno temu zbudował go prawdziwy hiszpański grand, ale Cole był nieokrzesany i w najlepszym razie nieobliczalny, podobnie jak Turek. Ben martwił się, co starszy brat może powiedzieć i zrobić, dowiedziawszy się o jego „znacznym zaangażowaniu w finanse i interesy rancza”. Nie miał ochoty dostać po pysku w obecności przyszłej żony. Odwlekał więc wizytę, karmiąc Jessicę opowieściami o długiej podróży rodziny po Europie, obejmującej odwiedzin u Hemingwayów we Francji i kibicowanie corridom w Madrycie. Poskutkowało. Ben w spokoju zajął się więc pracą, a zatroskaną matkę pocieszył któregoś dnia telefonem. Małżeństwo Katy z biznesmenem z Chicago stanowiło dla Bena wstrząs, bardzo więc uważał, żeby nie wspominać o okolicznościach tego wydarzenia ani pracodawcy, ani narzeczonej. Nie chciał, żeby wiedzieli o procederze męża Katy. Pomyślał ze złością,

że rodzina robi wszystko, żeby zepsuć mu opinię.

Daleko, daleko w Chicago Katy przyzwyczajała się do nowego rytmu życia, w którym oddawała się na zmianę rozrywkom i złym przeczuciom. Danny niekiedy zauważał jej obecność, ale głównie interesował się swoją spelunką, kokietowaniem miejscowych polityków i robieniem pieniędzy.

Odwiedzali ich w większości fascynujący ludzie: postaci z życia publicznego i znani gangsterzy. Katy wyedukowała się więc w kierunku, którego jej rodzina z pewnością by nie pochwaliła. Zaczęło się od kosztownych strojów, które Danny koniecznie chciał jej kupić. Potem nastąpiły klejnoty, futra i samochody wyścigowe. Cały ten blichtr nieuchronnie prowadził do przyjęć, gdzie alkohol płynął nie kończącą się rzeką. Nic dziwnego, że Katy nauczyła się pić bez umiaru.

Piła coraz więcej, zwłaszcza że Danny coraz bardziej ją zaniedbywał. W łóżku zawsze mu się śpieszyło. Nawet pierwszej nocy załatwił sprawę na chybcika i bez słowa, biorąc ją bez żadnych wstępów, chyba że miało ją podniecić kilka gwałtownych, szorstkich pocałunków. Nie podnieciło. W pewnym sensie Katy nawet się cieszyła, że mąż szybko znajduje zaspokojenie, bo nie miała pokus, by porównywać jego sztukę miłosną z długimi, czuлыми pieszczotami, jakimi kiedyś obdarzył ją Turek. Zamknęła oczy i westchnęła na wspomnienie tego uniesienia. Żaden mężczyzna nie mógłby jej już teraz zaspokoić. Danny lubił świadomość, że ją ma, ale bardziej interesowało go robienie pieniędzy niż miłosne igraszki.

Po pierwszych kilku tygodniach, kiedy zawsze był gotów iść z nią do łóżka, przestał się nawet interesować, czy położyła się przed nim. Nigdy też jej nie budził. A im bardziej ją ignorował, tym więcej Katy piła. Nie kochała go, ale raniło jej dumę, że mąż tak szybko odwrócił się od niej i zajął się interesami. Na domiar złego miała na karku Mamę Marlone.

Mama Marlone była arogancka, w każdym razie zawsze, gdy wykazywała zainteresowanie obecnością Kary. Wszystko robiła wyłącznie dla Danny'ego. Gotowała, prała, nadopiekuńczo się zamartwiała, prasowała... W domu nie było ani służącej, ani gospodyni. Mama dbała o chłopca. Katy stała jej na drodze. Katy nie robiła dla jej chłopca wystarczająco dużo. Katy powinna chodzić z nim do klubu, sprawdzać, czy niczego mu nie trzeba, gdy pracuje, dbać o to, żeby dobrze się odżywiał. Katy powinna robić dosłownie wszystko, z jednym wyjątkiem: nie powinna była wychodzić za mąż za Danny'ego. Po pewnym czasie stało się to główną nauką, jakiej udzielała jej Mama. Im bardziej Danny zaniedbywał Katy, im bardziej Mama na nią narzekała, tym więcej Katy piła.

A potem przyszło najgorsze. Danny uznał, że ma zbyt mały wpływ na bossa z sąsiedztwa, by zaproponować mu połączenie interesów w branży alkoholowej. Postanowił więc zachęcić

sąsiada do zawarcia układu podsuwając mu wyjątkowy rarytas: Katy.

Lacy zastanawiała się, czy jest w stanie w jakikolwiek sposób przyciągnąć uwagę Cole'a. Stopniowo traciła przyczółek zdobyty w pierwszym dniu po powrocie. Widziała, że Cole martwi się o ranczo, że zaprzatają go kłopoty finansowe. Ostatnio jednak zaczęły one mieć zły wpływ na ich małżeństwo. Przez ubiegły tydzień prawie Cole'a nie widziała. Przychodził późno, kiedy już spała, a wychodził do swoich zajęć, zanim zdążyła otworzyć oczy. Cole'a niepokoiło też małżeństwo Katy, a z Turkiem najwyraźniej było podobnie, bo i on spędzał większość czasu na świeżym powietrzu, z dala od domu.

Był pogodny dzień, wyjątkowo ciepły jak na listopad. Lacy wybrała się więc na spacer bez wierzchniego okrycia; włożyła tylko jedwabną beżową sukienkę do kolan i wygodne pantofle. Ranek spędziła z Marion, adresując koperty do zaproszeń. Marion postanowiła bowiem wydać bal na cześć Bena i jego narzeczonej. Ben, co dziwne, nie życzył sobie tego przyjęcia, ale ustąpił, gdy matka wybuchnęła płaczem i zarzuciła mu, że się jej wstydzi. Miało więc odbyć się przyjęcie z udziałem wszystkich sąsiadów. Marion bała się mówić o tak poważnym wydatku z Cole'em, dlatego wydelegowała synową.

Lacy ucieszyła się z okazji. Mogła zobaczyć męża nie zagrożona wścibstwem Cassie, Marion i kowbojów. Cole ćwiczył młodą klacz w małym korralu, oddalonym nieco od stajni. Dookoła nie było żywego ducha. Nad zagrodą górował dąb, któremu pozostało jeszcze trochę liści. Reszta leżała na ziemi, tworząc wielobarwny dywan.

Lacy uwielbiała jesień. Z westchnieniem usiadła pod drzewem w oczekiwaniu, aż Cole skończy swoje zajęcie. Od czasu do czasu nerwowo spoglądała na ciemniejące niebo. Zanosiło się na deszcz, a ona nie wzięła parasolki.

Zwierzę, którym zajmował się Cole, było rasy appaloosa, ale cętki dopiero zaczęły mu się pokazywać. Konie tej rasy rodzą się śnieżnobiałe, nakrapiane stają się dopiero później. Lacy lubiła wzory, w jakie układają się cętki. Niewiele wiedziała o koniach, ale zwierzęta rasy appaloosa bardzo jej się podobały.

Kapelusz z szerokim rondem zasłaniał Cole'owi oczy, chroniąc je przed słońcem, które zresztą szybko znikło za chmurami. Cole był w stroju roboczym; miał na sobie obcisłe dżinsowe spodnie i równie obcisłą bawełnianą koszulę, pod którą grały mu wszystkie mięśnie. Jest niezwykle męski, pomyślała Lacy, siedząc z kolanami podciągniętymi pod brodę. Uwielbiała przyglądać się Cole'owi. Teraz też podziwiała jego wysoką, umięśnioną sylwetkę, podczas gdy prowadził młodą klacz na wodzach dookoła korralu. Ze zwierzętami Cole potrafił robić cuda. Okazywał im taką czułość, jakiej Lacy nigdy od niego nie doznała.

Czasem zdawało jej się, że ludzie go nie obchodzą. Może przez lata zebrał w sobie zbyt wiele uraz. Przypomniała sobie, jak Katy kiedyś jej opowiadała, że gdy Cole był chłopcem, wyśmiewano się z niego, bo miał wielkie stopy, był patykowaty i nie umiał swobodnie zachowywać się przy dziewczynach. Jakby nie dość tego, dziadek wypróbował na nim nieortodoksyjne metody wychowawcze. Nauczył go polować, zastawiać sidła i żyć z tego, co daje ziemia. Nauczył go też nie okazywać uczuć i nie ufać innym ludziom, bo sam taki był wobec wszystkich z wyjątkiem babki Cole'a. I nikt nie wykształcił u Cole'a czułości. W szkole chłopcy zaakceptowali go dopiero wtedy, gdy nauczył się robić użytek z pięści. Dziewczynki nie zaakceptowały go nigdy. Unikały go nie dlatego, że był nieatrakcyjny, lecz po prostu jego milkiwy, chłodny sposób bycia budził w nich lęk.

Lacy nigdy się go nie bała. Była wprawdzie wstydliva, ale rozmawiała z nim, nawet żartowała. Cole miał od niej tylko cztery lata więcej, teraz jednak wydawało jej się, że co najmniej czternaście. Krępował ją jak nastolatkę. Jeśli chciała być mężatką, musiała jakoś się z nim porozumieć.

Cole spostrzegł ją, chociaż się z tym nie zdradził. Nadal pracował nad koniem, zastanawiając się, po co Lacy przyszła. Po rozmowie z Turkiem czuł się przy niej dziwnie niepewnie, a to go złościło, więc utrzymywał dystans. Czy jednak Lacy nie frasowały jego uniki? Przystanął pośrodku korralu, zwolnił wodze, poklepał klacz po karku, zdjął jej uzdę i puścił ją wolno. Musiał się przekonać, czy Lacy wygląda na zafrasowaną.

Zręcznie przesadził ogrodzenie, żeby nie tracić czasu na chodzenie do bramy, i ruszył wolnym krokiem w jej stronę. W dłoni trzymał wodze i uzdę.

- Witaj, dziewczyno z miasta - zażartował, wątle się uśmiechając. - Co cię tu sprowadza?

Spojrzała na niego przekornie, siłą woli powstrzymując się przed odwrotem. To tylko maska, pomyślała. Ukrywa się za nią, żeby nie mogła się zbliżyć i go zranić. Raz już prawie się do tego przyznał.

- Myślałam, że jeśli przyjdę tutaj w jednej z moich wyzywających sukienek, rzucisz mnie na liście i będziesz się ze mną namiętnie kochał - odparła, chociaż serce niemal jej zamarło od tej wstrząsającej śmiałości.

Cole'owi również mocniej zabiło serce. Zastanawiał się, czy należy potraktować te słowa żartem, czy dosłownie. Przeprowadził więc dokładne oględziny profilu żony.

- Oglądałaś za dużo filmów z Rudolfem Valentino - powiedział ze śmiechem.

- Pewnie tak. - Nie podjął gry. Trudno, trzeba spróbować czego innego. - Ładna jest ta klacz.

Wyciągnął z kieszeni tytoń z bibułką i usiadł obok. niej.



- A jest. Będzie miała dobre źrebięta, jak przyjdzie czas.

- Wchodzisz w hodowlę koni? - spytała uśmiechając się szeroko.

- Trzymam kilka dla własnej przyjemności - odrzekł i polizał bibułkę. Potem zapalił papierosa. - Oczywiście oprócz tych roboczych.

- To na tych koniach pracujesz przy bydle, prawda?

- spytała, patrząc za ogrodzenie korralu.

- Przy tym, które zostało - potwierdził z westchnieniem. - Będzie cholernie długa zima.

- Nie możesz pożyczyć trochę siana od sąsiadów?

- Sąsiedzi też cienko prędą. Próbowałem nawet sprzedać część stada, ale ceny są takie niskie, że wyszedłbym na tym gorzej niż zatrzymując bydło do wiosny z nadzieją, że ceny pójną w górę. - Spojrzał na koniuszek papierosa.

- Przez pewien czas możemy mieć tu ciężkie życie, dziewczyno z miasta. Lepiej się spakuj i wracaj do domu.

- Mój dom jest przy tobie, kowboju - powiedziała cicho. - Zobaczę, jak mi się będzie wiodło tutaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Czemu sposób, w jaki to powiedziała, tak go poruszył? Musiał się siłą hamować, żeby nie porwać jej w objęcia. Dziewczyna pełnej krwi, szkoda słów. Od ciemnych włosów po te malutkie stopy. Przesunął wzrokiem po jej ciele, zatrzymując się na wzgórkach piersi, napinających cienki jedwab. Patrzył tak, aż zauważył na nich dwa sterczące czubeczki. Niespodziewanie przypomniał sobie coś z objaśnień Turka. Najwyraźniej Lacy również wiedziała, co to znaczy, nagle podciągnęła bowiem kolana pod brodę, żeby to ukryć.

- Wiesz... Marion prosiła mnie, żebym z tobą porozmawiała - zaczęła prosto z mostu.

- Naprawdę? O czym? - Właściwie nie słuchał. Wiedział, że ją podniecił, i zrobiło to na nim wrażenie.

- Ben się zaręczył, to wiesz, prawda?

- Owszem, słyszałem.

- Mama chce wydać zaręczynowe przyjęcie. Twarz mu spochmurniała.

- Skąd zamierza wziąć pieniądze? Obrabuje bank?

- Posłuchaj, Cole... - zaczęła Lacy, kładąc mu rękę na ramieniu. - Powiedziałam jej, że mam w San Antonio pełno srebra i porcelany, które można wykorzystać, wystarczy je sprowadzić. Moglibyśmy zarznąć wołu i świnie i wziąć trochę warzyw w słoikach, które Cassie zgromadziła w spiżarni. Na bufet wystarczy. Nie musimy podawać eleganckiego obiadu przy stole. Wystarczy, żeby było coś na przekąskę dla sąsiadów.

Odwrócił się od niej. Wydawał się napięty. Milcząc palił papierosa.

- Daj spokój - powiedziała łagodnie. - Nie bądź taki. Mam ten spadek i nic na to nie poradzimy, a przecież jesteśmy małżeństwem.

- Jesteśmy? - spytał. Przygryzła wargę. W jego głosie było tyle zapiekłej goryczy.

- Benowi coś się od nas należy, nie sądzisz? - Zmieniła taktykę. - Jest Whitehallem, a ta praca ma duże znaczenie dla jego przyszłości. Odkąd się do niej wziął, przestaliśmy zwracać na niego uwagę, bo tutaj sprawy idą tak, jak idą. Czy nie możemy zrobić dla niego choć tego jednego, Cole? I czy nie możesz choć raz zapomnieć o swojej dumie i pozwolić mi pomóc?

- Lacy... - zaczął patrząc na nią surowo.

- Dla Bena - przekonywała. Westchnął na wpeł gniewnie. Kiedyś po prostu by odszedł. Delikatność Lacy sprawiała, że stopniowo miękł. Spojrzał na nią.

- Ech, wy kobiety. Stajesz się sufrażystką. Zaczyna ci się wydawać, że jesteś mężczyzną, co?

- Niezupełnie - mruknęła z szelmowskim uśmieszkiem. - Twoje buty są na mnie za duże, ty wielkostopy typie.

Zaskoczyła go. Uniósł brwi i przyjrzał się własnym stopom, zapominając o papierosie dymiącym mu w dłoni.

- No, mam wielkie stopy - przyznał, mierząc wzrokiem zakurzone i znoszone wysokie buty z brązowej skóry. - No, takie już są. - Zaciągnął się dymem. W porządku. Powiedz matce, że może urządzić to cholerne przyjęcie, jeśli zapłacisz rachunki.

- Jesteśmy małżeństwem - powtórzyła raz jeszcze. - Duma nie powinna nas dzielić.

- Duma jest moją największą wadą, Lacy - powiedział. Spod przymrużonych powiek patrzył, jak klaczka staje dęba. - Przy urodzeniu dostałem podwójną dawkę. Jest mi cholernie trudno przyjąć pieniądze od kobiety.

- Czy sądzisz, że byłoby mi łatwiej przyjąć pieniądze od ciebie, Colemanie Albercie?

Spojrzał na nią, nieco rozbawiony nagłym wybuchem jej dumy. Tak, jego żona na swój sposób była równie dumna jak on.

- Masz rację, Alexandro Nicole. Uśmiechnęła się z zachwytem. Nigdy nie mówiła mu, jak ma na drugie imię. Mógł się dowiedzieć tylko w jeden sposób.

- Nie wiedziałam, że czytałeś nasz akt ślubu. Wzruszył ramionami.

- Wisiał przez kilka tygodni na ścianie, zanim przyzwyczailem się do tego widoku. - Dokończył papierosa i zgasił go starannie na gołej ziemi, żeby nie zajęły się suche liście. - Znowu duma, Lacy. Nie umiałem nawet przeprosić cię za to, co stało się tamtej nocy.

Zdziwiło ją, że Cole czuje taką potrzebę. Niewątpliwie w jego stalowej zbroi było jakieś pęknięcie.

- Wiem, że nie chciałeś mnie skrzywdzić - powiedziała zniżając głos. Spojrzeli sobie w oczy, a otaczająca ich cisza stała się nagle pełna uczuć i ciepła. - To, co robiliśmy wtedy rano, było niezmiernie przyjemne - powiedziała cichutko. - Myślałam o tym przez cały dzień, marzyłam o tej chwili. Wieczorem byłam cała jak w gorączce.

Wyciągnął dłoń i dotknął jej rozchylnych warg. Poczł wilgotne ciepło przenikające warstwę ciemnoczerwonej szminki i leciutkie drżenie ust. Lacy wydawała się całkiem bezbronna. Poruszyła coś w jego wnętrzu, tak że słowa, które wypowiedział, padły całkiem bez udziału jego woli.

- Lacy... ja nie wiedziałem. - Zawahał się, trudno było to powiedzieć. - Nie wiedziałem, że kobieta musi być najpierw podniecona. - Spojrzała na niego osłupiała.

Na policzki wypływał mu ciemny rumieniec. - Tak, Lacy. Dla mnie też był to pierwszy raz.

- Dla ciebie?... Jak to?

- Na pewno pamiętasz, jak przyjechałaś do Spanish Flats. - Mówiąc to wpatrywał się w jej usta. - Dźwigałem za dużo odpowiedzialności. Potem wybuchła wojna. Koszmar. - Westchnął ciężko. - A potem nie interesowałem się kobietami - powiedział, odwracając oczy. Podniósł gałązkę i zaczął ją wykręcać w palcach. - Nie skrzywdziłbym cię świadomie, Lacy. Po prostu za mało wiedziałem.

Do oczu napłynęły jej łzy. Pochyliła głowę, żeby Cole nie zauważył. Wyobrażała sobie, ile odwagi wymagało to wyznanie od takiego dumnego człowieka.

- Cieszę się - szepnęła żarliwie. Spojrzała mu w oczy. Udało jej się niepewnie uśmiechnąć. - Gdybyś powiedział mi to osiem miesięcy temu, nigdy bym cię nie zostawiła!

- Myślałem, że odeszłaś, bo cię skrzywdziłem, bo zaczęłaś się mnie bać.

Pokręciła głową.

- Nie. Po prostu myślałam, że mnie wykorzystujesz. Nie przyszło mi do głowy, że przedtem z nikim innym nie byłeś. Mężczyźni w tych czasach są... no, bardzo obcy, jak Turek.

Odprężył się. To śmieszne, że obawiał się tej chwili. Aż trudno mu było uwierzyć, że Lacy nie przeszkadza jego brak doświadczenia.

- Nie miałem okazji nabrać obycia. Ojciec zmarł przedwcześnie. Poza tym wiesz, jakie wrażenie robiłem na kobietach.

- Owszem - stwierdziła ze znaczącym uśmiechem. - Niszczące.

- Nie rób sobie kpinek.

- Nie robię. Podziwiałam cię z oddali, ale byłeś wobec mnie pełen rezerwy i niewzruszony, więc uznałam, że nie spełniam twoich oczekiwań.

- A to ci dopiero - powiedział półgłosem.

- Robiłam wszystko, brakowało tylko, żebym powiesiła sobie tabliczkę na szyi - szepnęła. Trudna była taka szczerłość, krępująca. - Zdawało mi się, że jesteś najwspanialszym zjawiskiem na świecie, jakie spotkałam na swojej drodze od czasu założenia bieżącej wody. Roześmiał się.

- Obchodziłaś mnie na milę.

- Bałam się, że zauważysz, jaką mam na ciebie ochotę.

- Gdybym zauważył, byłabyś w ciężkich opałach - powiedział tonem przekomarzania. - Widziałem, jaka z ciebie dzierlatka. Długie, zgrabne nogi...

- Coleman!

- Przepraszam. Kończyny. Zmiażdżyła go wzrokiem, nagle zaczerwieniona, a on tylko się uśmiechnął. Otwarcie przyglądał się jej ciału. Turek kazał mu odgrywać pewność siebie i udawać, że wie, co robi. Wyglądało na to, że metoda skutkuje. Naprawdę ją spłoszył i zrobiła się jakby bardziej kobieca.

- Wstydzisz się, co? - powiedział cicho, zadowolony z jej reakcji. Zdjął kapelusz i cisnął go na bok, opierając plecy o pień wielkiego dębu. Spojrzał na Lacy z uśmiechem. Wydawał jej się bardzo męski.

Poczuła, że twarz jej płonie. W San Antonio to ona była myśliwym, teraz znowu stała się zdobywcą. Jeśli Cole jest taki niedoświadczony, to skąd tyle wie?

- Masz cykorię? - drażnił się z nią. - Myślałem, że to ty nie możesz się doczekać, kiedy będziesz dzielić ze mną łóżko.

- Cole...

- Ale się czerwienisz. - Zachichotał. - Jedynym smaczkiem w tym wszystkim jest to, że ty wiesz jeszcze mniej ode mnie.

- Jeśli to taki smaczek, to dlaczego spędziłeś kilka ostatnich nocy z bydłem zamiast ze mną? - spytała zaintrygowana.

- Nie miałas nic przeciwko temu - odgryzł się.

- Nadal nie mam nic przeciwko temu - stwierdziła, a z oczu sypnęły jej gniewne iskry. - Jeśli chodzi o mnie, możesz spać w szopie.

Na cienkich wargach Cole'a wykwitł uśmiech. Boże, ta Lacy ma niezgorszy charakterek. Poczuł, że robi się twardy, więc przestąpił z nogi na nogę, żeby nie zauważyła. Co innego mówić o czymś, co innego demonstrować. Nie chciał wprawić jej w zakłopotanie. Mimo swej uczciwości była równie zamknięta w sobie i pełna rezerwy, jak on.

Zaczęła zbierać się z ziemi. Cole wykonał błyskawiczny ruch, jeden z tych, jakie Lacy kilka razy u niego widziała. Chwyił ją za ramię. W chwilę potem leżała na ziemi, z dłońmi unieruchomionymi nad głową. Cole pożądliwie przyglądał się jej piersiom. Tak, były tam małe,

twarde szczyciki, o których wspominał Turek. Nigdy jeszcze nie czuł się tak bardzo mężczyzną jak w tej chwili.

Lacy poczuła dreszcz podniecenia, biegnący po całym ciele. Tego pragnęła, o tym długo marzyła. Widziała w twarzy Cole'a pragnienie, a ponieważ wiedziała już, że obojgu im brak doświadczenia, nie bała się. Będą wspólnie poznawać własne ciała.

Splótł z nią palce i zaczął nimi poruszać w wolnym, bardzo przyjemnym rytmie. Przez cały czas patrzył jej w oczy.

- Nie boisz się, prawda?

- Teraz nie - szepnęła. Rwany oddech rozchylił jej wargi. Wiatr szeleścił liśćmi w górze, a dębowy zapach ziemi pod jej plecami był niemal tak samo przyjemny jak woń tytoniu i skóry otaczająca umięśnione ciało Cole'a.

Nieco mocniej ścisnął jej dłonie i skupił uwagę na ustach. Wolno się pochylił, zawisając nad nią z nieznacznie rozchylonymi wargami. Lacy odpowiedziała ruchem warg. Bez pośpiechu przysunął się do nich i zaczął smakować ich ciepłą wilgotność. Przycisnął usta nieco mocniej i wtedy zauważył, jak nierówna jest powierzchnia jej warg.

W coraz silniej ogarniającym go zamroczeniu wsunął język do jej ust i znów doczekał się ostrożnej, wstydlivej odpowiedzi. Cicho jęknął, wyobrażając sobie jej nagość, pragnąc jej dotykać w najbardziej intymnych miejscach. Czy mu pozwoli? A gdyby całkiem stracił głowę, to czy zastanowi ją, dlaczego nie pozwala jej dotknąć siebie ani rozebrać?

Z transu wyrwały go przykre obawy. Uniósł głowę. Na wargach czuł oddech podnieconej Lacy. Błękitne oczy miała teraz przymrużone, przesycone żarem pragnienia, wargi lekko nabrzmiałe.

- Nie przerywaj - szepnęła. Uniósł głowę.

- Nie dotykaj mnie - odszepnął. Puścił jej rękę, wyczekując, co się stanie.

Leżała nieruchomo z rękami za głową. Miała swoje podejrzenia, skąd to dziwactwo Cole'a. Wiedziała, że przede wszystkim musi zdobyć jego zaufanie.

Znieruchomiał nad nią na dobrą minutę, wystarczająco długo, by przekonać się, że Lacy bez sprzeciwu poddaje się jego woli.

- Nie chcesz o nic spytać?

- Nie - odszepnęła. Z zachwytem spojrzała mu w oczy. - Będiesz się ze mną kochał?

Cały stęzał. Rozchylił wargi i spojrzał na jej jędrne piersi.

- Pozwoliłabyś mi za dnia?

- Tak. Po jego spragnionym ciele przebiegły ciarki. Boże, jak bardzo tego pragnął. Chciał znaleźć się w jej wnętrzu. Tym razem chciał doprowadzić ją do płaczu z rozkoszy. Chciał, żeby

czuła to, co on czuje, chciał jednocześnie dawać i brać.

- Nigdy nie patrzyłeś na moje ciało - powiedziała zmienionym, chrapliwym głosem. Była niesamowicie podniecona. - Dotykałeś go, ale go nie widziałeś. Nie chcesz?

Zadrzał.

- Boże, pewnie, że chcę! - odpowiedział. - Ale jest biały dzień, Lacy! Moi ludzie czasem zachodzą do stodoły.

Gdyby nie była tak oszołomiona pocałunkami, pewnie nawet by się roześmiała z nuty rozpaczy słyszalnej w jego głosie. Ale rozsądek Cole'a diabli wzięli. Wolno wsunął palce pod kołnierzyk Lacy i zaczął głaskać jej piersi. Czuł, jak żona drży i z trudem oddycha. Wsunął dłoń nieco głębiej, sięgając opuszkami palców twardego koniuszka piersi. Jęknęła. Zaszokowana przyglądała się, jak Cole dotyka jej w tak intymnym miejscu. Pilnowała się, żeby się nie wyrwać.

Była delikatna jak w najcudowniejszym śnie. Tamtej nocy zaszkodziły mu pośpiech i nerwowość. Turek miał rację. Teraz pieścił Lacy z prawdziwą rozkoszą. Spojrzał w jej w oczy - wydawała się wstrząśnięta.

- Podoba mi się to - szepnął gardłowo. - Podobał mi się ten dźwięk, który przed chwilą wydałaś.

Potał opuszkami palców twardą kulkę na szczycie piersi. Lacy odpowiedziała jękiem i przygryzła wargę. Doznanie było niezemskie. Leżała w słońcu, obok był Cole i brał w posiadanie jej ciało, podniecał ją, dawał jej rozkosz. Prawdziwą rozkosz. Popatrzyła, jak Cole pojaśniał, i omal nie pękła z dumy.

Gwałtownie zaczerpnął powietrza i delikatnie wessał twardą sutkę. Lacy wyprężyła się z jękiem. Sprawy zaszły za daleko, by miała przejmować się tym, że Cole zobaczy, jaką reakcję wywołują w niej jego pieszczoty.

Ależ mu się podobała! Cole nigdy przedtem nie widział obnażonych kobiecych piersi, jedynie na obrazach. Tego wieczoru, gdy był z Lacy, nie widział dosłownie nic. Bardzo chciał ją zobaczyć, rozpiąć jej sukienkę i obejrzeć jej ciało, musiał jednak zachować rozsądek. W każdej chwili ktoś mógł przechodzić obok.

Lacy pomyślała, że nigdy jeszcze nie miała tak cudownego doznania jak dotyk dłoni Cole'a. Wyprężyła się lekko, porażona pulsującą rozkoszą. Pieszczoty otwierały przed nią niebo. Nie przypuszczała, że Cole jest zdolny do czułości.

- Tamtego wieczoru prawie mnie nie dotykałeś - powiedziała niepewnie.

- Nie było czasu - odparł. Jego wzrok padł na delikatną, jędrną pierś Lacy. Wolnym ruchem palców potarł sutek. - Lacy, co czujesz, kiedy cię tak dotykam?

- Wielką słabość - szepnęła chrapliwie. - Dreszcze...

Trącił nosem jej nos. Poczula na wargach jego oddech, przyśpieszony i nierówny. Cole delikatnie ucisnął sutek palcami. Lacy zadrżała.

- Czy nie za mocno? - spytał cicho, patrząc jej w oczy. - Nie bolało?

- Och nie - szepnęła. Przełknęła ślinę. - Wiesz, Cole, możesz mi to robić pod sukienką.

Poczuł, że jego ciało tężeje jeszcze bardziej. Oczy mu zabłyśły.

- Czy pamiętasz, gdzie jesteśmy, Lacy? - spytał przez zęby.

- Na księżycu? - szepnęła nieprzytomnie, wyciągając dłoń ku jego ustom.

- Też bym chciał - westchnął tuż przy jej wargach. Jego dłoń spoczęła na gorsecie Lacy.

- Cole! - jęknęła i mgła przysłoniła jej oczy.

- Ja też chcę więcej, dziecinko - powiedział gardłowym głosem. - Więcej, niż myślisz. Ale musimy się pohamować, póki jeszcze możemy.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego zaborczo.

- Tak samo było, kiedy odjeżdżałeś na wojnę - szepnęła. - Pamiętasz, Cole? Wciągnąłeś mnie do swojego pokoju i zamknąłeś drzwi. Całowaliśmy się długo, a potem kazałeś mi iść, bo oboje drżeliśmy.

- Pamiętam - powiedział. - Boże, pewnie, że pamiętam! W Europie żyłem tym wspomnieniem przez cały czas. Trzymało mnie przy życiu, gdy miałem ochotę się poddać... - Urwał.

Z wahaniem dotknęła jego ust.

- Ale po powrocie nie pozwoliłeś mi zbliżyć się do siebie - wypomniała ze smutkiem. - Odepchnąłeś mnie.

Nerwowo zaczerpnął tchu i usiadł. Kanciastymi ruchami głaskał ją po głowie, usiłując wyrównać rytm oddechu.

- Miałem swoje powody.

Zacząła się domyślać, jakie. Strzępki rozmów układały się w jej głowie w całość.

- Czy kiedyś mi je zdradzisz? - spytała cicho.

- Może któregoś dnia.

- Kiedy? - naciskała. Mocno zacisnął zęby. Pragnął jej dotknąć, pragnął ją mieć.

- Nie popędzaj mnie!

- W porządku - zgodziła się natychmiast i spróbowała się uśmiechnąć. - Nie warcz na mnie.

- Tak mnie podniecasz, że w ogóle nie wiem, co robię i mówię! - Roześmiał się nerwowo. - Pragnę cię jak diabli. Ale musimy śpieszyć się powoli.

- Jak sobie życzysz, szefie - mruknęła kpiąco. Odsunął się od niej, wstał i skręcił

papierosa. Lacy otrzepała spódnicę i również podniosła się z ziemi.

- Cole? - spytała stając obok niego.

- Słucham.

- Czy ja jestem... zepsuta? - Zmarszczyła czoło. Zdawała się szczerze tym martwić.

Uśmiechnął się, spoglądając dziwnie ciepło, jakby z uczuciem.

- Nie sądzę. Ale jesteś bardzo kobieca. Zarumieniła się lekko. Założywszy ręce na piersi, ruszyła u boku męża w stronę domu. Cole miał długi, sprężysty krok, prawie dwa razy dłuższy od niej. Szedł jak traper. Słowa, które tak obojętnie wypowiedział przed chwilą, wprawiły Lacy w dumę.

- Ty też jesteś podniecający, mój awiatorze - powiedziała.

Usłyszała jego cichy śmiech, obiegając tymczasem wzrokiem znajomą sylwetkę domu, rysującą się na linii horyzontu. Teksas jest taki wielki, pomyślała. Wielki, rozległy, wciąż jeszcze widać, że kiedyś było tu kompletne bezludzie.

- Taggart mówił mi, że armia meksykańska szła tędy po drodze do Alamo - powiedziała zniechęta.

- Owszem - potwierdził. - Nawet rozbili obóz dokładnie w tym miejscu. - Wykonał gest ku otwartej przestrzeni między kępami drzew.

- To było tak dawno - westchnęła.

- Nie minęło jeszcze sto lat. Prawie wczoraj. Roześmiała się wesoło.

- Który z twoich dziadków był Komanczem? - zainteresowała się.

- Ojciec taty - odrzekł. - Staruszek nie chciał żyć w rezerwacie. Podczas bitwy postrzelono go, ale jakoś dowlókl się w góry i tam spotkał samotną białą kobietę, wdowę z dwoma synami. Wykurowała go i ukryła przed kawalerzystami, ale przy okazji zużyła swój skąpy zapas żywności. Przyszły śniegi. Kobieta z dziećmi głodowała. Dziadek już wtedy u niej nie mieszkał, któregoś dnia wrócił jednak sprawdzić, jak im się wiedzie. Znalazł ich w wielkiej biedzie. Wbrew jej sprzeciwom zaczął utrzymywać ją i chłopaków. W końcu się z nią ożenił. Mój ojciec był jednym z jego dzieci. Dziadek z babką umarli prawie jednocześnie, jedno pięć miesięcy po drugim.

- To musiał być wyjątkowy człowiek - stwierdziła.

- Stracił swoje miejsce na ziemi - powiedział Cole. - Uwielbiał zapraszać kolegów mojego ojca z college'u i częstować ich psem, węzem albo innym szokującym przysmakiem, który dał babce do ugotowania. Nigdy nie przyjął do końca sposobu życia białych ludzi. Kiedy się urodziłem, praktycznie mnie porwał i wychował na Komancza. Nieustannie spierali się z ojcem, czyj właściwie jestem.

- Nigdy nie opowiadałeś mi o swoim ojcu, Cole. Wzruszył ramionami.



- Twardy był z niego człowiek. W pewnym sensie o wiele twardszy niż dziadek. Przez całe życie znęcał się nad matką. Nigdy nie była silna, ale on zmiażdżył jej ducha do końca.

- Czy go kochała? - Lacy przystanęła.

- Nie mogła. Zbyt źle ją traktował - odparł. W jego oczach zapaliły się iskry zajadłego gniewu. - To był najsurowszy człowiek na świecie, jakiego kiedykolwiek znałem. Nikogo nie dotykał i nikomu nie pozwalał się dotknąć. Mnie chciał mieć tylko po to, żeby trzymać z dala od dziadka.

- Może byłeś dla niego ważny, tylko nie umiał tego okazać - powiedziała Lacy.

Spojrzał na nią.

- Ja też niczego po sobie nie okazuję, prawda? Opowiadam o zimnym ojcu, ale sam to po nim odziedziczyłem.

Wolno pokręciła głową.

- Niezupełnie - zaproponowała. - Jest w tobie mnóstwo namiętności. - Splonęła się, więc odwróciła głowę.

- Zawsze nienawidziłem tej części mojej natury - powiedział zgryźliwie. Przysunął się bliżej. Czują teraz ciepło jego ciała, zapach tytoniu i koszuli. - Na początku nie znośm cię za to, że ją budzisz.

- Czy dalej tak jest? Objął ją w talii, przyciągnął do siebie.

- Szumi mi w głowie, kiedy się pieścimy - powiedział cicho. - Staję się znów młody, swobodny, ożywiony. Dzisiaj pierwszy raz pozwoliłem tej części mojego ja dojść do głosu. Ciągle jeszcze nie oprzytomniałem. Czy to jest zadowalająca odpowiedź, pani Whitehall?

- Kocham cię, Cole - powiedziała cicho, patrząc mu prosto w oczy.

Powoli nabrał powietrza do płuc.

- Kochasz? - szepnął. Nie wiedział, czy to prawda, czy tylko echo namiętności, jaką w niej rozbudził. Ech, gdyby mógł zdobyć pewność...

- Cole, co przede mną ukrywasz? - spytała miękko i czule. Ogarnęła go ciepłym spojrzeniem. W odpowiedzi musnął palcami jej policzek.

- Mroczne sekrety, Lacy - powiedział z goryczą. - Takie, o których nie chcę pamiętać. Których nie chcę wyciągnąć na światło dzienne.

- To nie będzie miało znaczenia - powiedziała.

- Będzie - odparł bezbarwnym głosem. - Nawet bardzo duże.

- Powiedz mi, Cole. Spojrzał jej w oczy.

- Nie teraz.

- Trudno ci obdarzyć kogoś zaufaniem, prawda?

- Trudniej, niż myślisz. Zaufać to dopuścić bliżej. A ja przez całe życie byłem samotnikiem. Ale jeśli cię to pociesza, z nikim nie zbliżyłem się tak bardzo jak z tobą.

Nagle zrobiło jej się bardzo przyjemnie.

- Czy to nie dziwne, że tak się ułożyły sprawy? - powiedziała. - Wyjechałam do San Antonio z poczuciem, że wszystko skończone. A teraz...

- Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że możesz po prostu być chwilowo zaślepiona? - spytał, marszcząc czoło. - Jesteś raczej mało doświadczona i niewinna.

- George Simon kręcił się przy mnie bez przerwy - przypomniła. - Nie pozwoliłabym mu się nawet dotknąć. I nawet po tym, co mi zrobiłeś, wolałabym ból od ciebie niż rozkosz od innego mężczyzny.

- Nawet nie wiedziałas, że nie skrzywdziłem cię umyślnie.

- Och, to wiedziałam. Dobrze cię znam, Cole. Widziałam, jak pielęgnujesz ptaka ze złamanym skrzydłem. Widziałam, jak bandażujesz rany kojotom, tym wyjcom, które według legendy zostają przy rannym człowieku i chronią go przed drapieżnikami, nim nadejdzie pomoc. Inni ludzie je zabijają, ale ty nie. Człowiek, który jest zdolny do takiego współczucia dla dziko żyjących zwierząt, raczej nikogo nie krzywdzi.

Odwrócił się. Boże, przejrzała go! Zaniepokoił się. Nikt dotąd nie zdołał tego zrobić.

- Budzisz strach w mężczyznach i przerażenie w kobietach - podjęła, ruszając w stronę domu. - Ale ja od dawna cię kocham. Dlatego widzę cię w innym świetle.

- Nigdy nikogo nie kochałem - wycedził. - No, oczywiście rodzinę, ale nie o to chodzi, prawda? - Spojrzał na nią. - Tyle nowego przeżywam, będąc z tobą. Mogę cię dotykać. Obejmować. Pragnąć.

- Jak na początkującego, nieźle ci idzie - powiedziała tonem doświadczonej kokoty i zatrzepotała rzęsami.

Zamiast się obrazić, parsknął śmiechem.

- Ty przekoro - mruknął. - Uważaj, bo pchnę cię w to błoto i wezmę na miejscu.

- Och, ty szarlatanie! - rzuciła oskarżająco. - A mówiłeś, że naoglądałam się za dużo filmów z Rudolfem Valentino.

Arogancko uniósł głowę.

- Wślizgnąłem się raz do kina, kiedy żaden z chłopaków nie patrzył, i obejrzałem cały film, ten o szejku - przyznał się. - Nie wyobrażam sobie, jak producentom uszło to na sucho. Wstrząsające!

- Założę się, że zbiją fortunę. Pamiętasz, jak on przyciska ją do ściany namiotu. I to spojrzenie... - Zadrżała. - Przypomina mi ciebie.

- Naprawdę? - Cisnął papierosa na trawę i poderwał Lacy z ziemi. - Gdyby nie było tak, jak jest, wróciłbym tam i kochał się z tobą. - Głową wskazał rozłożysty dąb, pod którym leżeli.

Z wahaniem objęła go za szyję. Nie chciała, żeby się zdenerwował.

- Cole, czy to ma coś wspólnego z tym, że nie chcesz mi pokazać swojego ciała i nie chcesz, żebym go dotknęła? - odważyła się spytać.

Zadrgały mu powieki. Już miał coś powiedzieć, otworzył usta, gdy nagle odgłos końskich kopyt zagłuszył i zniszczył nastrój bliskości. Cole obrócił głowę i zobaczył galopującego Turka. Widok szefa z żoną w ramionach dziwnie rozbawił jeźdźca.

- Przepraszam. Nie spodziewałem się, że się będziecie migdalić na środku drogi - powiedział z południowym akcentem, zasłaniając oczy kapeluszem.

Lacy odchyliła się i posłała mu mordercze spojrzenie.

- Jak widać, nie jest pan jedynym znawcą kobiet w okolicy, Sheridan. - Ukazała zęby w uśmiechu. - I na pewno nie ma pan takich ciemnych i pełnych żaru oczu.

Cole parsknął serdecznym śmiechem.

- Drugi Valentino - zakpił Turek. - Podobny jak dwie krople wody.

- Szukasz roboty? - spytał Cole. - Trzeba wyrzucić gnój ze stajni.

- Nie chcę wam przeszkadzać. - Turek szybko się wycofał. - Tylko że stary Cameron zbliża się drogą, jakby jechał czołgiem. Musiał sporo wypić, bo gębę ma niczym piwonia. Chyba będziesz miał kłopoty.

- Ciekawe, co ta mała Faye nagadała tatulkowi - westchnął rozeźlony Cole. Odstawił Lacy na ziemię. - Wiedziałem, że będą kłopoty, kiedy Ben jej powiedział, że nie przyjdzie na urodziny.

- Chyba nie w tym rzecz - oświadczył Turek, omiatając Lacy szybkim spojrzeniem.

- Znam życie - stwierdziła w odpowiedzi. - Nie zemdleję, jeśli wymówisz przy mnie słowo „seks”.

Turek ryknął śmiechem, a Cole zrobił bardzo rozbawioną minę.

- Pewnie Ben ją uwiódł. Czy to dajesz nam z takim wysiłkiem do zrozumienia? - spytała Lacy.

- Właśnie - odpowiedział swobodnie. Położył obie dłonie na łąku. - Przed wyjazdem do San Antonio Ben wykraadał się z domu dwa wieczory z rzędu. Raz sprawdziłem, dokąd się udał. Pojechał do Cameronów.

- I? - niecierpliwił się Cole.

- Czekala na progu. Nikogo więcej w domu nie było. Samochodu tatusia nie było przed domem.

Cole syknął pod nosem.

- O ku... ku. - W pół słowa przypomniał sobie o obecności Lacy. Zasady nie pozwalały mu kłać przy kobiecie. Żaden przyzwoity mężczyzna tego nie robi, choć jego ojciec z pewnością nie szczędził matce mocnych słów. Lacy podniosła rękę.

- Poddaję się. I co my mamy z działalności sufrażystek? Równouprawnienie na papierze i w wielkich miastach. - Ujęła się pod biodra i zmierzyła obu panów złym wzrokiem. Potem wymówiła owo kłopotliwe słowo starannie i w pełnym brzmieniu, obdarzając mężczyzn triumfalnym uśmiechem. - Czy nie to... Ej, Cole!

Mąż wziął energiczny zamach i mocno klepnął ją w pośladek, aż podskoczyła. Spiekła raka.

- Powiedz to przy mnie jeszcze raz, a zobaczysz, co się stanie - zagroził. - Do diabła z równouprawnieniem!

Turek starał się zamaskować uśmiech. Lacy tupnęła i odwróciwszy się, pobiegła do domu.

- Kobieta z temperamentem - stwierdził Cole, patrząc za nią z wyraźnym zachwytem. - Boże. Zdechnę, jeśli jeszcze raz rzuci.

- Nie rzuci - powiedział Turek. - Ona na pewno nie.

- Ona niczego nie wie - powiedział Cole, przyglądając się Fordowi, zbliżającemu się długą drogą dojazdową.

- Dla niej to nie będzie miało znaczenia. Nie zauważyłeś, idioto, jak ona na ciebie patrzy?

- Zaślepienie mija - odparł Cole. - A ona nie jest podobna do innych kobiet. Nie będzie szczęśliwa bez...

- A gdyby to był jej kłopot? - spytał zapalczywie Turek. - Pomyśl o tym. Gdyby ona była na twoim miejscu. Odszedłbyś?

- Nie wiem - powiedział gorzko, odwracając oczy. - Boże, nie wiem. Musiałaby być strasznie zakochana, żeby przyjąć mnie takiego, jaki jestem.

- Ona jest strasznie zakochana. - Turek po przyjacielsku klepnął Cole'a w ramię. - Odpręż się trochę, bo pęknie. A skoro o pękaniu mowa, to popatrz, Ira już jest blisko. Zaraz znowu się wścieknie. Spadam stąd, zanim dostanę się pod ostrzał.

- Powiniennem wydać mu Bena - burknął Cole.

- Pomogę ci go złapać - obiecał Turek. - Przydałoby mu się, gdyby sam się zajął tym, co nabroił. Przez całe życie wszystko robiłeś za niego. Dobra, znikam. Nie gustuję w sąsiedzkich waśniach.

Czarny samochód przystanął niedaleko Cole'a. Ira Cameron wywłókł z wnętrza swe krągłe ciało obleczone w czarny garnitur i z wielkim skupieniem osiągnął względny pion. Na pewno mógłby się ogolić. Policzki zwisały mu prawie do zaplamionego kołnierzyka białej koszuli, a

włosy wyglądały tak, jakby ostatnio mył je w owsiance. Starannie zamknął drzwi samochodu, używając do tego obu dłoni. Potem zagapił się na Cole'a czekając, aż ześrodkuje mu się spojrzenie.

- Jesteś, Coleman - wybełkotał. Oparł się o maskę samochodu i spojrzał bykiem. - Szukałem cię. Co to za historia z twoim małym braciszkiem plamiącym honor mojej dziewczyny?

- Mężczyzna nie plami honoru dziewczyny, może najwyżej poplamić jej sukienkę - powiedział Cole bez mrugnięcia okiem. - A twojej córki Ben nawet nie musiałby prosić.

- To kłamstwo!

- Daj spokój, Ira, Wiesz przecież, że ona wlepie w niego gały jak cielę w malowane wrota - mruknął Cole, wyjął tytoń i zaczął skręcać papierosa. - Łazi za nim od miesiący. Co mam niby zrobić? Ściągnąć go z San Antonio i zmusić, żeby się z nią ożenił?

Krępy mężczyzna poruszył się niespokojnie.

- To ocaliłoby jej dobre imię - powiedział wolno, przytakując.

- Ale zrujnowało życie - zripostował Cole. - Mieszkać z człowiekiem ożenionym na siłę...

Nienawidziłaby go. Wiem coś o tym, Ira.

Cameron odchrząknął.

- Słyszałem, że Ben trochę za bardzo sobie używa. Ale zięć byłby z niego nie najgorszy.

- On jest zaręczony. Z elegancką panną z miasta. Do tego bogatą.

- A więc to tak - westchnął Ira. Przesunął dłonią po tłustych, szpakowatych włosach. - Cholera. I co ja teraz zrobię?

- Przyślij Faye tutaj. Niech Lacy z nią pogada - odparł Cole, wiedząc, że jego bojowa żona będzie dokładnie wiedziała, co powiedzieć, nawet jeśli on nie ma pojęcia. Uśmiechnął się pod nosem. - Ona umie znajdować z ludźmi wspólny język. Nawet mnie się nie boi.

- No, to rzeczywiście jest wyjątkowa. Ale Ben nie powinien być uwieść Faye.

- Z tym się zgadzam - przyznał Cole. - Natrę mu uszu, kiedy się tu zjawi.

Ira skinął głową. Słowo Cole'a miało swoją wymowę.

- Powiedz mu, że dla mnie jest łajdakiem. Jeśli jeszcze odważy się postawić stopę na moim terenie, to mu ją utnę.

Była to fanfaronada pijanego człowieka, urażonego w swej dumie, i Cole tak to przyjął. Po prostu skinął głową, niech tam staremu będzie.

Ira wyprostował się. No, no, wcale nie był takim znowu byle kim, skoro postawił się Colemanowi Whitehallowi.

- No, to żegnaj.

- Uważaj, sąsiedzie - powiedział Cole. - Coś chwiejesz się na nogach.

- Nic mi nie będzie. Popróbowałem trochę własnego wyrobu. - Uśmiechnął się. - Nie tylko w Chicago umieją coś pędzić. A czasy są ciężkie, Cole.

- Zauważyłem.

- Mogę ci podrzucić butelczynę.

- Nie piję - spokojnie odparł Cole.

- Szkoda. Nie znoszę budzić się na trzeźwo. - Uniósł dłoń na pożegnanie i wsiadł do samochodu. Zakręcając, omal nie rozjechał dwóch płotów, ale w końcu ustawił samochód na drodze.

Cole spojrzał śladem Forda i ponuro westchnął. A więc Ben zdążył się wcześniej dobrać do innej panny. Powinien był zachować się mądrzej. Cole postanowił solidnie zmyć mu głowę przy pierwszej okazji. Przynajmniej tyle się Faye od niego należało. Biedny dzieciak. Tak długo wdzięczyc się do faceta, który jej nie chce. Przekrzywił głowę i spojrzał ku domowi. Czy on tak samo postępował z Lacy? Czy tak samo się czuła, kiedy pozwolił jej uciec do San Antonio i za nią nie pojechał?

Skrzywił się. Współczuł sobie prawie tak bardzo, jak współczuł małej Faye. Wiedział, że podnieca Lacy, że jest dla niej ważny, ale bał się swoich własnych uczuć. Gdyby zwierzył jej wszystkie swoje największe tajemnice, mógłby ją stracić na zawsze.

## 8

Irze udało się zatrzymać Forda przed samym wejściem. Bez wątpienia był to z jego strony wyczyn nie lada, skoro ledwie mógł znaleźć hamulec. Wygramolił się z wnętrza samochodu, przez chwilę balansował na stopniu, po czym chwiejnie obszedł maskę i usiadł na drewnianych schodkach prowadzących na ganek.

- I co powiedział, tato? - spytała od progu Faye. Wykręcała sobie dłonie tyleż zawiedziona, co zdenerwowana. Napuszczenie ojca na Bena stanowiło dla niej ostatnią deskę ratunku, ale już w chwili, gdy się wyplakiwała, wiedziała, że to na nic. Małe miała szanse w porównaniu z kobietą z San Antonio, o której wspomniał Ben. Straciła go. Z twarzy ojca wyczytała wszystko, toteż serceomal nie pękło jej z rozpaczy.

- Bena nie było. Coleman obiecał, że z nim pogada - oznajmił Ira. - Ale nic z tego nie będzie... On się właśnie zaręczył i już.

Faye zamarło serce.

- Zaręczył się?

- Tak powiedział Cole. Z jakąś kobietą z San Antonio.

- Skrzywił się, widząc minę córki. - Nie płacz, Faye. Tak mi przykro, dziewczyno. Nie rozpaczaj.

- Och, tato! - Faye z głośnym szlochem wpadła do domu. Jak Ben mógł być taki gruboskórny? Co prawda nigdy nie powiedział, że ją kocha, ale chyba musiał zauważyć, jaka z niej porządna dziewczyna. Nigdy nikogo oprócz niego nawet nie pocałowała. A on teraz żeni się z jakąś elegancką panienką!

Rzuciła się na łóżko i lkała, póki nie zbuntowało się jej gardło, a oczy kompletnie nie zapuchły. Nie była w ciąży. Chciała, ale trzy razy z Benem do tego nie wystarczyły, zresztą zawsze bardzo mu się śpieszyło i nawet nie był całkiem trzeźwy. Dziecko pozostawało w sferze marzeń. Na szczęście Ben tego nie wiedział. Rozpogodziła się trochę myśląc o tym, co Coleman powie Benowi. Łudziła się, że po tym Ben do niej wróci. Nie kocha jej, ale może pokocha, trzeba się starać. Była dla niego taka dobra, że powinien ją pokochać. Może uda jej się go zdobyć mimo tej elegantki...

Tymczasem na ranczu w kilka minut później Marion Whitehall dostrzegła Lacy. Była całkiem nieświadoma powodu, dla którego Ira tak nagle i efektownie odjechał.

- Martwisz się czymś - powiedziała Lacy, gdy zaparzyły sobie w kuchni kawę.

- Owszem - przyznała Marion. Ciężko usiadła. Nie wyglądała dobrze. Była blada. Na twarzy pojawiły jej się nowe zmarszczki, a siwizna coraz wyraźniej znaczyła niegdyś ciemne

włosy. - Chodzi o przyjęcie Bennetta. Bez względu...

- Nie ma się czym martwić - przerwała jej Lacy z uśmiechem. - Namówiłam Cole'a, żeby pozwolił mi pokryć koszty.

Marion głośno odetchnęła.

- Namówiłaś? Ale jak? Tego Lacy nie zamierzała wyjaśnić. Posłodziła sobie kawę i dodała śmietanki, unikając przenikliwego wzroku Marion.

- Odwołałam się do jego rozsądku - odparła. - W każdym razie zgodził się, żebym zrobiła, jak chcę. Ben będzie miał swoje przyjęcie.

- Tylko czy na nie przyjedzie? - wyraziła wątpliwość Marion. - Wiesz, Lacy, on się tak broni. Prawie jakby... no, jakby się nas wstydził. Ci ludzie z San Antonio, dla których pracuje, mają masę pieniędzy. Może Ben nie chce pokazać przyszlemu teściowi, jak my tutaj mieszkamy.

- Jak mieszkamy?! - Lacy gwałtownie odstawiła filiżankę. - Marion, posłuchaj, przecież jesteśmy całkiem cywilizowani. Mamy bieżącą wodę, elektryczność, nawet telefon! - Na szczęście ugryzła się w język, zanim wspomniała, że dzięki spadkowi śmiało mogłaby licytować się z przyjaciółmi Bena. Nie chciała, żeby Marion poczuła się jeszcze gorzej.

- Ale nie jesteśmy bogaci, kochana. I ci ludzie to zobaczą. Nie chcę nawet myśleć, jak Coleman zareaguje na snobów.

Lacy podzielała tę obawę.

- Jestem pewna, że umiem się zachować - powiedziała jednak, choć nie wypadło to przekonująco.

- Ira był tutaj w sprawie Faye, prawda? - zmieniła temat Marion. - Domyślam się, że Ben zachował się wobec niej skandalicznie?

- Nie nam o tym sądzić - wymijająco odparła Lacy. - Jesteśmy słabą płcią. Należy nas ochraniać przed takimi sprawami, żebyśmy nie robiły fochów. - Zasłoniwszy ramieniem oczy, wykonała ruch symbolizujący omdlenie.

- Mamy prawo głosu, kochana, a nie fochów - przypomniała jej Marion z uśmiechem, nieco odzyskując humor. - Ale i tak się martwię. Faye jest delikatna. Czasem tak choruje, jakby już miała nie wstać.

- Ma mnóstwo wdzięku, lecz Ben jest jeszcze bardzo młody i zachwycony wizją dziennikarskiej kariery. Zresztą naprawdę ma talent, sama wiesz... Małżeństwo z córką właściciela czasopisma na pewno mu nie zaszkodzi.

- Czyżby praca była dla niego ważniejsza od rodziny?

- Daj mu trochę czasu - uspokoiła ją Lacy. - Przecież jest Whitehallem. Kiedyś sobie o tym przypomni. Tymczasem pierwszy raz poczuł, że ma skrzydła. Pozwól mu polatać.



Marion opadła na wysokie oparcie krzesła.

- Będę się modliła, żeby nie wylądował na kaktusie.

- Pewnie. - Lacy parsknęła śmiechem.

- Tylko że... O Jezu! - Marion znieruchomiała i wytrzeszczyła oczy. Przytknęła dłoń do piersi. - Jaki... ucisk! Lacy, jak dziwnie...

Marion runęła na bok i tylko szybki refleks Lacy uratował ją przed fatalnym upadkiem. Straciła przytomność i Lacy śmiertelnie się przeraziła. Nie wiedziała, co robić, więc pobiegła do kuchennych drzwi i głośno zawołała Cole'a. Boże, oby był w stodole, a nie gdzieś dalej, Chyba jej modły zostały wysłuchane, bo Cole natychmiast wyłonił się z mroku stodoły.

- Co jest? - zawołał.

- Marion! Pośpiesz się! To chyba serce! Puścił się biegiem i dopadł drzwi w chwili, gdy Lacy podsuwała pod nos Marion amoniak, usiłując ją ocucić. Po chwili starsza pani zaczęła się poruszać i kasłać. Lacy i Cole pomogli jej usiąść.

- Okropnie się czuję - powiedziała Marion, przełykając ślinę. Była blada jak trup i zlana potem.

- Przykro mi, matko, ale musimy cię zawieźć do doktora Simona - powiedział cicho Cole. - Bez protestów - dodał na widok jej wahania. - Nie pierwszy raz zemdląłeś. Czas, żeby lekarz powiedział, co ci jest.

- No, dobrze - słabym głosem zgodziła się Marion. - Ale czuję, że przez całą drogę będę wymiotować.

- Możemy wziąć miskę i wilgotną szmatę - zaproponowała Lacy i poszła po potrzebne rzeczy.

Umieścili Marion w samochodzie i Cole zawiózł ich do miasta. Lacy miała nadzieję na cud. Nic go jednak nie zapowiadało. Doktor Simon zdiagnozował stan Marion jako obrzęk płuc, spowodowany ostrą niewydolnością krążenia. Był to wyrok śmierci i wszyscy o tym wiedzieli. Marion miała przed sobą jeszcze kilka tygodni, miesięcy, może rok, ale jej los był przesądzony.

Przez całą drogę do domu Cole milczał, a Lacy z Marion rozmawiały półgębkiem o pogodzie. Doktor Simon przepisał Marion jakieś pigułki, mające złagodzić ból, i kazał odpoczywać w łóżku, póki słabość i mdłości nie miną.

- Będziemy musieli odwołać przyjęcie... - zaczęła Lacy.

- Nic z tego - stanowczo sprzeciwiła się Marion. - To może być ostatnie... - Głos jej się załamał. Przerwała i po chwili spróbowała powtórnie. - To może być moje ostatnie przyjęcie w Spanish Flats. Nie odwołamy go. Zajmij się przygotowaniem, Lacy, a ja ci w miarę możliwości pomogę.

- Wykluczone - krótko stwierdził Cole. Odezwał się pierwszy raz i zrobił to bardzo zdecydowanie.

- Nie kłóć się ze mną, Coleman. Proszę - powiedziała Marion. - Mam prawo decydować, jak spędzę czas, który mi jeszcze został.

- Simon nie powinien był ci tego mówić!

- Powinien! Wie, że nie znoszę kłamstw. Zresztą i tak sama to podejrzewałam. Chyba wiedziałam o tym, zanim jeszcze mi powiedział - stwierdziła spokojnie. - Pamiętaj, że nazywam się Whitehall - dodała z wymuszonym uśmiechem. - A Whitehallowie są twardzi.

Cole przemknął spojrzeniem po jej twarzy, zdradzającej lekką trwogę, a potem po posępnej twarzy Lacy. Jakoś jednak widok lęku w oczach żony dodał mu sił. Uśmiechnął się do niej łagodnie i zobaczył, że odrobinę się odprężyła. Bez słowa dał jej do zrozumienia, że sobie poradzą.

- No, dobrze - powiedział w końcu. - Urządzaj to cholerne przyjęcie, jeśli musisz.

- Chcę, żeby Benowi coś zostało w pamięci - wyjaśniła. - Będzie miał swoją miłą chwilę związaną z zaręczynami i podjęciem pracy.

- O ile jego przyjaciele z miasta nie przyjadą tutaj z wysoko zadartymi nosami - zareplikował Cole. - Nie toleruję snobów, nawet ze względu na brata.

- Oni na pewno nie są snobami, kochanie - powiedziała Marion, choć głowy by za to nie dała.

- Nie? - Cole skrzył na drogę dojazdową do rancza. Mocno przycisnął pedał gazu, więc podniosła się za nimi chmura pyłu. - Słyszałem plotki o jego narzeczonej. Zdaje się, że jest dość rozpasana.

- W końcu to życie Bena - przypomniała mu Lacy.

- Fakt.

- Coleman, proszę cię, zwolnij - powiedziała Marion i cicho westchnęła.

- Wiozę z sobą mnóstwo części zapasowych - odparł cierpliwie.

- Mam nadzieję, że z kołami włącznie - mruknęła Lacy. - Ostatnio, kiedy jechałam z babką Lucy do miasta, dwa razy złapałyśmy gumę.

- Sama zmieniłaś? - spytał z uśmiechem.

- Nie - odparła, zadowolona, że Cole odzywa się do niej jak do kumpla. - Na szczęście w obie strony wiozł nas jeden z wytwornych przyjaciół babki Lucy. W San Antonio jest za duży ruch, bałabym się tam jeździć sama. Gdybym w ogóle umiała jeździć - dodała.

- Nie ucz się, kochanie - poradziła jej Marion. - Jeśli coś umiesz, to któregoś dnia możesz być zmuszona to zrobić. Lepiej pozostać nie docenionym ignorantem.

- Oto głos mądrości - zachichotał Cole. W duchu jednak martwił się, jak powiedzieć Katy i Benowi o chorobie matki. Nie mógł pogodzić się z myślą, że ją stracą. Cierpiał z tego powodu jak jeszcze nigdy. Przynajmniej mam przy sobie Lacy, pomyślał, dziękując Bogu i matce, że pojechał do San Antonio.

Lacy też rozmyślała o Marion, która przez osiem lat był dla niej matką. Pełna żalu, postanowiła zrobić wszystko co w jej mocy, żeby czas, jaki jeszcze Marion pozostał, był jak najlepszy.

W Spanish Flats Lacy i Cole dali Marion pigułkę od doktora Simona i namówili ją, żeby się położyła i odpoczęła. Lacy towarzyszyła jej aż do zaśnięcia, a potem poszła do kuchni, gdzie Cole z ponurą miną popijał kawę.

Kiedy stanęła na progu, spojrzał w jej stronę. Twarz miał zapadniętą, oczy bezbrzeżnie smutne. Lacy, pchnięta odruchem, podeszła prosto do niego, delikatnie go przytuliła i sama wtuliła mu się policzkiem we włosy. Wyczuła jego gwałtowny wdech i pomyślała z goryczą, że chyba znowu zrobiła nie to, co trzeba. Ale niespodziewanie Cole objął ją w talii i jęknął.

- Ja też ją kocham - powiedziała z zamkniętymi oczami. - Ale jakoś sobie poradzimy.

- Będziemy musieli - wymamrotał sztywno. Czuł się tak, jakby w ktoś wbił mu w serce pięciocalowe gwoździe. Lacy pachniała wodą toaletową i przytulała mu miękkie piersi do policzka. Z dumą pomyślał o jej dobroci. Pierwszy raz, odkąd wydorósł, przyjął czyjś gest pocieszenia.

- Powiesz Benowi i Katy? - spytała.

- Tak. Do Katy zadzwonię - mruknął niechętnie. - Ben może poczekać do przyjęcia. Niech sobie jeszcze pożyje w miłej nieświadomości. Zresztą z mówieniem Kary też chyba poczekam.

Odłóżysz to na ostatnią chwilę, pomyślała Lacy, ale nic nie powiedziała. Cole w końcu delikatnie ją odsunął, usadził na krześle i podał jej chusteczkę do nosa, po czym napełnił wielki kubek parującą kawą.

- Dziękuję - powiedziała, ocierając łzy.

- Wcale nie jest mi lepiej na duszy niż tobie, jeśli cię to ma pocieszyć - stwierdził Cole wzruszając ramionami. - Wolałbym, żeby to był ojciec, taki twardy, zimny człowiek. On miał w sobie mnóstwo egoizmu i gwałtowności. Ale matka jest... no, po prostu matką.

- Wiem. - Oddała mu chustkę i zaczęła popijać kawę, ukradkiem zerkając na niego znad krawędzi kubka. - Nie pozwolę, żeby zamęczała się tym przyjęciem, ale nie możemy go odwołać, bo to kosztowałoby ją znacznie więcej nerwów. Całym sercem pragnie urządzić Benowi królewskie pożegnanie domu.

- Pomóż jej, ile tylko możesz. Każę ludziom zarznąć wołu i świnie też, jeśli będziesz

chciała. Taggart i Cherry mogą przyrządzić to mięso.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Byle nie podawali go do stołu.

- Och, rozumiem - zorientował się Cole. - Będziemy uważali, żeby w czasie pitraszenia nie wiało od nich w stronę ludzi.

- Mogę poprosić kilka sąsiadek, żeby pomogły mi w przygotowaniu i podaniu reszty potraw. Wiesz, Cole, myślę, że raczej nie byłoby mądrze zapraszać małej Faye.

- Nie możemy tego zrobić Benowi.

- Ona jest taka delikatna. Strasznie mi jej żal.

- Mnie też, Lacy, ale ludzie nie mogą kochać na rozkaz.

- Nie mogą - przyznała, obserwując wyraz jego twarzy.

Pochwycił jej spojrzenie i stęzał.

- Któregoś dnia ucieknę przez płot, jak znowu na mnie w ten sposób spojrzysz.

Wstrzymała dech.

- Nie rozumiem.

- Naprawdę? Nagłym ruchem przyciągnął ją do siebie. Dopadł jej warg i na kilka chwil złączył się z nią w namiętym pocałunku. Ale gdy Lacy trochę się odprężyła i zaczęła poddawać jego sile, Cole ją puścił.

- Dałabyś mi wszystko, czego chcę - powiedział ochryple, patrząc jej prosto w oczy. - Czy masz pojęcie, co czuję, wiedząc o tym?

- Nie, bo stale się wycofujesz - szepnęła. Wolno przesunął kciukiem pod jej dolną wargą, ścierając ślad rozmazanej szminki.

- Nie mogę kochać się z tobą, kiedy jest jasno, Lacy - powiedział. - Nigdy nie będę mógł. Nie chciała się odezwać, żeby nie popsuć magicznej chwili szczerości.

- To nie ma znaczenia - powiedziała jednak żarliwie.

- Nie rozumiesz, Cole? Kocham cię!

- Miłość może nie wystarczyć - powiedział zmęczonym głosem. Wstał z krzesła. - Muszę wracać do pracy.

Lacy również wstała, biorąc serwetkę ze stołu.

- Poczekaj chwilę. Z moją szminką nie jest ci do twarzy.

Spokojnie odczekał, aż żona wytrze z jego wąskich warg czerwone ślady. Popatrzył pożądliwie na jej usta. Potem wziął od niej poplamioną teraz serwetkę i podtrzymując jej głowę, dokładnie zebrał resztę szminki z warg.

- Co ty robisz?! - wykrzyknęła. Odrzucił serwetkę na stół i uniósł Lacy z podłogi w

mocnym uścisku.

- Pocałuj mnie - szepnął tuż przy jej twarzy. Gdy odstawiał ją z powrotem na ziemię, wyczuła zmieniony zarys jego ciała. Cofnęła się gwałtownie, zaczerwieniona po uszy.

- Jesteśmy małżeństwem - powiedział cicho. Zarumienił się tak samo jak ona, chociaż starał się nie okazać zakłopotania. - Chyba oboje musimy się do tego przyzwyczaić.

Przełknęła ślinę.

- Przepraszam. Mamy przecież epokę liberalnych obyczajów. Ale zdaje mi się, że ja tkwię jeszcze w wiktoriańskiej.

- Pociesz się, że ja także. - Musnął jej policzek i spojrzał na nią czule. - Czy chcesz wiedzieć, co się stało we Francji, Lacy? Na pewno?

- Tak.

- Wobec tego dziś wieczorem ci opowiem - zapowiedział posepnie. - Nie ma powodu, żebym to ukrywał. Potem zdecydujesz, czy chcesz zostać. Kiedy poznasz prawdę, San Antonio może ci się wydać bardzo atrakcyjne.

Odwrócił się i wyszedł. Z ganku dobiegł ją brzęk ostróg. Popatrzyła za nim z mieszanymi uczuciami. Nareszcie postanowił jej powiedzieć. Może uda im się dzięki temu ułożyć wspólne życie, zbudować trwałą więź. Ech... Zgarnęła kubki ze stołu i odkręciła wodę do zmywania.

Cole wrócił późno. Pomagał dwóm swoim ludziom budować większą oborę, a dopiero skończyli stawiać szkielec. Następnego dnia miano przywieźć blachę. Praca była ciężka, ale dla dwuletnich jałówek, które cielą się pierwszy raz, i dla krów mających kłopoty z cieleniem się boksy pełne siana stanowiły wielką wygodę. Stara obora zaczynała już się walić. Ojciec Cole'a zawsze utrzymywał, że łatwiej zbudować coś od nowa niż remontować.

Lacy szyła sobie nową sukienkę, Cole poszedł więc do kuchni i zdjął lnianą serwetkę z jedzenia, które zostało po kolacji. Nałożył na talerz szynkę, bułki i groszek z puszki. Potem otworzył małą lodówkę i wrzucił do wysokiej szklanki trochę lodu. Nie chciał, żeby Lacy robiła mu kawę, zresztą mimo chłodu było mu gorąco, bo porządnie się napracował. Nalał więc do szklanki słodzonej herbaty z dzbanka na stole. Potem postawił talerz i szklankę na tacy i poszedł do pokoju matki, żeby z nią posiedzieć w czasie posiłku.

Marion siedziała w łóżku i skubała ciastko kokosowe. Wyglądała blado, ale na jego widok uśmiechnęła się.

- Jak się czujesz? - spytał Cole, stawiając tacę na stoliku. Cisnął kapelusz na pobliskie krzesło.

- Dziękuję, mój kochany, chyba trochę lepiej. Wyglądasz na zmęczonego.

- Stawiamy oborę - wyjaśnił. - Jutro będziemy kłaść dach. Dzięki Bogu, że tutaj są dosyć

ciepłe zimy. Turek opowiadał mi potworne historie o tym, jak krowy cielą się w Montanie, kiedy na ziemi leży półtora metra śniegu.

Marion skinęła głową.

- Dlatego w Teksasie dobrze stoi hodowla bydła. W każdym razie ojciec zawsze tak twierdził.

Ugryzł kęs szynki i przyjrzał się matce spod zmrużonych powiek.

- Czy ty go kochałaś?

- No, wiesz! - Zaskoczył ją. - Oczywiście.

- Jak mogłaś, skoro był taki okrutny? - spytał. - Przecież jeśli akurat się nie awanturował, to traktował cię jak mebel.

- Ty widziałeś w nim złość - powiedziała Marion. - Ja widziałam chłopaka, w którym się zakochałam, kiedy musiałam przetrwać w twardych warunkach. - Oparła się na poduszkach, pochłonięta wspomnieniem. - Kiedy się pobraliśmy, on miał osiemnaście lat, a ja szesnaście. Wzięliśmy powozik ojca i z pozwoleniem na małżeństwo pojechaliśmy do wielebnego Johnsona. Dał nam ślub, a jego żona poczęstowała nas kolacją. Byłam taka szczęśliwa, Coleman. Pierwsze lata minęły nam cudownie.

- A potem? Odłożyła cienki spodeczek z ciastkiem.

- Kupiliśmy to ranczo. Twój ojciec nigdy nie miał duszy ranczera. Był człowiekiem z miasta, pełnym wspaniałych pomysłów. Zostałby świetnym biznesmenem. Do bydła nie miał serca.

- Ja pamiętam co innego - mruknął Cole.

- Och, nauczył się - wyjaśniła Marion. - Ale nie znosił hodowli, nie cierpiał kurzu, brudu i zarzynania zwierząt. Człowiek, który musi robić coś, co uważa za odpychające, może stać się okrutny.

- Może - mruknął Cole, nie zdradzając własnych myśli.

- Nie wierzysz mi. Ty kochasz swoją pracę, różne zajęcia pod gołym niebem. Chyba nawet lubisz wyzwanie, jakie się w tym kryje. - Spojrzała na niego ciepło. - Któregoś dnia doczekasz się czegoś lepszego, Coleman. Nie będziesz musiał żyć tak jak teraz.

- Nie potrzebuję żadnych fiu bzdziu - sprzeciwił się łagodnie. - Myślę, że Lacy też nie.

Oczy Marion zabłyśły.

- Czy wolno mi spytać, jak wam się układa?

- Dużo lepiej - odpowiedział, nadal zasmucony. - Na razie.

Matka przyjrzała mu się badawczo i przez długą chwilę milczała.

- Lacy bardzo cię kocha - powiedziała w końcu. - A ty pod wieloma względami

przypominasz ojca, Coleman. Jesteś nieufny, boisz się otworzyć, bo wiesz, że bliscy ludzie łatwo mogliby cię zranić. Lacy nigdy tego nie robi, pamiętaj.

- Ludzie mogą ranić całkiem nieumyślnie - odparł i raptownie zmienił temat. Nawet z matką nie potrafił rozmawiać o swych najgłębszych lękach, poczuciu zagrożenia, o bliźnach. Lacy musiał jednak powiedzieć, jeśli chciał dać szansę ich małżeństwu.

Kiedy wstał, Marion wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego ramienia w chwili, gdy zabierał tacę.

- Zajmiesz się Benem i Katy... kiedy przyjdzie czas?

- spytała zatroskana. Twarz mu stężała. W okamgnieniu zobaczył film z całego życia, wspomnienie ciągłej troski i czułości matki.

- Czy nie robiłem tego zawsze? - odpowiedział pytaniem. - A teraz przestań. Bóg był przed tobą. I stworzył lekarzy.

- No, owszem - przyznała Marion z uśmiechem.

- Pamiętaj o tym. - Schylił się i pocałował ją w czoło. Marion lekko dotknęła jego włosów, przypominając sobie, jak dwadzieścia osiem lat temu przytulała do serca niemowlę z czarnymi włoskami. Przez wiele trudnych nocy bujała chłopca w trzcinowej kołysce, stojącej przy oknie, podczas gdy ojciec smacznie spał tuż obok, w łóżku. Nie płakała, choć łzy stawały jej w oczach. Rzadko dzieliła te wspomnienia z kimkolwiek, nawet z dziećmi, które były ich sprawcami.

- Weź z powrotem do kuchni mój spodeczek, dobrze?

- poprosiła. Udało jej się powiedzieć to prawie zupełnie zwyczajnie.

- Oczywiście. - Postawił spodeczek na tacy i uśmiechnął się do matki. - Spróbuj zasnąć.

- Dobrze. Wychodząc zgasz, proszę, górne światło.

- Śpij spokojnie.

Pociągnął za metalową linkę, zwisającą z oprawy pojedynczej gołej żarówki. Światło natychmiast zgasło. Cole pokiwał głową nad tym cudem techniki. Jeszcze dwa lata temu kładli się spać przy lampie naftowej. Elektryczność wciąż stanowiła luksus, podobnie jak telefon, ale w czasie gdy Cole dochodził do zdrowia we francuskim szpitalu po wojnie, ceny bydła poszły w górę. Tak powiedziała mu Marion. W każdym razie na jego powrót czekało w domu wiele nowości. Cole nie rozumiał, w jaki sposób wojna mogła korzystnie wpłynąć na gospodarkę, ale faktu nie kwestionował. Matka tak cieszyła się z tych luksusów, że nie miał serca czynić jej wyrzutów o pieniądze, które mogły iść na rozwój hodowli. Zresztą, w czasie, gdy go nie było, sąsiedzi pomagali, a Taggart i Cherry opiekowali się bydłem, dzięki czemu zastał ranczo w dobrym stanie. To jedno go cieszyło. Teraz musiał jednak jakoś spłacić hipotekę, zanim straci prawo własności. Byłoby to dla niego najwspanialsze możliwe wydarzenie. Naturalnie oprócz przedłużenia życia

Marion, pomyślał natychmiast, machinalnie wypowiadając słowa bezgłośnie modlitwy.

Na razie jednak miał jeszcze jedno zmartwienie na głowie. Złożył Lacy obietnicę. Jak jej powiedzieć, że marzenia o rodzinie nigdy się nie urzeczywistnią?



Zanim Cole się wykąpał i ubrał w czystą bieliznę, Lacy napaliła w małym kominku w sypialni. Usiadła przy ogniu i wzięła się do wykańczania koronką nowej sukienki. Mimo że było to południe Teksasu, w wysokich pokojach chłodne noce dawały się już we znaki, więc ciepło płynące od ognia było bardzo przyjemne.

Cole stanął przy jej krześle.

- Włożyłem brudne naczynia do zlewu. Mogą poczekać do jutra - powiedział.

- Dziękuję - odrzekła z uśmiechem. - Jak się czuje Marion?

- Zgasilem jej światło. Obiecała, że spróbuje zasnąć. - Usiadł obok niej, na krześle z wysokim oparciem, i nerwowo przeczesał dłonią włosy, jeszcze wilgotne po prysznicu. - A ja ci obiecałem wyjaśnienie.

Przebiła igłą materiał i nagle jej dłonie znieruchomiały. Zatrzymała wzrok na twarzy męża.

- Tak.

- To będzie trudne.

- Już ci powiedziałam, Cole. Nic nie będzie miało dla nas znaczenia.

- Tak myślisz? - spytał ironicznie. Opadł na oparcie krzesła i zaczął skręcać papierosa. - Wiesz, że we Francji mnie raniono i że długo potem dochodziłem do siebie. Ale nie wiesz, jak do tego doszło. - Wsunął gotowego papierosa do ust i sięgnął po jedną z wielkich kuchennych zapalek do rozpalania ognia. Wsunął ją do kominka, zapalił papierosa, a drewnienko cisnął w ogień. - Wracaliśmy w szyku z nalotu na niemieckie pozycje, kilku pilotów. Zaskoczyli nas Niemcy, cyrk wracający dokładnie w drugą stronę.

- Cyrk? - spytała zaciekawiona.

- Tak nazywaliśmy szyk samolotów - wyjaśnił. - O nazwie decydowało nazwisko prowadzącego. Na przykład na czele cyrku Richthofena latał Czerwony Baron we własnej osobie.

- Rozumiem.

- Rozpętało się piekło. Nie masz pojęcia, jak trudno jest utrzymać maszynę w równowadze, a jednocześnie razić nieprzyjaciela gradem pocisków. Leciałem dwupłatem, Nieuportem. Właśnie siadłem przeciwnikowi na ogonie, kiedy dostałem się pod ogień z góry. Trafili mnie, zacząłem tracić wysokość, samolot się zapalił.

Lacy ani drgnęła. Miała nadzieję, że jeszcze oddycha.

- Uderzyłeś w ziemię?

- Niezupełnie. Te samoloty mają szkielet z drutowanego drewna i są pokryte tkaniną

nasączoną olejem, więc palą się bardzo łatwo. Ale miałem szczęście, bo w pobliżu była równina. Udało mi się wylądować. Tyle że uwięzła mi stopa i nie mogłem wyskoczyć. Zaraz po tym, jak wylądowałem, w płomieniach stanął cały samolot. - Spojrzał na przerażoną twarz Lacy. - Turek zauważył, że spadam. Wylądował prawie równocześnie ze mną i przybiegł na pomoc. Wyciągnął mnie z samolotu. - Zadrżał na wspomnienie tego gorąca i potwornego bólu. - Zdusił płomień i siedział ze mną, póki nie zjawili się sanitariusze. Spędziłem wiele miesięcy w szpitalu. Najpierw bano się o moje życie, okazało się jednak, że mój stan się polepsza. Turek siadywał przy mnie. Mówił do mnie. Dodawał mi otuchy. Wyrwał mnie spod kosy. - Teraz Cole na nią nie patrzył. - Kiedy mniej więcej doszedłem do siebie, lekarze powiedzieli mi, co się stało i czego mam się spodziewać. Po ich odejściu złapałem rewolwer. Turek mi go zabrał.

Lacy głośno wypuściła powietrze z płuc.

- Och, Cole - powiedziała przejęta trwogą.

Zaśmiał się chłodno, patrząc w ogień. Widok skaczących płomieni sprawił, że się wzdrygnął.

- Plecy i nogi miałem okropnie poparzone, brzuch też. Wykurowałem się, ale zostały po tym wstrętne blizny. Nie to jednak jest najgorsze. - Uniósł papierosa do ust i głęboko zaciągnął się dymem. - Lekarze powiedzieli, że być może już nigdy nie zostanę ojcem.

Gdy kończył mówić, Lacy zerwała się z krzesła i opadła przed nim na kolana. Bez słowa wtuliła twarz w jego klatkę piersiową. Cole położył jej dłoń na głowie, jakby usiłował odkryć znaczenie tego gestu. Czy chciała go pocieszyć, czy okazać mu litość? Właśnie się nad tym zastanawiał, gdy rozległo się krótkie pukanie do drzwi i w pokoju znalazł się Ben.

- Cole, muszę z tobą pomówić! - zaczął nagłym tonem. - Przepraszam, Lacy, ale to nie może czekać. Cole, proszę cię!

Lacy podniosła się z kolan, odwracając twarz. Cole wstał. Popatrzył na nią, ale nie udało mu się pochwycić jej spojrzenia. Wyszedł z Benem, zamykając za sobą drzwi.

- No, co tam? - spytał na korytarzu. Wiedział, że nie chodzi o Marion, bo jeszcze nic bratu nie powiedział.

- Dzwoniła do mnie Faye - bąknął Ben. - Wytropiła mnie w San Antonio i zaklina się, że jest ze mną w ciąży. Mój Boże, Cole. Zareczyłem się, chcę brać ślub! Nie mam czasu na ten bajzel!

- Ale miałeś czas przespać się z Faye i zrobić jej dziecko - oskarżycielsko stwierdził Cole. - Zhańbiłeś ją. Splamiełeś jej honor. Ira był tu dzisiaj, wściekły jak cholera.

- Wcale nie zamierzałem posuwać spraw aż tak daleko - jęknął Ben. - Wypiłem trochę, a ona była chętna i taka miła. Nie mogłem się powstrzymać. Od tej pory już jej nie dotknąłem. A

minęły trzy miesiące. Poza tym wiem, że dziecko nie jest moje, nawet gdyby ona rzeczywiście się go spodziewała.

- Skąd wiesz?

- Bo strasznie się na nią napaliłem w kilka dni później, ale powiedziała mi, że nie można, bo to są złe dni - wyjaśnił Ben. - Czyli dziecko nie może być moje.

Cole zajmował się hodowlą bydła dostatecznie długo, by znać się na cyklach, owulacji i menstruacji. Skinął głową. Zdarzały się oczywiście wyjątki od reguły, ale jeśli trzy miesiące temu Faye powiedziała Benowi prawdę, to nie mogła wtedy zajść w ciążę.

- I co ja mam zrobić? - skamlał Ben. - Nie mogę dopuścić do tego, żeby Jessica się o niej dowiedziała. Jeszcze zerwie zaręczyny i co wtedy ze mną? Stary Bradley pewnie wywali mnie z pracy!

- Chyba nie żenisz się z nią dla pracy? - spytał czujnie Cole.

- Żenię się z nią, bo jest dobra w łóżku, bogata i ma odpowiednie kontakty - stwierdził konkretnie Ben. - Czemu nie? Znudziło mi się biedowanie!

Cole poczuł niesmak, czemu natychmiast dał wyraz.

- Pieniądze nie załatwiają wszystkiego, a na koszt kobiet żyją tylko szmaty.

- Rozumiem, że wiesz coś o tym - odgryzł się Ben, zirytowany przyganą Cole'a.

- Co masz na myśli? - spytał starszy brat.

- Od lat żyjesz na koszt Lacy. A może nie wiedziałeś, że za te wszystkie nowoczesne cudenka w domu zapłaciła twoja żona? - wygarnął Ben z pogardą. - Zapłaciła nawet drugą ratę długu hipotecznego, żeby nie zajęto rancza podczas twojego pobytu we Francji. Tutaj zrobiło się bardzo ciężko, Lacy nas uratowała.

- Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? - spytał Cole z pobielającą twarzą.

- Nie pytałeś - odparł z zakłopotaniem Ben. Nie podobał mu się wygląd brata. - Dlaczego matka jeszcze nie śpi?

Cole nigdy w życiu nie czuł się tak zdruzgotany. Lacy wspierała go finansowo, a on o tym nie wiedział. Niech diabli wezmą tego smarkacza. Wyszedł przed Benem na kompletnego głupka!

- Matka ma obrzęk płuc. - Bez najmniejszych wyrzutów sumienia wyrąbał Benowi bolesną nowinę. - Lekarz mówi, że niewiele życia jej zostało.

Obrócił się na pięcie, zostawiając brata wrośniętego w ziemię, z wytrzeszczonymi oczami. Sam wrócił do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Nie było mu przykro. Niech szlag trafi Bena! Nie było mu ani trochę przykro, że zawiadomił brata w ten sposób.

Lacy siedziała przy ogniu z zasmuconą twarzą.

- Cole... - zaczęła łagodnie.

- Ładujesz pieniądze w ten dom i w ranczo - oskarżył ją Cole. - Dlaczego nikt mi tego nie powiedział?

Na jej twarzy odmalowało się poczucie winy.

- Bo wiedziałam, że wpadniesz w szal - powiedziała szczerze. - Miałam pieniądze, a na ranczu były potrzebne...

- Dostaniesz je z powrotem - syknął. - Co do centa.

- Czy musimy o tym mówić dzisiaj wieczorem?

- Nie. - Podeszedł do szafy, wyciągnął z niej piżamę i szlafrok. Znów odwrócił się do Lacy. Pałał gniewem. - Od dzisiaj śpię w pokoju gościnnym. Jeśli ci się to nie podoba, to wracaj do San Antonio. Albo idź do diabła, jeśli masz ochotę.

Lacy wstała z krzesła.

- Cole, proszę cię, nie rób tego. Nie bądź taki. Podczas wojny tutaj zrobiło się naprawdę krucho. Ciebie nie było... Czekwały rachunki do zapłacenia, groziło zajęcie nieruchomości... A ja miałam aż za dużo pieniędzy. Nie mogłam pozwolić, żeby ranczo przepadło.

- Nie wezmę pieniędzy od kobiety - powiedział śmiertelnie urażony.

- Cole, proszę cię, posłuchaj - błagała.

- Dobranoc, Lacy. - Wszedł trzaskając drzwiami. Lacy opadła na krzesło, czując tępe pulsowanie w skroniach. Mogła była przewidzieć, że gdy Cole dowie się o jej finansowym wsparciu dla Spanish Flats, jeszcze raz uniesie się dumą. Trafiła go w najczulszy punkt. Nie zapomni jej tego ani nie wybaczy. A więc wrócili do początku. Chciała mu powiedzieć, że go kocha. Szkoda, że nie będą mogli mieć dziecka, ale to nie ma znaczenia.

Blizny też nie mają znaczenia. Niestety, Cole stracił nastrój do słuchania. Zastanawiała się, czy nie wyjechać do San Antonio. Ale jak mogłaby zostawić Marion?

Uznała, że nie może. Musiała tu zostać, przynajmniej do zaręczynowego przyjęcia Bena. Tak czy owak, postanowiła niezwłocznie się położyć. Przeżyła jeden z najgorszych dni w swoim życiu. Najpierw Marion, a potem Cole. Naturalnie wszystko wypaplał Ben. Trzeba szczeniakowi natrzeć uszu. Z radością spuściłaby mu porządne lanie.

Nie wiedziała, że Benowi już się dostało za niedyskrecję. Po rozmowie z Cole'em poszedł do łóżka w swym dawnym pokoju, gdzie nikt go nie widział, i tam wybuchnął płaczem. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że matka może umrzeć. Cole nie powinien był powiedzieć mu tego całkiem bez ogródek. I nie powinien był go irytować swoim staromodnym poczuciem przyzwoitości. Ben wiedział, że jest dorosły, więc wolno mu żyć tak, jak ma ochotę, i żenić się, z kim chce.

Na myśl o rychłej utracie matki poczuł się bardzo niewyraźnie. A do tego Faye zagrażała

jego przyszłości, wydzwanając do niego i płacząc, że będzie miała dziecko. Przed powrotem do San Antonio musiał definitywnie załatwić sprawy z tą małą. Nie mógł dopuścić do tego, żeby rozpuszczała po okolicy plotki na jego temat. Pomyślał z rozpaczą, że nie ma na świecie słów, którymi można by opisać, jak skomplikowane jest życie.

Tymczasem w Chicago Katy przyzwyczaiła się do niezbyt miłego porządku rzeczy. Publicznie była żoną Danny'ego, prywatnie jego chłopcem do bicia. Mama Marlone narzekała i zrzędziła jak dzień długi, a kiedy Danny był akurat w domu, przejmował jej rolę. Katy nie robiła dobrze dosłownie nic. Nawet w łóżku już nie miał na nią ochoty, a przecież ich małżeństwo trwało zaledwie kilka tygodni.

- Nie jesteś tą samą dziewczyną, którą przywozłem do domu - powiedział któregoś wieczoru z cieniem pogardy w głosie, gdy przyszli do nielegalnego baru, gdzie Danny umówił się na spotkanie z szefem miejscowego gangu, Blakiem Wardellem. - Nie uśmiechasz się, nie ma w tobie radości życia. Tylko siedzisz i krzywo patrzysz. Mama jest bardzo rozczarowana.

- Ja też - stwierdziła tępo Katy. - Powinnaś być w Teksasie.

- Przydasz się i tutaj, laleczko - powiedział tajemniczo. - Nie pozwolę nikomu mówić, że straciłem nadarzącą się okazję. - Z aprobatą otaksował jej sukienkę, zaraz jednak spojrzał na opaskę z piórami, przytrzymującą jej zaczesane do góry ciemne włosy. - Powinnaś się ostrzyć na krótko. Dziwnie wyglądasz.

Wszystkie inne kobiety nosiły modne chłopięce fryzury, ale Katy tego nie lubiła. Podobały jej się długie włosy. Jeśli przy okazji postępowała niekonwencjonalnie, tym lepiej. Życie z Danny'ym było piekłem. Nawet oplakiwanie Turka w Spanish Flats wydawało jej się lepsze niż ta śmierć za życia. Stanowiła własność, taką samą jak jeden z samochodów. Jeśli nawet Danny z początku miał dla niej ciepłe uczucia, to Mama Marlone postarała się szybko z tym skończyć. Tego wieczoru Katy znalazła się z Danny'ym w lokalu tylko jako dekoracja, odpowiednie tło do interesów.

Blake Wardell był potężnie zbudowanym, śniadym mężczyzną z łagodnym spojrzeniem, mimo iż uważano go za jednego z najbardziej wpływowych gangsterów w Chicago. Zyski czerpał z hazardu, prowadził bowiem kasyna w całym kraju. Danny chciał włączyć się do tego procederu, i to nie jako pionek.

Wardell wydawał się Katy dość pociągający. Coś w jego urodzie przypominało jej Turka. Może wzrost, może uśmiech albo melancholijny wyraz oczu, z jakim na nią patrzył. Katy odwzajemniała spojrzenia i przypominała sobie chwile spędzone ostatniego dnia z Turkiem. Nie żałowała ani trochę tego, co się stało. Była prawie pewna, że zaszła w ciążę. I że dziecko jest Turka, a nie Danny'ego. Cieszyła się, że mimo koszmarnego małżeństwa w dziecku będzie mogła

adorować kochanego człowieka, przy całkowitej niewiedzy Danny'ego.

Za wszelką cenę chciała jednak zawiadomić Turka. To on był jej życiem, chociaż jej nie chciał. Powiedział, że nie chce. Nie zrobił najmniejszego gestu, by ją zatrzymać. Musiała się z tym pogodzić i żyć w świecie, o którego istnieniu wcześniej nawet nie wiedziała.

Gangsterzy fascynowali ją. Nie mieli dwóch głów ani nie chodzili uzbrojeni po zęby. Byli zwykłymi ludźmi, niczym się nie wyróżniającymi. Po prostu zarabiali na życie w sposób sprzeczny z prawem i chętnie o tym mówili. Katy słyszała różne przerażające historie o zbrodniach i wymuszeniach. Niektórzy z przyjaciół Danny'ego mieli na sumieniu autentyczne morderstwa. Katy odnosiła się do tego wszystkiego z lęklwym podziwem, chociaż zastanawiała się czasem, co powiedziałyby jej biedna matka i Lacy, gdyby ją zobaczyła w tej sytuacji. Najbardziej cieszyła się jednak, że nie widzi jej Cole, bo niechybnie zabrałby się najbliższym pociągiem do Chicago, uzbrojony w okazałych rozmiarów pukawkę. Ale od czasu ślubu dostała od niego tylko jedną wiadomość: lakoniczny liścik z gratulacjami. Cole nie znosił Danny'ego, a ponieważ nie wiedział też, co zaszło między nią i Turkiem, mogła oszczędzić ich przyjaźń. Nie miało to znaczenia, wiedziała przecież, że ona nigdy więcej Turka nie zobaczy. Żałowała tylko, że tak źle żyje jej się z Dannym. Ostatnio jej mąż bardzo się zmienił. Coraz częściej zachowywał się nieodpowiedzialnie i gwałtownie. Katy zaczynała się go bać. Raz już ją pobił...

- Wydaje się pani bardzo poważna, pani Marlene - powiedział cicho Blake Wardell. Z cygara, które trzymał w lewej dłoni, unosił się dym. Na małym palcu miał sygnet z rubinem, ale poza tym nie nosił biżuterii.

Katy spojrzała na niego z dyskretnym zainteresowaniem. Miał krzaczaste brwi i imponujący nos, szerokie, mięsiste usta i kwadratowy podbródek. Określenie „granitowa” pasowałoby do tej twarzy jak ulał. Ratowały ją jednak głęboko osadzone oczy. Były ciemne i pełne życia, mówiły więcej niż słowa. Blake uśmiechnął się do niej, a oczy natychmiast wysłały ostrzeżenie, żarzące się jak dogasający płomień.

- Katy ostatnio nie jest zbyt rozmowna - stwierdził sarkastycznie Danny. - I nie przemęcza się. Krótko mówiąc, robi tu za manekina. Ozdabia scenę.

- Danny, proszę cię - zachnęła się Katy.

- Ozdobą niewątpliwie jest - przyznał Blake z galanterią. - Jak możesz ryzykować pokazywanie jej innym mężczyznom? - spytał Danny'ego.

Danny natychmiast przestał karcić ją lodowatym spojrzeniem. Zerknął na Blake'a. Chciał mieć udział w jego interesach, ale nie starczało mu kapitału na kupno. Jednakże Wardell wydawał się zafascynowany Katy. Mniejsza o to, że Danny wiedział, jaka z niej zimna suka. Nieoczekiwane zainteresowanie Wardella mogło okazać się korzystne.

- Może zatańczysz z Blakiem, Katy? - zaproponował. - Dobra z niej tancerka - zareklamował żonę.

Zespół grał charlestona. Katy zawahała się. Wzbierał w niej bunt i nagle zrobiła się podejrzliwa.

- Nie wiem, czy powinnam... - zaczęła. Danny posłał jej mordercze spojrzenie. Pochwyciwszy je, Katy z trudem opanowała strach.

- Nie bądź gęsią - mruknął Danny. - Dalej, zatańcz z sympatycznym człowiekiem.

Była to groźba. Katy nie sprzeciwiała się więcej.

Wardell zaśmiał się cicho, sądząc, że krępuje ją publiczne wystąpienie na parkiecie. Charlestona uważano w niektórych kręgach za przejaw dekadencji i symptom zepsucia społeczeństwa. Ludzie z tych samych kręgów starali się zakazać grania jazzu, widząc w nim obrazę moralności.

- Jeśli nie lubi pani takiej muzyki, to zamówię co innego - powiedział Wardell, przyzywając kelnera. Wręczył mu banknot i coś szepnął, wykonując gest w stronę muzyków. Kelner uśmiechnął się szeroko, skinął głową i podszedł do lidera zespołu. W chwilę później szalona muzyka ucichła, a jej miejsce zajął wolny, słodki temat, który Katy natychmiast poznała.

- Lepiej? - spytał Wardell wstając.

Katy zaczerwieniła się, bo zespół zaczął grać powojenny przebój *A Pretty Girl is Like a Melody*. Ładna dziewczyna jest jak melodia.

- Pani naprawdę jest ładna - powiedział, gdy swobodnym ruchem ramienia prowadził ją po parkiecie w żywym rytmie słodkiego fokstrota. - Czy mąż pani tego nie mówi?

Katy wzruszyła ramieniem.

- Raczej nie.

- Szkoda. - Obejrzał jej włosy, związane w koczek z tyłu głowy, i przewędrował spojrzeniem po sukience, sięgającej tuż za kolana i podtrzymywanej przez błyszczące ramiączka. Lśniące na nich kamienie wspaniale podkreślały gładkość skóry Katy. Blake Wardell mimo woli zaczął się zastanawiać, jak ta dziewczyna wyglądałaby nago, jedynie w diamentowym naszyjniku. Podniecił się tą myślą i parsknął gardłowym śmiechem.

Podniosła głowę, zmieszana.

- Dlaczego pan się śmieje?

- Nie znamy się dostatecznie dobrze, żebym mógł pani powiedzieć. Ale to się zmieni.

Katy odchrząknęła. Blake pachniał bardzo po męsku, wodą kolońską i czystością. Danny często darowywał sobie kąpiel i zawsze ciągnęła się za nim woń potu. Katy wydawało się to odrażające. Prawdopodobnie seks z Dannym wydałby jej się teraz odpychający.

Blake miał również miły uśmiech, przypominający jej Turka. Zapach wody kolońskiej był znajomy. Prawdopodobnie Turek używał tej samej, co wywołało jej mieszane uczucia wobec tego człowieka. Niepokoiło ją istniejące między nią i Wardellem wzajemne przyciąganie. Czyżby należała do kobiet, które lubią wielu mężczyzn? Czytała o takich i ta myśl ją przeraziła. Nie wychowywano jej w rozwiązłości, ale do Blake'a Wardella czuła instynktowny pociąg. A poza tym prawie na pewno była w ciąży...

- Co się stało? - spytał, zamykając swą wielką dłoń wokół jej zimnych palców. Podniosła głowę. Z jej twarzy można było czytać jak z książki. Uśmiechnął się bardzo łagodnie. - Niech się pani nie przejmuj - powiedział cicho. - Ja też to czuję.

- Mam męża - wybąkała.

- To nieistotne.

- Ale... Pochylił się.

- Powiedziałem, że to nieistotne - szepnął tuż przy jej ustach. Chwila była tak krótka, że Katy nie zdążyła uwierzyć w jej istnienie. - Chodź bliżej. - Blake przyciągnął ją do siebie. Zadrżała, czując jego bliskość. Turku, pomyślała, przypominając sobie dzień wyjazdu ze Spanish Flats. Och, Turku! - jęknęła bezgłośnie. Miała wrażenie, że go zdradza, chociaż poczucie winy powinna mieć wobec Danny'ego.

Tymczasem Danny przyglądał się tańcowi Katy z Wardellem bez zazdrości czy gniewu. Uśmiechał się. Dobrze. Wardell jej pragnie. W myślach Danny'ego zrodziły się plany. Katy mogła posłużyć jako klin, który umożliwi mu wejście do struktur Wardella. Wreszcie dziewczyna zrobi coś pożytecznego, pomyślał. Boże, miał wrażenie, jakby sypiał z rzeźbą. Katy nie znosiła seksu. Podejrzewał, że taka jest większość kobiet w jej rodzaju. Wolał doświadczone, które wiedzą, co robić. Wlepił wzrok w niczego sobie blondyneczkę, która puszczała do niego oko od sąsiedniego stolika. Czemu nie? - pomyślał, spoglądając na Katy z Wardellem. Wykonał gest w stronę blondynki, zostawił napiwek na stole, polecił kelnerowi powtórzyć Katy, że musiał wyjść, i rzeczywiście wyszedł, z blondynką w ramionach.

Tak zaczął się nowy rozdział w życiu Katy. Od tego wieczoru Blake Wardell zawsze objawiał się w pobliżu, gdy wychodziła z Dannym do miasta. Cieszyła się jego towarzystwem, bo wtedy Danny traktował ją przyzwoicie. Ale obecność Blake'a wywierała też olbrzymi wpływ na jej uczucia.

Sprawy stanęły na ostrzu noża, gdy Danny wyrzucił ją ze wspólnej sypialni, łącząc niemiłosiernie podczas jednego z napadów złości. Mamy Marlone nie było wówczas w domu, bo akurat poszła odwiedzić krewną. Katy opuściła sypialnię, ale mąż dopadł ją za progiem i uderzył. Spadła ze schodów, a Danny nawet się na nią nie obejrzał i wyszedł z domu.



Znalazł ją Blake Wardell. Półprzytomna, krwawiła i jęczała z bólu. Była niemal pewna, że straciła dziecko. Wardell wezwał ambulans i pojechał z nią do szpitala. Podczas jazdy szlochała, a on trzymał ją za rękę. Następne, co pamiętała, to Blake trzymający ją za rękę, ale już w szpitalnym pokoiku. Siedział przy jej łóżku.

- Poroniłaś - powiedział cicho. - Przykro mi. Łzy popłynęły jej po policzkach.

- Wiem - łkała.

- Biedny dzieciaku! Gdzie jest Danny? Zatelefonuję do niego - zaproponował.

- Nie... To przez niego spadłam - powiedziała szorstko. - Uderzył mnie. - Zamknęła oczy, a Blake wydał jęk.

- Nie wiedział o dziecku? Nie powiedziałaś mu? Nie powstrzymywała łez.

- Nie było jego - szepnęła. - Dziecko było Turka.

- Jakiego Turka? - spytał z nagle zastygłą twarzą.

- Turka Sheridan. Był zarządcą na ranchu mojego brata. To znaczy, jest zarządcą - jąkała się. - Kochałam go, ale on nosił żałobę po niedawno zmarłej żonie. Nie chciał mnie.

- Wciąż jeszcze coś do niego czujesz? - spytał Blake.

- Powiedziałam, że mnie nie chce. - Płakała coraz bardziej.

Blake przytulił ją, chowając twarz w jej włosach.

- Nie płacz, Katy - powiedział cicho. - Zaopiekuję się tobą. Pragnę cię. Zawsze cię chciałem.

Ramiona miał silne i opiekuńcze. Przyłgnęła do niego. Był wszystkim, czym nie był Danny. Ale nie był Turkiem.

- Danny ciągle popycha nas ku sobie - powiedział, gdy Katy trochę się wyplakała i niedbale otarła łzy.

- Uwważaj na niego, Blake - ostrzegła, podnosząc oczy. - To zły człowiek.

- Wiem o tym. - Dotknął jej ust. - Umiem o siebie zadbać. Ty też byś umiała, gdybyś od niego odeszła.

Chciała, ale bała się tego, co Danny mógłby zrobić. Lękliwie dotknęła posiniaczonej twarzy.

- Nie mogę.

- Posłuchaj - rozzłościł się. - Nie pozwolę mu cię krzywdzić. Danny to płotka. Ja wiem, gdzie i jak nacisnąć, i umiem z tego korzystać. Powiedz słowo, a odeślę go z powrotem do Włoch w blaszance po syropie!

Gdyby się nie martwiła o Blake'a, może nawet wyraziłaby zgodę. Ale Danny był wykolejeńcem i co wieczór zachowywał się bardziej gwałtownie. Bała się nie tylko tego, co

mógłby zrobić Wardellowi, ale i jej rodzinie w Teksasie. Przecież wszędzie miał kontakty.

- Nie - powiedziała po dłuższej chwili. - Nie chcę, żeby coś ci się stało.

Twarz mu się zmieniła. Wydawało się, że nagle pozbył się połowy swych lat. Spojrzał na nią z zachwytem.

- Nie chcesz, żeby coś mi się stało - powtórzył z zadumą.

Uśmiechnęła się wątle, wyciągnęła dłoń i dotknęła jego twarzy.

- Sprawiasz wrażenie zaszokowanego.

- Bo jestem zaszokowany. Nikt nigdy się o mnie nie zatroszczył - wyjaśnił krótko. - Matka żyła z klientów, których znajdowała na ulicy. Nawet nie wiem, kto był moim ojcem. Wyrosłem w surowych warunkach, na bakier z prawem. Wszystko, do czego doszedłem, musiałem zdobyć sam.

Współczuła mu. Nie był taki zły. Widziała już, jak wychodził ze skóry, żeby pomóc ludziom, którym się nie poszczęściło. Teraz opiekował się nią, kiedy nie było do tego nikogo innego. Pod wpływem odruchu pocałowała go w usta.

Zesztywniał i już miał się cofnąć, ale nagle objął jej głowę i przylgnął do jej ust. Był przynajmniej równie doświadczony jak Turek. Poczula zawrót głowy. Podobało jej się, jak pieścił jej wargi, zanim wniknął językiem głęboko do ust, wrywając z niej westchnienie. Nagle obudziło się w niej pożądanie.

Usłyszał ten cichy dźwięk i uniósł głowę. Popatrzył jej w oczy.

- Masz poczucie winy. Niepotrzebnie. Nie możesz nic na to poradzić i ja też nie.

Przełknęła ślinę. Wydawała się zakłopotana.

- Wiem - odezwał się cicho. - Kochasz tego swojego zarządcę. Czujesz się nielojalna wobec wspomnienia o nim. Nie chodzi o twojego męża, prawda?

Bezradnie skinęła głową. Blake przyglądał jej mokre, rozczochrane włosy.

- Może mało to warte, ale mnie też trochę gryzie sumienie. Jesteś mężatką. Z reguły nie miewam wielu skrupułów, ale nigdy jeszcze nie zadałem się z czyjąś ślubną.

Ironia w głosie Blake'a poprawiła jej nastrój.

- Nic nie powiem, jeśli ty nie powiesz - szepnęła, przez chwilę ożywiona tak jak dawniej.

Wardell dostrzegł nagły błysk jej zielonych oczu, pogodę na twarzy. Zrozumiał, jaka naprawdę jest Kary, i przeklął tego głupiego zarządcę, że odrzucił jej miłość. Niespodziewanie uświadomił sobie, że sam dałby za tę miłość wszystko.

- Szkoda, że to nie ja byłem zamiast Danny'ego - powiedział. - Albo jeszcze lepiej zamiast tego człowieka z twoich rodzinnych stron. - Z niechęcią zaczął się wycofywać. - Ale pewnie miałabyś ze mną nie najlepiej. Jestem hazardzistą. Żyję ze słabości innych ludzi. Zresztą - dodał,

odwracając głowę - nie mogę zostać ojcem. Miałem świnkę w późnym wieku.

Dotknęła jego dłoni i wsunęła w nią swoją.

- Współczuję. Spojrzał na nią z powagą.

- Jeśli Danny jeszcze raz cię uderzy, zabiję go - stwierdził sucho.

Katy oblała się rumieńcem.

- Blake...

- Nie odwiedzisz mnie od tego postanowienia. A może poszłabyś ze mną do teatru, kiedy cię stąd wypuszczą? Znajdziemy coś, co cię pocieszy.

- Chętnie - odpowiedziała z uśmiechem. Przesunął wzrokiem po jej ciele, po czym spojrzał jej w oczy.

- Przykro mi z powodu dziecka.

- Mnie też - przyznała. - Ale tak chyba jest najlepiej. On by go nie chciał... - Urwała bezsilnie.

Pochylił się i wargami zebrał łzy z jej policzków.

- Nie płacz - szepnął. Czule musnął jej usta, a potem delikatnie uchwycił dolną wargę zębami. - Chodź ze mną do łóżka, Katy.

Zatkało ją. Patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Nie panikuj. Nie mówię, że teraz. - Znowu ją pocałował. - Nigdy nie czułem czegoś takiego do kobiety, na której mi zależało - powiedział z ledwie tłumionym pragnieniem. - Do kobiety, którą szanowałem. Chyba cię kocham, dziecko.

Spojrzała niedowierzająco.

- Naprawdę? Skinął głową. I znowu czule musnął wargami jej usta.

- Jestem duży - powiedział. - O wiele większy niż Danny.

Zarumieniła się z powodu tej bezpośredniości. O czymś takim nie mówił nawet Danny, a co dopiero Turek.

Uśmiechnął się na widok jej rumieńców.

- Powinnaś to wiedzieć, zanim się zdecydujesz. Zdarzało się, że uciekały przede mną prostytutki.

Serce jej zamarło. Spojrzała mu w oczy.

- Ale mnie byś nie skrzywdził - powiedziała, święcie o tym przekonana. - Nie podoba mi się to, co robię z Dannyem. Nigdy mi się nie podobało.

Zmrużył oczy.

- A z twoim zarządcą? Odwróciła twarz.

- Jego kochałam - wybąkała.

- No, cóż - westchnął. - Nie mogę być w łóżku kimś innym. Ale będę dla ciebie dobry, Katy. - Pocałował ją w głowę. - Może nie będzie ci tak źle z człowiekiem, który kocha cię nad życie.

Zamknęła oczy. Nie był to Turek, ale z pewnością był to jakiś uśmiech losu.

- Blake...

- Wiem, boisz się cudzołóstwa, tak cię wychowano. Ale pomyśl o tym. Bardzo cię pragnę - powiedział ochryple. - Boże, Katy, pragnę cię bardziej, niż pragnę żyć.

Przywarła do niego. Nie był nawet w połowie taki zły, jak jej się na początku zdawało. Gdzieś w głębi kryło się w nim dobro. Gdyby nie gwałtowny charakter Danny'ego, może nawet poszłaby do Blake'a. Ale nie mogła ryzykować. Tkwiła w potrzasku. Jednego tylko nie rozumiała. Dlaczego Danny popycha ją ku Blake'owi?

Ben poszedł w odwiedziny do Faye następnego rana. Na szczęście jej ojciec wyjechał akurat do miasta, więc była sama w domu. Widząc go na progu, dosłownie zdrętwiała. Włosy miała potargane, twarz otaczała jej bezładna masa blond loczków. Stary szlafrok luźno okrywał bawełnianą koszulę nocną wiszącą na jej wychudzonym ciele.

- To ty - powiedziała nadąsana. - Chodź do środka, opowiesz mi o swojej elegantce z San Antonio.

- Nie jesteś w ciąży - stwierdził Ben krótko, mierząc ją surowym spojrzeniem. - Dlaczego skłamałaś?

- To nie było kłamstwo - odparła wymijająco. - Przecież mogłam zajść. - Podniosła wzrok. Usta jej drżały. - Dobrze wiesz, że mogłam! Byłeś moim pierwszym i jedynym.

Ben czuł się niezręcznie. Faye wydawała się taka drobna i bezradna, a jej wielkie oczy lśniły od łez.

- Posłuchaj, Faye - powiedział bez złości. - Nie rozumiesz, w czym rzecz. Nie chcę spędzić reszty życia przy bydle. Chcę czegoś więcej. Jessica może mi to dać. Jest bogata i ma pozycję społeczną. Bardziej przypomina to umowę ludzi interesów niż małżeństwo.

- A co ona będzie z tego miała? - spytała zdecydowanie Faye.

Uśmiechnął się znacząco.

- Sama wiesz.

Dziewczyna spurpurowiała i odwróciła wzrok. Zawstydziło go to. Faye go kochała. Oddała mu się mając do niego zaufanie, a on sprzeniewierzył ten dar.

- Przepraszam - powiedział, delikatnie ujmując ją za ramiona. - Naprawdę przepraszam. - Zmarszczył czoło; coś mu się przypomniało. Z Jessicą robił to długo, bo była doświadczona i wymagająca. Ale do Faye za każdym razem przychodził podchmielony i zawsze się śpieszył. - Faye, tobie nie było ze mną przyjemnie, prawda? - spytał nagle.

Odwróciła twarz. Zmusił ją, by jednak na niego spojrziała. Wyraz twarzy Faye rozdarł mu serce. Wyglądała, jakby zżerał ją... lęk.

- Jesteś w ciąży? - spytał bardzo łagodnie. Łzy potoczyły się jej po policzkach.

- Nie! - wydusiła z siebie. - Chciałam być. Modliłam się, żebym była. Ale ty mnie nie kochasz, prawda?... Więc to byłoby dla ciebie straszne. Och, Ben, tak mi przykro! - szepnęła złamanym głosem. Zakryła twarz dłońmi; zaczęły nią wstrząsać dreszcze. - Tak mi przykro! Kochałam cię bardzo, bardzo. I wydawało mi się, że choćby dlatego ty też musisz mieć dla mnie odrobinę uczucia. Ale ty go nie masz. Nigdy nie miałeś. Po prostu byłam łatwa i oddałam ci się

jak ulicznica!

Przyciągnął ją do siebie z jękiem. Była niesamowicie delikatna. Czemu właśnie taka, naiwna i bezbronna? Nie stać go było na zaczynanie z nią od nowa, a już na pewno nie w czasie, gdy był zaręczony! Teraz cały świat należał do niego. Wystarczyło poświęcić małą Faye i osiągnie wszystko, czego kiedykolwiek pragnął.

- Tak cię kocham - szlochała mu w koszulę. Przerażony zaczerpnął tchu i bezmyślnie pogładził ją po głowie.

- Nie płacz - szepnął. Zamknął oczy. - Faye, moja matka jest umierająca - wyrzucił z siebie.

Faye cofnęła się pół kroku i otarła łzy.

- Twoja matka? Och, nie, Ben!

- Serce. - Odsunął jej włosy z twarzy. Minę miał rozpaczliwie smutną. - Nie wiedziałem o tym. Co ja zrobię, kiedy ją stracę? Z bratem ani z siostrą nigdy nie byłem blisko, ale z matką tak, pewnie dlatego, że jestem najmłodszy. I ona ma umrzeć!

- To dobra kobieta - powiedziała łagodnie Faye. Pogłaskała go po twarzy w geście szczerzego współczucia. - Będzie wśród aniołów...

Głos jej się załamał. Ben przyciągnął ją do siebie, a ona przytuliła go i pocieszała, szepcząc cicho, nic nie znaczące słowa. Mała Faye z wielkim, gorącym sercem.

- Nie martw się, Ben - szeptała i delikatnie otarła się o jego policzek. - To minie. Lekarze czasem się mylą, przecież wiesz. Mama może żyć jeszcze długie lata.

Dzięki temu Ben wziął się w garść i znów stał się potencjalnym zdobywcą świata. Nabrał powietrza głęboko do płuc i podniósł głowę, wcale nie zmieszany tym, że Faye zobaczy ślady łez na jego gęstych rzęsach. Od dzieciństwa Faye stanowiła część jego życia. Był jej pierwszym mężczyzną. Traktował jej obecność przy sobie jako coś oczywistego. Ale teraz nie miał prawa z nią być. Honor mu nie pozwalał.

- Jesteś urocza - powiedział. Uśmiechnął się i musnął jej wargi. Natychmiast jednak zorientował się, że popełnił gruby błąd. Zupełnie jakby iskra padła na wysuszone drewno. Mimo wyrafinowania i technicznej sprawności Jessiki, Faye podniecała Bena do nieprzytomności. Wystarczyło, że go dotknęła. Jęknął, złapał ją za biodra i przyciągnął do siebie. Faye głośno syknęła, zaskoczona nagłością tego pragnienia, gorącem Bena, jakie nagle poczuła na brzuchu.

- Faye! - szepnął Ben drżąc.

Pocałunkiem rozchylił jej wargi, a jednocześnie popchnął ją do tyłu, na długą, wytartą sofę. Całkiem zobojętniały na to, gdzie się znajdują, kim są i nawet na to, że za chwilę może wrócić ojciec, Ben ułożył Faye i zaczął przesuwać dłońmi po jej ciele. Czuł, jak jej małe piersi

nabrzmiwiają mu w dłoniach, a ciało odpowiada na pieszczotę.

W chwilę później zsunął jej szlafrok i koszulę nocną. Nigdy przedtem nie widział jej nagiej. Ilekroć się kochali, zawsze było ciemno, a do tego spowijał go alkoholowy opar. Teraz zobaczył, jak urocza jest Faye mimo swej chudości. Skórę miała gładką, sutki różowe i twarde, wznoszące się, jakby błagały o pieszczotę, ciemniejące tak samo jak jej policzki.

- Ty śliczna dziewczyno - szepnął i zaczął drażnić ustami jej sutki. Wydała okrzyk rozkoszy. To wystarczyło, by wszelkie hamulce pękły. Zaczął ją pieścić dłońmi i ustami tak samo, jak pieścił Jessicę. Faye była jednak niedoświadczona, przeżywanie tych pieszczot pochłaniało ją więc bez reszty. Ben czuł się przy niej najbardziej męski w historii ludzkości. A Faye nigdy dotąd nie doświadczyła takiej gorączki podniecenia, może dlatego że Ben zachowywał się poprzednio zbyt egoistycznie, by zadbać o jej potrzeby. Teraz jednak to robił. Na chwilę uniósł głowę, żeby jeszcze popatrzeć. Z dumą ujrzał żar pragnienia w jej oczach, ciało wykonujące zmysłowe ruchy, drżenie długich nóg.

Nie miał czasu się rozebrać, nie zniósłby zwłoki. Rozpiął spodnie i pochylił się nad Faye.

- Spokojnie - szepnął, gdy próbowała go ściągnąć na siebie. Po niezauważalnym wahaniu zawisł nad nią tak, że ledwie jej dotykał. Faye znów wydała z siebie okrzyk, zupełnie niepodobny do okrzyków innych kobiet. Podnieciła go tym niesamowicie, wciąż jednak utrzymywał się w ryzach.

- Leż spokojnie - powiedział ochryple. Oparł ramiona po obu stronach jej głowy i wpatrując się w nią, zaczął powoli opuszczać ciało. Wstrząsnął nią dreszcz, gdy tylko poczuła, że zamierza się w nią wsunąć. Ben zatrzymał się z pożądliwym uśmiechem. - Więcej? - spytał szeptem.

- Tak, proszę! Odrobinę się poruszył.

- Tyle? - spytał, czując jej kolejny dreszcz. - Czy tyle? - I pchnął mocno, wypełniając ją całą długością.

Faye natychmiast wzniosła się na szczyty. Resztkami świadomości rejestrowała przerażające, gorące i zabijające myśli chwile spełnienia. Nie знаła tego doznania, bała się go. Ciało jej pulsowało, a z wnętrza dobywały się stłumione krzyki, w miarę jak rozkosz rytmicznie podrywała jej biodra do góry.

Ben z uwielbieniem przyglądał się twarzy Faye i całemu jej ciału. To dziwne, że Jessica nigdy tak nie wyglądała. Naturalnie Jessica bywała też z innymi mężczyznami. Faye nie. Faye nie miała nikogo oprócz niego...

Ta myśl pobudziła w nim doznanie, które przemieściło się wzdłuż kręgosłupa, nabierając mocy, wibrując, póki nie wybuchło, strzelając kroplami rozkoszy. Ben nigdy nie zaznał czegoś

równie wspaniałego. Twarz mu poczerwieniała, wygiął ciało w łuk i chrapliwie łapał powietrze, a to coś przetaczało się tymczasem przez niego, eksplodując raz po raz jak sztuczne ognie w wielkie święto.

Jego wybuch doprowadził Faye do przytomności. Z wyrazem fascynacji w szeroko rozwartych oczach przyjrzała się mężczyźnie, który był nad nią. Ona też nigdy nie widziała takiego Bena. Zerknęła w dół i ujrzała coś, czego nigdy nie spodziewała się zobaczyć. W chwilę później Ben się z niej wysunął, a ona nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Ben! - jęknęła. - O rany! Opadł na sofę obok niej, drżąc jeszcze gorączką sprzed chwili. Serce biło mu głośno, oddech rwał się. Oczy miał zamknięte. Nagle jęknął, uświadomił sobie bowiem, co zrobił. Do diabła z hormonami i z urodą Faye!

Spojrzała na niego tak, jakby otwierała przed nim serce.

- Nie musiałeś... nie musiałeś tego robić - wyszeptała, gdy podniósł powieki. - No, to znaczy chcę powiedzieć, że nie musiałeś mi robić tak dobrze.

- Nie musiałem - powtórzył bezbarwnie.

- Więc dlaczego? Spojrzał na jej piersi, już nie tak jędrne, ale zgrabne i delikatne. Natychmiast poczuł, że znowu twardnieje. Nie mógł w to uwierzyć! Coś niesamowitego! Uniósł ją nad siebie i podtrzymał.

- Znowu - szepnął gardłowo. - Dam ci to znowu.

- Przecież... jesteś zaręczony, Ben - jęknęła.

- Ona nie umie mi tyle dać - wyjąkał. - O Boże, Faye. Nikt oprócz ciebie nie umie!

Wstrzymał się dostatecznie długo, by dać jej zaspokojenie, a potem jednym długim sztychem doprowadził do kosmicznego wybuchu w żyłach. Rozkosz była niewiarygodna. Czemu nie czuł tego z kobietą, która miała zostać jego żoną?

Potem poprawiał strój, nie patrząc na Faye, która wolno naciągała na siebie bieliznę. Bardzo się wstydził.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Nie oderwała oczu od ziemi.

- Żegnaj, Ben - szepnęła z bezbrzeżnym smutkiem. - Dziękuję ci - dodała z wahaniem. - Dziękuję, że mi pokazałeś, jak może być. To takie piękne. - Przy ostatnim słowie głos jej się załamał, ale przygryzła wargę, usiłując do końca zachować godność.

Ben przystanął przy drzwiach. Nigdy jeszcze nie czuł się takim bydlakiem. Faye go pocieszyła. A on? Co on jej dał, z wyjątkiem niepokoju, że zaszła w ciążę? Myśl o Faye noszącej pod sercem jego dziecko nagle nim wstrząsnęła. Wstrząsnęła i wprawiła go w niepewność.

- Przepraszam, Faye - powiedział bez sensu. Pokręciła głową.

- Chciałam tego. Jest w porządku, nikomu nie powiem. Źle zrobiłam, że napuściłam tatę



na Colemana. Tym razem się nie dowie, obiecuję.

- Gdyby się okazało, że zrobiłem ci dziecko, chcę o tym wiedzieć - powiedział, odchylając jej głowę tak, że spojrzała mu prosto w udreżone oczy.

- Nie mogłabym, Ben - odparła czując, że serce jej zamiera. - Będziesz żonaty. To nie byłoby w porządku.

- Więc co zrobisz, na miłość boską?

- Pozbędę się go - odpowiedziała zduszonym szeptem. - Wszystko będzie w porządku.

- Pozbędziesz się? - wybuchnął gniewnie. Daleki odgłos samochodowego silnika zaalarmował Bena. Mógł wracać Ira. Jęknął w duchu, myśląc o swojej głupocie. Pakował się w kłopoty coraz głębiej. Spojrzał na Faye, próbując znaleźć właściwe słowa. To niemożliwe, żeby chciała ryzykować życie w jednej z tych podejrzanych spelunek.

- Prawdopodobnie nic się nie stało - powiedziała z urazą. - Poprzednio też nie zaszłam.

Korciło go, by dodać, że poprzednio się tak nie starał. Ale Faye miała rację. Może los raz jeszcze okaże się dla nich łaskawy. Zresztą musiał myśleć o swojej przyszłości. Jessica mogła mu dać wszystko, czego pragnął.

- Do widzenia, Faye - powiedział sztywno. Podniosła wzrok i spojrzała na niego w posepnym uwielbieniu.

- Czy ty ją kochasz? Przesząpił z nogi na nogę.

- Jest bardzo bogata.

- Rozumiem. Tym słowem doprowadziła go do szału.

- Przynajmniej ma tyle dumy, żeby nie oddawać się zaręczonemu mężczyźnie!

Faye nie podniosła już wzroku. Wyglądała na całkowicie zdruzgotaną.

Ben zaklął soczyście i wrócił do samochodu. Wściekłym ruchem zapalił silnik. Postanowił myśleć tylko o małżeństwie. Od tej chwili Faye należała jednoznacznie do przeszłości.

Spoglądając za jego samochodem, Faye wydała przeciągłe westchnienie. Żegnaj, miły, pomyślała z gorzką ironią. Mam nadzieję, że dostaniesz wszystkie pieniądze, których chcesz. Ale i tak nie będziesz miał ich dosyć. Nigdy nie jest.

Odwróciła się i weszła do domu.

Ben zatrzymał samochód przed wejściem do domu w Spanish Flats. W środku zarzył się w nim gniew. Skrzywdził Faye, jego matka jest umierająca, Cole i Lacy od rana milczą jak zakłęci, a on nie wiadomo czemu czuje się odpowiedzialny za troski całego świata. Może dorastam, pomyślał z goryczą.

Wysiadł z samochodu i wdrapał się na ganek znacznie wolniejszym krokiem niż zwykle. Lacy była w salonie, ale gdy go usłyszała, natychmiast wyszła mu na spotkanie. I ona, i Cole

wyglądali tego dnia jak wiktoriańskie przeżytki. Lacy włożyła bardzo przyzwoitą szarobiałą sukienkę pod szyję, nic kusego i modnego. Wyraz oczu miała nie mniej lodowaty niż Cole.

- Dziękuję za rozwalenie mojego małżeństwa, jakiegokolwiek było - powitała Bena. - Cole miał się o tym nigdy nie dowiedzieć. Obiecałeś!

Wzdrygnął się jak smagnięty biczem. Zawsze uwielbiał Lacy, nawet jeśli go nie dostrzegała. Dlatego mogła zranić go bardziej dotkliwie niż ktokolwiek inny.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Oskarżył mnie, że żenię się dla pieniędzy, i powiedział, że tylko szuje to robią. Poniosło mnie i odciąłem się.

Lacy była bliska omdlenia. Po tym wszystkim, co Cole przeszedł, szczytem okrucieństwa było mówić mu, żyje z jej pieniędzy. Zamknęła oczy, zbladła.

- Rozumiem.

- Szybko wyrównał rachunek - dodał ochryple Ben.

- Bez żadnych wstępów powiedział mi o matce. Lacy wytrzeszczyła na niego oczy.

- Obchodzi cię to? - spytała. - Zarząnałeś Faye jak kurczaka na niedzielny stół, zniszczyłeś moje małżeństwo, uznałeś, że bogactwo i pozycja znaczą dla ciebie więcej niż duma rodziny i szacunek dla samego siebie. Po tym wszystkim zupełnie nie mogę uwierzyć, że jesteś jeszcze zdolny do jakichkolwiek uczuć.

- Mylisz się - powiedział. - Ciężko się mylisz.

- Matka wydaje na twoją cześć zaręczynowe przyjęcie - ciągnęła Lacy, nie dając zbić się z tropu. - To może być ostatnie przyjęcie w jej życiu. Przyjedziesz tu z narzeczoną, nawet gdybym miała wysłać Turka i Cole'a do San Antonio, żeby przywieźli was przytroczonych do siodła. Rozumiesz mnie, Ben? Masz to zrobić dla matki. I lepiej powstrzymaj się od złośliwych komentarzy o tym, jak to żyjemy na koszt twojej przyszłej.

Ben skamieniał. Potwornie urażono jego dumę.

- Grozisz mi, Lacy?

- Obiecuję - sprostowała. - Twoja narzeczona nie jest jedyną bogatą osobą w San Antonio. - Uśmiechnęła się chłodno. - W istocie rzeczy mam od niej dwa razy więcej pieniędzy i dziesięć razy lepsze kontakty. - Jej wzrok zdradzał furię. Ben jeszcze nie widział Lacy w takim stanie. - Wystarczy, że szepnę jedno słówko właściwej osobie, a twoje drogocenne pismo straci wszystkich ogłoszeniodawców i padnie. Czy wyrażam się całkiem jasno?

Głośno nabrał powietrza.

- Nie zrobiłabyś tego.

- Dla Marion i Cole'a zrobiłabym wszystko - odparła.

- A dla mnie nie? - spytał z urazą.

- Coś ci powiem, Ben. Moje najmłodsze dziecko nie będzie rozpieszczonym bachorem, którego samolubstwo przesłania mu cały świat. Ty żyjesz dla przyjemności jednej tylko osoby: siebie samego. Zupełnie nie obchodzi cię, że komuś zaszкодziłeś w życiu, że kogoś uraziłeś, byłeś tylko dostał to, czego chcesz.

Ben spłosował.

- To nieprawda!

- Z zimną krwią uwiodłeś Faye i odtąd nie chcesz mieć z nią nic wspólnego, chociaż splamiłeś jej dobre imię - powiedziała Lacy. - Zdradziłeś Cole'owi rodzinną tajemnicę i zniszczyłeś w ten sposób tę odrobinę szczęścia, którą udało mi się tu znaleźć. Zwlekałeś bez końca z odpowiedzią w sprawie zaręczynowego przyjęcia, aż wreszcie Marion nabrała przekonania, że wstydzisz się przywieźć tutaj swoją narzeczoną z eleganckiego towarzystwa.

Zarzuty trafiły w czuły punkt.

- Nie wstydzę się matki - zdławionym głosem sprzeciwił się Ben.

- Jej się wydaje inaczej - odparła Lacy. - Dlatego przyjedziesz na to przyjęcie.

- Cole nie pozwoli ci za nie zapłacić, a jego na to nie stać - mruknął Ben pod nosem.

- Zgodził się, zanim jeszcze tu się zjawiłeś i zadałeś cios jego dumie. Teraz już nie cofnie danego słowa, choćby nawet chciał. Ja finansuję to przyjęcie i postaram się, żeby dorównało twoim oczekiwaniom - dodała z mrozącym sarkazmem. - Potem wracam do San Antonio i tam zamieszkać, chyba że twoja matka będzie się czuła zbyt słabo, żeby mogła wyjechać.

- A co z Cole'em? - spytał.

- Co z Cole'em? - odparła, dumnie unosząc głowę. - Szkoda, że nie wiesz. Gdybyś miał w sobie choć gram współczucia, z miejsca poszedłbyś się utopić za to wszystko, co przez te lata nawygadywałeś mu o wojnie.

Odwróciła się na pięcie i wróciła do salonu. Ben ruszył tymczasem do pokoju matki; czuł się tak, jakby go skopano. Wszedł i usiadł na krawędzi łóżka.

- Witaj, kochanie - odezwała się Marion. - Nie wiedziałam, że jesteś. Chyba spałam.

- Powinnaś odpoczywać - stwierdził wymijająco.

- Coleman ci powiedział? - spytała. Skinął głową i głośno wciągnął powietrze.

- Och, mamó - jęknął. Wyciągnęła do niego rękę, przytuliła go i zaczęła lekko kołysać, szepcząc mu nad głową czułe słowa, tak samo jak czyniła to, gdy był mały. Jej najmłodszy. Jej ulubieniec. Bardzo starała się, żeby inni o tym nie wiedzieli, ale Ben zajmował całe jej serce. Wiedziała, że później chłopiec będzie cierpiał znacznie bardziej niż Cole i Katy, ale tymczasem przynajmniej mogła go pocieszyć. Jej biedny chłopiec.

Potem, kiedy się uspokoił, niezwykle ostrożnie wspomniła o przyjęciu. Widząc złe

przecucia w oczach matki, Ben bardzo zawstydził się tego, co mówił i myślał.

- To bardzo miło z twojej strony, że chcesz wydać przyjęcie - stwierdził. - Przyjedziemy z radością. Jestem pewien, że Jessica ci się spodoba.

Uśmiechnęła się promiennie, a Bena ogarnęło zadowolenie z siebie, że się zgodził. Ale w głębi serca miał obawy. Jessica wcale nie była taka znowu sympatyczna, chyba że akurat leżała z mężczyzną w łóżku. Raziała snobizmem i miała bardzo ostry język. Łatwo mogła urazić matkę. Gdyby na przykład dom albo meble wydały jej się tandetne, nie wahałaby się tego powiedzieć.

Mogło to wywołać straszliwe następstwa. Cole nie tolerował bezceremonialnego zachowania, a groźba Lacy naprawdę Bena zaniepokoiła. Pismo istotnie było zdane na dobrą wolę i szczodrość ogłoszeniodawców. Gdyby Lacy ich zniechęciła, dziennikarska kariera Bena szybko stałaby się pieśnią przeszłości.

Nie mógł udawać, że nie widzi problemu. Tymczasem jednak mądrze było odjechać do San Antonio, zanim Cole wróci do domu. Należało znaleźć się jak najdalej poza zasięgiem głosu Cole'a i lodowatych spojrzeń Lacy, by nie wspominać czułości Faye. Ben miał straszne wyrzuty sumienia, że uwiódł tę dziewczynę. Kochała go, a on ją wykorzystał. Nie dość tego, dziś jeszcze pogorszył sprawę. Ale trudno. Musiał dobrze wbić sobie w pamięć, że Jessica jest bogata, a Faye nie, żeby nie przychodziło mu na myśl wspomnienie Faye, szepczącej, że kocha go nad życie.

Cole wrócił bardzo późno. Marion już spała, a Lacy była zajęta zmywaniem.

- Gdzie jest mój brat? - spytał, jako że gotował się cały dzień i był przez to bliski furii. Przystąpił próg ze stanowczym zamiarem przerobienia Bena na krwawą miazgę.

- Pewnie w San Antonio - odparła chłodno Lacy. - Pożyczył sobie mały samochód. Marion się zgodziła.

- Jakżeby inaczej!? Przecież Ben to jej oczko w głowie.

- Dlaczego tak mówisz? - Włożyła masło do lodówki i złożyła lniany obrus. - Czy napisałeś do Katy o Marion?

- Tak.

Nie pytała o nic więcej. Cole wyraźnie nie był w nastroju do rozmowy. Ona zresztą też nie.

Tymczasem Cole ze smutkiem i irytacją przyglądał się Lacy. Uratowała ranczo przed zagładą, a on ją za to zwymyślał. Trudno mu było jednak pogodzić się z tym, że wypruwa sobie żyły na ranczu, ale i tak nie jest w stanie zarobić tyle pieniędzy, ile Lacy ma na zawołanie.

- Po przyjęciu wyjadę, chyba że Marion będzie mnie potrzebować - powiedziała Lacy.

Serce mu zamarło. Boże, serce by mu pękło, gdyby stracił ją drugi raz.

- Jeśli Katy nie przyjedzie do domu, na ranczu nie będzie nikogo, kto mógłby się zaopiekować matką - zwrócił jej uwagę.

Lacy nie robiła sobie złudzeń, że Cole chce jej obecności na ranchu. Po prostu było mu z nią wygodniej.

- Wobec tego zostanę... póki będę potrzebna. Lacy wiedziała teraz o nim wszystko, co można było wiedzieć. Czuł się przez to całkiem rozbrojony, nagi.

- To, co ci powiedziałem... - zaczął z wahaniem. Obróciła się do niego. Stała upozowana, patrzyła zimno.

- Nic gorszego już mi nie powiesz - wpadła mu w słowo, błędnie odczytując znaczenie tego wahania. - Od początku powinnam była zdawać sobie sprawę, że się dowiesz.

Znieruchomiał.

- Myślę, że należała ci się ode mnie prawda.

- Tylko prawda - potwierdziła gniewnie. - Jeśli tak wolisz, możesz uważać te pieniądze za podarunek, jaki dostali ode mnie Katy, Marion i Ben. Są dla mnie przecież od wielu lat rodziną, bo moi bliscy zginęli.

- Tylko oni, a ja nie? - spytał, usiłując nie okazać, jak go to zapiekło.

- Ty nigdy nie chciałeś, żebym tutaj mieszkała - odparła z godnością. - Byłam zawadą, kiedy bez przerwy włóczyłam się za tobą, ciężarem, kiedy poszedłeś na wojnę, i niepotrzebnym bagażem jako żona. Nigdy nie mogłam przywyknąć do myśli, że i ty jesteś moją rodziną. Teraz jest mi jeszcze trudniej.

- Pragnęłaś mnie.

- Kochałam cię - poprawiła. - Ale miłość też się kończy. - Spuściła oczy.

- Więc... - zawahał się. - Więc mnie nie kochasz?

- Nie chcę cię kochać - odparła, patrząc w okno. - I mam nadzieję, że jeśli bardzo się postaram, któregoś dnia mi się to uda.

Zamknął oczy.

- Lacy - szepnęła chrapliwie. - Boże, w jaki sposób to wszystko tak się pomieszało?

Uniosła głowę i dostrzegła, jak umęczoną ma twarz.

- Dostaniesz tylko to, na czym ci zależy - stwierdziła prowokująco. - Przecież chcesz się mnie pozbyć! - wykrzyknęła jeszcze przez łyzy i rzuciła się do drzwi.

- Nie! Chwycił ją za ramiona i pochylił się nad nią. Twarz miał kredowobiałą.

- Nie! - jęknął, mocno ją przytulając. - Nie chcę się ciebie pozbyć - wyjąkał.

Lacy miała wrażenie, że czas stanął w miejscu. Do jej świadomości dotarł urywany oddech Cole'a i głośne bicie jego serca. Pachniał skórą, konopiami i potem spracowanego człowieka. I przynajmniej coś do niej czuł. A może tylko udawał ze względu na Marion?

Lacy drżała. Cole poczuł się bardzo niewyraźnie. Wyglądało na to, że nigdy nie potrafi znaleźć do niej właściwego podejścia. Znowu ją uraził. Nie wiedział, co ma zrobić, co powiedzieć, żeby wszystko naprawić.

- Nie zostawię Marion - powiedziała Lacy słabym głosem. - Nie musisz udawać, że zależy ci na tym, żebym z tobą została.

Uniósł głowę i spojrzał na nią.

- Ale mnie naprawdę na tym zależy. Zawsze mi zależało.

- Nawet do mnie nie napisałeś.

- Co mogłem napisać? - spytał cicho. - Że czułem się prawie jak zwierzę, kiedy skończyłem, a ty płakałaś i leciała ci krew... - Nagle puścił ją i odsunął się na kilka kroków. Był w tej chwili wcieleniem udręki.

- To był mój pierwszy raz - powiedziała Lacy z wahaniem. Trudno jej było rozmawiać na tak intymny temat nawet z własnym mężem. - Moja przyjaciółka z San Antonio, która jest mężatką, wszystko mi wyjaśniła. U niektórych kobiet takie przykre przejścia się zdarzają. Po prostu miałam pecha.

- Nie tylko w tym jednym. Gdybym był bardziej doświadczony, mogłoby ci być łatwiej. - Oparł się ramieniem o ścianę. - Nie zniósłbym tego drugi raz - podjął smętnie. - Sądziłem, że nie chcesz, abym jeszcze kiedykolwiek cię dotykał, a ja nadal tego pragnąłem. Dlatego za tobą nie pojechałem.

- Nie powiedziałeś mi tego.

Wzruszył ramionami.

- Nie mogłem. Nie wiedziałaś, kim jestem, co wojna ze mną zrobiła. Nie wiedziałaś, że już nie jestem pełnowartościowym mężczyzną.

- To nieprawda - zaprotestowała. - Byłeś najbardziej pełnowartościowym mężczyzną, jakiego znam, a do tego cię kochałam! Nawet gdybyś stracił obie nogi, nie miałyby to znaczenia. Nawet wtedy byłbyś bezwzględnie pełnowartościowym mężczyzną.

- Musielibyśmy żyć tylko we dwoje - zaczął w końcu. - Bez dzieci. A w łóżku... - Przed chwilą zerknął na nią ukradkiem, teraz jednak znów odwrócił się do okna. - W łóżku ciągle bylibyśmy skrępowani i zakłopotani.

- Dlaczego?

- Bo nie umiem - powiedział krótko, spoglądając na nią gniewnie. - Zapomniałaś?

- Większość ludzi na początku nie umie. Uczą się.

- Czyżby? - spytał kpiąco. - Gdybyś kiedyś zobaczyła mnie przy świetle, uciekłabyś z krzykiem do San Antonio. Znienawidziłabyś się za to, że pozwoliłaś sobie dotknąć.

- Bzdura! - krzyknęła rozwścieczona. - Masz blizny. I co z tego? Możesz chodzić, pracować, a twój mózg jest w najlepszym porządku. Co do dziecka... - Przełknęła ślinę. Żałowała, że nie będą go mieli. - No, nie jest wykluczone, że jestem bezpłodna. Zastanawiałeś się nad tym? Niektóre kobiety w ogóle nie mogą zająć w ciążę. Nie wiem, czy nie jestem jedną z nich.

- Dobrze było wtedy po południu w korralu - powiedział z iskierką nadziei. - Wtedy, gdy przyszłaś spytać mnie o przyjęcie dla Bena.

- Bardzo dobrze - przyznała cichutko i zarumieniała się.

- Zawsze będziemy robić to po ciemku - powiedział wolno. - Ale i tak nie wiem, czy zniosę, że mnie dotykasz tam, gdzie byłem poparzony.

- Czy to cię boli? - spytała.

- Nie, tylko... skóra jest tam inna. Cieńsza, miejscami bardzo gładka. - Ledwie mu to przeszło przez gardło. - Jestem okaleczony.

- A czy ty nie chciałabyś mnie dotknąć, gdybym to ja była poparzona? - spytała.

- Słucham?

- Czy budziłabym w tobie odrazę, gdybym była... okaleczona w taki sposób jak ty?

- Oczywiście, że nie - odparł. Uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Po prostu stała i patrzyła, aż znaczenie tej odpowiedzi dotarło do niego. Wreszcie Cole drgnął zaskoczony.

- Rozumiem - powiedział.

- Myślę, że jednak nie rozumiesz. Jeszcze nie. Z czasem masz szansę zrozumieć. Bardzo podoba mi się pomysł, żebyśmy lepiej się poznali, zanim znowu zdecydujemy się na intymne zbliżenie.

- Mnie też. - Uśmiechnął się. - Tymczasem więc zostanę w pokoju gościnnym. Możemy dzielić łazienkę... ale nie w tym samym czasie - dodał, widząc, że się zarumieniała.

Skinęła głową i pochwyciła jego spojrzenie.

- Wiem, jak rani twoją dumę to, że zapłaciłam różne rachunki, gdy nie było cię w domu. Ale przypomnij sobie, że twoi rodzice wzięli mnie na utrzymanie po śmierci moich, dlatego w ten sposób częściowo spłaciłam dług wobec nich. - Zaciśnął zęby, więc dodała: - Ale jeśli sobie życzysz, pozwolę ci zwrócić te pieniądze, kiedy ranczo znowu stanie się wypłacalne. A stanie się na pewno - stwierdziła z przekonaniem. - Ani przez chwilę nie wątpiłam, że potrafiś do tego doprowadzić. Nawet Turek mówi, że niewielu ci dorównuje w hodowli rasowych zwierząt.

Spojrzał na nią uśmiechniętymi oczami.

- No, on się na tym zna. Miał w Montanie znakomite ranczo. - Westchnął. - Brakuje mu

Katy. Od jej wyjazdu jest nie ten sam. Myślałem, że robię dobrze, trzymając ich z dala od siebie. Teraz nie jestem już tego taki pewien.

- Może nie wiedział, co czuje do Katy, póki nie było za późno.

Cole przyglądał jej się pożądliwie. Skinął głową, mrużąc powieki.

- Może nie. Czasem mężczyzna jest ślepy na kobietę, dopóki ma ją pod bokiem.

Przysunęła się bliżej i popatrzyła mu prosto w oczy.

- A czy ty za mną tęskniłeś?

- O, tak - odpowiedział. - We Francji bez przerwy. Po zestrzeleniu miałem w nocy koszmary. Wracalem do domu, a ty na mój widok krzyczałaś ze strachu. To dlatego wziąłem do ręki pistolet...

- Nic mnie nie obchodzi, jak wyglądasz. Chciałam tylko, żebyś wrócił żywy do domu.

Przełknął ślinę. Czuł się okropnie głupio.

- To dlatego nie chciałeś się ze mną ożenić - powiedziała nagle. - Sądziłeś, że nie będę cię chciała.

- Brakowało mi pewności siebie, żeby zaryzykować - wyznał. - Ben postawił nas w przymusowej sytuacji, spłoszyłem się. Usiłowałem nie dopuścić do zbliżenia, ale zaczęliśmy się całować w stodole... Pragnienie okazało się silniejsze ode mnie. Nim przyszedł wieczór, byłem w takim nastroju, że nie powstrzymałaby mnie nabita broń. - Dotknął jej policzka. - Było tak dobrze. Niesamowicie dobrze. Nic nie wiedziałem o kobietach, z wyjątkiem tego, co usłyszałem w wojsku. Myślałem więc, że tobie też jest dobrze. A potem to się skończyło i okazało się, że płaczesz. Kiedy zobaczyłem, co ci się stało, myślałem, że łeb sobie rozwalę. - Przytulił jej głowę do piersi i oparł na niej policzek.

- Tak źle już nie będzie - powiedziała łagodnie. Ujął jej twarz w dłonie.

- Mogłabyś być szczęśliwsza z kimś innym - stwierdził bez przekonania.

- Najpierw musiałabym się nauczyć, jak przestać cię kochać.

Uśmiechnął się. Po tych słowach zrobiło mu się ciepło na duszy. Dotknął wargami ust Lacy, najpierw bardzo delikatnie, potem mocniej. Złączyli się w długim, namiętym pocałunku. Nagle trzasnęły drzwi. Odskoczyli od siebie z minami ludzi przyłapanych na gorącym uczynku. Do kuchni weszła Marion. Uśmiechnęła się z zachwytem.

- A ja myślałam, że rozmawiacie - zazartowała.

Oboje wybuchnęli śmiechem, rozładowując napięcie. Marion włączyła się do rozmowy i po chwili już wiedziała, że nie udają. Przynajmniej ich małżeństwo ma szansę, pomyślała. Cieszyło ją, że Cole nie zostanie sam na świecie. Tylko co z Benem i Katy? Postanowiła spytać Lacy później, żeby nie zakłócać pogodnego nastroju chwili.



W Chicago list do Katy leżał nietknięty na ciemnym stole w korytarzu. Mama Marlene powiedziała jej o przesyłce, zresztą Katy sama ją widziała, ale jakoś nie mogła się zdobyć na otwarcie koperty. Zwlekała kilka dni, aż w końcu Mama Marlene zaczęła jej robić kąśliwe uwagi. Katy przełożyła więc list na toaletkę, do cedrowej szkatułki na biżuterię, którą dostała w prezencie od Blake'a Wardella. Krzywe, niezgrabne litery wyszły niewątpliwie spod ręki Cole'a, a Katy wiedziała, że brat jest na nią bardzo zły. Miniony tydzień mocno ją wyczerpał, bo Danny podsuwał ją do towarzystwa Blake'owi Wardellowi prawie każdego wieczoru. Blake jej pragnął, w dodatku miał w sobie jakąś magiczną moc, bo i ona go pragnęła. Umysł miała w stanie kompletnego chaosu, przez co niczemu tak naprawdę nie potrafiła nadać znaczenia. Musiała się na siłę rozweselać. Jednym ze stosowanych w tym celu środków były dawki nielegalnie pędzonego alkoholu, które czyniły jej życie znośnym.

W końcu któregoś dnia otworzyła list, przeczytała i wybuchnęła płaczem. Danny'ego nigdy nie było w domu. Z jego strony nie mogła więc liczyć na pocieszenie. Ale tego samego wieczoru powiedziała o liście Blake'owi Wardellowi, a on przytulił ją i pozwolił jej się wypłakać. Był to jeden z nielicznych jaśniejszych momentów pobytu w Chicago, więc kiedy Blake podał jej kieliszek alkoholu, wypła do dna. Na chwilę uśmierzyło to ból. Katy nie mogła sobie poradzić z myślą, że straci matkę.

Przy pierwszej okazji usiłowała przebłagać Danny'ego, żeby ją puścił do domu. Odmówił bezapelacyjnie. Nie wyjaśnił, dlaczego tak stanowczo życzy sobie jej obecności w Chicago, ale Blake Wardell zaczynał właśnie mięknać. Był skłonny rozważyć propozycję potencjalnego współnika. Danny'ego nie było więc stać na marnotrawienie atutu. Podczas nieobecności Katy zapal Wardella mógł ostygnąć i Danny straciłby osiągniętą przewagę.

- Twoja matka będzie żyć jeszcze lata - powiedział krótko, gdy się rozplakała. - Mój wuj też miał obrzęk płuc. Doktorzy powiedzieli mu, że nie pociągnie miesiąca. A żył jeszcze, dzięki Bogu, pięć lat. Nie mogę cię puścić do domu. Jesteś moją żoną.

- Pięć lat? - spytała Katy, nieco pocieszona.

- Jasne - potwierdził. - Napisz do mamy, że przyjedziesz zaraz, jak będziesz mogła, że na razie jestem zbyt zajęty, żeby cię odwiedzić, a beze mnie nie możesz jechać. Zresztą sama wymyślisz jakiś dobry powód. I przestań się martwić, na miłość boską. Nikt nie żyje wiecznie.

Łatwo mu mówić, pomyślała. Jego matka żyje i skacze koło niego bez przerwy. Gdyby Danny był na jej miejscu, na pewno wskoczyłby do najbliższego pociągu.

- Pojechałabym tylko na dzień lub dwa - spróbowała jeszcze raz.

Obrócił się na pięcie i uderzył ją w twarz tak silnie, że z wargi popłynęła jej krew. Katy krzyknęła i cofnęła się. A więc stało się to samo co w dniu, gdy straciła dziecko. Wtedy ani jej nie

przeprosił, ani słowem nie wspomniał o poronieniu. Był wówczas zbyt zamroczony, żeby cokolwiek zauważyć.

- Powiedziałem: nie. - Zachichotał. Oczy mu błyszczały, jakby cieszył się z tego, co robi. Żrenice miał rozszerzone. Kiedy poznał Katy, na kilka tygodni przestał się szprycować, ale nałóg był zbyt silny i wciągnął go z powrotem. - Boisz się, dziecinko? - drażnił się. - Ty lodowa rzeźbo! Chyba oszalałem, że wziąłem cię za żonę.

- Danny, przestań! - krzyknęła. Ściągnął pas.

- Spodoba ci się to - powiedział chrapliwie. Jej strach podniecił go znacznie bardziej niż kiedykolwiek ciało. Perwersyjnie upajał się jej odrazą. Kiedy skończył, leżała posiniaczona na atłasowej pościeli. Było jej niedobrze.

- Od tej pory będziesz robić, co ci mówię - oznajmił Danny. - Kapujesz, dziecino? Będziesz słuchać każdego mojego słowa, bo jak nie, to następnym razem sprowadzę chłopców i każę im patrzeć. - Oczy rozbłysły mu jak u szaleńca, gdy Katy się skuliła. - Ja na przykład lubię się przyglądać. Może dam cię komu innemu, a sam popatrzę? Wardell ma na ciebie ochotę. Więc dobrze, kiedy zrobi ci propozycję, przyjmiesz ją, kapujesz? Mam plany w związku z Wardellem, a ty jesteś moją walutą. On już wie, że nie mam nic przeciwko temu.

Katy ledwie mogła mówić posiniaczonymi wargami.

- Pozwoliłbyś mu... - Wybuchnęła szlochem.

- Czemu nie? Przecież nie byłaś dziewicą - odparł brutalnie. - Takiej szmacie jak ty powinno być wszystko jedno. W łóżku jesteś zerem, ale może jemu to nie będzie przeszkadzało, jak się napali. Tylko nie rób mnie w konia, dziecinko, bo to, co było dzisiaj, wyda ci się rajem na ziemi.

Ubrał się i wyszedł z domu pogwizdując, a Katy ledwie zdążyła na czas do łazienki. Krwawiła, a co gorsza czuła się śmiertelnie upokorzona. Zastanawiała się, jak przeżyje to małżeństwo.

Danny chciał ją dać Blake'owi. Owszem, lubiła Blake'a, ale ten pomysł wydawał jej się obrzydliwy. Zupełnie jakby była prostytutką. Coraz bardziej lękała się Danny'ego. Mama Marlene za nic by jej nie pomogła. Można było alarmować Cole'a, ale Katy obawiała się, że brata szlag trafi. Dlatego musiała cierpliwie wszystko znosić.

Usiadłszy przy biurku, napisała więc list do Cole'a i matki, w którym nakłamała, ile wlezie, żeby wytłumaczyć, dlaczego nie może przyjechać do domu. Zajęło jej to dużo czasu, nie chciała bowiem, żeby na papierze zostały ślady łez.

Cole nie skomentował listu ani słowem, ale Marion pokazała go Lacy.

- Czy ja jej zupełnie nie obchodzę? - spytała bliska płaczu. - Czyżby nie rozumiała, co Cole

jej napisał?

- Wiesz przecież, że Katy cię kocha - odparła Lacy, ściskając Marion w geście pocieszenia. Sama jednak bardzo się zaniepokoiła. Katy nie była egoistyczna ani obojętna. Lacy przeczuwała, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Dałaby wiele, żeby przynajmniej odkryć, w czym rzecz, ale wiedziała, że Cole wyruszy do Chicago, jeśli poweźmie choćby cień podejrzenia, że Katy ma kłopoty.

Z upływem tygodni sytuacja pogarszała się jednak coraz bardziej. Katy podsłuchiwała ludzi Danny'ego, którzy rozmawiali o niszczącym nałogu szefa. Bała się nawet, że którejś nocy Danny może ją zabić. Szczęście w nieszczęściu stanowiło to, że bił ją tak, by nie zostawiać widocznych śladów. Pamiętała groźbę Blake'a Wardella i starannie ukrywała przed nim siniaki. Nie zniosłaby, gdyby Blake'owi coś się stało.

Blake stał się dla niej oparciem w życiu. Danny był w siódmym niebie. Wardell zabierał ją do teatru i na balet. Spacerował z nią po mieście, pokazywał jej najlepsze restauracje i poznawał z najlepszym towarzystwem. Kupował jej prezenty. Upajała się jego życzliwością, bo Danny nigdy taki nie był. Upajała się też alkoholem, bez którego nie była w stanie funkcjonować.

Któregoś wieczoru Blake zabrał ją do bardzo eleganckiego klubu nocnego. Gdy wychodzili, była porządnie podchmielona.

- Za dużo ostatnio pijesz - powiedział, gdy odjechali spod klubu limuzyną z szoferem. - Żle ci to robi.

- Nic mi nie robi dobrze - stwierdziła Katy sennie i ułożyła głowę na oparciu. - Nie cierpię mojego życia. Wszystkiego nie cierpię.

Blake przyciągnął ją do siebie. Mogła się do niego przytulić i to trochę ją koło.

- Odejdź od niego - powiedział nagle Blake. - Wiem, że nie jestem szczególną atrakcją, ale cię kocham. Przynajmniej nie będę cię krzywdził.

- Wiem - powiedziała, mocniej przywierając do jego piersi.

- Posłuchaj, Katy - odezwał się znów Blake. - Kilka miesięcy temu Danny wysłał dziewczynę do szpitala. Kiedy sobie wstrzyknie, robi się innym człowiekiem. Zaraz po ślubie z tobą znowu zaczął to robić. - Zauważył, jak zdrętwiała. - On nie zostawia widocznych śladów, ale założę się, że masz sińce na całym ciele.

Błagalnie podniosła ku niemu wzrok.

- Nie wolno ci go ruszać. Wiesz, jaki jest szalony! Mógłby cię zabić.

- Nieprawdopodobne.

- On czegoś od ciebie chce, prawda? - spytała, bo Danny wspomniał o tym w przebłysku świadomości.

- Działki w moich interesach - potwierdził Blake.
- A ja jestem przynętą. Uniósł brew.
- Od jak dawna wiesz?
- Danny sam mi powiedział. - Zaśmiała się niepewnie. - Kazał mi cię polubić.
- I co? Polubiłaś?

Westchnęła, kładąc mu głowę na ramieniu. Był prawdziwym mężczyzną, a poza tym budził w niej pożądanie. Chciała iść z nim kiedyś do łóżka. Taki miły człowiek stanowiłby dla niej nowość. Poza tym odpłaciłaby mu w ten sposób za życzliwość. A gdyby powiedziała Danny'emu, może przestałby ją bić. Tak zajęło ją wynajdywanie najrozmaitszych pretekstów, że zepchnęła na peryferie świadomości prawdziwy powód. W istocie pragnęła go, bo okazywał jej bardzo niezwykłą czułość. Czegoś takiego nie doznała nawet od Turka, który przecież jej nie kochał.

- Wiesz, Blake, nie miałabym oporów, żeby się z tobą przespać - powiedziała cicho. - Chyba to zresztą wiesz. Jesteś dla mnie kimś bardzo szczególnym.

- Ten głupiec w Teksasie był ślepy - powiedział Blake. Przyciągnął Katy do siebie i czule ją pocałował.

Lubiła się z nim całować. Za każdym razem było inaczej. Najczęściej jego pocałunki stanowiły pocieszenie albo wyraz zachwytu. Tym razem poczuła się również silnie podniecona. Alkohol jeszcze wzmógł jej wrażliwość na pieszczoty Blake'a. Objęła go za szyję i nawet nie zaprotestowała, kiedy stał się bardziej gwałtowny. Wiedziała, że jej nie skrzywdzi. Za bardzo ją kochał.

Blake kazał szoferowi odwieźć ją do domu. Mama Marlene wyjechała na weekend do siostry w New Jersey. Danny'ego chyba też nie było, bo w domu panowały ciemności. Blake odesłał szofera i wszedł z Katy do środka.

- Danny może wrócić... - zaczęła z niepokojem. Zdjął płaszcz, jej również pomógł pozbyć się okrycia.

Potem uniósł ją z ziemi i zaczął nieść po schodach na górę.

- Danny nie będzie nam przeszkadzał - powiedział. Zapewne miał rację. Zresztą mało ją to obchodziło.

Szybowała gdzieś wysoko, a Blake był silny, ciepły i kochał ją.

Pozwoliła mu się rozebrać. Przyjemnie było czuć, że znowu ktoś jej pragnie. Blake szeptał, jaka jest ładna, i dotykał całego jej ciała, jakby nigdy nie widział nagiej kobiety. Z namaszczeniem całował jej rozbudzone piersi, doświadczonymi dłońmi rozdawał podniecające pieszczoty. Zaczęła drżeć na długo przedtem, nim Blake odsunął się na chwilę, żeby zdjąć ubranie. Ale wtedy odwróciła głowę.

- Jeszcze wstydliva? - Zachichotał. - Jesteś jedna na milion.

Zatrzymała spojrzenie na szafie. Było coś dziwnego w jej uchylonych drzwiach, zanim jednak zdołała o tym naprawdę pomyśleć, Blake leżał obok niej w łóżku, okryty do pasa prześcieradłem.

W bezpośredniej bliskości wydawał się jeszcze potężniejszy niż w ubraniu. Był owłosiony i miał śniadą skórę, bez żadnych fałd i zmarszczek. Dotknęła jego szerokich ramion i spojrzała mu w oczy. Zafascynowało ją to, ile w nich widzi czułości. Turek był czuły. Och, Turku, pomyślała z poczuciem winy i namiętnie wpiła się w usta Blake'a, by zagłuszyć wyrzuty sumienia.

Jej namiętność wytrąciła Blake'a z równowagi, ale po kilku sekundach opanował się. Chciał mieć Katy dla siebie jak najdłużej. Nie zamierzał zepsuć pośpiechem tak cudownej gry miłosnej.

Przez parę minut delectował się pocałunkami, wreszcie poczuł, jak Katy się odprężyła i wtula w jego ciało. Wtedy zaczął ją dotykać, pieścić. Zsunął przykrywające go prześcieradło i znowu na nią spojrzał. Zauroczone chłonał jej miękkie kształty, podziwiał sterczące sutki. Z uśmiechem pochylił się nad nimi, by podrażnić je wargami, językiem, zębami. Pieszczota sprawiła Katy przyjemność. Wyprężyła ciało, a wtedy Blake szybko przesunął usta niżej. Zaczął całować ją tam, gdzie nie całował jej żaden mężczyzna, nawet Turek. Aż zachłysnęła się powietrzem.

- Nie! - zaprotestowała, czując się, jakby skoczyła w ogień.

- Tak - odpowiedział Blake i dalej ją całował. Krzyknęła z wzbierającej rozkoszy. Kiedy zobaczył, jak tęsknie wygina ku niemu ciało, ułożył się między jej nogami i wszedł w nią energicznym pchnięciem. Katy raptownie rozwarła powieki i głośno westchnęła.

- Pst - szepnął. Prawie znieruchomiał, żeby miała czas się do niego przyzwyczać, znów odprężyć.

- Och... Boże! - wykrzyknęła. - Nie dam rady...

- Dasz, dasz, kochanie. Spokojnie. Nie bój się mnie. Nie zrobię ci krzywdy. Kocham cię, Katy. Bardzo cię kocham! - Delikatnie musnął jej wargi, jednocześnie przesuwając dłoń od piersi do bioder, ud, między ich ciała. Pocałował ją i w tej samej chwili zaczął pieścić dłonią, znów wyzwalając w niej podniecenie, przez chwilę tłumione szokującą intymnością.

Wkrótce napięte mięśnie Katy zaczęły się rozluźniać. Blake pozwolił jej powoli go otaczać, póki nie wzięła w siebie tyle, ile mogła. Żadna kobieta nie umiała zmieścić go w całości. Katy spojrzała mu w oczy z zakłopotaniem.

- Nie martw się - powiedział cicho. - Za nic bym cię nie skrzywdził. Pozwól teraz, że zaspokoję moją potrzebę, a potem ja zaspokoję twoją. Zgoda? Połóż się spokojnie i spróbuj nie

wpadać w panikę. Wiem, że mógłbym cię bardzo pokaleczyć, gdybym nie uważał. Ale będę uważał. Dobrze, Katy - szepnął, gdy poczuł, że się odpręży. - Jesteś cudna. Nigdy nikogo tak nie pragnąłem.

Uśmiechnął się do niej. Poruszał nad nią swym wielkim ciałem z taką delikatnością, że kołysanie było prawie niezauważalne. Pochylił się i czule ją pocałował, a potem raptownie jęknął, poczuł bowiem rozkosz promieniującą od podstawy kręgosłupa. Kochał ją. Czegoś tak wspaniałego jeszcze nie przeżył.

W pewnej chwili twarz mu pociemniała, rysy wykrzywiły się, a łagodny rytm osiągnął nagłą gwałtowną kulminację. Blake zacisnął zęby i zadrżał. Z ust wyrwał mu się jęk bliski szlochu. Katy była spełnieniem jego najskrytszych marzeń. Wymówił jej imię, szarpany rozkoszą, która długo nie słabła.

- Och, Blake - szepnęła Katy, gdy w końcu uniósł głowę i mogła spojrzeć mu w oczy.

- Zaszokowana? - spytał, poruszony do głębi. - Nigdy na to nie patrzyłaś?

- Nie - szepnęła. Dotknęła jego wilgotnej, zaczerwienionej twarzy, potem rozczochranych włosów. - Nawet mi się nie śniło, że mężczyzna może być taki delikatny - powiedziała chrapliwie.

- Jak mógłbym być inny przy tobie? - spytał przejęty. Pochylił się i musnął wargami jej napięty policzek. - Długo czekasz, tak? - spytał. - Dałaś mi zaspokojenie, teraz ja dam je tobie. Chcę, żebyś czuła to samo, co ja przed chwilą, żebyś wiedziała, co to znaczy, że ktoś cię kocha ciałem i duszą.

Spuściła powieki i przyciągnęła go bliżej. Turek tylko miał z nią seks. Ale Blake szczerze ją kochał. Mogłaby odwzajemnić tę miłość. Mogłaby... przez ten jeden wieczór.

- Blake... - zaczęła.

- Nic nie mów. - Przesunął się tak, by móc objąć wargami jej piersi. Był bardzo zręczny i hojny w pieścotach, Katy przy swym braku doświadczenia zupełnie czegoś takiego nie знаła. Ale to nie od jego perfekcji drżała z podniecenia, lecz od świadomości, że Blake ją kocha, że jej rozkosz jest teraz dla niego najważniejsza na świecie. Poddawała mu się kompletnie, zatonała w rozkoszy, jaką dawał jej stopniałemu ciału. Naprawdę był w tej chwili dla niej kimś ważnym. Mogłaby go pokochać!

Dzika fala podniecenia naszała ją tak niespodzianie, że Katy aż wydała okrzyk wyrażający lęk. Jej głos brzmiał dla pochylonego nad nią mężczyzny jak muzyka. W chwili, gdy rozkosz stawała się trudna do zniesienia, Katy półprzytomnymi oczami pochwyciła spojrzenie Blake'a. Jeszcze raz zapanował nad sobą, na moment zatrzymał ją przed szczytem.

Błagała, by nie przestawał jej pieścić. Głos jej się łamał, kurczowo go chwyciła, wtulała się w niego. Była pijana rozkoszą, a Blake nie potrafił jej się oprzeć. Prowadził ją od jednego

srebrzystego szczytu do następnego, od jednej grani ekstazy do następnej, jeszcze dłuższej. Katy łkała, szlochała i oplatała go swym ciałem. Nie istniało dla niej nic, oprócz magii, jaką czynił Blake. Czuła niepowtarzalne uniesienie i fizyczną, niekłamaną radość. Wyprężyła ciało i krzyknęła na całe gardło. Blake coś powiedział. Poczowała, że znowu drży nad nią, ale była tak wyczerpana, że prawie nie słyszała jego chrapliwych okrzyków spełnienia.

Ktoś jej się przyglądał. To wrażenie nękało ją nawet w rozkoszonym letargu po zbliżeniu. Gdy wygasły ostatnie dreszcze, podniosła powieki i nagle przy drzwiach szafy zobaczyła Danny'ego. Twarz miał spoconą, wzrok szklany. Zdrętwiała przerażona.

Blake jeszcze drżał. Wyczuł jednak jej poruszenie i zaniepokojony uniósł głowę, chcąc spytać, czy nie zrobił jej krzywdy. Dojrawszy minę Katy, podążył za jej spojrzeniem. Mimo że nie mógł jeszcze złapać tchu, soczyście zaklął.

- Ty wredny mały zboczeńcu! - zawołał. Oderwał się od Katy i skoczył za Danny'm, który zdążył uciec do przyległego pokoju. Katy usłyszała odgłosy wulgarnej kłótni. Potem ktoś kogoś uderzył i padł strzał, jeden, drugi.

Katy zerwała się z łóżka i wpadła do sąsiedniego pokoju. Danny leżał rozciągnięty na dywaniku, w czerwonej kałuży. Krew płynęła mu z małych otworów w czole i klatce piersiowej. Oczy miał otwarte, lecz nic już nie widział. Nad nim z dymiącym pistoletem w dłoni stał Blake w niedbale narzuconym szlafroku.

- Wariat! - parsknął. - Próbował mnie zabić! Zboczony gad! Należało mu się za to, co ci zrobił! Katy? - Wykonał gest w jej stronę. - Katy, już w porządku! Nigdy więcej cię nie uderzy. Katy?

Katy przeraźliwie krzyknęła. Zobaczyła, że wszystko dookoła czernieje. Zgięła się wpół, złamana bólem i trwogą. Straciła przytomność, zanim przerażony Blake Wardell zdążył ją złapać.

W ostatnich tygodniach Lacy zauważyła u Marion korzystną zmianę w zachowaniu. Odkąd Ben zaczął często dzwonić do domu i bez protestów wyraził zgodę na przyjęcie, była znacznie bardziej pogodna i ożywiona. Nie zdarzały jej się też omdlenia. Lacy uznała to za dobry omen.

Od czasu sprzeczki między Cole'em i Benem zapanowało lodowate milczenie, za to Lacy z Cole'em znajdowali wspólny język znacznie łatwiej niż przedtem. Dużo rozmawiali i razem chodzili w różne miejsca. Cole nawet zabrał Lacy na spotkanie związku hodowców bydła w San Antonio, które zakończyła uroczysta kolacja z bankietem. Potem musiał ostro nadrabiać zaległości w pracy, ale nie wyglądało na to, by żałował zarwanej nocy. Zresztą sprawy układały się pomyślnie. Następnego dnia wieczorem miało się odbyć zaręczynowe przyjęcie Bena. Cole ani słowem nie wspominał o wole, którego zarznięto na mięso. Lacy od kilku dni bez przerwy zajmowała się wypiekami, Marion w miarę możliwości pomagała. Żony kowbojów zrobiły porządku w domu, a po południu w dzień przyjęcia miały pomóc w zawieszeniu chińskich lampionów i udekorowaniu domu jesiennymi kwiatami.

Był piątkowy wieczór. Lacy kąpała się w ciepłej wodzie pełnej piany. Miała wrażenie, że jest zepsutą dekadentką, woda sięgała jej bowiem zaledwie do talii, a prąd powietrza muskał nagie piersi w dziwnie podniecający sposób. Lacy czuła się wolna i bardzo kobieca.

Ciepło sprawiło, że przeciągnęła się, sennie przymykając powieki. Nagle otworzyły się drzwi. Raptownie drgnęła i spojrzała prosto w oczy skamieniałego Cole'a.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś - powiedział, ale się nie poruszył. Stał zapatrzony w jej piersi z podniecającymi czerwonymi wianuszkami na szczycie. Nigdy nie widział kobiety w takiej sytuacji. A nawet gdyby widział, to żadna nie wytrzymałaby porównania z jego żoną.

Lacy odebrało mowę i zaparło dech. Owszem, wyobrażała sobie, że Cole przygląda się jej nagości, ale w wyobrażeniach nie czuła ciarek, przebiegających jej po ciele, ani wzmożonego pulsowania krwi.

Cole zawahał się przy drzwiach. Zaczerwienił się.

- Lepiej wyjdę - powiedział ochryple.

- Jesteś moim mężem, Cole - przypomniała mu. - Naprawdę możesz na mnie patrzeć, jeśli chcesz.

Chciał. Czerwień na jego policzkach jeszcze się pogłębiła, ale za nic nie mógł odwrócić oczu.

- Miałem zamiar umyć ręce - wyjaśnił.



- Więc umyj. - Wykonała zapraszający gest. Jakoś zmusił się, by podejść do zlewu. Kiedy zmył brud i końską sierść i wysuszył dłonie, znów odwrócił się do żony, nieuchronnie wracając spojrzeniem do jej piersi.

- Lacy... - szepnął z zachwytem.

- Chodź do mnie - poprosiła cicho, wyciągając ramiona.

Był w roboczym ubraniu, jak zawsze w ostatnich dniach. Ukląkł przy wannie. Zaskrzypiały skórzane ochraniacze spodni, rozległ się brzęk ostróg. Lacy wyglądała prześlicznie i należała do niego.

Pocałował ją i otoczył dłonią jej pierś.

- Czy lubisz, kiedy tak cię dotykam? - spytał.

- Tak. - Poglaskała go po dłoni, przytrzymując ją przy piersi.

Uśmiechnął się czule i spojrzał w miejsce, gdzie jego śniada dłoń odbijała wyraźnie od jasnego tła skóry Lacy. Potarł sutek kciukiem. Lacy chciwie zaczerpnęła powietrza. Spodobało mu się to, więc powtórzył pieszczotę. Tym razem Lacy jęknęła. Zaczynał odkrywać, co jej sprawia przyjemność. Odrobinę ją przesunął i wessał pierś do ust.

- Ale słodko smakujesz - szepnął. Potarł językiem sutek. Lacy ścisnęła go za ramiona. - Powiedz mi, gdyby bolało - zażądał i ponownie wessał całą pierś.

Nie bolało. Doznanie było niebiańskie. Lacy przywarła do niego, zapraszając do powtórzenia pieszczoty z drugą pierś. Jednocześnie upajała się dotykiem dłoni Cole'a.

Wyjął ją z wanny i delikatnie postawił na ziemi. Potem sięgnął po ręcznik i zaczął wycierać. Milczeli. Lacy stała przed nim onieśmielona, a on poznawał ją wzrokiem i dotykiem. Wytarł ją do sucha.

- Jesteś jak wróżka - powiedział. - Biała i różowa.

- Nie wyobrażasz sobie, co czuję w środku - powiedziała, głęboko poruszona. Przywarłszy do niego zorientowała się, że jest bardzo podniecony. Miała na niego szaloną ochotę, ale nie wiedziała, jak to wyrazić. Ostrożnie sięgnęła do guzików jego koszuli i zatrzymała dłonie. Popatrzyła na Cole'a.

- Chyba nie mogę pozwolić ci przy świetle - zaczął.

- Tylko z przodu - szepnęła. - Chcę poczuć piersiami twoją skórę.

Silnie się zaczerwienił.

- No, dobrze. Ale tylko tyle. Zrobiła milowy krok naprzód. Myślała, że serce wyskoczy jej z piersi, gdy niezgrabnie manipulowała palcami przy guzikach koszuli. Rozsunęła poły. Na umięśnionej klatce piersiowej, porośniętej gęstym, czarnym owłosieniem, były widoczne białawe zrosty, ją jednak zafascynowała wyłącznie budowa i siła Cole'a. Otarła się o niego. Sutki

drażnione kępkami poskręcane owłosienia stwardniały jej jeszcze bardziej. Lacy jęknęła.

Cole przesunął dłońmi po jej plecach, przyciągnął ją do siebie. Spojrzał tam, gdzie czuł dotyk jej piersi.

- Jesteś śliczna - powiedział dźwięcznie. - W życiu nie widziałem piękniejszego widoku.

- Cieszę się. - Położyła mu ręce na klatce piersiowej i delikatnie skubnęła czarny kędziorek. - Podoba mi się twoje owłosienie - szepnęła. - Jest bardzo miłe w dotyku.

Uśmiechnął się. Wcale nie było tak źle, jak sobie przedtem wyobrażał. Przynajmniej klatkę piersiową miał całkiem do przyjęcia. Knykiem palca wskazującego przewędrował po piersi Lacy, aż do przełęczki między ich ciałami.

- Cofnij się trochę, żebym mógł cię dotknąć - szepnął. Nerwowo się zaśmiała, ale posłusznie odstępowała o krok.

- Myślałam, że niewiele wiesz o kobietach.

- Chyba wystarczająco dużo, żeby przeżyć. - Uchwycił sutek palcem wskazującym i kciukiem. Lacy syknęła. - Tu jesteś wrażliwa, prawda?

- Bardzo.

Przeniósł dłonie na jej biodra, zachwycony jedwabistą gładkością skóry. Przyciągnął Lacy do siebie, żeby poczuła, jaki jest twardy. Mimo woli zeszywniała.

- Nie bój się - powiedział łagodnie. - Nie gryzę.

- Wiem. - Przełknęła ślinę. - Przez całe życie uczy się nas, że nie powinniśmy pozwalać mężczyznom dotykać nas w pewnych miejscach i w pewien sposób. Potem wychodzimy za mąż i bums, wszystko wolno. Potrzeba trochę czasu, żeby się do tego przyzwyczaić.

- No, mnie też. Nigdy nie widziałem kobiety bez ubrania. Nie miałem pojęcia, że tak uroczo będziesz wyglądać.

Uśmiechnęła się wstydliwie i wtuliła twarz w jego ciepłą klatkę piersiową.

- Cieszę się, że ci się podobam...

- Lacy... - szepnął, bo poczuł na ciele jej usta.

- Marion śpi - powiedziała cichutko. - Nikogo oprócz niej nie ma w domu.

Cole trzymał ją mocno za ramiona i usiłował skupić myśli.

- Muszę się wykapać - powiedział zduszonym głosem.

- No, to już. Poczekam kilka minut. - Wspięła się na palce i musnęła jego wargi. - Zgaszę światło.

Cole zamrugnął.

- Lacy, zasługujesz na dużo więcej, niż mogę ci dać - powiedział.

- Kocham cię - odparła z uwielbieniem w oczach. - Jesteś dla mnie spełnieniem

wszystkich pragnień.

Cole zastanawiał się, czy jest drugi mężczyzna na świecie, którego spotkało takie szczęście jak jego. Przysunął usta do ust Lacy i szepnął zmysłowo:

- Zaraz przyjdę, tylko skończę tutaj.

- Poczekam. Wysunęła się z jego objęć, zdjęła szlafrok z haczyka na drzwiach i nałożyła. Obrzuciła Cole'a kokietyrjnym spojrzeniem, po czym zostawiła go samego.

Po niecałym kwadransie Cole wyszedł z łazienki. Widziała tylko zarys jego ciała, w pokoju panowała bowiem ciemność, a na dworze był nów.

Wsunął się pod przykrycie i przyciągnął Lacy, z zachwytem stwierdzając, że jest naga, tak samo jak i on. Uśmiechnął się do siebie. Zetknięcie ciał wyzwoliło w nim dreszcz.

- Jesteś ciepła - szepnął.

- A ty nie, ale zaraz będziesz. - Przysunęła się jeszcze bliżej, uważając, by nie dotknąć męża poza klatką piersiową. Stykali się również nogami, a kiedy Cole wtulił twarz w jej szyję, westchnęła.

Starał się pamiętać każde słowo Turka. Bardzo chciał wreszcie zadowolić Lacy jako mąż, nawet gdyby potrzebował na to całej nocy. Pocałował ją bez pośpiechu, ignorując własne pragnienia. Zaczął poznawać jej ciało dłońmi, dotykać intymnych miejsc, nasłuchiwać odgłosów, z których mógł się dowiedzieć, co jej sprawia przyjemność.

Zachwyciły go jej odczołowe reakcje. Wargami wytyczył szlak do piersi, delikatnymi pocałunkami przygotowując grunt dla bardziej namiętnych. Pod kołdrą było gorąco, więc odrzucił przykrycie na bok. Lacy nie mogła go widzieć, ale on jej też nie. Przez chwilę tego żałował. Mógł jednak odbierać jej obecność czterema pozostałymi zmysłami. Przez chwilę jeszcze pieścił piersi, a potem dotknął jej tak, jak nauczył go Turek, żeby sprawdzić, czy jest gotowa. Uniósł się nad nią i całując ją w usta, znalazł się między jej udami. Lacy mimo woli zdrętwiała, przypomniało jej się bowiem poprzednie doświadczenie.

- Wszystko w porządku, najmilsza - szepnął. - Nie będzie bolało. Obiecuję, że tym razem nie będzie.

- Przepraszam...

- Szs... Wiem, że poprzednio było bardzo źle. Ale twoje ciało już wie, jak się dopasować do mojego. Teraz będzie łatwo. Nie usztywniaj się, bo zaboli.

- Staram się! - szepnęła.

Jej ciało stawiało opór. Znieruchomiał nad Lacy, potem delikatnie musnął jej usta. Wsunął dłoń między ich ciała, pogłaskał ją po płaskim brzuchu, po udach, pieścił z wielką czułością, dodawał jej otuchy.

- Jesteś częścią mnie - szepnął. - Twoje ciało jest tak zbudowane, żebym mógł w nim być. Chcę poczuć, jak mnie otaczasz. Chcę poznać ten wilgotny cud twojej kobiecości.

Zadrżała. Słowa Cole'a pobudzały jej wyobraźnię, podniecały ją. Poczowała, jak zapada się w głąb materaca i otwiera. Cole lekko poruszył biodrami i nagle znalazł się w niej.

Nie bolało. Zarejestrowała to w myśli, jednocześnie oswajając się z wrażeniem jego obecności w sobie.

- To jest bardzo intymne! - wyrwało jej się.

- Tak. - Odnalazł wargami jej oczy i zaczął całować po spuszczonej powiekach. Wprawił biodra w wolny, rytmiczny ruch. Lacy z zaskoczeniem odkryła, że każde poruszenie sprawia jej gwałtowną przyjemność.

Wtuliła się w jego ramiona. Cichymi okrzykami reagowała na skrzypnięcia materaca i cieszyła się, że Marion ich nie usłyszy - na szczęście jej pokój był dostatecznie daleko. A było to ważne, gdyż włączyła się w rytm Cole'a i hałasy stały się głośniejsze. Mąż budził w niej pragnienie. Razem z nim unosila się i opadała, rwanymi oddechami dając znać, kiedy przyjemność stawała się silniejsza.

Gdy doznanie słabło, Lacy pomagała Cole'owi odnaleźć właściwy nacisk i rytm. Poczował, że jej ruchy nabierają gwałtowności, oddech się zmienia. Była coraz bardziej napięta. Cole dokładnie wiedział, co ma teraz robić. Nawet nie podejrzewał siebie o taką zręczność. Lacy prężyła ciało, szarpana skurczami, i głośno krzyczała. Gdyby Turek nie uprzedził go, czego należy się spodziewać, Cole śmiertelnie by się przeraził. Na szczęście wiedział, że Lacy jest teraz u szczytu rozkoszy, i podniecony jak jeszcze nigdy, cieszył się, że odkrył dla niej smak raj.

Wkrótce Lacy rozluźniła się ponownie, za to z niego wydarł się gardłowy okrzyk, a on sam poddał się rozkoszy, rozrywającej całe jego ciało. Bezwładnie opadł na Lacy i usłyszał jej ciche łkanie, ale tym razem się uśmiechnął. To nie ból sprawił, że straciła panowanie nad sobą. Na pewno nie ból.

Przetoczył się na bok i przyciągnął ją do siebie.

- A mówi się, że bez samolotu nie można oderwać się od ziemi - mruknął oszołomiony.

- Och, Cole... - Poczował na ramieniu jej gorący oddech.

- Cole!

- Czy tyle wystarczy? - spytał łagodnie.

- Tak. - Zadrżała. - Wystarczy. Pogłaskał ją po głowie, a potem długo leżał bez słowa, przytulając Lacy i upajając się spokojem, rozkoszą bycia tylko z nią. W końcu pocałował ją czule i zachęcająco. Poczował drżenie warg i usłyszał, że coś dzieje się z oddechem Lacy. Przysunął usta do jej piersi i znów rozpoczął pieszczoty.

- Chcę się znowu kochać - szepnął przy jej wargach.

- Czy ty też?

- Tak! Uśmiechał się do niej w ciemności, póki znów nie porwała ich namiętność. Minęły godziny, nim wreszcie zasnęli.

Kiedy Lacy się zbudziła, nie było śladu Cole'a ani jego ubrania. Popatrzyła na miejsce obok, ale jedyny dowód obecności Cole'a w łóżku stanowiła wgnieciona poduszka. Lacy przeciągnęła się. Nagle poczuła, jaka jest obolała, i wszystko sobie przypomniała. Zalała się rumieńcem.

Wstała i poszła przygotować śniadanie. Z uśmiechem pomyślała, że pierwszy raz czuje się mężatką.

Tymczasem Cole bladym świtem dumnie wyszedł z domu do stodoły. Był tak zadowolony z siebie, że Turek zapomniał o swoich kłopotach i parsknął śmiechem.

- Tylko bez uwag - mruknął wyzywająco Cole i wziął się do siodłania konia.

- Nie powiedziałem ani słowa. - Turek uśmiechnął się, powtarzając czynności Cole'a. - W pierwszym tygodniu małżeństwa tyle razy deska wypadła nam spod materaca, że w końcu musieliśmy przenieść materac na podłogę.

Cole oblał się rumieńcem. Deska im nie wypadła, ale sprężyny materaca omal nie popękały.

- Nie rób takiej smętnej miny - powiedział Turek. - Seks jest bardzo piękną częścią małżeństwa. Nie ma w nim nic nieczystego i nienaturalnego, co trzeba ukrywać albo nazywać innymi słowami. Namiętna kobieta jest prawdziwym skarbem.

- W tej dziedzinie jestem początkujący.

- Nie przejmuj się, wyczujesz sprawę. - Ściągnął popręg. - Miałeś wiadomości od Katy?

- Tak - odparł Cole. - Jakieś kręctwa o tym, że nie może zostawić męża.

Turek znieruchomiał w pół gestu. Zaintrygowany wlepił wzrok w przyjaciela.

- Czy mówimy o tej samej Katy, która pojechała okazją do San Antonio, kiedy powiedziałeś, że jej nie zawieszysz?

- Tak. Martwię się. Nie podoba mi się ten typek, mąż Katy. Jest w nim coś takiego, co źle wróży - stwierdził bezbarwnie Cole. - Chciałbym móc ją tu sprowadzić, żeby się przekonać, o co chodzi. List, jaki napisała do matki, nie był wcale bardziej sensowny niż przysłany do mnie. Coś tam nie gra.

Turek poczuł znajome wyrzuty sumienia. Setki razy żałował, że nie zatrzymał Katy. Wiedział, że wystarczyłoby wtedy jedno jego słowo.

- Może jest w ciąży - powiedział drętwo. Zastanawiał się nawet, czy nie został ojcem. To

niewątpliwie cholernie skomplikowałyby wszystkim życie.

- Na pewno by napisała - powiedział Cole.

- Raczej tak - przyznał tępo Turek, nie był jednak przekonany.

- Musimy się odstawić na dzisiejszy wieczór. Ben ma przywieźć tę swoją elegantkę.

- Już się śpieszę - mruknął Turek z południowym akcentem. - Rozumiem, że wpuścimy Taggarta i Cherry do domu, żeby mogli z nią zatańczyć z tej okazji.

- Jeśli wpuścimy tych dwoje do domu, nie będzie żadnej okazji.

- Ja tylko tak, szefie. Bierzymy się do roboty? - Spojrzał na Cole'a. - Oczywiście, jeśli możesz wygodnie siedzieć.

- Odczep się! - Cole wybuchnął śmiechem. Turek ruszył pierwszy, zadowolony, że przynajmniej Cole sprawia wrażenie szczęśliwego. Starał się nie myśleć więcej o Katy. Bał się, że oszaleje.

Poranek w Chicago był zimny i przykry. Katy leżała w szpitalnym łóżku z szeroko otwartymi oczami, ale sprawiała wrażenie, jakby nie widziała nic dookoła i nie słyszała, co się do niej mówi. Wyszła już z szoku, wciąż jednak nie radziła sobie ze swą psychiką.

Ciało Danny'ego przejął koroner. Jednocześnie ambulans zabrał Mamę Marlone, na przemian histerycznie wrzeszczącą i wykrzykującą przekleństwa pod adresem człowieka, który z zimną krwią zabił jej chłopca. Blake'a Wardella policja zatrzymała, zanim miał okazję spróbować porozmawiać z Katy albo choćby coś wyjaśnić. Tymczasem dwaj pracownicy kostnicy zabrali ciało denata, wymieniając między sobą uwagi na temat oczywistego trójkąta, który doprowadził do tragedii.

- Dobrze się żyje tym gangsterom - mówili. - Degeneraci. A dziewczucha Marlone'a musi być gorąca. - Kiedy przyjechali, Katy znajdowała się w dziwnym stanie. Leżała na łóżku z otwartymi oczami, ale nieruchomo, bez świadomości tego, co się dzieje dookoła.

Lekarze stwierdzili szok. Katy nie zdawała sobie sprawy z niczego. Widocznie to, jak traktował ją Danny, i okoliczności jego śmierci musiały zmącić jej umysł. Zgodnie uważano, że najprawdopodobniej trzeba będzie odesłać ją do zakładu. Najpierw jednak należało zawiadomić rodzinę. To spowodowało prawdziwe zamieszanie, okazało się bowiem, że nikt nie wie kogo ani gdzie szukać, a tymczasem matce ofiary trzeba było podać silne środki uspokajające. W ten sposób jedynym potencjalnym źródłem informacji pozostał Blake Wardell. Postanowiono wysłać kogoś do miejskiego więzienia, żeby go przesłuchał. Wardell na pewno wiedział, gdzie mieszka rodzina dziewczyny.

Wszystko to trwało wiele godzin. Tymczasem w Spanish Flats Marion i Lacy ubierały się na przyjęcie, na które zaproszono wszystkich sąsiadów.

Ranczo w Spanish Flats nigdy nie wyglądało tak elegancko, pomyślała z dumą Lacy, taksując wyniki swojej pracy. Obszerny ganek przyozdobiono chińskimi lampionami, podobnie jak salon. W jadalni urządzono bufet na długim stole. Przykryto go nieskazitelnie białym lnia- nym obrusem, ozdobionym jesiennymi liśćmi. Na stole stały srebrne tace pełne jedzenia, najlepsza porcelana Lacy oraz kryształowo - srebrna misa na poncz i malutkie kryształowe filiżanki. Przy tej liczbie zaproszonych przyjaciół i sąsiadów bufet stanowił jedyne możliwe rozwiązanie. Nie starczyłoby stołów i krzeseł, by podać normalny obiad.

W salonie ustawiono gramofon i usunięto dywany, - żeby odsłonić parkiet do tańca. Wieczór zapowiadał się bardzo uroczyście. Dom może był stary, ale z klasą. Lacy żywiła nadzieję, że przyjaciele Bena z San Antonio nie będą zadzierać nosa. Modliła się, żeby tak było. Nie miała kompleksów, ale lękała się przykrew sytuacji.

Lacy ubrała się w suknię prosto z Paryża. Szata układała się uwodzicielsko na jej smukłych okrągłościach i opadała aż do kostek. Długość stanowiła ustępstwo wobec konwencji panującej na wsi. Do sukni włożyła szare pantofle z klamrami oraz diamentowy komplet: naszyjnik i bransoletkę, należące kiedyś do ciotecznej babki. Wyglądała w tym wszystkim nie tylko ładnie, ale i sztywnie. Był to świadomy wybór. Zabezpieczyła się na wypadek, gdyby przyszła żona Bena chciała jednak potraktować prowincjuszy z góry.

Marion miała suknię gołębioszarą. Siwe włosy zebrała w koczek. Z uśmiechem rozmawiała z żonami ranczerów, które miały pomagać w podawaniu potraw.

Nawet Cole był jak spod igły. Lacy aprobująco przyjrzała się jego ciemnemu garniturovi i śnieżnobiałej koszuli z muszką. Wyglądał nie tylko elegancko, lecz również seksownie. Nie wiedziała, czy ośmieli się mu to powiedzieć.

Obok Turek komentował z kwaśną miną obowiązek „odstawienia się” na wieczór, mimo że prezentował się całkiem przystojnie w szarym garniturze z krawatem. Jasną karnacją i blond włosami wyraźnie kontrastował z Cole'em.

- W razie gdyby któryś z przybyłych dżentelmentów za bardzo na panią spoglądał, pani Whitehall, proszę mu wspomnieć, że właśnie wyczyściłem pistolet - oznajmił Cole, przyłączając się do domowników.

Zarumieniła się. Zobaczyła go dopiero przed chwilą. Z rana wcześniej wyszedł do pracy na ranczu, a kiedy wrócił do domu, by się odświeżyć, była w kuchni, choć już przebrana w wieczorowy strój. Widząc jej minę, Cole szeroko się uśmiechnął. Sam też czuł się trochę zakłopotany, ale postanowił tego nie okazywać. Raz po raz wracały do niego zmysłowe wspomnienia z

nocy.

- Obaj wyglądacie wspaniale - powiedziała Lacy z uśmiechem, patrząc na Turka.

- Do pięt ci nie dorastamy, maleńka - powiedział cicho Cole. - Może lepiej wyciągnę pistolet na wierzch...

Przysunęła się do niego i pewnym ruchem wzięła go pod ramię.

- Trzymaj mnie tutaj, to nie będzie ci potrzebny - szepnęła, ocierając się policzkiem o jego klatkę piersiową.

- Chyba tak zrobię - odpowiedział. Turek zorientował się, że nic tu po nim.

- Pójdę na dwór zobaczyć, jak się piecze wołowina na rożnie - zaproponował. Zawahał się jednak. - Przypuszczam, że Katy z mężem nie przyjadą.

- Uznałem, że lepiej ich nie zapraszać - wyjaśnił Cole. - Ben niepokoił się, że jego narzeczona i jej ojciec mogą pomyśleć, że zadaje się z kryminalnym elementem z Chicago.

Turek zrobił gniewną minę.

- Rozumiem. To, że Katy jest jego siostrą, nie ma dla niego znaczenia.

- Ben jest bardzo młody - broniła go Lacy. - Musi się jeszcze nauczyć, że bogactwo i pozycja to nie wszystko.

Mówiąc to patrzyła na Cole'a. W jego oczach płonęły iskry. Turek wyparował gdzieś nie wiadomo kiedy i Cole dalej rozmyślał o minionej nocy.

- Oj, przestań - wstydliwie poprosiła Lacy i spłoszyła. - Zemdleję, jeśli dalej będziesz na mnie patrzył w ten sposób. I co pomyślą ludzie?

- Że nie jestem gorszy od Valentina - szepnęła i roześmiał się, widząc, że Lacy znów spiekleła raka. - Czy wprawiam cię w zakłopotanie?

- Tylko trochę. - Zamknęła oczy. - Bardzo cię kocham! szepnęła. - Tak bardzo, że umarłabym, gdybym znów cię straciła.

Objął ją mocno.

- Chodź. Pociągnął ją do bezludnej sieni i ustawił pod ścianą, a potem zajął pocałunkiem, póki całkiem nie odebrał jej tchu.

- Weź mnie do łóżka - szepnęła tuż przy jego wargach.

- Słyszę samochód - odszepnął, wcale nie pewniejszym głosem. - Goście jadą.

- Boli mnie głowa - powiedziała. - Potwornie. Musisz przyłożyć mi zimny kompres do czoła.

- Nieźle - stwierdził z podziwem. - Ale przyjezdni na pewno będą chcieli do ciebie zajrzeć. I co wtedy? Mogłoby się to okazać kłopotliwe. Dzisiaj o mało nie rozwaliliśmy łóżka. Zresztą skrzypienie sprężyn mówi samo za siebie.



- Cole! - Z przerażeniem w oczach zachłusnęła się powietrzem. - Czy ktoś nas słyszał?

- Nie. Ale chyba nie powinienem był tego mówić, prawda? Teraz będziesz się denerwować, że jednak ktoś słyszy.

- To takie... osobiste - powiedziała niepewnie.

- Oj, bardzo osobiste - potwierdził, pocierając nosem o jej nos. - Dziś wieczorem położę materac na podłodze.

- Naprawdę? - spytała, nieco zawstydzona. Delikatnie skubnął zębami jej dolną wargę.

- Tak. Nawet mi się nie śniło, że człowiek może być taki szczęśliwy.

- Mnie też nie.

Ujął jej twarz w swe wielkie dłonie i czule ją pocałował.

- Żałuję, że nie mogę dać ci dziecka.

- Ja też żałuję, ale nie będę z tego powodu nieszczęśliwa, Cole. Powiedziałam ci, że dla mnie nic nie ma większego znaczenia oprócz tego, że jestem twoją żoną. Blizny się nie liczą. Bezplodność też nie. - Uśmiechnęła się ciepło. - Wyzbyłam się wszelkiej dumy. Poszłabym za tobą na kolanach, po tłuczonym szkle, na sam koniec świata.

- Nie zasługuję na to - odparł. - Nie zrobiłem nic, by na ciebie zasłużyć.

Stała na palcach i pocałowała go.

- Jesteś wybrańcem bogów, najdroższy. - Westchnęła. - I moim. Ty też mnie pocałuj. Tak lubię, kiedy mnie namiętnie całujesz.

Właśnie skwapliwie spełniał tę prośbę, uniósłszy żonę w ramionach, kiedy za plecami usłyszał znaczące kasznięcie. Odstawił Lacy na ziemię. Oboje zarumienili się na widok uniesionych brwi i uśmiechu Marion.

- Jest Ben z narzeczoną - powiedziała poważnie. - Lepiej zetrzyj tę szminkę, Lacy, zanim wejda - dodała znacznie weselej.

- Och, rozmazała się, tak? - spytała Lacy, rozpaczliwie szukając w torebce lusterka i chusteczki.

- Nie tobie, kochanie - z rozbawieniem stwierdziła Marion, spoglądając na zmieszanego Cole'a.

Lacy spojrzała na męża i figlarnie się uśmiechnęła. Dookoła ust ciągnęły mu się czerwone smugi. Wyciągnęła dłoń z chustką i zaczęła wycierać. Cole również się uśmiechnął, dotarła bowiem do niego absurdalność sytuacji.

W salonie zobaczyli zdenerwowanego Bena z brunetką o dość znudzonym wyglądem, a także zniecierpliwionego dżentelmena z siwymi włosami.

- No, jesteście - powiedziała Marion, przedstawiając Lacy i Cole'a.

Jessica skinęła głową Lacy, po czym podeszła prosto do Cole'a i przyjrzała mu się okiem starej flirciary.

- Więc to ty jesteś starszym bratem Bena - mruknęła. - Jak miło cię poznać.

- Mnie również - odrzekł Cole, ale bez uśmiechu ani jakiegokolwiek oznaki zainteresowania.

- Lacy i ja byliśmy bardzo ciebie ciekawi - dodał, przyciągając żonę do siebie. - A to jest twój ojciec? - spytał, patrząc w stronę starszego pana.

- Randolph Bradley. - Starszy pan skinął głową i wyciągnął do Cole'a dłoń. Poruszył wąsikiem. - Przykro mi, że bez żony, lecz akurat wyjechała w podróż do Europy.

- Mama nie znosi życia na wsi - mruknęła Jessica. - Strasznie tu prowincjonalnie z tymi cuchnącymi krowami - dodała z wyraźnym poczuciem wyższości. Co za wstrętne dziura, pomyślała. Ben ma w rodzinie same ćwoki. Postanowiła się upewnić, że nie będzie musiała obcować z nimi zbyt często. Ojcu, a więc i jej, bardzo był potrzebny dziennikarski talent Bena, a poza tym świetnie bawiła się z nim w łóżku. Ale bratanie się z prowincjuszami wymagało od niej dużego poświęcenia.

Cole zjeżył się, słysząc tę obelgę, ale Lacy dała mu sójkę w bok, żeby się nie odzywał. Wyczarowała słodki uśmiech.

- Rozumiem, że pan wydaje tak zwany szmatławiec, panie Bradley.

- Owszem - potwierdził z uśmiechem. - Czasopismo. Małe, ale się rozrośnie. Zwłaszcza z tak utalentowanym dziennikarzem jak pani szwagier.

- Ilu dziennikarzy pan zatrudnia? - spytała Lacy.

- Jak dotąd tylko Bena - wyznał Bradley. - Fantastycznie pisze. Tego nam właśnie potrzeba.

Potrzeba ci jego nazwiska, żeby otwierało drzwi, pomyślała cynicznie Lacy. Nie powiedziała jednak tego głośno. Cole tylko szukał pretekstu do kłótni. Dla dobra Marion i Bena musiała go trzymać w ryzach. Ben promieniał, na nietakt Jessiki zupełnie nie zwrócił uwagi. Cały był pochłonięty odgrywaniem postaci modnego młodzieńca z elegancką narzeczoną u boku. Przyjechali dwaj sąsiedzi i Ben odwrócił się wraz z Cole'em, by ich przywitać. Przedstawił Randolpha Bradleya nowo przybyłym.

Tymczasem Lacy, zostawiona sam na sam z Jessicą, uśmiechnęła się uprzejmie.

- Podoba mi się pani suknia - powiedziała, zresztą szczerze. Suknia była czarna, długa, zdobiona koronką. Jessica włożyła do niej naszyjnik z pereł. Trochę przesadziła z wystawnością, ale zapewne celowo. Panna Bradley najwyraźniej postanowiła pokazać miejscowym, jak wygląda dama z socjety. Lacy chichotała w duchu.

- Dziękuję - powiedziała Jessicą z protekcyjnym uśmiechem, zaskoczona

komplementem. - Znalazłam tę suknię w ekskluzywnym sklepie w Nowym Jorku. - Zmierzyła wzrokiem Lacy. - A pani na pewno szyje - stwierdziła, chociaż materiał wyglądał na jedwab. Nie-możliwe, pomyślała. Żona ranczera w jedwabiu? To śmieszne.

Lacy przyjęła tę uroczą zniewagę bez mrugnięcia powieką.

- Owszem - przyznała ze sztucznym uśmiechem. - Bardzo często.

- Całkiem niezły efekt - stwierdziła Jessica, taksując ją krytycznym okiem. - Tylko wiesz, kochana, na jedno powinnaś zwrócić uwagę, jeśli nie weźmiesz mi za złe małej rady. Te kamienie są odrobinę zbyt ostentacyjne. Wiem, że sztuczna biżuteria jest krzykiem mody, ale trochę tego za dużo. Takie same diamenty, tylko prawdziwe, byłyby godne królowej. Jeśli nie chcesz, żeby ktokolwiek się domyślił, że kamienie są sztuczne, ogranicz się do kilku.

Lacy musiała bardzo uważać, żeby głośno się nie roześmiać. Jessica wyraźnie nie spodziewała się takiej elegancji na ranczu. Tymczasem nie było sensu wyprowadzać jej z błędu. Opowieść o dziadku Lacy postanowiła więc zostawić na odpowiednią chwilę. Nie miała zwyczaju chępliwie się bogatymi przodkami. Zresztą wprawiliby tym Cole'a w zakłopotanie.

- Bardzo pani dziękuję za cenną uwagę - powiedziała Lacy ze zdawkowym uśmiechem.

- No, żyjecie tu prawie na końcu świata. - Jessica wzruszyła ramionami. - Kobiety ze wsi raczej nie znają się na modzie.

- Ma pani zupełną rację - grzecznie przytaknęła Lacy. Nadjechali następni goście, obie przyłączyły się więc do reszty witających domowników. Jessica wczuła się w rolę pani domostwa. Jej dwuznaczne uwagi na temat rancza ciężko obrażały dumę Cole'a, który aż kipiał ze złości. Na szczęście Marion zajęła Bradleyów rozmową, z czego Lacy skorzystała i wypchnęła męża do kuchni. Ben sprawiał wrażenie, jakby nie dostrzegał zachowania Jessiki. Wdzięczył się do sąsiadów, indagujących go o nową pracę i narzeczoną. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że większość po prostu pyta z uprzejmości, gdyż Whitehallowie są w Spanish Flats bardzo szanowaną rodziną.

Lacy taktownie zamknęła drzwi do kuchni i zwróciła się do Cole'a.

- Wszystko będzie w porządku - powiedziała, odsuwając z czoła kosmyk ciemnych włosów.

- Nie patrz tak wilkiem, bo wystraszysz ludzi.

- Ja patrzę wilkiem? To ta lodowata brunetka jest tu potrzebna jak dziura w moście - burknął. - Ben popełnia największy błąd w życiu.

- Istotnie - przyznała Lacy. - Ale to jego życie, więc nie możesz podejmować decyzji za niego, tak samo jak nie mogłeś jej podjąć za Katy.

Trochę się odprężył.

- Mój Boże, ależ ja mam szczęście - powiedział niespodziewanie.

- Szczęście? - spytała nie rozumiejąc.

Lekko dotknął jej szyi i przyjrzał się, jak Lacy pąsowieje od jednego muśnięcia.

- Że cię ściągnąłem z powrotem - powiedział. - Jestem dobry w koniach i bydle. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się dobrodusznie. - Nigdy nie przepadałem za kobietami i nie miałem u nich powodzenia.

- U mnie miałeś.

- Ale o tym nie wiedziałem, prawda? - powiedział z westchnieniem. - Aż do dnia, gdy wyjeżdżałem na wojnę i pozwoliłaś mi się pocałować. To było dla mnie objawienie... Niestety, nie miałem czasu z niego skorzystać. Musiałem cię zostawić.

- Długo płakałam - powiedziała. - Potem czytałam gazety modląc się, żeby nie znaleźć twojego nazwiska wśród zaginionych lub zabitych. Kiedy przyszedł list, że jesteś ranny, ale żyjesz i zdrowiejesz, dziękowałam Bogu, że się zamiast mnie tobą opiekował. - Uśmiechnęła się. - Pewnie nie za dużo o mnie myślałeś w tych trudnych latach.

Zawahał się, ale tylko ułamek sekundy.

- Nigdy ci tego nie pokazywałem, prawda? Pociągnął za złoty łańcuszek, biegnący do kieszonki w kamizelce, wyjął stary zegarek z wytartym złoceniem i ledwo widocznym ornamentem. Otworzył kopertę. Było tam małe zdjęcie twarzy Lacy i kosmyczek jej włosów.

Spojrzała z niedowierzaniem.

- Skąd to masz?

- Poprosiłem matkę - wyjaśnił cicho. - Obcięła ci włosy, kiedy spałaś. Przysięgła, że dochowa tajemnicę. Chciałem wziąć z sobą coś twojego.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Czemu przestałeś mnie pieścić tamtego dnia? - spytała złamanym głosem. - Gdybyśmy byli z sobą, może miałabym twoje dziecko!

Raptownie nabrał powietrza.

- Myślisz, że tego nie wiem? Że nie dręczyłem się tą myślą? - Zamknął zegarek i włożył go na miejsce, cały czas próbując się opanować. - Ale nie było czasu na ślub. Jak mógłbym zostawić cię w takim niegodnym stanie? Wszyscy ludzie plotkowałiby o tobie, a twój honor byłby unurzany w błocie.

- To wcale nie byłby niegodny stan - zaproponowała.

- Owszem, byłby. - Obwiódł jej usta palcem. - Honor, obowiązkowość i odpowiedzialność wpajano mi od najmłodszych lat. Gdybym cię skompromitował, nawet z takich pobudek, zniszczyłbym coś bezcennego. Jesteś moją żoną - szepnął. - Moją najdroższą żoną. Przyszłaś do mnie czysta. Ludzie, którzy w tych czasach zamętu dadzą się zwabić rozkoszy i odrzucą

moralność, będą tego żałować. Pomówienia będą się wlokły za nimi do końca życia. - Uśmiechnął się do niej. - My będziemy mieli jasne wspomnienia, takie, które warto zachować w pamięci. Kiedyś, za wiele, wiele lat, będę się bujał w fotelu, z tobą na kolanach, i będziemy wspominać nasze życie z zachwytem, a nie z żalem.

Jak na Cole'a było to przemówienie. Często zdarzało mu się, że siedział godzinę bez słowa. Lacy dotąd nie zdawała sobie sprawy z jego uczuć. Ale zdjęcie w zegarku było bardzo wymowne.

- Mam nadzieję, że długo będziemy razem, Cole - powiedziała.

- Ja też. - Cmoknął ją w czoło. - Chętnie bym cię pocałował, ale te barwy wojenne bardzo łatwo zmieniają właściciela.

Roześmiała się i zrobiła krok do tyłu. Zerknęła na Cole'a z ognikami w oczach.

- Obiecuję się nie szminkować, jeśli w zamian obiecasz, że będziesz mnie często całował.

Nie uśmiechnął się. Twarz mu zastygła. Uczucie niepewności zgasiło uśmiech na twarzy Lacy. Czyżby znowu go uraziła?

- Podniecasz mnie do szaleństwa - szepnął.

- A już sądziłam, że cię zakłopotalam. Wydawałeś się bardzo nieswój.

Uniósł brew.

- Jesteśmy małżeństwem. Możesz spojrzeć w dół, to zobaczysz, dlaczego jest mi nieswojo.

Machinalnie spełniła prośbę i dopiero wtedy uświadomiła sobie, o co mu chodzi. Odwróciła oczy z głośnym westchnieniem.

- Krótkie spódnice... - powiedział Cole. - Charleston, szminka na ustach... Myślałem, że jesteś kobietą wyrafinowaną.

- Nie z tobą. - Roześmiała się, bo sama poczuła zakłopotanie. - Przy tobie czuję się jak podłotek.

- Wiesz, Lacy, mam nadzieję, że zawsze tak będzie. - Odrzucił do tyłu jej włosy. Były faliście ufryzowane i miały piękny połysk. - Nie powinienem był cię drażnić. Teraz nie mogę się oprzeć.

- Niech będzie, dopóki drażnisz mnie tylko w ten sposób - powiedziała ze śmiertelną powagą.

- Spokojna głowa. Nie czuję się swobodnie w obecności innych kobiet. I nigdy się nie poczuję. - Splótł z nią palce i westchnął. - Powinniśmy stanąć oko w oko z lwami. Chyba ochłonąłem wystarczająco, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Tym razem nie spojrzała w dół, tylko od razu się zarumieniła.

- Ej, ej, Cole! - mruknęła. Pogłaskał ją po rękę.

- To wszystko jest częścią małżeństwa - zapewnił.

- Nie pozwól Jessice wyprowadzić się z równowagi - ostrzegła. - W razie czego mam w rękawie asa. Ona o tym nie wie.

- Co to za as? - spytał. Szepnęła mu na ucho. Zachichotał.

- Czy nie będziesz miał pretensji, jeżeli wyciągnę to na jaw? - spytała zatroskana.

- Ja nie, ale Ben tak, więc niech to będzie ostatnia deska ratunku.

- W porządku, szefie - zgodziła się radośnie.

- Jak będziesz mnie drażnić, to znowu przycisnę cię do muru - zagroził. - I tym razem nie puszcze.

- W domu pełnym ludzi? - Spojrzała na niego z rozbawieniem. - Nie odważyłbyś się.

- Odważyłbym się.

Nie wierzyła mu, ale na wszelki wypadek uciekła do salonu. Marion załamywała ręce. Przyjęcie nie rozwijało się pomyślnie. Jessica tak ostentacyjnie wyrażała swą niepocholebną opinię o ranczu, że ludzie zaczęli szemrać. A potem zaczęła nadskakiwać Turkowi, usiłując skłonić go do opowieści o samolotach, które zestrzelił podczas wojny. Ben podszedł do niej zdenerwowany.

- Nie rób tego, proszę - powiedział, unikając wściekłego wzroku Turka. - Ani on, ani Cole nigdy nie opowiadają o Francji. Narobisz kłopotów. Turek nie ma najlepszych manier, a kiedy ktoś rozżłości mojego brata, budzi się w nim lew.

- To podniecające. - Spojrzała w stronę kuchennych drzwi, za którymi rysowały się sylwetki Lacy i Cole'a. Ten Cole był całkiem, całkiem. Jessica stwierdziła, że zazdrości Lacy. Taki mężczyzna zadowolony każdą kobietą. I na pewno to on w domu rządzi. Bena łatwo było podporządkować; był pod tym względem jak dziecko. Coleman Whitehall musiał stanowić dokładne przeciwieństwo brata. Jessica nie wątpiła, że jest męski, zdecydowany i bardzo podniecający.

- Od jak dawna są małżeństwem? - spytała, kiwając głową w stronę Lacy i Cole'a.

- Prawie rok.

- Naprawdę? - Jessica roześmiała się, czując lekką zazdrość. - No, no. Zachowują się jak nowożeńcy. Ona jest dość potulna i cicha. Wydawałoby się, że taki mężczyzna woli inne kobiety.

Do Lacy Ben miał słabość. Nie spodobała mu się taka charakterystyka. Zresztą całe to przyjęcie wprawiało go w zdenerwowanie. Od początku nie chciał, żeby Marion je urządzała. Jessica często wywoływała niesnaski, a do tego była nieprzytomną snobką. Ben był z niej bardzo zadowolony w łóżku, ale w towarzystwie miał z nią mnóstwo kłopotów. Gdyby nie praca, za nic nie dałby się jej naciągnąć na zaręczynowy pierścionek.

Wrócił myślą do małej, słodkiej Faye, która oddałaby za niego życie. Jakże różniła się od

tej zimnej kobiety, która posługiwała się swym ciałem jak narzędziem, żeby dostać od mężczyzny to, czego chce.

- Czy Turek jest żonaty? - spytała Jessica, wodząc wzrokiem za przystojnym blondynem, stojącym samotnie przy stole obok wazy z ponczem.

- Nie. Wydeła wargi.

- Marnuje się. Ma oczy amanta. Założę się, że jest równie dobrze zbudowany jak ty.

Niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. Dama nie mówi takich rzeczy. No, ale Jessica nie była damą.

- Chodź, poudzielamy się towarzysko - powiedział. - Widzę...

Zamarł i zrobił się biały jak ściana, bo w drzwiach ukazała się Faye Cameron. Miała na sobie zwykłą kraciatą sukienkę i obszerny znoszony sweter. Do tego była rozczochrana i niewątpliwie niedawno płakała. Podeszła do Bena i spojrzała na niego. Nie wyobrażał sobie takiej sceny w najgorszych koszmarach.

- Co tam? - spytał, błagając ją wzrokiem, by z niczym nie wyskoczyła. Wszyscy sąsiedzi zdawali się domyślać, co ją tu przywiodło. Niektórzy ludzie, z Cole'em włącznie, jawnie wytrzeszczyli oczy.

- Czy to ona? - spytała Faye, spoglądając na Jessicę.

- To jest moja narzeczona, Jessica - powiedział sztywno. - Czego chcesz?

Słyszając taki ton i widząc towarzyszące mu spojrzenie, Faye powinna była dać nogi za pas, twardo jednak stała w miejscu. Była bardzo blada i drżała, ale nie cofnęła się ani o krok.

- Chcę wiedzieć, czy nadal masz zamiar się z nią ożenić - powiedziała cicho. - Chodzę z twoim dzieckiem.

- To kłamstwo - powiedział swobodnie Ben.

- To było kłamstwo parę tygodni temu - potwierdziła Faye. - Ale teraz nie jest. Wiesz dlaczego. I od kiedy.

A więc tamto spotkanie nie pozostało bez następstw. Ale dlaczego zdarza się to właśnie teraz, gdy on dokonuje podboju świata? Dlaczego musiała przyjść tutaj, żeby zniszczyć go publicznie przed narzeczoną i pracodawcą?

Otworzył usta. Chciał zaproponować Faye, żeby wyszli na dwór porozmawiać, nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo Jessica okazała się szybsza.

- Pozbądź się go, słoneczko - powiedziała z wymownym spojrzeniem. - Latawice podobne do ciebie wiedzą, jak to się robi, nie? Ben zapłaci.

- Co... co masz na myśli?

- Załatw sobie poronienie. - Jessica wzruszyła ramionami. - To łatwe. Każda panna ci

pokaże. A Bena nie dostaniesz, bo jest mi potrzebny i żeni się ze mną. Takie używane dziewczynki jak ty zawsze potrafią złapać jakiegoś wsiocha. Tu, w takiej pipidowie, na pewno znajdziesz coś dla siebie - zakończyła, tocząc znaczącym spojrzeniem po ciżbie gości.

W pokoju zrobiło się bardzo cicho, ale Jessica nie zwróciła na to uwagi. Musiała się pozbyć tej małej, zanim w Benie obudzą się wyrzuty sumienia.

- Teraz wynocha - powiedziała do dziewczyny. - Tu nie ma miejsca dla takiej biedoty...

- Co pani sobie właściwie wyobraża? - przerwał jej dudniący głos Cole'a.

Cole oparł się ciągnącej go za rękaw Lacy i stanął nad Jessicą.

- Chodź tutaj, Faye. - Wyciągnął ramiona, a przerażona Faye schroniła się w ich objęciu. Cole ją przytulił i spojrzał na wstrząśniętą twarz Jessiki z nie ukrywaną pogardą. - To jest mój dom - powiedział. - Ja decyduję, kto wychodzi, a kto zostaje. Faye Cameron jest przemilą dziewczyną, która nigdy w życiu nie zrobiła nic złego, dopóki nie zainteresował się nią mój rozpasany braciszek! Jeśli jest w ciąży, to dziecko będzie Whitehallem! I przyjdzie na świat. Nie ma mowy o wyskrobywaniu go, jakby było grzybem! A jeśli pani jeszcze raz powie coś tak obrzydliwego, to źle się to dla pani skończy.

- Jak pan śmie mówić w ten sposób do mojej córki? - odezwał się Randolph Bradley.

- Zupełnie zwyczajnie - Lacy włączyła się do rozmowy. Podeszła kilka kroków i stanawszy przy Faye, położyła jej rękę na ramieniu. Dziewczyna musiała się zdobyć na dużą odwagę, żeby tutaj przyjść. Podobnie jak Cole, Lacy nie zamierzała pozwolić, żeby ludzie skrzywdzili Faye.

- Nie wydaje mi się, żeby ranczer miał prawo traktować w ten sposób ludzi naszego stanu - oświadczyła ironicznie Jessica, przyjmując z powrotem nadętą pozę.

- Zwłaszcza że wyświadczyliśmy Benowi dużą uprzejmość, godząc się na przyjazd tutaj. W San Antonio jest pan nikim, panie Whitehall!

- Mąż dziedziczki fortuny Jacobsenów? - spytała z naciskiem Lacy. - Musi pani mieć źle w głowie, jeśli twierdzi pani, że Cole nie ma pozycji społecznej. - Czując wściekłość Cole'a, dojrzała też przerażenie Bena, ale teraz przyszła jej kolej. Wyprostowała się. - Chyba pani nie wie, że Spanish Flats założył mój cioteczny dziadek, Horace Jacobsen?

Randolph Bradley zawahał się.

- Horace Jacobsen? Ten Jacobsen od budowy dróg?

- Właśnie ten - potwierdziła z satysfakcją Lacy. - Dziadek zostawił fortunę swojej żonie, a mojej ciotecznej babce. Ona z kolei zapisała ją w testamencie mnie. - Wskazała palcem naszyjnik. - Te kamienie należały właśnie do niej - wyjaśniła Jessica. - I nie są sztuczne. Według rodzinnej legendy, kiedyś należały do Marii Stuart, królowej Szkotów, która była moją antenatką. A sukni, którą mam na sobie, nie szylam, moja droga, w domu. - Oczy jej zabłysły.



- To jest suknia prosto z Paryża i ośmielę się twierdzić, że na pewno nie byłoby cię na nią stać.

Jessicę zatkało. Ben usiłował wzbudzić w sobie współczucie dla narzeczonej, ale nie było to łatwe. Faye sprawiała wrażenie zgnębionej, a jego samego czekała dzika awantura, którą zrobi mu Cole. Widział to po rozwścieczonej minie starszego brata. Lacy tymczasem dopiero się rozgrzewała.

- Mam dla pana jeszcze jedną wiadomość, panie Bradley - podjęła z jadowitą uprzejmością. - Wśród głównych ogłoszeniodawców pańskiego czasopisma są moi dwaj kuzyni, którzy bardzo mnie lubią. Wystarczy jedno moje słowo i może pan zwijać kramik!

Randolph Bradley nigdy w życiu przed nikim się nie płaszczył, ale w tej chwili był bardzo pokorny. Zaczął usilnie przeproszać za siebie i swoją córkę. Lacy go nie słuchała. Z wyrazem mściwości w oczach wpatrywała się w Jessicę.

- Chyba nie oczekuje pani, że przeproszę - stwierdziła Jessica lodowatym tonem. - Ten mały kopciuch wcale nie zrobił sobie bachora. Po prostu ma chrapkę na Bena. Ale Ben należy teraz do mnie... i nie zamierzam się nim dzielić. Zabierz mnie do domu, Ben. I nie sadź, że moja stopa jeszcze kiedyś tutaj postanie.

- Jak mogłaś? - spytał ochryple Ben, wpatrując się w Faye. - Jak mogłaś mi to zrobić, wiedząc, ile dla mnie znaczy kariera? Ty mała, perfidna kłamczucho!

Faye wtuliła zapłakaną twarz w pierś Cole'a, który spiorunował młodszego brata wzrokiem.

- Ona jest z tobą w ciąży, ty ją rzuciłeś i jeszcze uważasz, że to ona jest perfidna?! - spytał groźnie. - Ty zimny, chciwy oportunisto!

Z tłumu wyszła Marion, była biała jak kreda.

- Ben, proszę cię, nie psuj przyjęcia! Wszystkich was proszę!

Chwyciła się za klatkę piersiową. Lacy szybko poprowadziła ją do krzesła, podczas gdy inni ludzie zgrupowali się dookoła. Lacy pobiegła po jedną z pigułek, przepisanych przez lekarza, i wsunęła ją Marion pod język. Ból ustąpił dość szybko, ale chora nadal była na granicy omdlenia.

Cole spojrział na Bena nad głową matki.

- Zabieraj tę swoją ulicznicę i wynoś się z mojego domu! Jeśli wrócisz, zrobię z ciebie krwawą miazgę. Przysięgam na wszystkie świętości!

Ben wahał się tylko chwilę. Nigdy przedtem nie widział takiego Cole'a. Zresztą nawet w oczach matki dostrzegł oskarżenie, a Lacy i Faye w ogóle na niego nie patrzyły. Dziwne. Czemu tak paskudnie się czuje, skoro spotwarzono go całkiem niesłusznie? Głośno westchnął, wziął

Jessicę za ramię i ignorując jej obrażoną minę, wyprowadził ją z domu.

Randolph Bradley przystanął niepewnie.

- Bardzo przepraszam za moją córkę... - zaczął. Lacy spojrzała na niego. Po oskarżeniach Bena wobec Faye prawie trzęsła się z oburzenia, a ten człowiek manipulował Benem i sprowadził na nich wszystkich wstyd.

- Na pana miejscu nie liczyłabym na długi pobyt w San Antonio. Raczej próbowałabym zminimalizować straty, póki jest na to czas.

Przełknął ślinę. Całe przedsięwzięcie brało w łeb przez jego rozwydrzoną córkę. Nie miał pojęcia, jak do tego podejść.

- Pani szwagier straci pracę - powiedział, sięgając po swój ostatni atut.

- Zasługuje na to - stwierdziła krótko. - Proszę opuścić mój dom.

Usłuchał, choć nie bez oporów. Goście zaczęli szeptać między sobą. Będą mieli plotek na całą zimę, pomyślała Lacy, krzywiąc się z niesmakiem.

Cole wstał.

- Nie stójmy tak - powiedział, tocząc gniewnym wzrokiem dookoła. Trzymając Faye przy boku, uśmiechnął się do niej. - Będę wujem. I to jest diablo dobry powód do świętowania. Włączcie z powrotem muzykę.

To zaskakujące oświadczenie uratowało sytuację. Nikt nie wspomniał, że potomek urodzi się z nieprawego łoża ani że Faye jest zhańbiona. Nikt też nie zrobił najmniejszej uwagi na temat wyproszenia honorowych gości. Znow zaczęła się hałaśliwa radość.

- Och, panie Whitehall, czy pan mi kiedyś wybaczy?

- pisała Faye. - Nie wiem, dlaczego to zrobiłam!

- Bo go kochasz, oczywiście - łagodnie powiedział Cole. Podał jej chusteczkę. - Uważaj, nie pobrudź się. Jest zaplamiona szminką Lacy.

- Sam najlepiej wiesz, ile jej dzisiaj z siebie starłeś - stwierdziła Marion, siląc się na żart. Zaraz jednak zaczęła popłakiwać.

- Uspokój się - powiedziała Lacy, całując ją w upudrowany policzek. - Może cię pocieszy, że zamierzam szybko wyekspediować Bradleya do Nowego Jorku.

- Ben pojedzie z nimi! - jęknęła.

- Dobrze by zrobił - mruknął Cole z błyskiem w oczach. - Mówiłem poważnie. Nie życzę sobie widzieć go w tym domu.

- Jest twoim bratem, Coleman - zachnęła się Marion. - A moim synem!

- Jest dupkiem - stwierdził Cole. - I dopóki nie zrozumie, co jest naprawdę ważne, może się tu nie pokazywać. Jak twoim zdaniem czuje się Faye? On nie ma krzty honoru! Zrobił jej

dziecko i jeszcze wygaduje, że to wszystko jej wina! I do tego pozwolił tej flądze nazwać ją latawicą w obecności wszystkich sąsiadów.

Będę miała dziecko, a nie jestem mężatką - powiedziała Faye żałośnie. - Więc chyba jestem latawicą.

- Nie jesteś! - groźnie zaproponował Cole. - I więcej tak o sobie nie mów! Pomożemy Irze pokryć wydatki. Dzieckiem trzeba się dobrze zaopiekować. Nie zapominaj, że będzie Whitehallem!

Faye nieco wypogodniała.

- Do licha! Więc nie masz nic przeciwko temu?! Uśmiechnął się.

- Nic a nic.

- Ludzie będą gadać. - Westchnęła. - Wszyscy będą wiedzieli.

- Tak jest lepiej - zapewniła ją Lacy. - Sekrety są niebezpieczne. Tego, kto je ma, łatwiej postawić w trudnej sytuacji. Jeśli wszystko jest wiadome, nie ma możliwości szantażowania. - Dotknęła blond włosów Faye. - Zawsze znajdą się ludzie, którzy chętnie korzystają z bólu innych. Dlatego nie będziesz się chować z dzieckiem po kątach, Faye. Wszyscy będą o nim wiedzieć i to jest twoja ochrona. A póki dziecko się nie urodzi, co niedziela będziesz chodzić do kościoła z nami.

- Och, nie! - westchnęła Faye. - Ludzie mi nie pozwolą!

Lacy wyprowadziła ją na środek salonu i wyłączyła gramofon. Uniosła dłoń, prosząc o ciszę.

- Chcę o coś zapytać. Czy ktokolwiek ma coś przeciwko temu, że w niedzielę Faye będzie chodzić z nami do kościoła? Czy komuś przeszkadza, że będzie niezamężną matką?

- Ależ skąd! - wykrzyknęła pani Darlington. - Nikt z nas nie jest doskonały, moja droga - powiedziała do Faye i uśmiechnęła się do niej.

Jej pogląd podzieliło kilkoro innych sąsiadów, więc Lacy się odprężyła. Cole otoczył ją ramieniem, nie spuszczać oka z Marion, która po zażyciu leku z minuty na minutę wyglądała lepiej i mniej ponuro.

- Świetnie sobie pani poradziła, pani Whitehall - z uśmiechem pochwalił ją Cole. - Dała pani Bradleyowi pokazową lekcję.

- Przykro mi, że do tego doszło. Biedny Ben.

- Akurat, biedny! - burknął Cole. - To Faye jest biedna!

- Jakoś to zniesie - powiedziała Lacy. - Jest twarda. Cieszę się, że nie trzeba niczego tuszować. Faye musiałaby udawać, ukrywać swój stan przed ludźmi, bo bałaby się, że ktoś się dowie. Jest znacznie lepiej, że wszystko wiadomo. I tak przed Bogiem nie mamy tajemnic, cho-

ciąż zdarza się, że mamy je przed innymi ludźmi.

- No, tak. Moja matka za nic nie zniosłaby plotek. W jej pokoleniu człowiek wolał raczej umrzeć, niż sprowadzić hańbę na rodzinę.

- Czy potrafisz sobie wyobrazić, o czym niektórzy z naszych współczesnych będą musieli zapomnieć, kiedy oni z kolei zostaną dziadkami? - spytała żartobliwie i kokieteryjnie spojrzawszy na Cole'a. - Zatańczysz ze mną?

- Jasne, musisz dostać nagrodę za wykopanie z powrotem do San Antonio mojego brata i jego kobiety.

- Ben nigdy ci nie wybaczy tego, jak ją nazwałeś - powiedziała Lacy, krzywiąc usta.

- A ja jej nigdy nie wybaczę tego, jak nazwała Faye. Biedna mała... Popatrz na nią. Kocha Bena tak bardzo, że kiedy ten dzieciak się urodzi, zapieści go na śmierć, a Ben woli ten sopel lodu z miasta.

- Może się okazać, że ta pannica bardzo ostygnie w swoich chęciach, kiedy moi kuzyni dobiorą się do jej ojca - powiedziała Lacy. - Ben chciał mieć Jessicę dla kariery, ona zaś chciała Bena, bo ojciec potrzebował go do gazety. Bradley wiedział, że ma tanią siłę roboczą, bo Ben jest zainteresowany Jessicą. Sądzę, że lada dzień drogi Bradleydw i Bena się rozejdą.

Miejmy nadzieję - powiedział Cole. - Ale powtarzam: mówię poważnie. Dopóki Ben nie przeprosi, nie ma tutaj wstępu.

Nawet gdyby przyjechał do Marion? - spytała łagodnie Lacy. - To jej złamie serce.

Może ją zobaczyć w mieście - ustąpił Cole i było widać, że więcej elastyczności nie okaże. - Turek ją będzie woził.

- Biedny Turek miał podniecającą chwilę. Naprawdę wpadł Jessice w oko.

- To nie jest już ten sam babiarz, co kiedyś - powiedział Cole w zadumie. - Aż się dziwię. Zmienił się ostatecznie.

- Od wyjazdu Katy - przyznała Lacy.

- Tak, od wyjazdu Katy. - Westchnął. - Chciałbym wiedzieć, jak ona się miewa. Coś musi być nie tak. Czuję to.

Jakby w odpowiedzi na to stwierdzenie zadźwięczał dzwonek telefonu. Cole wymienił z Lacy przeciągłe spojrzenie i szybko podszedł do aparatu. Lacy wstrzymała oddech, przeczuwając katastrofę.

Cole nie rozpoznał głosu, który odezwał się w słuchawce. Telefonistka zapowiedziała wcześniej, że rozmowa będzie z Chicago.

- Chcę mówić z panem Whitehallem - rozległ się wśród trzasków obcy męski głos.

- Przy telefonie.

- Porucznik Higgins, policja w Chicago. Obawiam się, że mam złe wiadomości. Doszło tutaj do wymiany strzałów. Pani Marlone nie została ranna, ale jej mąż nie żyje. Sprawcę zatrzymaliśmy. Jest nim niejaki Blake Wardell, dobrze znany na naszym terenie hazardzista, z którym Marlone prowadził interesy.

Cole głośno wciągnął powietrze. Marlone nie żyje! Nie potrafił wzbudzić w sobie współczucia dla tego typu, współczuł jednak Katy.

- Czy mogę porozmawiać z siostrą? - spytał, zniżając głos. Nie chciał, żeby Lacy i Marion przeżyły wstrząs, dowiadując się o wszystkim bez przygotowania.

- Widzi pan, właśnie na tym polega problem. Jeszcze pięć minut temu nie wiedzieliśmy, jak skontaktować się z jej rodziną. Matce pana Marlone trzeba było podać silne środki uspokajające i niestety nie mogła nam niczego powiedzieć.

- A Katy nie mogła panu powiedzieć? - spytał czując budzący się lęk.

- Panie Whitehall... - Higgins zawahał się. - Pani Marlone... nie jest w stanie mówić. Przykro mi, ale dyżurny lekarz uważa, że jej umysł jest w stanie otępienia.

Chce porozmawiać z panem na temat możliwości przeniesienia siostry do zakładu opiekuńczego. Jego zdaniem ten stan jest nieodwracalny.

Cole'owi krew odpłynęła z twarzy. Przez kilka sekund nie mógł wydobyć z siebie słowa. Katy zwariowała. Jest umysłowo chora. Ogarnęło go poczucie winy, zaraz potem wściekłość, jeszcze potem morderczy gniew.

- Gdzie ona jest? - spytał stłumionym głosem. Widział, że zaniepokojona Lacy i matka przyglądają mu się z wielką uwagą.

- W szpitalu miejskim. Panie Whitehall...

- Czy była świadkiem wymiany strzałów? - spytał Cole, choć znał odpowiedź.

- Tak.

- Jeszcze czegoś pan nie powiedział. Czego?

- Kiedy przyjechaliśmy, dwoje obecnych było... no, w niekompletnej garderobie. Natomiast pan Marlone, denat, był całkiem ubrany i uzbrojony. Obawiam się, że sytuacja mówi sama za siebie.

Cole uznał natychmiast, że nie może przekazać tej wiadomości kobietom.

- Przyjadę do Chicago pierwszym pociągiem - powiedział. - Proszę przekazać doktorowi, żeby do mojego przyjazdu nie podejmował żadnych kroków.

- Dobrze. Ktoś wyjdzie po pana na stację.

- Dziękuję. - Cole odwiesił słuchawkę, prawie nieświadom tego, że Lacy ciągnie go za rękaw, a na twarzy Marion maluje się głęboka troska. Odwrócił się do kobiet.

- Zabito męża Katy - oznajmił spokojnie. - Jej nic się nie stało, ale musimy pojechać z Lacy do Chicago. Przywieziemy ją do domu. Jest w szoku - powiedział wymijająco.

- Czy na pewno nic się jej nie stało? - spytała Marion ze łzami w oczach. - Och, Coleman! Wiele więcej już nie zniosę.

- Wiem o tym. - Cole wsparł ją ramieniem i skinął na Faye. - Czy możesz zostać z matką na dzisiejszą noc? Musimy z Lacy jechać po Katy.

- Mogę - odrzekła Faye. - Tata już się pewnie tak upił, że nawet nie wie, czy jestem w domu.

- Gdybyś miała jakieś kłopoty z matką, weź do pomocy Turka. On będzie tu wszystkim rządził w czasie mojej nieobecności. Lacy, przebierz się. Ja porozmawiam z Turkiem. Zawiezie nas na stację.

Lacy nie wahała się ani chwili. Natychmiast poszła przebrać się w podróżny kostium i wziąć płaszcz.

W wiele godzin później zmęczeni i śpiący wysiedli w Chicago. Zgodnie z obietnicą, porucznik wysłał kogoś na dworzec: siebie samego. Był wysokim, niebieskookim mężczyzną ze szpakowatymi włosami i ujmującym uśmiechem.

- Nazywam się Higgins. Państwo Whitehallowie, jak rozumiem? - spytał, wyciągając dłoń do Cole'a. Cole nie zmienił garnituru. Dodał tylko do stroju czarny kapelusz z szerokim rondem i wysokie buty. Jego wygląd natychmiast przywołał myśl o Zachodzie, co policjantowi wydało się fascynujące. - Nigdy dotąd nie miałem okazji poznać prawdziwego ranczera - powiedział do Cole'a w drodze do samochodu. - Nasza rzeźnia robi duże interesy z Teksasem. Wołowina.

- Słyszałem - potwierdził Cole. - Czy moja siostra cokolwiek powiedziała?

- Niestety, nie. Ale cieszę się, że państwo przyjechali. Bardzo nie chciałem wysłać jej do zakładu.

W drodze do szpitala Cole zadawał pytania, porucznik zrećnie unikał konkretnych odpowiedzi, a Lacy snuła niewesołe rozważania. Dojechali na miejsce dość szybko. Tam zaprowadzono ich na oddział, w którym były łóżka z metalowymi kratami. W jednym z nich leżała Katy. Nie poruszała się, była potwornie wychudzona i rozczochrana, twarz miała prawie

tak samo białą jak pościel, a zielone oczy zasnuwała jej mgiełka. Patrzyła w sufit, ale niczego nie widziała ani nie słyszała.

- Katy? - szepnęła Lacy, nachylając się nad przyjaciółką.

Nie było żadnej reakcji. Nawet nie mrugnęła powieka. Cole wyszedł dokądś z lekarzem. Kiedy wrócił, był bardzo posepny, wyraźnie pobladł.

- Czy możesz ją ubrać? - nerwowo zwrócił się do Lacy. - Poczekam na zewnątrz.

- Ttak - zająknęła się Lacy. - Cole... Wiem - powiedział ochryplym głosem. Spojrzał na Katy i drgnął. - Boże, wiem. Ale wszystko po kolei. Pośpiesz się. Może uda nam się zdążyć na następny pociąg. Jeśli wytrzymasz, to odeśpiemy w domu.

- Oczywiście, że wytrzymam.

Cole wyszedł zamyślony. Pielęgniarka zaciągnęła wokół łóżka zasłonę. Podczas gdy Lacy wsuwała ubranie na bezwładne ciało Katy, siostra instruowała ją, jak pielęgnować chorą w domu. Mimo zmęczenia i senności Lacy uważnie słuchała.

- Czy jest jakaś szansa, że ona odzyska jasność umysłu? - spytała Cole'a, gdy nieśli Katy do samochodu. Za nimi włókł się zatroskany porucznik Higgins.

- Zdaniem lekarza bardzo mała - odparł szorstko.

- Cuda się zdarzają - wtrącił porucznik. - W mojej policyjnej karierze widziałem takich chyba ze dwadzieścia.

- Oby pan miał rację - powiedziała żarliwie Lacy. - Biedna Katy!

- Zdaje sobie pan sprawę z tego, że ona nie jest w stanie zeznawać ani być świadkiem? - spytał Cole porucznika.

- Oczywiście. Ale gdyby jej stan uległ poprawie, proszę nas zawiadomić.

- Mam nadzieję, że będę miał okazję spełnić tę prośbę. Może powrót do domu wywoła zmianę.

- A co z człowiekiem, który strzelał? - zainteresowała się Lacy.

- Z tym cwaniakiem Wardellem? - Higgins uśmiechnął się. - No, myślę, że z samego rana wyjdzie za kaucją. Ma dużo forsy i jeszcze więcej przyjaciół w ratuszu. Jest wprawdzie gangsterem, ale honorowym. Gardził Marlonem. Nie znosi narkotyków.

Cole zmartwiał.

- Narkotyków?

- Nie wiedział pan? - zdziwił się porucznik. Odczekał, aż informacja dotrze do Lacy, i ruszył przodem. Po chwili, gdy Cole go dogonił, mówił dalej: - Marlone był uzależniony. I miał w dorobku masę perwersyjnych przygód z kobietami. Wardell zakochał się w jego żonie. Wprawdzie sam przyznał, że krytycznego wieczoru wypila parę drinków, więc nie bardzo

wiedziała, co się dzieje, ale on za nią szalał. Podobno kilka dni wcześniej Marlene ciężko żonę pobił. A bezpośrednio przed śmiercią nie tyle ich nakrył, co schował się w szafie, żeby mieć kino.

- O Boże - jęknął Cole. - Czy Katy o tym wiedziała?

- Przedtem nie. Ani ona, ani jej towarzyszy. Wardell wyskoczył z łóżka, wrzeszcząc, że zamorduje bydlaka. Marlene chwycił za broń, ale Wardell był szybszy. - Porucznik spojrzął w oczy Cole'owi. - Niestety, najbardziej ucierpiała na tym wszystkim pańska siostra. Przez dłuższy czas robiła wszystko, co jej kazał Marlene, bo śmiertelnie się go bała. Kiedy był naszprycowany, łatwo mógł kogoś zabić. Prawdopodobnie sądziła, że jeśli poprosi o pomoc, Marlene zastrzeli kogoś z rodziny. Niech państwo nie mają do niej pretensji.

- Jest moją siostrą - odparł Cole, patrząc na wychudzoną, beznamiętną twarz. - Kocham ją.

- Wardell prawdopodobnie się nią zajmie - dodał porucznik. - Bez przerwy o nią pyta. Czuje się za nią odpowiedzialny.

- Gangster z sumieniem? - parsknął Cole.

- Zakochany - cicho poprawił go Higgins. - Znam tego gościa od dawna. Nigdy nie widziałem, żeby był taki jak teraz. Załamał się. Próbował ją wyrwać z łap Marlene'a, ale ona bała się odejść.

- Powiedział pan, że matce Marlene'a trzeba było podać środki uspokajające. Co z nią będzie dalej?

- Ma rodzinę we Włoszech. Pewnie teraz tam wróci. Nigdy nie lubiła Stanów.

- Dla niektórych to bardzo niezdrowe miejsce - przyznał Cole. Szumiało mu w głowie od tego, czego się dowiedział.

- Powiedział pan, poruczniku, że Marlene się narkotyzował. Ale Katy nie, prawda? - spytała kompletnie załamana Lacy, która dołączyła do mężczyzn.

- Na pewno nie, szanowna pani - odparł oficer z galanterią. - Na ciele nie było śladów nakłuć.

- Dzięki Bogu - szepnęła Lacy, kierując wzrok na zastygłą twarz Katy. - Biedaczka!

Nadjechał pociąg.

- Życzę wszystkiego dobrego - powiedział porucznik, pomagając Cole'owi wnieść Katy do przedziału. - Będę z państwem w kontakcie.

- Dziękujemy - odparł Cole. Naprawdę był policjantowi wdzięczny. - Jeśli kiedyś będzie pan w Teksasie, ma pan u nas zapewniony nocleg.

Porucznik uśmiechnął się.

- Zawsze marzyłem o zostaniu kowbojem. Ale podejrzewam, że to wcale nie takie



wspaniałe, jak się zdaje.

- Na pewno nie, jeśli nie lubi się pracy od rana do nocy i krów kąpiących w brzuch.

- Tak myślałem. Szczęśliwej podróży. - Zawiesił głos. A co do Wardella...

Cole zawahał się. Chciał powiedzieć, żeby wysłać faceta do diabła. Ale przecież to on próbował pomóc Katy wtedy, kiedy nie robił tego nikt inny. Cole wiedział, jak rani człowieka miłość do kogoś, kto wydaje się nieosiągalny. Westchnął z rezygnacją.

- Niech pan mu powie, żeby zatelefonował. Mój numer pan ma. Tylko niech poprosi do telefonu mnie osobiście. Rozumie pan?

- Znakomicie - ucieszył się Higgins. - Żał mi faceta, zupełnie nie umie sobie z tym poradzić. Nawiasem mówiąc, szkoda, że nie wybrał innej drogi, bo łeb ma nie od parady. Do widzenia.

Katy nie poruszyła się ani razu przez całą drogę do Spanish Flats. Lacy spała, przytulona do Cole'a, a on raz po raz zapadał w krótką drzemkę. Umysł zaprzętały mu zmartwienia: choroba matki, kłótnia z Benem, ciąża Fayestan Katy... do tego wszystkiego znowu spadły ceny bydła i sytuacja finansowa rancza pogarszała się z każdym dniem. Chyba tylko Bóg mógł mu jeszcze pomóc.

Na ranczo dotarli dobrze po zapadnięciu zmierzchu. Szczęśliwym zrządzeniem losu ze stacji do domu udało im się podjechać samochodem farmera, który wpadł do miasta odebrać pocztę. Na ganku powitała ich Marion.

- Katy! - wykrzyknęła, wstrząśnięta widokiem nieruchomej twarzy i szklistego spojrzenia córki. - Cole, co jej jest?!

- Szok - wyjaśnił Cole. - Dojdzie do siebie, ale potrzebuje ciszy i spokoju.

- Posłałam jej łóżko - powiedziała Marion. - Moje biedne dziecko! - Dotknęła włosów Katy, ale córka ani drgnęła.

Cole zaniósł siostrę do jej pokoju i położył, po czym wszyscy troje stanęli, ponuro zapatrzeni w leżącą postać.

- Gdzie jest Turek? - spytał w końcu Cole.

- W stodole. A nie, słyszę go - powiedziała Marion i uśmiechnęła się. Postawny blondyn zbliżał się korytarzem. - Jest tak samo podniecony przyjazdem Katy jak ja. Nie chcę oczywiście powiedzieć, że nic nas nie obchodzi śmierć Danny'ego - dodała z poczuciem winy. - Czy ona pojedzie na pogrzeb?

To byłby cud na pierwsze strony gazet, pomyślał Cole. Zanim jednak zdążył się odezwać, do pokoju wpadł Turek z kapeluszem w dłoni i szerokim uśmiechem na ustach.

- Więc jesteś, malutka... - Gdy tylko spostrzegł twarz Katy, uśmiech zamarł mu na ustach,

blask w oczach zmatowiał. Powoli podszedł do łóżka. - Mówiłeś, zdaje się, że jest cała i zdrowa - gniewnie parsknął do Cole'a.

- Będzie - odpowiedziała mu Lacy. - Przeżywa szok, to wszystko.

- Jakiego rodzaju szok? - spytał Turek.

- W jej obecności zabito Danny'ego - wytłumaczył Cole. Nie dodał ani słowa o okolicznościach zajścia. Przyjaciel mógłby wpaść w obłąd, gdyby się o wszystkim dowiedział.

- Potworne - powiedział cicho Turek. Znów spojrzał tęsknym wzrokiem na Katy. Bardzo długo jej nie widział. Wreszcie wróciła, ale zachowywała się tak, jakby jej tu nie było. Była chuda, wyniszczona, postarzała o kilka lat, i miała pustkę w oczach. Turka przejęła trwoga. Znał ten wyraz twarzy równie dobrze jak Cole. Obaj widzieli go na twarzach lotników, którzy już nigdy więcej nie mieli usiąść za sterami.

Odwrócił się do Cole'a i z jego udreńczonych oczu wyczytał nieodwołalny wyrok. Wymienili znaczące spojrzenia, niewidoczne dla kobiet. Turek miał wrażenie, że zaraz rozstąpi się pod nim ziemia. Przerzął go ten złowrogi bezruch Katy. Jediną oznaką jej życia był płytki oddech. Gdzie jest Faye? - spytała Lacy, patrząc na Marion. Na dworze. Dziś jest pranie.

Lacy wytknęła głowę przez okno i rozejrzała się dookoła Faye i dwie żony kowbojów zajmowały się bielizną. Faye z długim kijem w dłoni stała nad wielkim czarnym kotłem i mieszała gotującą się wodę, w której moczyły się białe koszule. Twarz miała spoconą. W pobliżu stały dwie kadzie z zimną wodą do płukania i bielzenia. Dalej stała jeszcze jedna kadź z mydlinami - tkwiły w niej tary, drewniana i metalowa. Tam ścierano brud z ubiorów roboczych. Między dębami rozciągnięto dwie grube stalowe linki. Była to suszarnia. Pranie zajmowało cały dzień, bo na ranchu dotąd nie było pralki. Kobiety dałyby wiele za ten luksus, ale urządzenie kosztowało zbyt drogo. Lacy co prawda chciała je kupić, lecz nie potrafiła namówić Marion, która dosłownie się zaparła. Już i tak ciążyły jej na sumieniu telefon, elektryczność i łazienka w domu.

Praca była bardzo ciężka, ale Faye i tak wydawała się szczęśliwa. Uśmiechała się.

- Czy ona mogłaby u nas zamieszkać, jak myślisz? - spytała Lacy Cole'a. - Ojcu nie będzie jej szczególnie brakować, zresztą za dużo pije, żeby jeszcze się o nią troszczyć.

- Nie mam nic przeciwko temu - odrzekł Cole. - Ale Ira nie będzie chciał o tym słyszeć. On ją kocha. Wszystko jedno, pijany czy trzeźwy.

- Pewnie masz rację. - Westchnęła.

- Zresztą musimy teraz zapewnić opiekę Katy - dodał z zmartwieniem. - Bóg jeden wie, co przeszła przez ostatnie miesiące. Jest taka wyniszczona.

- Biedne dziecko - uzalała się Marion ze łzami w oczach. - Ten wieczór musiał być dla niej

okropny.

- Wykuruje się - pocieszyła ją Lacy. - Sama zobaczysz.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedziała Marion. Ale zamartwiała się dalej.

Turek nie odezwał się ani słowem. Spojrzał jeszcze raz na Katy i wyszedł. Nie mógł znieść dłużej jej bezruchu i milczenia. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że ją kocha. Co za ironia losu, pomyślał. Uprzytomnił sobie to teraz, kiedy było za późno.

W Chicago Blake Wardell wychodził na ulicę ożywioną porannym ruchem. Miał zarost na twarzy i przekrwione oczy.

- ... oczywisty przypadek obrony własnej. - Adwokat idący obok niego nieustannie coś mówił, ale on prawie nie zwracał na to uwagi. - Wszyscy wiedzą, że Marlone był narkomanem i zboczeńcem. Ale jeśli ta kobieta będzie w stanie zeznawać...

- Nie. - Wardell przeszył go wzrokiem. - Masz ją z tego całkowicie wyłączyć. Jeśli będzie trzeba, pójdę siedzieć, ale jej w to nie pakuj! Zapłać komu trzeba, byle jej nazwiska nie wymieniono w gazetach.

- Rzykujesz.

- Dla niej wypiłbym truciznę - powiedział ochryple. - Jedź do domu. Ja chcę się spotkać z Higginsem.

- Proszę. - Porucznik bez pytania podsunął mu jakiś świstek. - To jest numer telefonu jej brata. Powiedział, że może pan zadzwonić, ale wolno panu rozmawiać tylko z nim. Nie we wszystko wtajemniczył rodzinę i prawdopodobnie nigdy tego nie zrobi.

- W jakim ona jest stanie? - spytał cicho Wardell.

- W złym - odparł Higgins bez ogródek. Wardell potrafił znieść wszystkie zakręty losu, nawet utratę kobiety, którą wyniósł na piedestał. - Nie wiadomo, czy rzeczywiście dostała pomieszania zmysłów, w każdym razie brat na pewno nie pozwoli oddać jej do zakładu. Ja też bym nie pozwolił. Czy jej rodzice są dobrze sytuowani?

- Nie mam pojęcia. To ranczerzy, więc chyba nie. Zapewnię wszystko, czego trzeba. Lekarzy, pielęgniarki, pieniądze...

- Niech mu pan to powie. Ale jemu na pewno ta propozycja nie przypadnie do gustu. On ma swoją dumę.

Wardell uśmiechnął się wątle. Skądś to znał.

W porządku. Są różne sposoby. Znam paru bankierów.

To mnie akurat nie dziwi. - Higgins wstał. - Jeśli będzie pan chciał zrobić coś niezgodnego z prawem, proszę zadbać o to, żebym się nie dowiedział. Ma pan dość kłopotów.

- Tak pan sądzi? Higgins wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, nie. Marlene był ohydny szczurem. Dostał to, na co zasłużył. Żadna ława przysięgłych przy zdrowych zmysłach pana nie skaże. A znam parę kobiet, które zatańczą mu nad grobem i będą się garnąć, do tego, żeby złożyć obciążające go zeznania.

Wardell spojrział na kartkę niemal czule. Jego jedyny kontakt z Katy. Najcenniejsza rzecz, jaką posiadał. Zerknął na Higginsa.

- Powiedział mu pan, prawda? Skinął głową.

- A on mimo to dał mi numer telefonu.

- Jest dżentelmenem - odparł Higgins. - No, i bystrym obserwatorem ludzkiej natury. Wie pan, wspomniałem mu o pańskim uczuciu do pani Marlene.

Wardell zaśmiał się pusto.

- Dużo mi to pomoże. Tam, w Teksasie, jest ten kowboj - powiedział z wyrazem rezygnacji. - Ona o nim bez przerwy mówi. Ostatniego wieczoru była trochę podpita, więc to wykorzystałem. Ale do niczego nie doszło, bo Zemdląła... - Zamknął oczy i odwrócił twarz.

- Wardell.

- Mhm.

- Niech pan wejdzie na drogę prawa. Marnuje się pan w swoim towarzystwie. Taki łebski facet powinien być gubernatorem.

- Właśnie myślałem, że coś takiego pan powie - odparł kpiąco. Wyszedł, cicho zamykając drzwi. Higgins uśmiechnął się melancholijnie i wziął do ręki teczkę z aktami następnej sprawy.

Jazda do San Antonio była długa i wyczerpująca, bo przez całą drogę Jessica się wściekała.

- A ty stałeś tam jak słup i patrzyłeś, jak wycierają mną podłogę! - piała. - Co z ciebie za mężczyzna! Mam cię w nosie, Ben. Zaręczyłam się z tobą tylko ze względu na tatę. On cię potrzebował.

- Już go nie potrzebuję - znużonym głosem odezwał się Randolph. Siedział z tyłu w samochodzie. - Szwagierka Bena wysadzi mnie z siodła. Sugerowała, żebym się zbierał, póki dużo nie straciłem. Myślę, że to dobra rada. Zamykam interes, wracamy do Nowego Jorku. Przykro mi, że tak wyszło, Ben. Nie doceniłem wpływów pani Whitehall.

- Ja też nie - odparł cicho Ben. Na ranczu Lacy nigdy nie wspominała o dziadku ani o tym, że odziedziczyła cokolwiek oprócz domu babki w San Antonio. Oszczędza dumę Cole'a, pomyślał gorzko. Lacy wszystko robi z myślą o Cole'u.

- Co zamierzasz? - spytał Randolph.

- Pojadę do Paryża - odparł bez namysłu. Wynurzenia Jessiki na tematy uczuciowe bardzo go ubodły. Może zresztą zasługiwał na to, co dostał, albo i na więcej. Ciężko skrzywdził Faye i

matkę. Skrzywdził nawet Lacy i Cole'a, chociaż wydawali mu się teraz bliżsi niż kiedykolwiek przedtem.

- Przyłączasz się do Straconego Pokolenia? - spytała kpiąco Jessica. - Dlaczego myślisz, że oni cię zechcą?

Spojrzał na nią zimno.

- Są ludzie, którzy mnie lubią dla mnie samego.

- Ta mała blondynka, hm? Do niej możesz wrócić zawsze.

Czy naprawdę mógł? Kiedyś Faye go kochała. Nie wyobrażał sobie jednak, by to uczucie mogło przetrwać. Znadto ją upokorzył tego wieczoru. Biedaczka. A jeśli naprawdę jest w ciąży?...

- Uważaj, jak jedziesz, Ben. Nie chcę wylądować na drzewie zamiast w domu - zrugła go Jessica.

Spojrzał przytomniej na drogę. Postanowił jednak jechać do Paryża. Miał trochę odłożonych pieniędzy. Cole nie pozwoliłby mu kręcić się w pobliżu rancza, nawet gdyby chodziło o odwiedzinę umierającej matki. Jęknął, przypomniawszy sobie, że sprowadzając te sępy do Spanish Flats, omal nie doprowadził matki do zawału. Wyglądało na to, że los go przeklął. Warto więc było spróbować wyjazdu. Może jakoś mu się uda z powrotem złożyć życie do kupy.

Zerknął na Jessicę i z olbrzymim zdziwieniem stwierdził, że czuł do niej jedynie pociąg fizyczny. A oni go wykorzystywali. Lacy zauważyła to od razu. Czemu on tego nie wiedział? Miał ochotę głośno krzyknąć. Ładnego zamieszania narobił. Ciekawe, czy kiedykolwiek zdoła zlikwidować jego skutki.

Powiedz mi prawdę. - Marion spojrzała na Cole'a, stojącego przed nią na ganku. - Muszę wiedzieć, dlaczego ona jest taka, jaka jest.

Odwrócił się do niej nieco przestraszony.

- Nie mogę. Oczy Marion zasły łzami.

- Och, Cole. Czy to takie straszne?

- Tak. - Odwrócił oczy w stronę stajni, gdzie ukrył się Turek, a potem znów skierował wzrok na matkę. Wpatrywała się w niego jak posąg, aż w końcu Cole niechętnie wydusił z siebie: - Lekarze nie wiedzą, jak dużo czasu zajmie jej wychodzenie z tego stanu. I czy w ogóle z niego wyjdzie - dodał cicho.

Marion zakrzuszyła się i chwyciła się za klatkę piersiową.

- O Boże - jęknął. - Przepraszam, mamó! - Wziął ją na ręce i wszedł z nią do domu. - Mamó, przepraszam. Nie powinienem był ci tego mówić.

- Czuję się... jakby koń siedział mi na piersi. Czy to nie śmieszne? - Ledwie mogła oddychać. - To ja przepraszam... jeszcze ze mną masz kłopoty. - Łzy popłynęły jej z oczu.

- Nie bądź niemądra. Jeśli ktokolwiek ma prawo do niepokoju, to ty. Wczoraj spadło na nas dość zmartwień, żeby powalić całkiem zdrową osobę. - Położył ją i szybko poszedł po pigułki, wołając po drodze Lacy.

Ale pigułka nie pomogła. Druga też nie. Wreszcie Lacy odeszła od łóżka i zatelefonowała do szpitala, żeby porozmawiać z lekarzem Marion.

- Musimy zabrać cię do miasta, mamó - powiedziała potem łagodnie. - Tylko nie płacz. Nie możemy zostawić cię tutaj z takim bólem. Cole, podjedziesz pod ganek samochodem?

Zaraz będę. Idąc po samochód, poświęcił cenną minutę na znalezienie Turka, który stał w stodole oparty o ścianę i gapił się przed siebie nie widzącymi oczami. Cole potrząsnął nim, omal nie strącając mu kapelusza z głowy.

- Oprzytomniej! Potrzebuję ciebie! - powiedział krótko. - Matka chyba dostała zawału. Zabieramy ją do szpitala. Posiedź z Katy, póki nie wrócę.

Turek spojrział na niego tak, jakby go torturowano.

- Jej nie ma - szepnął ochryple. - To tylko martwe ciało, które oddycha. Moja wina. To wszystko moja wina. Mogłem ją zatrzymać jednym słowem... Ale byłem za bardzo samolubny, żeby je wypowiedzieć!

Cole potrząsnął nim drugi raz.

- Nie teraz - powiedział ostro. - Chodź. Wyciągnął Turka na dwór i pchnął w stronę domu.

Turek machinalnie ruszył we wskazanym kierunku, wciąż półprzytomny.

Cole i Lacy załadowali Marion do samochodu i pędem odjechali. Faye wyszła z domu sprawdzić, co się dzieje. Zobaczyła Turka.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała, marszcząc brwi na widok jego trupiego wyglądu.

- Nie, dziękuję. Pójdę posiedzieć z Katy. A ty... rób, co robisz, Faye.

- Dobrze. Odeszła, choć była pełna wątpliwości, czy dobrze robi, zostawiając go samego.

Katy leżała dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej ostatnio ją widział. Oczy miała otwarte, wzrok tępy, oddychała bardzo cicho.

Usiadł przy niej na łóżku i wielką sękatą dłonią dotknął jej wychudzonej twarzy. Zaczął ją czule głaskać.

- Co on ci zrobił? - spytał z rozpaczą. - Pozwoliłem ci odejść i popatrz teraz na siebie. Powinienem był cię zatrzymać, Katy. Powinienem był posłuchać serca, a nie głowy.

Chyba go nie słyszała. Nie drgnął ani jeden mięsień w jej ciele. Ale Turek nie mógł milczeć. Za długo już to robił. Pochylił się tuż nad nią, wsparty na łokciach, by mieć jej twarz dokładnie przed sobą, by wypełnić swym obrazem jej nie widzące oczy.

- Posłuchaj - szepnął. - Nie niszczy siebie. Marlone na to nie zasłużył. To był mały człowieczek, maniak. Oboje wiemy, że wzięłaś z nim ślub przeze mnie. Nigdy go nie kochałaś. Nie niszczy siebie z jego powodu.

Przez jej wychudzone ciało przebiegł dreszcz. Turek wstrzymał oddech. Słyszała go! Musiała go usłyszeć.

- Katy - powiedział cicho. Olbrzymim kciukiem powiódł po jej wyschniętych wargach. - Popatrz na mnie, kochanie.

To pieszczotliwe słowo dobyło się z niego całkiem naturalnie. Prawie nie zdawał sobie sprawy z tego, że je wymówił. Ale Katy poruszyła powiekami i drgnęła.

- Dobrze - szepnął. Spojrzał jej w oczy i zobaczył w nich pierwsze, słabe jeszcze oznaki świadomości.

Zamrugła. Musiały do niej wracać wspomnienia, bo jęknęła z przerażeniem:

- Nie! Położył jej dłoń na ustach.

- Jestem tutaj - powiedział. - Jestem przy tobie. Nikt i nic cię już nie skrzywdzi, póki żyję. Słyszysz mnie, malutka?

Przełknęła ślinę. Oczy miała teraz szeroko rozwarte, spłoszone.

- On... on tu był - wychrypiała. - Patrzył. - Zamknęła oczy. Po policzkach popłynęły jej łzy. - Danny... krew, mnóstwo krwi. - Zaczęła szlochać. - Nie dotykaj mnie. Jestem brudna! Brudna! Jestem dziwką. Tak powiedział Danny... jak mnie bił. Że mi się należy!

Turek trząsł się z bezsilnego gniewu. Objął ją z całej siły i w panicznym lęku omal jej nie udusił.

- Nie jesteś dziwką - powiedział stanowczo. - Nie jesteś brudna.

- Spałam... z Wardellem - wydusiła z siebie. Poczowała, jak ciało Turka nagle tężeje. - Danny mi kazał. Groził mi. Chciał mnie bić. Ale Blake mnie kochał. Tak bardzo. Upiłam się. Pragnął mnie. Ktoś mnie kochał... wreszcie. Mogłam zapomnieć. - Wstrząsnął nią dreszcz jak w gorączce. Turek trzymał ją przy sobie i szalał z zazdrości.

Wardell wziął mnie do łóżka. Zjawił się Danny. Cały czas patrzył! Blake go gonił. Padły strzały... - Zadrżała bezradnie. - Danny nie żyje. Krew, dużo krwi. Miał otwarte oczy, patrzył na mnie! - Zachłysnęła się powietrzem. - Chcę umrzeć! Pozwól mi umrzeć. Nie mogę z tym żyć! - Odepchnęła jego rękę.

Także to Turek znał z własnego doświadczenia. We Francji musiał powstrzymać Cole'a. Kiedy przyjaciel usłyszał, jak ciężkie są jego rany, chciał sobie strzelić w łeb. Turek wiedział więc, że Katy nie wolno teraz ani na chwilę spuszczać oka. Musiała najpierw pogodzić się z tym, co zaszło.

- Nie pozwolę, żebyś zrobiła sobie krzywdę - powiedział zdecydowanie. - Leż spokojnie.

- Cole na pewno wie... - wydusiła z siebie. - Musieli mu powiedzieć. Będzie się mnie wstydził. Wszyscy się dowiedzą. Skandal...

Turek odwrócił jej twarz ku sobie.

Przestań. Nikt cię nie rzuci wilkom na pożarcie. Przygryzła wargę i uciekła spojrzeniem. Wydawało mi się to głupie, wszystkie te zasady, pruderia, nakazy moralności. Ale teraz rozumiem, po co istnieją. Dzięki nim nie jesteśmy zwierzętami. - Cicho jęknęła. - Turku, to było takie potworne. Chcę tylko... spać. Była wyczerpana. Gdzieś w głębi prawdopodobnie zachowała świadomość wszystkiego, co się zdarzyło. Nie chciała wrócić do rzeczywistości, ale Turek to na niej wymógł. Przywołał ją znad grobu.

Nie powtórzysz matce tego, co ci powiedziałam, dobrze? - jęknęła błagalnie.

- Oczywiście, że nie. Zamrugła i zdezorientowana rozejrzała się dookoła.

- Gdzie mama?

- Pojechała do lekarza na badania - odparł Turek wymijająco.

- Dobrze się czuje?

- Jasne - skłamał bez zajknięcia. - Wczoraj wieczorem było wielkie przyjęcie na cześć Bena. Za bardzo się przy tym zmęczyła.

- I jeszcze ta historia ze mną - powiedziała załamana. - A ona umiera. Mam wrażenie, że tracę wszystko. Zresztą pewnie na to zasłużyłam.



- Nie mów w ten sposób - uciał. Zamknęła oczy, żeby odgrodzić się od jego zimnego spojrzenia.

- Z kim się żeni Ben? - spytała po chwili.

- Obecnie z nikim. Lacy sprawiła wielką łaźnię jego nadętej narzeczonej. Ben przysłał dziś rano liścik, że wyjeżdża na pewien czas do Francji. Jeszcze nie miałem okazji nikomu o tym powiedzieć.

- Biedny Ben.

- Biedna Marion - poprawił. - Narzeczonej Bena jest jadowita jak żmija. Wczoraj odsądziła tu od czci i wiary dosłownie wszystko i wszystkich. Meble i biedną Faye.

- Faye Cameron? - spytała szeptem.

- Faye... spodziewa się dziecka - powiedział w końcu. Katy szeroko otworzyła oczy.

- Czyje ono jest?

- Bena.

- Coraz gorzej - powiedziała z rozpaczą. - Biedna Faye. Ben pewnie uważa, że ona nie jest dla niego wystarczająco dobra. Głupi snob.

- Cole i Lacy ją wsparli. Poradzi sobie bez Bena - stwierdził Turek gniewnie. - Katy, czy... czy z tobą wszystko w porządku?

Spojrzała mu w oczy i niespokojnie drgnęła.

- Co masz na myśli? Wielka dłoń przysunęła się do jej płaskiego brzucha, oczy zadawały pytanie, które nie przechodziło Turkowi przez gardło. Katy odwróciła wzrok. Dłoń na brzuchu wydawała jej się coraz cieplejsza.

- Katy - powiedział cicho. - Chcę wiedzieć, czy nie spodziewasz się mojego dziecka?

Zamknęła oczy. Nie mogła mu powiedzieć. Nie mogła...

- Proszę cię... - szepnęła panicznie. Turek odwrócił jej twarz, zmusił ją, by znów na niego spojrzała.

- Katy... Pokonała lęk. Za długo gniotła wszystko w sobie.

- Danny zrzucił mnie ze schodów. - Odwróciła głowę. - Straciłam dziecko.

Turek wydał z siebie gardłowy ryk i zerwał się na równe nogi. Stał przy oknie, oparł się o parapet i zapatrzył w horyzont, zniekształcony przez nierówną szybę. Wszystko przez niego! Gdyby nie był głupcem, Katy nigdy nie musiałaby wyjeżdżać z Marlonem, który bił ją i sprawił, że straciła dziecko. Do diabła z tym łobuzem! Jeśli ktokolwiek zasługiwał na kulę...

- Trudno - powiedziała tępo. - Jedna komplikacja mniej. Zresztą to była moja wina. Łaziłam za tobą bez przerwy, a tamtego dnia dosłownie ci się podłożyłam.

- Co ty mówisz? - zaprotestował załamany głosem.

Odebrałem ci cnotę, cisnąłem cię w ramiona maniakalnego mordercy, wplątałem w zbrodnię... zrobiłem ci dziecko. To ma być twoja wina? - Odwrócił się. - Nie, Katy! Byłem ślepy, samolubny i za bardzo podszyty tchórzem, żeby powiedzieć Cole'owi, że nie ma prawa decydować o mnie i o tobie. Kazał mi trzymać się z dala, więc usłuchałem, z lojalności wobec przyjaciela. Ale Cole się pomylił. Strasznie się pomylił. Gdyby nie to, że lak długo w ogóle się do ciebie nie zbliżałem, nie straciłbym nad sobą panowania i nie zgwałciłbym cię w stodole.

- Wcale mnie nie zgwałciłeś! - Oblała się rumieńcem.

- Owszem, zgwałciłem. Byłaś całkiem zielona, a ja dobrze wiedziałem, co się może stać. Skompromitowałem cię.

Westchnęła cicho i odwróciła się na poduszkach.

- Do grzechu potrzeba dwojga, Jude - powiedziała, nieświadomie używając jego prawdziwego imienia. - Myślałam, że jak ci się oddam, to może zacznę coś dla ciebie znaczyć. Ale byłam w błędzie. Nie można nikogo zmusić do kochania.

- Katy... - Przysunął się bliżej do łóżka, szukając odpowiednich słów.

Podniosła oczy. Usiłowała wyczytać coś z jego twarzy.

- Kochasz mnie? - spytała z cichym, cynicznym śmieszkiem. - Nie rób mi tego. - Zamknęła oczy, nie chcąc oglądać jego miny; wydawał się wstrząśnięty. - Nie potrzebuję twojej litości, Turku. Nie musisz udawać, że teraz coś dla ciebie znaczę... przecież oboje wiemy, że przedtem tak nie było. I niech tak zostanie. Zresztą wydaje mi się, że już nigdy w życiu nie będę chciała, żeby mężczyzna mnie dotknął. Od samej myśli o tym robi mi się niedobrze.

Wcale nie przesadzała. Postąpiła wbrew wszystkim swoim zasadom i coś pękło w jej wnętrzu.

- Masz za sobą straszne przeżycia - odezwał się Turek po chwili. - Nie spodziewaj się, że je ogarniesz w jeden wieczór.

- No, chyba nie - przyznała. Zakryła dłonią oczy. - Biedna mama - szepnęła. Taki skandal. Ben, a teraz ja...

- Twoja matka jest wyrozumiała - odparł Turek. - Zresztą wie tylko, że Danny nie żyje. Nic więcej. Cole nikomu nie powiedział, co się stało, nawet mnie.

Otarła oczy i schowała twarz w poduszkę. Skandal wybuchnie mimo wszystko. Kiedy napiszą o niej w gazetach, ktoś w Teksasie na pewno przeczyta i wszyscy się dowiedzą!

- Katy, nie rób tego! - Serce mu się krajało, gdy na nią patrzył. A na myśl o straconym dziecku był bliski obłędu.

- Zmarnowałam sobie życie! - szepnęła. - I splamiłam honor rodziny. Wszystko zniszczyłam.

- Przede wszystkim mnóstwo się nacierpiałś - powiedział.

- Czyżby? - spytała zimno. - Żyłam z człowiekiem, który złamał wszystkie możliwe prawa. Popełniłam cudzołóstwo, chlałam jak świnia. Żyłam wśród gangsterów, znam nawet ludzi, którzy popełnili zbrodnię. Nie jestem osobą godną szacunku.

Pochylił się nad nią i pogładził jej potargane włosy.

- Jesteś po prostu małą Katy. Spojrzała mu w oczy. - Jestem niczym. Nie chcę twojego współczucia. Nie od ciebie niczego. Przestał ją gładzić po głowie, ale nie cofnął ręki.

- To się zmieni - powiedział.

- Nie - sprzeciwiła się stanowczo. - Byłam zła i jestem zła. Teraz za to zapłacę.

- Jesteś w szoku. To minie. Musi tylko upłynąć trochę czasu. Może dać ci coś do zjedzenia?

Chybabym zwymiotowała - odparła i znów zamknęła oczy. - Chcę tylko spać. Zostaw mnie w spokoju.

Ale musisz przysiąc na Biblię, że nie zrobisz nic głupiego.

Otworzyła szeroko oczy.

Na przykład skakania przez okno?

Na przykład - potwierdził. - Albo innego sposobu samozniszczenia. - Zmrużył powieki i obrzucił ją srogim spojrzeniem. - Weź pod uwagę, że twoja matka jest u kresu wytrzymałości.

Wiem. I nie będę jej jeszcze dodawać zgryzot - odparła znużonym tonem.

Grzeczna dziewczynka. - Podeszedł do drzwi. - Będę w pobliżu. Wołaj, gdybyś czegoś potrzebowała.

- Nie musisz zająć się pracą? Przecież Cole'a nie ma.

- Kazał mi się tobą opiekować.

- Rozumiem.

- Nie rozumiesz - syknął przez zęby, rozzłoszczony niewiarą w szczerłość jego uczuć. - Będę obok. Spróbuj zasnąć.

- Mhm. - Splotła dłonie na brzuchu i przymknęła powieki, żeby nie widział wzbierających łez. Co za ironia losu! Ją kochał Wardell, ona kochała Turka, a Turek... pewnie swoją zmarłą żonę. W każdym razie nie chciała jego współczucia ani udawanej troski. Chciała tylko spać.

Turek siedział bez ruchu w salonie aż do przyjazdu Lacy i Cole'a. Wrócili sami. Byli mocno przybici.

- Matkę zatrzymano w szpitalu - powiedział Cole. - Dzięki Bogu, stan nie jest bardzo zły. Powinienem ją przywieźć do domu pod koniec tygodnia. Przynajmniej będziemy razem na Boże Narodzenie. - Nie dodał tego, co wszyscy wiedzieli. Że przez rodzinne kłopoty Święto

Dziękczynienia minęło w tym roku bez zwykłej uroczystej oprawy. Rodzina była w rozsypce.

- To dobrze.

Turek wyglądał dziwnie. Był blady i jakby czymś poruszony.

- Nic ci nie jest? - spytał z niepokojem Cole.

- Katy wróciła do rzeczywistości - odparł tępo.

- Jest przytomna?! - wybuchnął Cole, a oczy Lacy zwilgotniały. - Dzięki Bogu!

- Dzięki Bogu - zawtórowała Lacy, padając mu w ramiona. - Chodźmy z nią porozmawiać.

- Śpi - powstrzymał ich Turek. - Dajcie jej czas na odpoczynek. Musi jeszcze wyjść z depresji.

- Lekarze twierdzą, że ona już nigdy nie będzie sobą - powiedział Cole. - Modłę się, żeby byli w błędzie.

- Wszyscy się modlimy - poprawiła go Lacy. - Cuda naprawdę się zdarzają. Czy Faye już wie?

- Nie. Jest na dworze - powiedział Turek. - Mogłabyś jej powiedzieć...

- No pewnie, że mogłabym! - Lacy wspięła się na palce i ucałowała Cole'a w policzek, po czym radośnie wypadła na dwór. Cole wiedział jednak, że coś nadal jest nie w porządku.

- Dobra, poszła - stwierdził. - Teraz możesz dokończyć.

Turek odwrócił oczy.

- Była w ciąży - powiedział głosem wypranym z emocji.

- Cholera - zaklął Cole. - Zostanie jej wspomnienie po tym drańskim bubku, który się szprycował!

- Narkotyki? - spytał Turek.

- Danny był uzależniony. A na dodatek zboczony - powiedział Cole. - Co Katy czuje w związku z dzieckiem?

- Straciła je. Ten drań ją pobił. Upadła. Cole poczerwieniał i puścił wiązanekę.

- Ale to jeszcze nie koniec - ciągnął Turek. Podniósł głowę. Czuł do siebie nienawiść. Miał nadzieję, że Cole solidnie mu przyłoży. - Dziecko było moje.

Cole jednak nawet się nie zamachnął, tylko popatrzył mu w oczy.

Czy ona dlatego wyjechała?

Nie. - Turek przesunął dłonią po brodzie. - Wyjechała, bo się we mnie kochała. No, i nie wytrzymałem. Od dawna jej pragnąłem, a ona... - Urwał. Nie mógł się zdobyć na to, żeby obciążyć ją jakąkolwiek winą. - Krótko mówiąc, straciłem głowę. Powinienem był opanować się w porę, ale kiedy odzyskałem rozum, było już za późno. Myślałem, że mnie znienawidziła, i dlatego nie próbowałem jej powstrzymać przed wyjazdem z Marlonem.

Przez pełną napięcia chwilę Cole wpatrywał się w Turka. Przyjaciel zawiódł jego zaufanie, ale widać było, że nie zrobił tego celowo. Niewątpliwie kierował się wobec Katy bardzo silnym uczuciem, jakiegokolwiek ono było.

Nie chcesz spróbować na mnie swych pięści? - spytał Turek. - Miałbyś święte prawo.

Od jej wyjazdu zmieniłeś się nie do poznania - odparł Cole, kręcąc głową. - Zresztą część winy muszę wziąć na siebie. - Zaśmiał się ironicznie. - To śmieszne, nie? Staralem się ją oszczędzić, a przysporzyłem jej przez to cierpień.

- Zrobiłeś to, co uważałeś dla niej za najlepsze - powiedział cicho Turek. - Nie mogłem mieć do ciebie pretensji. Prawdopodobnie postąpiłeś słusznie. Ale teraz wszystko wygląda inaczej, nie wyłączając moich uczuć wobec Katy.

- Możesz jej to powiedzieć.

- Próbowałem, ale ona myśli, że to z litości. Nie wierzy mi.

Zanim Cole zdążył zareagować, usłyszeli na progu Lacy.

- Powiedziała Faye. Ona teraz już wyzdrowieje, prawda? - spytała z troską.

- Oczywiście - zapewnił Turek. - Jeszcze nie doszła do równowagi i stawia sobie masę niemądrych zarzutów, ale z czasem powinno jej to minąć. - Skrzywił się. - Boże wszechmogący, mam nadzieję, że Katy nie musi wracać do Chicago, żeby zeznawać.

- Nie - odparł Cole krótko. - W razie czego ją ukryję. I tak gazety będą miały żer. Założę się, że Bradleyowie przyślą nam tu Bena, gdy tylko wyniuchają, że coś się święci.

- Ben wyjechał do Paryża - powiedział Turek. - Nie miałem dotąd okazji wam powiedzieć. Przysłał wiadomość przez sąsiada: „Przepraszam za kłopot. Wyjeżdżam do Paryża. „ Tylko tyle.

- No i dobrze - skomentował Cole. - Zapowiedziałem mu przecież, żeby tu nie wracał. Nie będzie wiedział o Katy, chyba że sam przeczyta w gazecie.

- Publiczne pranie tych brudów byłoby zabójcze dla jej uczuć.

- Dla zdrowia matki też - przyznał Cole. Zdjął kapelusz i usiadł na sofie. - Co za bałagan.

- Owszem, niegorszy. Lacy zdjęła płaszcz.

- Zrobię kawy i przygotuję jakiś lunch. Katy pewnie pośni do jutra.

- Pójdę spytać Faye, czy jest głodna - ofiarował się Turek.

Zjedli w grobowym milczeniu. Zanim mężczyźni wyszli do pracy, Turek ostrzegł, żeby nie zostawiać Katy samej nawet na minutę. Odebrał od kobiet solenną obietnicę, że tego nie zrobią. Faye i Lacy czuwały więc przy chorej na zmianę, ale gdy Cole wrócił do domu po zmierzchu, Katy jeszcze się nie zbudziła.

Myjąc się po pracy, Cole usłyszał dzwonek telefonu. Po chwili Lacy przysłała poprosić go do aparatu.

- Whitehall - przedstawił się Cole. Miał nadzieję, że nie będzie musiał podzielić się z porucznikiem najświeższą nowiną. Nie mógł dopuścić, żeby Katy musiała znów pojechać do Chicago.

- Pan mnie nie zna - odezwał się dźwięczny, trochę szorstki głos. - Chcę tylko dowiedzieć się o Katy.

Cole natychmiast zorientował się, kto dzwoni. Musiał przyznać, że facet ma odwagę. Przypomniawszy sobie jego zasługi, jakoś pohamował gniew.

- Powiedziała dzisiaj kilka słów do zarządcy rancza. Teraz śpi.

- Chwała Bogu. Sen jest jej teraz najbardziej potrzebny. Co za cholerny bajzel...

- To jest linia towarzyska - ostrzegł Cole. - Proszę poczekać. - Zaczął nasłuchiwać, czy ktoś nie włączył się do rozmowy. Na szczęście nie zdarzało się to często i było wyraźnie słyszalne. Połączenie z Chicago wydawało się całkiem bezpieczne. - Dobrze, niech pan mówi.

- Nie zajmę dużo czasu. Proszę posłuchać. Wszystkim się zająłem. Nikt się niczego o tej sprawie nie dowie. Do prasy nie przeciekło ani jedno słowo.

- Jak, u diabła... ? - spytał z naciskiem Cole.

- Ludzie mnie lubią. Milczą, a ja odwzajemniam ich sympatię - padła sucha odpowiedź. - Niech pan nie pyta. Proszę powiedzieć Katy w moim imieniu, że sprawa jest zamknięta. Mój adwokat twierdzi, że wyciągnie mnie z tego bez najmniejszego kłopotu. Nawet pański przyjaciel Higgins nie sądzi, żebym musiał uciekać się do przekupywania ławy przysięgłych. Niech więc Katy się nie martwi. Jest bezpieczna. Dokładnie się upewniłem. Nie pozwolę wymienić jej nazwiska w żadnym szmatławym piśmie.

Cole wahał się. Facet sprawiał wrażenie bardzo opiekuńczego.

- Ona nie może zeznawać - powiedział.

- Daj spokój, człowieku, prędzej poszedłbym na krzesło elektryczne, niż się na to zgodził - powiedział ochryple. - Za kogo pan mnie ma?

Opinia Cole'a o gangsterze uległa radykalnej zmianie. Wardell nie mógł być zły, skoro tak bardzo się przejmował.

- Dziękuję - powiedział w końcu Cole.

- Policja wspominała coś o zakładzie opiekuńczym... - zająknął się Wardell.

- Nie ma mowy - zapewnił go Cole. - Ona wyzdrowieje. Dobrze się nią zaopiekujemy.

- Pan i ten przystojny blondyn, prawda? - Roześmiał się niewesoło. - Wiem o nim. Katy wypłakała się przede mną, kiedy straciła dziecko. Słyszał pan o tym?

- Słyszałem - odparł zakłopotany.

- Ona kocha tego gościa tak samo jak ja ją. Może on tymczasem nabrał więcej rozumu.

Jeśli nie, to niech pan mu naleje oleju do głowy. Bo jeśli ją skrzywdzi, będzie miał ze mną do czynienia!

- To nie tak - odparł Cole, prawie rozbawiony tym, że gangster tak się przejmuje szczęściem jego siostry. - On nie chciałby jej skrzywdzić. Nie wiedział o tym dziecku. Jest teraz ciężko załamany.

- Powinien był lepiej się do niej odnosić. Niech pan słucha, muszę iść. Gdyby czegoś pan potrzebował: pieniędzy, pielęgniarek, czegokolwiek, niech pan da mi znać. Higgins ma do mnie kontakt.

Cole zjeżył się.

- Nie potrzebujemy żadnej pomocy.

- Do diabła z pańską dumą! Wiem, że nie chciałby pan nawet zamienić ze mną słowa na ulicy, ale tu chodzi o Katy! Czuję się odpowiedzialny za to, co się stało. Proszę jej powiedzieć, że mi przykro, i żeby dała znać, gdyby potrzebowała pomocy. Nie będzie żadnych ukrytych warunków. Dotarło?

- Przekażę jej tę wiadomość - odparł Cole drętwo.

- Nie musi mi pan wyświadczać żadnych przysług. Sarkazm był bardzo wyraźny. Cole trochę się uspokoił.

- Niech pan posłucha. Właśnie odwiozłem do szpitala matkę bliską zawału - powiedział zniecierpliwiony. - Mój brat zabrał się do Paryża, zostawiając na miejscu dziewczynę przy nadziei. Katy jest na wpół oderwana od tego świata, a przystojny blondyn ma ciężkie wyrzuty sumienia i chce mnie przekupić połową butelki nielegalnej rosyjskiej wódki, żebym oddał mu pistolet, by mógł z niego skorzystać, gdy się odwróce. Nie mógłbym panu wyświadczyć żadnej przysługi, nawet gdybym chciał.

Nastąpiła pauza.

- Myślał pan kiedyś o napisaniu powieści, takiej do czytania w pociągu?

Cole roześmiał się wbrew sobie.

- Idź pan obrabować bank. Ja mam już dość bez szlachetnego gangstera.

- Nie jestem taki zły - powiedział Wardell. - Nigdy nic nie ukradłem uczciwemu człowiekowi, a poza tym zwykle nie zabijam ludzi. Niech pan też powie Katy, że nic jej nie grozi ze strony kumpli Danny'ego. Ten drobiazg załatwiłem.

- A co z matką Danny'ego?

- Wraca do Włoch. Widzi pan? Wszystko się dobrze układa.

- Dokładny z pana człowiek - przyznał Cole.

- To się opląca w mojej profesji. Czy ona naprawdę zdrowieje? Wiem, że Danny traktował

ją bardzo brutalnie. Próbowałem ją od niego odciągnąć, ale za bardzo się bała. Nie mam wyrzutów sumienia z powodu tego, co zrobiłem. Inaczej Danny zabiłby ją któregoś wieczoru, naszprycowany bardziej niż zwykle.

- Nie wiedziałem o tym - mruknął Cole ponuro.

- Katy powiedziała, że gdyby zdradziła się w domu, pan pogoniłby za nim z pistoletem - odparł. - I że Danny wyczułby chwilę, kiedy pan jest odwrócony tyłem, a wtedy jego ludzie nafaszerowaliby pana ołowiem. - Zawahał się. - Rozumiem, że ten przystojny blondyn zachowałby się tak samo.

- Niewątpliwie - potwierdził Cole. - W zasadzie nie jest aż tak głupi. To ja zamałem sprawę, bo kazałem mu trzymać się z dala od mojej siostry.

- No, mieszanie się do życia innych ludzi jest głupie.

- Już pan coś wie na ten temat - stwierdził Cole. W słuchawce rozległ się śmiech.

- Słusznie. Szkoda, że Katy nie odwzajemnia mojej miłości. Byłbym świetnym szwagrem.

- Spędziłbym resztę życia na składaniu za pana kaucji, więc może lepiej jest tak, jak jest. - Cole ciężko westchnął. - Niech się pan nie martwi o Katy. I dziękuję, że postarał się pan wyłączyć ją z tej sprawy. - Zamilkł na chwilę. - Czy pański adwokat nie myli się co do oceny pana sytuacji?

- To jest Chicago - powiedział Wardell lekceważąco. - Gdybym nawet nie miał wystarczających wpływów, to wielu moich przyjaciół je ma. Marlone'a nikt nie lubił.

- Katy wyzdrowieje - zapewnił go Cole. - W razie niekorzystnych układów mogłaby nawet złożyć zeznanie na temat zdarzeń tamtego wieczoru.

Zapadła chwila milczenia.

- Niech pan pamięta, że to ja ją wpakowałem w ten bajzel.

- I pan próbował ją wyciągnąć z łap Marlone'a - przypomniał niezmiśnany Cole. - Chcę wiedzieć, jak skończyło się przesłuchanie u koronera.

Znów zapadło milczenie, tym razem dłuższe.

- W porządku. Wardell się rozłączył i Cole odłożył słuchawkę.

- Kto to był? - spytała Lacy. Była bardzo zaciekawiona.

- Wardell.

- Ten gangster?

- Nie taki zły z niego facet. Zatrószył się, żeby nazwisko Katy nie trafiło do gazet.

- Dzięki Bogu - odetchnęła. - Dzięki Bogu! Ale co z nim?

- Gdybym lubił się zakładać - powiedział, przysuwając się do żony - postawiłbym na Wardella ranczo i wszystko, co mam. - Zachichotał. - Uroczo pachniesz. Pocałuj mnie.

- No wiesz, Cole! - zaprotestowała zgorzozona jego zachowaniem w tak dostępnym miejscu



jak salon. Ale Cole już musnął jej wargi, a potem zaatakował ostrzej i Lacy natychmiast się poddała. Całowali się namiętnie, gdy nagle trzasnęły frontowe drzwi. Turek głośno odchrząknął.

Cole puścił Lacy. Pędem uciekła do kuchni. Cole wyszczerzył zęby do Turka.

- Zatelegrafuj do Rudolfa Valentino, żeby nie rznął amanta - powiedział Turek. Trochę chwiał się na nogach.

Cole zmiażdżył go spojrzeniem.

- Skończ z tą wódką.

- Z jaką wódką?

- I nie zgrywaj wariata. - Podszedł do niego. - Możesz przestać się martwić o Katy. Nie będzie musiała zeznawać. Jej nazwisko w ogóle nie zostanie wymienione z związku z tą sprawą. Przyjaciel gangster się o to postarał. Powiedział, że prędeziej poszedłby na krzesło elektryczne, niż prosił ją o złożenie zeznań na jego korzyść.

Turek spochmurniał.

- Niech on lepiej siedzi w Chicago, jeśli wie, co dla niego dobre.

- Wydajesz się podejrzanie zaborczy jak na zatwardziałego kawalera.

Turek znowu odchylił się od pionu. Wyraźnie czuł skutki alkoholu.

- Katy nie jest dla niego. Powiedz mu, że ja tak powiedziałem.

- Lepiej usiądź, zanim rąbniesz jak długi. Nie pozwolił się usadzić na krześle.

- Nie rąbnę. Muszę zobaczyć Katy. Po zaciętym wyrazie twarzy Turka Cole poznał, że nawet końmi nie wyciągnąłby go z domu. O wiele prościej było mu ustąpić.

- W porządku - zgodził się. - Ale tylko na chwilę. Jest późno i wszystkim należy się porcja zdrowego snu. Lacy i Faye właśnie nakrywają stół do późnej kolacji. Dopilnuję, żeby była czarna kawa - dodał znacząco, nim zostawił Turka u drzwi Katy.

Turek zapukał do drzwi Katy i wszedł, nie czekając na odpowiedź. Przy łóżku paliła się łagodnym światłem lampa w koronkowym abażurze. Katy leżała pod grubą kołdrą w żółtej flanelowej piżamie, zdobionej koronkami. Jej długie włosy, najwyraźniej umyte, układały się promieniście na poduszce. Wciąż była blada, ale od poprzednich odwiedzin Turka tego samego dnia wyraźnie się ożywiła.

- Jak leci? - spytał, lekko się zacinając.

- W porządku. - Katy, która widziała niejednego pijanego mężczyznę, westchnęła. Popatrzyła na atletyczną sylwetkę swojego kowboja, bez grama niepotrzebnego tłuszczu. Wciąż budził w niej zachwyt, nawet po tym wszystkim, co przeszła. Tym razem jednak Turek był znacznie bardziej niechlujny niż zwykle. Górne guziki koszuli miał rozpięte, oczy przekrwione, a gęste blond włosy opadały mu na czoło. - Och, Turku! Piłeś, prawda? - spytała cicho.

Wzruszył ramionami.

- Mało człowiek ma powodów?

- To ci nie pomoże.

- Twoim zdaniem. - Przysunął się bliżej, ale zamiast na krzesło, usiadł na krawędzi łóżka. Biodrem dotknął jej uda.

- Nie rób tego! - szepnęła, wpatrując się w zamknięte drzwi.

- Czemu? Czy to zbyt intymne? - spytał z kąpiącym uśmiechem. - Byłaś ze mną w ciąży. Cole o tym wie.

Nie przeżyje szoku, kiedy zobaczy, że siedzę na twoim łóżku.

- Powiedziałaś Cole'owi? - Zamknęła oczy. Dusił ją wstyd.

- Powiedziałem mu wszystko - odparł ponuro. Położył wielką dłoń w miejscu, gdzie pod kołdrą znajdował się brzuch Katy.

- Moje dziecko - szepnął ochryple. - Drugi raz, Katy. Drugi raz! - Głos mu się załamał.

- Przykro mi, Turku - powiedziała łagodnie.

- To ty potrzebujesz pocieszenia, nie ja - odparł szorstko. - Ja nie potrzebuję litości.

- Owszem, potrzebujesz. - Wyciągnęła do niego ramiona.

Przedtem postanowił nie okazywać przy niej słabości, ale czuł, że gdyby pozwolił się objąć tylko przez parę sekund... Przeciągle wzdychając, skłonił głowę na piersi Katy, a ona głaskała go po gęstwinie blond włosów i tuliła do siebie. Turek czuł wilgoć w oczach, ale nie dopuszczał myśli o łzach. Opuścił powieki i chłód tej wilgoci rozszedł mu się na policzki.

Katy to zauważyła i przytuliła go jeszcze mocniej. Wszystko, czego pragnęła w życiu,

trzymała teraz w ramionach, ale świadomość, że Turek tylko koi smutek i wyrzuty sumienia, nie była dla niej przyjemna. Odtrącił ją. Odepchnął.

- Chciałam urodzić to dziecko - szepnęła mimo woli.

- Bardzo chciałam! Kiedy je straciłam, myślałam, że tego nie przeżyję! Znienawidziłam Danny'ego!

Przyciągnął ją do siebie i położył się obok, wreszcie uspokojony, wreszcie na swoim miejscu. Po dłuższym czasie oddech mu się wyrównał, a lzy wyschły i w jego, i w jej oczach. Katy opanowała lęk i natychmiast się usztywniła. Turek wstał.

- Twój przyjaciel Wardell zatkał gębę dziennikarzom - odezwał się cicho, obserwując wyraz zaskoczenia na jej twarzy. - Powiedział Cole'owi, że prędzej poszedłby na krzesło elektryczne, niż wciągnął cię do udziału w procesie.

- Dzięki Bogu. Przynajmniej matka nie naje się wstydu z mojego powodu. - Zobaczyła gniew w oczach Turka i skrzywiła się. - On usiłował mnie chronić. On mnie kocha - wytłumaczyła. Nie dodała jednak, że to ją rani. Wzięła od Wardella bardzo wiele, a dała mu tak mało.

- Spałaś z nim - burknął. - Mogłaś zajść w ciążę.

- Tylko raz - odparła i śmiało na niego spojrzała. - Zresztą on jest bezpłodny. Po poronieniu nie mogłam przestać płakać. Powiedział mi wtedy, że rozumie, jak to jest, kiedy nie można mieć dziecka.

- A twój mąż? Trudno było o tym mówić, ale Turek nie był całkiem trzeźwy i widziała, że nie da jej spokoju. Wbiła wzrok w swe blade dłonie, leżące na barwnej kołdrze. Kiedyś Marion Whitehall uszyła tę kołdrę specjalnie dla niej ze ścinków starych sukienek. Przypominała sobie wszystkie co do jednej.

- Danny... też nie mógł, Turku - powiedziała w końcu.

- Udało mu się parę razy, tuż po ślubie. Potem zaczął się narkotyzować i koniec. Pewnie dlatego zaczął mnie bić. - Zadrżała na wspomnienie dawnego strachu.

Turek wziął ją za rękę.

- Nie miałem prawa o to pytać - zaczął niepewnie. - Sam znałem wiele kobiet. - Spojrzał na nią uroczyście i dodał cicho: - Ale odkąd byłem z tobą, Katy, nie miałem żadnej innej.

Nie wiedziała, jak zareagować. Prawdopodobnie wyrzuty sumienia zrobiły z niego takiego purytanina.

- Nie musisz posuwać się aż tak daleko - powiedziała.

- Nikt nie ma do ciebie pretensji o to, co się stało. To ja zawiniłam...

- Nie! - zaprotestował, marszcząc czoło. - Nie powiedziałem tego z poczucia winy. -

Położył sobie jej dłoń na klatce piersiowej. - Nie rozumiesz, Katy? Nie chcę nikogo innego!

Zarumieniła się i spuściła oczy.

- Można to było lepiej wyrazić - stwierdził z ciężkim westchnieniem. - Jestem włany, kochanie.

- Zauważyłam.

Skubnął koniuszki jej palców.

- To wszystko wydaje ci się teraz brudne i obrzydliwe dlatego, że masz za sobą straszne przeżycia. Ale poradysz sobie z tym. Potrzebujesz czasu.

- Jasne, że sobie poradzę. - Wyrwała palce uciekając przed tą niepokojącą pieśczęcią. - Chyba wstąpię do klasztoru.

- Nie mogę ci na to pozwolić. W habicie wyglądałbym idiotycznie.

Pytająco uniosła brwi.

- Pójdę tam, gdzie ty - wyjaśnił z determinacją. - Raz już puściłem cię samą. Nigdy więcej.

Przygryzła wargę.

- Nie mogę z tobą spać - szepnęła. - Wiem, w co zamienił mnie Danny, ale...

Gwałtownie nabrał powietrza.

- Myślisz, że z jego powodu widzę w tobie tylko narzędzie zaspokojenia żądzy, tak? - spytał szorstko. - Boże, Katy, czy naprawdę uważasz mnie za kogoś tak podłego?

- Jesteś po prostu normalnym mężczyzną - powiedziała wymijająco. - Ale ja już nie jestem normalną kobietą. To, co stało się w Chicago... zmieniło mnie. - Zadrżała.

Turek odwrócił jej głowę, przyciągnął jej spojrzenie.

- Chciałaś urodzić nasze dziecko.

- Tak - powiedziała zakłopotana.

- Ja też chciałbym, żebyś je była urodziła. - Musnął palcami jej wargi.

- Wiem.

- Mam trzydzieści lat - ciągnął z wahaniem. - Jestem starszy od Cole'a. - Odsunął jej z policzka parę kosmyków. Dziwnie brakowało mu pewności siebie. - Chciałbym mieć z tobą dziecko. - Spojrzał jej w oczy. - A ty ze mną nie?

Zdrętwiała. Rozumiała, co jej proponuje, ale nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa.

- Jestem płodny - dodał cicho. - Na pewno, skoro poprzednio od razu zaszłaś. Myślę, że dziecko dobrze zrobiłoby nam obojgu, Katy. Pomogłoby nam zabiłnić rany.

- Dość już zhańbiłam rodzinę - zaczęła wolno. Podniósł wzrok.

- Naturalnie najpierw wzięlibyśmy ślub - wyjaśnił.

- Nie prosiłbym cię o dziecko z nieprawego łoża. Twarz jej zbielała. Podkrążone oczy

zaśniły.

- Nie mogę!

- Czemu nie? Odsunęła głowę na bok, żeby na niego nie patrzeć.

- Nie chcę seksu.

- O Boże - jęknął, zamykając oczy.

- Przepraszam. - Znów poczuła wzbierające łzy. - Przepraszam! Przepraszam! Nie mogę tego znieść!

Nie wiedział, jak jej pomóc. Ostatnią nadzieję pokładał w miłości. Jeśli będzie cierpliwy, delikatny i miły, to może któregoś dnia uda mu się zdobyć Katy znowu.

- Jesteś w domu dopiero dwa dni - powiedział cicho.

- Jeszcze nie odzyskałaś sił, nie myślisz o przyszłości. W tej chwili o nic cię nie proszę. Chcę tylko, żebyś знаła moje zamiary. Jestem pewien, że Cole również je zna - dodał pośpiesznie. - Może się wściekać ile wlezie. Tym razem nie pozwolę się od ciebie odsunąć, nawet jeśli zrobi ze mnie marmoladę. Przysięgam.

Powoli odwróciła się w jego stronę, wciąż niepewna i załęczniona.

- Kochałaś się we mnie tak długo, że stało się to dla ciebie sposobem na życie - ciągnął Turek bez śladu zarozumialstwa. - Pogrzebałaś to uczucie, bo powiedziałem, że go nie chcę. Ale ja znajdę je w tobie i wydobędę na wierzch. Bo teraz chcę, całym sercem.

- Jestem martwa... tam, w środku już nie żyję - szepnęła, kładąc rękę na sercu.

- Nieprawda. Jesteś tylko otępiała od cierpienia. - Pogłaskał ją po dłoni i przesunął rękę, żeby wyczuć bicie serca. Kciukiem wolno obwiodł sutek, który natychmiast stwardniał. Wtedy zamknął w dłoni całą pierś. Spojrzał w oczy Katy. Była wstrząśnięta. - Twój umysł tego nie chce. Ale ciało się z nim nie zgadza. W końcu wyzdrowiejesz, malutka. Mogę poczekać; nawet do końca życia.

Dotknął jej policzka i cmoknął ją w czoło.

- Wszystko jest w porządku. Twoja przeszłość wcale mnie nie zniechęca. Zresztą nigdy nie opowiadałem ci o mojej.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Nie wiesz, dlaczego jesteśmy z Cole'em przyjaciółmi - zaczął, odpowiadając na nie postawione pytanie. - Któregoś dnia ci powiem, jak wiele mu zawdzięczam. - Wstał i przeciągnął się leniwie. - Ech, Cole chyba ma rację. Lepiej dam mu resztę tej wódki.

- Dlaczego piłeś? Wzruszył ramionami.

- Fatalnie się czuję myśląc o tym dziecku - powiedział zwyczajnie, przestając ukrywać uczucia. - Zrobiłem wiele złego, Katy, prawda?

- To ja zrobiłam wiele złego - odparła. - Muszę ponieść karę za to, co zrobiłam. Nie możesz jej ze mną dzielić, Turku. - Wolno nabrała powietrza. - Złamałam wszystkie zasady. Należy mi się za to kara.

- Nie sądzę. Wardell też nie - dodał zimno.

- On mnie kochał - powiedziała smutno. - A ja czułam się wobec niego bardzo winna.

- Powiedziałaś, że piłaś tamtego wieczoru... - zaczął. Chciał od niej usłyszeć, że to przez alkohol znalazła się w ramionach Wardella. Zżerała go zazdrość.

- Tak - powiedziała czerwona jak piwonia. - I bardzo bałam się Danny'ego. Wardell był między młotem a kowadłem. Nie chciał ruszyć Danny'ego, ale bał się o mnie.

- Powinienem był się z tobą ożenić. Wtedy nic złego by się nie stało. Wystarczyłoby, żebym powiedział: „Zostań!”

- Nie musiałam brać ślubu z Danny'm - upierała się. Oczy jej zalśniły. - Mam to, na co zasłużyłam. Za łamanie zasad trzeba płacić.

- Oj, wysoka ta cena! - powiedział. Podszedł do drzwi. Czy kochasz Wardella? - spytał, nie odwracając głowy.

Nie mogła odpowiedzieć, bo musiałaby jednocześnie wyznać, co czuje do niego. Milczała.

Turek zamknął za sobą drzwi, a Katy zagapiła się w sufit. Przez chwilę jeszcze popłakiwała, ale wreszcie zmorzył ją sen.

Po kolacji Cole z Turkiem wyszli do bydła. Lacy zmywała naczynia, nie przestając rozmyślać o ostatnich wydarzeniach. Pomagała jej Faye. Dziewczyna była blada i małomówna.

- Nic ci nie jest? - spytała Lacy.

- Coś ty. - Faye uśmiechnęła się bez przekonania. - Skończyłam pranie. Dobrze, że nie padało.

- Mhm. - Lacy odwiesiła fartuch. - Miałaś wiadomości od ojca?

- Wpadł na chwilę zobaczyć, jak się czuję. Nie ma nic przeciwko dziecku. - Uśmiechnęła się szeroko. - Mogę sobie być upadłą dziewczyną, ale ja też nie mam nic przeciwko temu.

- Kiedyś ludzie będą ostrożniej wydawać sądy i mieć więcej wyrozumiałości - stwierdziła Lacy. - Jeśli doczekamy się społeczeństwa bez hipokrytów. A tymczasem możesz zamieszkać u nas.

- Tylko na dzisiejszą noc - odparła stanowczo Faye. - Wiesz, Lacy, chcę jechać do San Antonio. Mogę znaleźć sobie pracę. Powiem, że żyję z mężem w separacji albo coś w tym rodzaju.

- Czy jesteś pewna, że tego chcesz?

- Całkiem pewna. Nie mogę dalej zajmować się tatą i uganiać się za Benem. Chcę coś zrobić ze swoim życiem.

- Wobec tego pomogę ci - obiecała Lacy. - Mam kuzynów w San Antonio. Jeden z nich prowadzi sklep. Spytam, czy nie mogłabyś u niego sprzedawać.

Faye rozpromieniła się.

- Mówisz poważnie?

- Najpoważniej. Zajmiemy się tym pod koniec tygodnia. Bo tymczasem - powiedziała ciszej - mamy dość innych kłopotów.

- Wiem, o czym myślisz. Biedna pani Whitehall.

I biedna Katy. Musi się bardzo martwić, że zabili jej męża.

- Pewnie - skłamała Lacy. Później, gdy drzwi wejściowe były już zamknięte, a wszyscy domownicy położyli się spać, Lacy usiadła w milczeniu przed kominkiem u siebie w sypialni i pograżyła się w ponurej zadumie. Wyrwało ją z tego stanu ciche pukanie do drzwi. Uśmiechnęła się na widok męża.

- Przepraszam. Nie mogłeś zasnąć przez moje łażenie? - spytała.

Przecząco pokręcił głową. Miał na sobie ciemną piżamę i gruby szlafrok, włosy wciąż jeszcze lśniły mu wilgocią po kąpieli.

- Bardzo mało mówiłaś w czasie kolacji. Co się stało?

- Chyba potrzebuję miłości - powiedziała, wyciągając ku niemu ramiona.

Z uśmiechem wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

- Chętnie spełnię tę potrzebę - szepnął czule tuż przy jej wargach. Wsunął ją pod kołdrę, zdjął szlafrok i położył się obok na chłodnym prześcieradle. - Boże, ależ tu zimno! - zauważył.

Przytuliła się do niego.

- Dopiero kilka minut temu napaliłam w kominku. Proszę się nie martwić, panie Whitehall. Będę pana ogrzewać, dopóki polana nie zacznie dawać żaru.

- Ach, więc po to są żony - zażartował. Przywarła do niego i uśmiechnęła się, czując dotyk jego warg. Cole pachniał po kąpieli. W odróżnieniu od wielu innych mężczyzn, bardzo dbał o czystość. Po pracy nawet czyścił paznokcie.

Wsunął nogę między jej uda i przewrócił ją na plecy.

- Zamarzniesz, jeśli zdejmiesz koszulę - szepnął.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Czyżby? - spytał z uśmiechem. Obnażył ją i powoli zaczął całować.

- Och, Cole - jęknęła. Wyprężyła ciało, żeby jeszcze bardziej zbliżyć piersi do jego ust.

- Jesteś bardzo, bardzo miękka - szepnął namiętnie.

- Zupełnie jakbym ustami dotykał jedwabiu. Dobrze ci, Lacy?

- Tak!

- A teraz? - Skubnął delikatnie stwardniały sutek. Odpowiedziała wpijając mu palce w plecy.

Odnalazł jej usta, a jednocześnie rozpiął górę pizamy i zsunął spodnie, znosząc ostatnią barierę między ich ciałami. Nie rozebrał się jednak całkiem.

- Proszę - szepnęła, zatrzymując dłonie na jego klatce piersiowej. Bardzo pragnęła mocno go objąć, tak żeby nic ich nie dzieliło.

- Lacy... - zaczął z udręką w głosie.

- Kocham cię - powiedziała. Niepewnym, wolnym ruchem przesunęła ręce aż na jego szczupłe biodra, tam, gdzie blizny na ciele tworzyły liczne nierówności. - Proszę, pozwól mi. - Skubnęła zębami jego wargę.

Cały zeszywniał, gdy pierwszy raz w życiu poczuł dotyk kobiecej dłoni na pośladku. Zaraz jednak wydał okrzyk, nie z bólu, lecz z rozkoszy, która rozlała się po jego ciele w skutek delikatnej pieszczoty palców Lacy.

- Widzisz, jak dobrze? - szepnęła, posłusznie unosząc biodra w odpowiedzi na jego pchnięcie. Otoczyła go swym ciepłem. Sprężyny zgrzytnęły i zaczęły skrzypieć w rytmie dyktowanym przez ruch bioder Cole'a.

Lacy westchnęła. Uwielbiała go nad sobą, kiedy wyzwalał się z wszelkich więzów i należał tylko do niej. Przesunęła dłońmi po jego udach, aż do osi rozkoszy, i usłyszała, jak z jego ust wyrывa się tłumiony krzyk.

W końcu znalazła zaspokojenie, ale nawet wtedy czuła, że chce więcej. Wciąż obejmowała Cole'a, gdy opadł na nią, łączywie chwytając ustami powietrze. Poglaskała go po plecach, nie zwracając uwagi na blizny i miejsca, gdzie skóra była poparzona, a teraz w dotyku sprawiała dziwne wrażenie, nieco podobne do głaskania aksamitu. Dotykała go zachwycona, że pozwolił jej na taką intymność.

- Nigdy nie myślałem, że zniesiesz coś takiego - szepnął niepewnie. - Tyle blizn, Lacy. To straszne!

- Głuptas. - Westchnęła i pocałowała go w szyję, a potem w klatkę piersiową. - Żebyś ty wiedział, jak ja cię kocham.

- Lacy - szepnął takim głosem, jakby odmawiał modlitwę.

- Pst. - Wolno zdjęła mu górę od pizamy, potem spodnie. Zaczął protestować, ale czułym szeptem zdołała pokonać opór. Kiedy był już całkiem nagi tak samo jak ona, zaczęła bez pośpiechu zsuwać kołdrę. Otaczało ich ciepłe, przyćmione światło ognia.

- Nie! - zachnął się. - Lacy, nie! W oczach miał przerażenie. Była wstrząśnięta, że mężczyzna o takiej odwadze i sile woli może bać się spojrzenia kobiety, którą kocha.



- Jesteś piękny, Cole - szepnęła. - Pozwól mi na siebie popatrzeć.

- Lacy!

Powoli wessała jego wargi, a tymczasem stopą dokończyła dzieła rąk. Cała kołdra znalazła się w nogach łóżka.

- Pozwól mi, kochanie - szepnęła. - Chcę cię zobaczyć.

Odsunęła zaporę z rąk, usiadła i zaczęła wstydliwie przypatrywać się jego męskości. Tymczasem uwagę Cole'a zajęły jej jędrne, gładkie piersi z różowymi wianuszkami u szczytu i wciąż jeszcze sztywnymi z podniecenia czubkami. Po chwili przeniósł spojrzenie niżej, na płaski brzuch, zgrabną talię i jeszcze niżej, tam gdzie między udami kryła się jej kobiecość. Zarumienił się. Nagość jej ciała wciąż była dla niego nowością.

Również Lacy była pochłonięta oglądaniem. Zobaczyła płaty skóry, które były nie śniade i szorstkie, lecz białe, poprzecinane licznymi szramami. Miejscami skóra stawała się czerwona i mięsista. W gęstym owłosieniu na udach, brzuchu i klatce piersiowej Lacy znalazła też siady ubytków. Ale Cole wcale nie wyglądał przerażająco. Mimo wszystko był bardzo dobrze zbudowany i wyjątkowo seksowny. Lacy bała się tylko tego, że może sprawiać mu ból.

- Przewróć się - szepnęła. - Chcę zobaczyć wszystko.

- Mój Boże! Lacy... Pochyliła się i bezwstydlonie pocałowała go w pasie.

Owłosienie załaskotało ją w nos. Cole raptownie wciągnął powietrze i zeszywniał. A kiedy uniosła głowę, dojrzała jeszcze jedną mimowolną reakcję, która bardzo pochlebila jej skromnej kobiecości.

- Proszę - powiedziała cichutko.

Nie mógł jej odmówić. Z zamkniętymi oczami przewrócił się na brzuch. Lacy wiedziała, że plecy wyglądają najgorzej. Pochyliła się i zaczęła wytyczać na nich szlak wargami. Cole'owi zaparło dech.

- Przepraszam - powiedziała potulnie. Oparła się o niego, poczuł na plecach ciepło jej piersi. - Czy sprawiłam ci ból?

- Nie - wydusił przez zęby. - Tylko cholernie mnie tym podniecasz.

- O! - Uśmiechnęła się figlarnie i powtórzyła pieszczotę. Całowała go wzdłuż kręgosłupa, raz po raz wysuwając koniuszek języka spomiędzy warg.

Cole wydał z siebie nieartykułowany dźwięk. Przetoczył się z powrotem na plecy i chwycił ją za biodra.

- Ty libertynie - szepnęła, siadając na nim okrakiem. Roześmiała się cicho, widząc wyraz jego twarzy. - Co jest, kowboju? Czyżbyś był za bardzo staroświecki, żeby się tak kochać?

- Tak. Jestem staroświecki - przyznał i jednym szybkim ruchem znalazł się na niej.

Opuścił ciało, wchodząc w nią prawie natychmiast. Na chwilę zastygł w bezruchu, przyglądając się jej minie. - To czar - szepnął, przenosząc wzrok z jej białego ciała na potargane ciemne włosy otaczające twarz. - Twoja uroda mnie zachwyca. Jak ty możesz znieść mój widok?

- Kocham cię - powiedziała nie tylko głosem, lecz także spojrzeniem, mimiką twarzy. Patrząc mu w oczy, zaczęła wolno poruszać biodrami. Pragnęła poczuć go jeszcze głębiej. Głośno wciągnęła powietrze, bo ciało Cole'a zrobiło się nagle dużo cięższe.

- Zaskoczenie? - spytał cicho. - Dużo jeszcze nie wiesz o mężczyznach. - Zwolnił rytm poruszeń; zaczął kołysać się z boku na bok. Lacy wydała odgłos, jakiego jeszcze nigdy nie słyszał. Zauważył u niej pierwsze skurcze. - Teraz to się zaczyna, Lacy - szepnął - Teraz. Teraz. Ojej... teraz! - Czuł, że osiągnęła spełnienie, wiedział to każdą komórką swego ciała. Dopadł jej ust łąpczywie chwytających powietrze. Nie przestawał się poruszać. Turek powiedział mu kiedyś, że ciało kobiety jest zdolne przeżywać rozkosz bez końca. Musiało tak być, bo po zaledwie chwili Lacy oplotła jego nogi i zaczęła wypychać biodra do góry.

Nastąpiły minuty niezmierzonej rozkoszy. Dla Cole'a cudowne było uczucie, że może dać Lacy coś tak wspaniałego. Poruszał się w niej, póki nie zaczęły opuszczać go siły. Wtedy jednym długim pchnięciem osiągnął zaspokojenie. Wydało mu się to niewiarygodne, ale ciałem Lacy znów szarpnęły skurcze. Rozległ się głośny stuk. Deska wysunęła się spod materaca. Oboje podskoczyli, a potem wybuchnęli śmiechem.

Kiedy wyrównali oddech, Lacy ułożyła się z policzkiem wtulonym w pierś Cole'a.

- Nawet Turek cię tak nie widział, prawda? - spytała sennie, zaborczo sięgając poniżej jego pasa.

Poruszył się niespokojnie, znów podniecony dotykiem jej palców.

- Nie widział - zachichotał. - Ale przestań. Jesteś stanowczo za delikatna, żebyśmy mieli powtórzyć to, co było przed chwilą.

- Wiem - jęknęła. Pocałowała go, rozsuwając mu wargami gęste owłosienie na piersi. - Czy kiedyś pomyślałeś, że właśnie tak będziemy się kochać?

- Przed wojną - wyznał. - Ale po tym, jak mnie zestrzelili, już nie. W ogóle nie pozwalałem sobie myśleć na ten temat. Dręczyły mnie koszmary, kiedy wyobrażałem sobie twoją reakcję.

Roześmiała się przekornie.

- Założę się, że koszmary odeszły na zawsze. Namiętnie ją objął.

- Mój Boże, Lacy.

Wtulila się w niego jeszcze mocniej.

- No, i w końcu wywaliliśmy deskę - powiedziała. - Za bardzo nam się śpieszyło, żeby przedtem przełożyć materac na podłogę. Mam nadzieję, że nikogo nie zbudziliśmy.

- A ja się cieszę, że to nie lato. - Westchnął. Zarumieniła się.

- Jestem głodna. Namiętnie ją pocałował.

- To nieważne. Miałem na myśli łóżko, a nie te podniecające odgłosy, które wydajesz, kiedy się kochamy.

Gorączkowo odwzajemniła pocałunek.

- Nie możemy już - szepnął. - Mógłbym cię poranić.

- Bardzo cię kocham - wydusiła z siebie. - Bardzo, bardzo cię kocham, Cole.

Cała drżała. Cole zrezygnowany spojrzał jej w oczy i wolno zagłębił się w jej wnętrzu. Lacy gwałtownie nabrała tchu.

- Tylko tyle - szepnął Cole. - Możemy tak spać, jeśli masz ochotę. Twoje ciało nie czułoby już rozkoszy.

Przełknęła ślinę. Nie spodziewała się takiej propozycji, ale było to niesamowicie przyjemne. Z zaciekawieniem spojrzała w dół. Cole wziął z niej przykład. Wycofał się odrobinę, żeby Lacy mogła się przyjrzeć, jak ściśle są połączeni. Lacy cicho jęknęła i spojrzała mu w oczy.

- To cud, prawda? - odezwał się Cole. - Mężczyzna i kobieta stworzeni tak doskonale, że mogą łączyć się w rozkoszy. Dla mnie to jest zachwycające.

- Dla mnie też - przyznała. Przysunęła się do męża, żeby głębiej poczuć jego pragnienie posiadania. Potem rozluźniła się, zamykając go w objęciu ramion.

- Lacy - powiedział cicho.

- Słucham, Cole. Czule pogłaskał ją po plecach.

- Kocham cię - szepnął z wielką powagą. Pierwszy raz jej to powiedział. Lacy pomyślała, że powiedział to pierwszy raz komukolwiek spoza rodziny.

- Nie płacz - szepnął.

- Nie rozumiesz, że dajesz mi wszystko? - spytała niepewnie. - Jesteś moim życiem.

- A ty moim. - Opuścił ręce na jej biodra i łagodnie przyciągnął.

Nagle oboje wybuchnęli rozkoszą. Zalało ich cudowne doznanie, absolutnie nieziemskie, zabójcze. A jednak je przeżyli. Kiedy burza minęła, oboje parsknęli śmiechem.

- To niemożliwe, że coś takiego się stało - szepnął Cole. - Wymyśliliśmy to sobie.

- Nie. - Wtuliła twarz w jego szyję. - Nie, nie wychodź. Chcę być częścią ciebie przez całą noc.

- To jest przerażające, że można tak kochać - powiedział i zadrżał.

- O, tak - potwierdziła Lacy, lecz gdy zamknęła oczy, miała na wargach uśmiech.

Zanim się zbudzili, w sypialni zrobiło się zimno. Rano leżeli spleceni ze sobą, ale już pod kołdrą.

- Przyszedł dzień - powiedział Cole, pocałunkami budząc Lacy ze snu.

- Mhm. - Uśmiechnęła się, poruszyła i jęknęła. - Ojej, Cole - powiedziała krzywiąc się.

- Obolała? Zaczerwieniła się.

- Tak! Roześmiał się z zachwytem.

- Poleż jeszcze trochę. Zjem dzisiaj śniadanie z moimi ludźmi.

- Nic z tego. Nie podzielę się tobą. Uśmiechnął się do niej i zaczął wstawać. Zawahał się nagle. Zmarszczył czoło, ale stanął, nie próbując chwycić najpierw za piżamę.

Lacy usiadła na łóżku i przypatrywała mu się z zainteresowaniem. Nie było w jej oczach ani odrazy, ani niesmaku. Nie odpychał jej widok wszystkich jego szram przy dziennym świetle. Pomyślała, że nie wygląda to nawet w połowie tak strasznie, jak Cole sobie wyobrażał. Poza tym były to blizny nabyte z honorem. Ale wcale nie blizny najbardziej zwracały jej uwagę, toteż Lacy lekko się zarumieniła.

- Czy to z mojego powodu? - spytała z zaciekawieniem, trochę zawstydzona.

- Oczywiście, choć mężczyźni zwykle tak wyglądają po przebudzeniu - odparł z uśmiechem pełnym zadumy.

Przeciągnęła się leniwie.

- Będę o tym pamiętać, kiedy znowu nabiorę formy.

- Formę masz całkiem w porządku - powiedział, zaborczo pożerając ją wzrokiem. - Boże, muszę jak najszybciej stąd wyjść! - jęknął.

- Przepraszam.

- Kochanie, to ja nie mam ochoty się ruszyć. - Naciągnął piżamę i szlafrok. Wychodząc, przystanął jeszcze przy łóżku, odsunął kołdrę i zachłannie popatrzył na żonę. - Jesteś moja - powiedział chrapliwie. - Moja śliczna wróżka.

Nadstawiła twarz do pocałunku. Z uśmiechem przyjęła jęk Cole'a, który objął jej piersi.

- Idź do pracy - powiedziała wesoło. Cole położył ją z powrotem i nakrył kołdrą.

- Zgięty wpół i jęczący, tak? - spytał. - Mnóstwo bym zrobił, nie ma co.

- Cole?

Przystanął koło drzwi i uśmiechnął się do niej. Wyglądał bardzo łobuzersko ze sporym zarostem i włosami zsuniętymi na jedno oko.

- Co takiego?

- To chyba nie trwa wiecznie? Lekko zmarszczył czoło.

- Co nie trwa?

- Jestem wykończona, ale wciąż cię pragnę - wyjaśniła. - A po ostatniej nocy... - Mimo woli oblała się rumieńcem.

- Hm.

- Kocham cię - powiedziała cicho.

- To ja cię kocham - odparł i było to słycać w kaźdej sylabie. - Czy chcesz, ębym przed wyjściem napalił w kominku?

- Nie, dziekuję. Wstanę i zrobię ci śniadanie. Nie chcę... dzielić się tobą z twoimi ludźmi dzisiaj rano - wyjaśniła z wahaniem.

Znów odrzucił kołdrę z łóżka i wziął Lacy na ręce. Pocałował ją ęarliwie.

- Ja teź nie chcę od ciebie odchodzić - szepnął i przytulił ją do piersi. - Nie chcę tracić cię z oczu.

Przylgnęła do niego nieskończenie szczęśliwa. Cole ją kochał. Gdybyśmy jeszcze mogli mieć dziecko, przemknęło jej przez głowę, zaraz jednak złożyła w myślach solenną obietnicę, że nigdy nie pozwoli sobie okazać choćby cienia smutku z tego powodu. Nie mogła ęądać od życia więcej. Przecież miała wszystko.

Marion wypuszczono do domu w kilka dni później. Po pobycie w szpitalu wydawała się silniejsza. Miała w tym swój udział wiadomość o znacznym polepszeniu stanu Katy, która w dodatku odwiedziła ją w szpitalu, co podziałało jak balsam.

Katy powoli przezwyciężała szok, ale stała się innym człowiekiem. Była bardziej milcząca i mniej żywiołowa. Dużo siedziała szydełkując, a niekiedy zdawała się trochę nieprzytomna.

Turek przez cały czas przebywał na ranczu. Skończył z wyprawami do miasta w soboty wieczorem i z pijaństwem, ale nie narzucał się i nie próbował jej dotknąć. Czasem siadał i przyglądał się, jak Katy robi na szydełku koronki do pościeli. Był wtedy zupełnie nie krępującym towarzyszem. Katy zaczęła odzyskiwać swobodę, szczególnie po tym, jak porucznik Higgins zatelefonował do Cole'a z wiadomością, że odstąpiono od oskarżeń przeciwko Blake'owi Wardellowi. Uznano, że działał w obronie własnej, co zamknęło sprawę. Katy przyjęła to radośnie, choć powściągliwie. Natomiast Turek wypuścił się do miasta i całkiem niepotrzebnie poszalał, bo następnego rana ledwie mógł poruszyć głowę.

Cole obserwował jego zachowanie bardziej z troską niż gniewem. Nie potrafił wydobyć z przyjaciela, co go gnębi, wyobrażał sobie jednak, że musi to dotyczyć Katy i Wardella. Może zżerała go zazdrość, a może oburzenie. Turek milczał.

Tymczasem Cole stał się obiektem dobroduszych docinków na temat zauroczenia żoną. Podśmiewała się z niego rodzina, znajomi i kowboje. Życie z Lacy układało mu się znakomicie. Martwiło go tylko, że nie może dać jej dziecka, ale żona zdawała się z tym godzić.

Jedyną ciemną chmurą na horyzoncie była zła koniunktura w interesach. Ceny bydła nieustannie spadały i Cole'owi coraz trudniej było znaleźć pieniądze na utrzymanie rancza. Przez ostatnie trzy lata bydło rzeźne potaniało o ponad dwadzieścia dolarów za sztukę, tymczasem koszty pasz stale rosły. Któregoś dnia Cole powiedział Lacy, że na każdym sprzedanym wole zarobi najwyżej pięć dolarów. A potem sytuacja jeszcze się pogorszyła. Trzeba było wymienić część narzędzi, kupić nasiona i nawozy, żeby zimą mieć zboże na paszę dla stada. Trzeba było też postawić obory dla cielnych krów, naprawić ogrodzenia, zapłacić pomocnikom. Wszystkie te wydatki Cole pokrywał z pieniędzy, które wcześniej zarobił. Ranczo sąsiada sprzedano na licytacji. Lacy martwiła się swoim położeniem. Gdyby zagroziło najgorsze, stać ją było na wykupienie rancza. Woląa jednak nie myśleć, jak ucierpiałyby na tym duma męża, marzyła więc, żeby sam znalazł rozwiązanie.

Faye dostała pracę u kuzynostwa Lacy w San Antonio, w sklepie z odzieżą. Przed jej wyjazdem przyszedł list z Paryża. Ben przeproszał za wszystko, co powiedział i zrobił, i błagał

Faye o przebaczenie. zaproponował, że wróci i ożeni się z nią. Dziecko miałyby wtedy nazwisko.

Ku zaskoczeniu wszystkich Faye jednak nie wyraziła zgody. Poprosiła Lacy, żeby napisała bratu, że radzi sobie bez niego. Na myśl o niezależności od pijackich wybryków ojca i biedy, aż lśniły jej oczy. Jako sprzedawczyni mogła liczyć na stałą pensję, a pracodawcy dali jej u siebie mieszkanie, bo akurat mieli wolny pokój. Nie zamierzała więc tracić czasu na żałobę po Benie. Powiedziała to i pogłaskała się po brzuchu. Owszem, może pokazać mu dziecko, ale należy ono tylko do niej.

Lacy była dumna z Faye. Podczas pobytu Marion w szpitalu i kłopotów z Katy dziewczyna bardzo im pomagała. Lacy i Cole czuli za to dla niej głęboką wdzięczność. Wkrótce odwieźli ją do San Antonio i umieścili u pani Ruby Morrow, żony bliskiego kuzyna Lacy, Milesa. Państwo Morrow z radością przyjęli pomoc Faye, gdyż mieli już swoje lata. Byli to poczciwi ludzie, tacy, którzy zawsze otwierają drzwi przed potrzebującymi. Obiecali zająć się Faye, a nawet nauczyć ją czytać i pisać. Dziewczyna była w siódmym niebie.

W drodze powrotnej Cole dużo milczał. Rozeźliła go trochę Ruby, która wspomniała, że odwiedza ją George. Przypomnił sobie tego człowieka. Widział go w San Antonio tamtego wieczoru, gdy przyjechał prosić Lacy, żeby wróciła do domu. Dopiero tuż przed Spanish Flats Lacy zorientowała się, co tak rozdrażniło Cole'a.

- George jest dla mnie tylko mglistym wspomnieniem - powiedziała. - Potrzebowałam go wyłącznie po to, żeby obudzić w tobie zazdrość. Nie wiem, jaki powód mógłbyś znaleźć, żeby teraz być o niego zazdrosnym. - Przynęła się do Cole'a ze śmiechem. - Zresztą nie miałabym dość energii!

Cole też się roześmiał, złość jakoś mu przeszła. Na chwilę zwolnił tempo jazdy i pocałował Lacy w chłodne usta.

- No, już dobrze. Po prostu nie lubię wspominać, jak to było, kiedy ode mnie odeszłaś. Tyle czasu zmarnowaliśmy! - Zatrzymał samochód pośrodku bezludnej bitej drogi. - Gdybym wtedy wiedział więcej o kobietach, nigdy byś nie odeszła.

- Bardzo się cieszę, że nie wiedziałeś więcej o kobietach - zapewniła go z uwielbieniem w oczach. - Oboje byliśmy całkiem niewinni. Bardzo to sobie cenię, Cole. Chyba bardziej, niż myślisz.

- No, mimo wszystko ja też jestem z tego zadowolony.

- Westchnął. - Czy mówiłem ci już dzisiaj, że cię kocham?

- Kilka razy. - Przytknęła wargi do jego ust. - A czy ja ci mówiłam?

- Tak czy owak, powiedz jeszcze raz - poprosił, tłumiąc jej szept pocałunkiem.

Nadjeżdżający samochód usłyszeli dopiero wtedy, gdy rozległ się klakson. Odskoczyli od

siebie i stwierdzili, że Ira Cameron zawraca w ich stronę z radosnym uśmiechem na szerokiej twarzy.

- To lubię - zawołał, unosząc dłoń na powitanie. - Żona z mężem, którzy cieszą się sobą.

Potem spytał o Faye.

- Będę za nią tęsknił - powiedział, usłyszawszy pomyślne nowiny. - I nigdy nie zapomnę, co dla niej zrobiliście.

- Będzie jej dobrze, Ira - zapewniła go Lacy. - Przywieziemy ją do domu na Boże Narodzenie. Może przyjdiesz do nas? Stół jest zawsze suto zastawiony.

- Bardzo miło z waszej strony, że mnie zapraszacie - odparł. - Ale jadę do brata, do Houston. Niech Faye w tym roku nacieszy się samodzielnością. - Uśmiechnął się. Oczy miał nieco przekrwione, ale o dziwo był trzeźwy. - Powiedziała, że nie chce ślubu z Benem.

- Może zmieni zdanie - odezwał się Cole. - Ben dostał porządną lekcję. Dojrzewa.

- Ma szczęście, że może. Wojna zabiła mnóstwo chłopaków niewiele starszych od niego.

- Oj, prawda - przyznał Cole ponuro. Ira wrzucił bieg.

- Jadę. Miło było was spotkać.

Pomachał im ręką i ruszył swoją drogą. Cole ze śmiechem odwrócił się do Lacy i znów ją pocałował.

en odebrał list z domu w recepcji paryskiego hotelu. Poszedł do swego pokoiku i ciężko opadł na łóżko, Groźnie skrzypnęło, ale nie zwrócił na to uwagi. Lacy przekazała mu nowiny, przede wszystkim jednak napisała, że Faye nie chce brać z nim ślubu. Będzie wychowywać dziecko sama. Poza tym ma teraz pracę i własne życie, z dała od ojca alkoholika. Lacy z wielką radością donosiła, że Faye odżyła i cieszy się uzyskaną wolnością. List wypadł mu z dłoni. Ładne rzeczy. Musiał bardzo dotkliwie urazić Faye, skoro już go nie chce. Może nawet na to zasłużył, ale mimo wszystko poczuł się tak, jakby kopnął go muł. Ukrył twarz w dłoniach. Biedna mała Faye, ciężarna i zupełnie sama. Bardzo ją skrzywdził. Bardzo.

Drzwi otworzyły się bez pukania. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył sąsiadkę zza ściany; trzymała w rękach butelkę wina i puszkę herbatników. Sąsiadka była ruda i bardzo paryska. Lubił ją, owszem, ale nie mogła mu zastąpić Faye, mimo że była świetna w łóżku.

- *Que voulez vous, cheri?* - spytała, uśmiechając się dwuznacznie. - *Vin, dejeuner, ou moi?*

Wzruszył ramionami.

- *Je ne sais pas* - mruknął słabo. *Cette lettre est tres triste. C'est de ma famille.*

- *Pauvre garcon* - powiedziała, siadając obok niego. - *Venez, mon brave. Je tu console\**.

---

1\* *Que voulez vous...* (franc. ) - Czego sobie życzysz, mój drogi? (... ) Wino, śniadanie czy ja? (... ) Nie wiem (... ) Ten list jest taki smutny. To od mojej rodziny. (... ) Biedny chłopiec (... ) Chodź, mój dzielny chłopcze. Ja cię pocieszę.



Cofnął się, zaprzątnięty bez reszty myślami o Faye. Ale ruda wolno rozpięła bluzkę i zsunęła ją z ramion, uśmiechając się zapraszająco. Miała duże, jędrne piersi z olbrzymimi różowymi sutkami, które były teraz twarde. Ben pochylił się ku nim z przeciągłym westchnieniem. W moim wieku nie wolno nie doceniać takiego pocieszenia, uznał. Otworzył usta i usłyszał, że ruda zaczyna jęczeć. Przynajmniej nie stracił na sprawności. Wślizgnął się między jej miękkie uda, rozpiął tylko to, co konieczne, i z głęboką desperacją wykonał mocny sztych. Wzięła go w siebie chętnie i bez ceregieli. Sprężyny łóżka zgłosiły hałaśliwy protest, zagłuszając jej okrzyki podniecenia i jego chrapliwe posapywanie. Cieszył się, że nie ma to nic wspólnego z czułością, jaką dzielił z Faye. Bo myślenia o Faye w ogóle nie mógł znieść. Na podłodze leżał list, biały jak śnieg, nie opodal sypiący na Łuk Triumfalny.

Boże Narodzenie na ranchu zapowiadało się wyjątkowo obiecująco. Mimo braku pieniędzy Lacy i Katy zrobiły własnoręcznie podarki dla przyjaciół i sąsiadów. Przedświąteczne dni spędzały przede wszystkim w kuchni.

- Dużo lepiej wyglądasz - powiedziała ciepło Lacy do swej szwagierki.

- Pewnie dlatego, że mało zajmuję się wyglądem - odparła Katy. Była ubrana w prostą niebieską sukienkę i nie malowała się. Włosy związała w długi koński ogon. Wydawało się, że odmłodziła i nie jest już taka krucha. - Nigdy tamtego nie zapomnę. Chyba nawet nie powinienam. Dostałam tragiczną lekcję.

- Cieszę się, że wróciłaś do domu. Brakowało nam ciebie. Nawet Turek był jak inny człowiek.

Katy westchnęła żałośnie.

- Turek ma poczucie winy z powodu dziecka - powiedziała cicho. - To wszystko. Łazi tu ostatnio bez przerwy, ale zachowuje się bardzo sztywno i oficjalnie.

- Bo wie, że jeszcze nie jesteś gotowa na nic więcej wyjaśniła jej Lacy. - Czeka.

- A jeśli nigdy nie będę? - W zielonych oczach Katy zagościł smutek. - Ty nie wiesz, co zaszło, prawda? Cole ci nie powiedział, chociaż jesteście ze sobą tak blisko.

- Nie twoja sprawa - odparła Lacy i cicho się zaśmiała. - Wiesz przecież, że cię kochamy.

- Tylko to trzyma mnie przy zdrowych zmysłach. - Katy skończyła polerować ostatnią sztukę srebrnej zastawy i odłożyła ściereczkę. - Czasem przeszłość wydaje mi się złym snem, póki nie przypomnę sobie, że to jednak prawda. Wiesz, Lacy, Danny miał otwarte oczy. Gapił się prosto na mnie. I było tyle krwi... - Zadrzała.

- Skrzywdził cię - stwierdziła krótko Lacy. - Mężczyzna, który bije kobietę, zasługuje na najgorsze.

Katy skrzywiła usta.

- Może. Ale czuję się tak, jakby to się stało przeze mnie. Byłam z Wardellem i Danny nas nakrył. - Zauważyła zdumienie w spojrzeniu Lacy i zawstydzila się. Szwagierka lubiła pozować na nowoczesną, ale nie miało to pokrycia w rzeczywistości.

- Ojej!... - zachnęła się Lacy.

- Dla ciebie zawsze liczył się tylko Cole, prawda? Tak powinno być. Ale ja nie mogłam mieć Turka, a Danny chciał się ze mną ożenić. Wybrałam wyjście tchórza. To było straszne - powiedziała, z trudem przelękając ślinę. - Nigdy nie przypuszczałam, że mężczyźni mogą być tacy agresywni i okrutni. Gdyby nie Wardell, Danny mógłby mnie zabić!

- A ten Wardell? - zainteresowała się Lacy, z wolna opanowując szok. - Czy on troszczył się o ciebie?

- O, tak. - Spuściła oczy. - On mnie kocha. Byłam pijana, a Danny postarał się wcześniej, żebym wiedziała, że interesy Wardella są ważniejsze od mojej pruderii. Miałam robić wszystko, czego Wardell zechce, bo inaczej... - Przebiegł ją dreszcz. - Wardell przypominał mi Turka. Wiesz, Lacy, mogłabym go nawet pokochać. Dbal o mnie i był dla mnie dobry. Łatwo jest kochać kogoś takiego. Wardell chciał mnie zabrać od Danny'ego, ale bałam się, że Danny kogoś zabije.

- To dlatego nie powiedziałaś niczego Cole'owi, prawda?

Katy skinęła głową. Zielone oczy zaszyły jej mgłą.

- Nie chciałam, żeby przeze mnie komuś stała się krzywda. Cieszę się, że Blake nie pójdzie do więzienia. Był taki dobry. Ochroniłby mnie, gdybym odeszła od Danny'ego, i o nic nie prosił. Nie zgwałcił mnie - dodała zaniepokojona, że Lacy może tak pomyśleć. - Zgodziłam się, ale nie ze strachu przed Danny'ego. Widzisz, Wardell jest... wyjątkowy. Tak jak Turek - wyjąkała.

- Tak naprawdę, to nigdy nie przestałaś kochać naszego Turka, co? - spytała Lacy, z napięciem wpatrując się w bladą twarz Katy.

- Nie mogę przestać. Ale on o tym nie wie - dodała odwracając się od Lacy. - Zostało mi jeszcze tyle dumy, żeby trzymać się od niego z dala. On bardzo się zmartwił dzieckiem i tym, co się ze mną działo, ale to nie jest miłość. To jest litość. Wolę nie mieć nic, niż żyć litością. A poza tym Turek czuje do mnie obrzydzenie z powodu Wardella. Widziałam jego minę za każdym razem, kiedy wspominałam o Wardellu. - Przygryzła wargę. - Pogardza mną z powodu tamtego wieczoru. Pewnie myśli, że sprowadziłam śmierć na Danny'ego.

- Turek nie jest taki - gniewnie powiedziała Lacy. - On bardzo się o ciebie troszczy.

- Nie w taki sposób, jak bym chciała. - Katy poruszyła się niespokojnie. - Och, Lacy, życie rozleciało mi się na kawałki! Może powinnam odejść do Blake'a. Przynajmniej on mnie kochał. Tak bardzo się starał mnie ochronić.

- Nadal próbuje - mruknęła Lacy, wyglądając na korytarz, żeby sprawdzić, czy nikt nie

podśłuchuje. - Często rozmawia z Cole'em, dowiaduje się o ciebie.

Katy osłupiała.

- Wszystko u niego w porządku? - spytała.

- Jak najbardziej. Otworzył legalny interes i wycofał się z hazardu - poinformowała ją Lacy. - I wypowiedział kilka ukrytych gróźb pod adresem „przystojnego blondyna”. Życzy sobie, żeby Turek wreszcie cię uszczęśliwił.

Katy nerwowo skubnęła obrączkę. Zostawiła ją na palcu z powodu gryzących ją wyrzutów sumienia.

- Cieszę się, że wchodzi na uczciwą drogę. To dobry człowiek, na swój sposób.

Lacy nigdy nie widziała żadnego gangstera oprócz Danny'ego. Była zaintrygowana.

- Jak on wygląda? - spytała.

- Czterdzieści jeden lat - odparła Katy, rozbawiona ciekawością szwagierki. - Wielki, śniady, bardzo męski. Z dobrymi manierami, uprzejmy. Do tego bogaty. Ale bardzo samotny. Nigdy nigdzie nie należał. Ludzie w Chicago mieli dla niego szacunek, lecz zarazem się go bali. Zawsze był sam. Nawet swoich ludzi trzymał na dystans.

- To smutne.

- Gdyby nie on, mogłabym już nie żyć - powiedziała Katy, wyglądając przez okno. - Danny mnie pobił, a potem wyszedł z domu. Nawet nie sprawdził, czy żyję. Kiedy poroniłam, nie było go w domu. Jego matki też nie było, zostałam sama. Na szczęście wpadł Blake.

Szukał mnie. To on odwiózł mnie do szpitala i siedział tam ze mną, a kiedy trochę ozdrowiałam, zabrał mnie z powrotem do domu i przyniósł mi bukiet róż, żeby w moim pokoju było weselej. Danny nie wracał całymi dniami. Chyba nie rozumiał, że straciłam dziecko, a może go to nie obchodziło. Z Blake'em było zupełnie inaczej.

- To dobrze, że był taki opiekuńczy - stwierdziła Lacy, głęboko poruszona.

- Szkoda, że nie mogę nic dla niego zrobić. To całkiem beznadziejne, Lacy. Nie jestem w stanie znieść niczyjego dotyku.

- Czas cię z tego wyleczy.

- Może powinnam wrócić do Chicago - głośno myślała Katy. - Tak byłoby lepiej dla Turka. Widzieć mnie co dzień to dla niego męka. Bardzo się zmienił... To też moja wina. Nie jest szczęśliwy. Ledwie może na mnie patrzeć.

Lacy przyjrzała jej się z wielką uwagą.

- Kochasz go, Katy?

- Całym sercem - szepnęła. - Ale odkąd zginął Danny, czuję się martwa w środku. Jakbym była z lodu.

- Rozumiem - powiedziała współczująco Lacy. - Nie wierzysz w szczerłość uczuć Turka. Zastanów się. On nie z poczucia winy wpatruje się w ciebie co wieczór i nie z litości siedzi na ranczu, kiedy inni mężczyźni idą się zabawić.

- Nie? - spytała Katy, oblewając się rumieńcem.

- Chyba wiem, jak wygląda zakochany mężczyzna - odpowiedziała Lacy, uśmiechając się w zadumie. Katy również się uśmiechnęła, zadowolona ze zmiany tematu.

- No owszem, trudno nie zauważyć - przyznała. - Dziesięć lat temu wyśmiałabym każdego, kto by mi powiedział, że mój starszy brat będzie włóczył się za kobietą jak chory z miłości osioł. Całkiem mu odbiło!

- Mnie też - westchnęła Lacy. - Nawet nie marzyłam, że mogę być taka szczęśliwa.

- Życzę wam obojgu jak najlepiej - powiedziała Katy. - Nigdy nie zapomnę, jak wyglądałaś tego dnia, gdy Cole poszedł na wojnę. Udało ci się, że znalazłaś szczęście w miłości. Ja, zdaje się, jestem skazana na coś wręcz przeciwnego.

Lacy zdjęła fartuch i odeszła od zlewu.

- Święta tuż, tuż - powiedziała. - Musimy dokończyć ubierania choinki. To powinno ci poprawić nastrój.

- Turek chce mnie wziąć do kina - powiedziała Katy z zakłopotaniem. - Nie wiem, czy to dobry pomysł.

- Znakomity. - Lacy ujęła dłonie Katy. - Spróbuj sobie przypomnieć, co do niego czułaś, zanim to wszystko się zdarzyło. Pamiętam, że po prostu siedziałaś przyglądając się, jak pracuje. Miałaś miłość wypisaną na twarzy. Takie uczucie nie może umrzeć.

- Jest głęboko schowane - mruknęła Katy i zarumieniła się, przypominając sobie słowa Turka. To było już dawno. Ostatnio nie mówił jej nic osobistego i stąd tak naprawdę brało się jej przygnębienie.

- Przestań rozpamiętywać troski - delikatnie skarciła ją Lacy. - Zróbmy jeszcze parę ozdób na choinkę. Wiesz, Marion czuje się coraz lepiej. Doktor chyba się pomylił.

- Poza tym zdarzają się cuda - dodała zgodnie Katy. Uśmiechnęła się. - Uwielbiam, jak mama żartuje. Modlę się, żeby zupełnie doszła do zdrowia.

- To całkiem możliwe - stwierdziła Lacy. Z własnego doświadczenia miała coś do powiedzenia o cudach. Miłość Cole'a była największym z największych.

Wieczorem znalazła męża w gabinecie. Siedział nad księgami z głową opartą na rękach.

- Dobrze się czujesz? - spytała nieśmiało. Uniósł głowę. Uśmiechnął się, opadł na oparcie krzesła i wyciągnął do niej rękę. Podeszła i pozwoliła usadzić się na kolanie.

- Znowu kłopoty finansowe? - spytała.

- Jak zwykle - odparł. Zanim znów się odezwał, przytulał ją przez dłuższą chwilę. - Nie starczy pieniędzy na najbliższą ratę kredytu hipotecznego - powiedział w końcu.

- Och, Cole - zasmuciła się.

- Ceny zboża strasznie poszły w górę, a ja akurat musiałem kupić zboże, pierwszy raz jak sięgam pamięcią, bo zostało mi zbyt liczne stado. A zostało mi, bo za bardzo spadły ceny bydła. Teraz muszę sprzedać bydło za bezcen albo karmić je przez całą zimę. W obu przypadkach jest dziura w budżecie.

- Nie jestem biedna, przecież wiesz... - Widząc, że Cole zaczął się złościć, zasłoniła mu usta dłonią. - Nie - szepnęła.

Pochyliła się i pocałowała go. Po kilku sekundach gniew minął mu bez śladu. W gruncie rzeczy zapomniał o wszystkim, porwany nagłą falą namiętności.

- Chodźmy do łóżka - szepnęła cicho z figlarnym błyskiem w oczach.

Cole spojrzał na księgi, potem z powrotem na usta Lacy. Ze śmiechem pomógł jej wstać i wyszedł za nią z pokoju.

Dwa dni przed Bożym Narodzeniem Cole musiał wybrać się do banku. Przedstawił panu Harknessowi swoje trudności. Bankier wyraził współczucie, ale okazał się niewzruszony.

- Wiesz, Cole, że chętnie pożyczylbym ci pieniądze - powiedział. - Ale to nie jest dobry interes pomagać ci wpaść w jeszcze głębszy dół.

- Do diabła, człowieku, mogę stracić ranczo!

- To też wiem. - Harkness pochylił się w stronę Cole'a. - Nie możesz sprzedać trochę bydła poniżej ceny, żeby utrzymać się na powierzchni?

- Mogę. - Cole skrzywił się. - Ale poniosę wtedy ciężkie straty. Wiesz, ile kosztuje jedna sztuka, prawda? Przettrzymałem za duże stado, bo wszyscy, którzy się na tym znają, mówili, że ceny wzrosną. Nie wzrosły. Teraz mam za dużo zwierząt i brakuje mi paszy.

- Wszyscy mają kłopoty - powiedział bankier. - Takie są czasy, Cole. Wojna nakręca gospodarkę, ale tylko na chwilę. Potem wszystko się wali. A winne są pożyczki bez odpowiedniego kapitału na zabezpieczenie. Powiadam ci, idą jeszcze gorsze czasy. Dlatego nie możesz żyć z kredytu.

- Właśnie się o tym przekonuję - powiedział Cole. Wstał. Dawno już nie czuł takiej rozpacz.

Harkness również wstał. Miał minę człowieka bezradnego.

- Przykro mi. Wiem, że to brzmi obłudnie. Ale mówię szczerze. Mój ojciec stracił w tym roku dom w Houston, bo bank mu zajął hipotekę. Nie wiem, czy ci to pomoże, ale znam to uczucie.

Cole trochę ostygł. Zmusił się do uśmiechu.

- Dziękuję, trochę pomogłeś. Uścisnęli sobie dłonie.

- Gdybyś miał jakiś zastaw... - powiedział bankier.

- Został mi tylko samochód - odparł Cole. - A samochodu nie mogę zastawić. Za bardzo go potrzebujemy.

Bankier przestąpił z nogi na nogę i uniósł dłonie.

- Ciężkie czasy nastały.

- I z dnia na dzień robią się cięższe - dopowiedział Cole.

Stanął przed bankiem z rękami w kieszeniach i zaczął się rozglądać po bitej drodze, którą przesuwało się przez miasto kilka samochodów. Postęp, pomyślał. W dawnych czasach jego ojciec trzymałby bankiera na muszce, póki nie dostałby pieniędzy. Ale we współczesnym świecie rządziły słowa, nie kule.

Mógłby zrobić napad na pociąg. Zaśmiał się, bo zobaczył oczami wyobraźni minę Lacy, która składała za niego kaucję. Nie, musiał wymyślić coś innego. Nagle oczy mu się roziskrzyły. Przecież mógł pożyczyć pieniądze od człowieka, którego już całkiem nieźle poznał. To był pomysł!

Faye przystąpiła do pracy z poczuciem swobody, jakiego dotąd nie знаła. Żyła w zupełnie innym świecie. Nie miała na głowie kłopotów z pijanym ojcem. Oderwała się od codziennej biedy i żmudnych, nie kończących się obowiązków domowych. Nie męczyły jej też poranne mdłości. Większość czasu spędzała w sklepie, razem z kuzynostwem Lacy, i nawet nie narzekała na dość skromną pensję. Dodatek do jej zarobków stanowiły bowiem noclegi i śniadania, co było nie do pogardzenia. Niedzielę miała wolną. Tego dnia chodziła do kościoła z Morrowami, którzy traktowali ją bardziej jak krewną niż lokatorkę.

Od czasu do czasu ze szczerym żalem myślała o Benie. Nadal ciepło go wspominała, choć nie na tyle, by wciągać go w małżeństwo wbrew woli. Trwała w postanowieniu, że sama wychowa dziecko. Jak to dobrze, że przynajmniej Lacy i Cole byli dumni z Whitehalla, który miał się wkrótce urodzić.

W mieście ludzie nie gadali tak jak na wsi. Przecież Lacy też urządziła w San Antonio tańce i słuchanie jazzu, chociaż pewne osoby z dobrego towarzystwa uważały i jedno, i drugie za domenę diabła.

Poza listem z przeprosinami od Bena, który przyszedł do Cole'a, więcej wiadomości z Paryża nie było. Faye to nie dziwiło. Przypuszczała, że Ben bawi się jak nigdy w życiu. Romansuje ze wszystkimi spotkanymi dziewczętami i obraca się wśród literatów.

Ona tymczasem zajmowała się własną edukacją. Ruby Morrow zaczęła ją uczyć czytania i pisania. Faye okazała się pojętną uczennicą, toteż instruktorka zapewniała ją, że już wkrótce będzie pisać i czytać tak samo jak reszta mieszkańców San Antonio. Faye nie była tego całkiem pewna, ale słowa pani Morrow pochlebiały jej.

- Faye nie przyjedzie na Boże Narodzenie - powiedziała któregoś dnia Lacy do Cole'a, siadając obok niego na stopniach ganku. Cole właśnie naprawiał uzdę.

- Czemu? - spytał machinalnie.

- Iry nie będzie w Spanish Flats, a mój kuzyn ją zaprosił. - Spojrzała zatroskana na niego. - Czy myślisz, że u niej wszystko w porządku?

- Zostaw ją w spokoju, Lacy. Dziewczyna cieszy się niezależnością. To na pewno jest dla niej szalenie podniecające.

- Pewnie masz rację. - Złożyła list i schowała go z powrotem do koperty. Na horyzoncie zbierały się chmury. - Będzie śnieg?

- Chyba tak. Po południu zetnę ci choinkę. Uśmiechnęła się i oparła głowę o jego grubą kurtkę.

- Dobrym jesteś człowiekiem, Cole. Chyba dlatego za ciebie wyszłam.

- Wyszłaś za mnie, bo Ben nas zamknął w budce dróżnika - powiedział przekornie, delikatnie skubiąc jej wargę. - Czy podziękowaliśmy mu za to?

- Byłeś za bardzo zajęty obrzucaniem go wyzwiskami przypomniła mu szeptem.

- Powiniennem był lepiej wykorzystać tamtą noc. - Zachichotał.

- Ty wstręciuchu. Nie mieliśmy ślubu!

- Ale teraz mamy - odparł. - To pierwsze Boże Narodzenie, które jest naprawdę nasze wspólne - dodał cicho. - Myślę, że ucieszysz się z prezentu.

- Och, Cole, chyba nie wydawałeś na mnie pieniędzy? Przecież masz takie kłopoty!

- Spodoba ci się, zobaczysz. Obiecuję, że nie będzie żadnych ekstrawagancji. A z finansami dam sobie radę. Mam pewien pomysł.

- Naprawdę? - spytała podekscytowana. - Jaki?

- To sekret - odparł, nie był bowiem pewien czy Lacy i reszta domowników w Spanish Flats poparłaby ten zamiar. W końcu przyszłego tygodnia czekało go spotkanie w San Antonio, które powinno wyjaśnić sytuację.

- Jesteś bardzo tajemniczy - stwierdziła Lacy. Pocałował ją czule.

- To nic nowego. Nie siedź tutaj, bo zmarzniesz i się przeziębisz.

- Nic mi nie będzie. Odszedł w stronę stodoły, a ona popatrzyła za nim tęsknie. Nie uszło to uwagi Turka, który właśnie nadjechał i leniwie, z wdziękiem zsunął się z konia tuż przed stopniami ganku.

- Widzę, że ciągle jesteś pod wrażeniem - powiedział z południowym akcentem, ściągając z głowy poplamiony czarny kapelusz z szerokim rondem. Ostatnio jakby się postarzał i wychudł. Jedynym radosnym akcentem w jego postaci były brzęczące ostrogi.

- Mam nadzieję, że z wzajemnością - odrzekła rozbawiona. - Co robisz w domu w środku dnia? Myślałam, że pomagasz reperować ogrodzenia.

- Skończyłem. Przypomniałem sobie, że obiecałem Katy kino. Jest sobota.

- No, owszem. Turek odczekał, aż Lacy wstanie ze swego miejsca na stopniach, i dopiero wtedy znów się odezwał.

- Ten gracz z Chicago... - zaczął z wahaniem. - Czy ona o nim wspomina?

Lacy bacznie mu się przyjrzała.

- To zupełnie naturalne, Turku. On tam był jej jedynym przyjacielem.

- No, był.

- Kiedyś o nim zapomni - powiedziała bezradnie. - Ale na to potrzeba czasu.

- Ona ciągle śni koszmary.



- Trudno się dziwić, skoro Danny zginął tak, jak zginął. Cole mówił, że ciebie też dręczyły koszmary. Minęły ci w końcu? - spytała śmiało.

Głośno zaczerpnął tchu.

- W końcu tak. Ale długo wracały.

- Katy też to przejdzie. Kino na pewno dobrze jej zrobi.

- Mam nadzieję.

Wszedł do środka, pobrzękując ostrogami. Uśmiechnął się do Marion i przystanął czekając, aż Katy wplecie wstążkę w swe długie włosy. Miała na sobie marynarski strój w białe - niebieskie paski i dopasowany do niego zabawny kapelusik.

- Muszę się umyć - powiedział Turek, z uwagą przypatrując się Katy. - Zaraz będę gotów.

- Dobrze. Wszedł z pokoju, a Katy usiadła przy Marion.

- Czy jesteś pewna, mamó, że nie masz nic przeciwko temu, żeby z nim poszła? - spytała. Marion uśmiechnęła się i poklepała ją po dłoni.

- Ależ, kochanie, bardzo się cieszę, że zaczynasz interesować się życiem. Idź z Turkiem, jak najbardziej. Zabaw się trochę. Niech Turek weźmie mały samochód.

- Dziękuję, mamó. Marion spojrzała na nią oczami pełnymi miłości.

- To dobrze, że dochodzisz do siebie, kochanie. Twoje pierwsze dni w domu były bardzo trudne dla nas wszystkich. Martwiliśmy się o ciebie.

- Jest coraz lepiej.

- Wiem. Bóg wysłuchał moich modlitw. Katy żałowała, że nie może powiedzieć tego samego o swoich modlitwach. Wciąż była znacznie bardziej wytrącona z równowagi i załamana, niż wydawało się rodzinie. Ale starała się oszczędzić im zgryzot.

Tymczasem w Chicago Blake Wardell głowił się nad własnym problemem. Dostał list od Cole'a z propozycją przyjazdu do San Antonio. Nie wiedział, do czego zmierza Whitehall, ale przeczuwał, że dostanie od niego ofertę wejścia w spółkę. Nie zamierzał odmówić. Miał wrażenie, że bardzo szybko staje się całkiem przyzwoitym człowiekiem. Cóż, Katy ciężko pracowała nad tym, żeby go zmienić. A dla niej zrobiłby wszystko.

Z uśmiechem odłożył list. Będzie miał okazję przekonać się, co słyhać u Katy. Może nawet ją przez chwilę zobaczy. Blake posmutniał, uświadomił sobie bowiem, jak bardzo pragnie tego drobnego przejawu życzliwości. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Katy należy do przystojnego blondyna, ale miał za to cudowne wspomnienie. I co z tego, że tamtego wieczoru Katy przez cały czas myślała o kim innym, skoro było w niej tyle namiętności i zachwytu. Tego wspomnienia już nigdy nikt nie mógł mu odebrać.

Turek wziął Katy na film z Rudolfem Valentino *Krew na piasku*, o wzlocie i tragicznym

końcu toreadora. Katy siedziała sztywno u jego boku, a on przeklinał siebie za to, że zaciągnął ją na film kończący się jatką. Na swoje usprawiedliwienie miał tylko to, że nie wiedział o finałowej scenie, ale pluł sobie w brodę, że nikogo wcześniej nie spytał.

- Chodźmy - powiedział łagodnie i wyprowadził ją z kina, zanim uprzytomniła sobie, co się dzieje.

Na dworze Katy zamrugała gwałtownie, oślepiąca jaskrawym światłem. Turek szedł obok niej w milczeniu. Dziwnie wyglądał w ciemnym garniturze. Rozpoznawalne były tylko wysokie buty i kowbojski kapelusz.

- Przepraszam. - Wziął ją pod ramię i skierował się do samochodu. - Nie wiedziałam, że tam będzie tyle krwi.

- Nie szkodzi - powiedziała po dłuższym milczeniu.

- Mnie też nie przyszło to do głowy. Pomógł jej wsiąść do samochodu i odbył rytuał zapalania silnika. Katy siedziała w środku, bardzo skrepowana. Dopiero za miastem Turek odezwał się znowu.

- Słowo daję, Katy, że nie wiedziałem, jak się ten film kończy.

- Może wysiadziemy i kawalek się przespacerujemy?

- zaproponowała, spoglądając na ścieżkę, prowadzącą w las tuż przed mostkiem na strumieniu.

- Jasne. - Zjechał na bok drogi i wyłączył silnik. Katy zdjęła kapelusik i położyła go na siedzeniu. Potem unosząc spódnice, żeby nie zetknęły się z trawą, ruszyła między drzewami nad strumień. Słysząc było szum wody pieniającej się na śliskich kamieniach. W Chicago Katy nosiła krótkie spódniczki, ale w Spanish Flats rozpaczliwie starała się odzyskać miano szanującej się kobiety. Długie suknie, przelotnie modne w tym sezonie, stanowiły jej oręż.

Turek zapalił papierosa, oparł się o gruby pień drzewa i zsunawszy kapelusz na tył głowy, zapatrzył się w wodę. Katy zatrzymała wzrok na jego spodniach, podkreślających muskulaturę nóg, potem na szerokiej klatce piersiowej i ramionach. Turek był wspaniale zbudowany. Pierwszy raz od śmierci Danny'ego wróciła myślą do popołudnia, kiedy poznała go w najbardziej intymny sposób. Zaczerwieniona odwróciła oczy w stronę strumienia.

Turek pochwycił w przelocie to spojrzenie i nabrał nadziei, że Katy nie jest wobec niego całkiem obojętna. Chwała Bogu. Już prawie przestał w to wierzyć.

- Obiecałeś, że kiedyś mi opowiesz - odezwała się nagle.

- O czym? - spytał zdziwiony.

- Jak poznałaś mojego brata. Strzepnął popiół z papierosa. Zaśmiał się gardłowo.

- To nie było spotkanie, raczej konfrontacja. Poszedłem do wojska prosto z pogrzebu

żony. Wsadzili mnie na okręt i wysłali za morze. Nie miałem czasu, żeby pogodzić się ze stratą. Dużo piłem - powiedział wolno, zmrużył oczy, wpatrzone w nurt strumienia. - Cole i ja byliśmy w tym samym pododdziale, obaj uwielbialiśmy latać. Kiedy zaczęliśmy wyrabiać sobie markę, zaczęliśmy też współzawodniczyć. Doprowadziło to któregoś dnia do bójki. Omal nie wysłaliśmy się wzajemnie do szpitala.

- O co się pobiliście? - spytała Katy.

- Diabli wiedzą, już nie pamiętam - odrzekł zadumany. W oczach pojawił mu się wyraz rozbawienia. - Przekonaliśmy się jednak, że powinniśmy być przyjaciółmi. W tym czasie walczyłem jak wariat w powietrzu, a na ziemi chlałem, póki mogłem utrzymać się na nogach. Bez przerwy przypominałem sobie śmierć żony. Miałem okropne poczucie winy, że zostawiłem ją samą w takim stanie. - Głęboko zaciągnął się dymem. - Któregoś wieczoru próbowałem wystartować po pijaku. Miałem niezwykle szlachetną wizję rozbicia maszyny na niemieckich hangarach. Cole mnie zatrzymał i wsadził do łóżka. Następnego rana urządził mi wykład o wartości życia i o tym, jak marnuję swoją szansę. Podziałało. Wziąłem się w garść.

- Odwdzięczyłeś się Cole'owi czymś podobnym, prawda? - spytała. - Lacy wyrwało się kiedyś, że uratowałeś mu życie.

- Panował wtedy nad sobą nie lepiej niż przedtem ja. Ale to jego sekret, nie mój.

Odłamała z konaru martwą gałązkę i zaczęła obracać ją w palcach.

- Szczęśliwy z niego człowiek, że ma takiego przyjaciela jak ty.

- A ja mam jego.

Skinęła głową. Wiatr delikatnie dmuchnął jej w policzek, gdy podniosła głowę.

- Zimno mi - powiedziała po chwili, dokładniej otulając się płaszczem.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Zmieniłaś się - powiedział. - Zgasło w tobie światło.

- Miałam trudny okres - powiedziała, odwróciwszy oczy. - Wspomnienia nie giną z dnia na dzień.

- Ciągłe tęsknisz do tego gangstera? - spytał nagle. Zbladła. Wydała cichy okrzyk i rzuciła się z powrotem do samochodu, oślepiona piekącymi łzami. Za nic nie powinna była mówić mu o Wardellu. On nigdy się z tym nie pogodzi. Nie pozwoli jej zapomnieć.

Turek zaklął pod nosem i cisnął niedopałek do strumienia. Potem wielkimi krokami ruszył za Katy.

Zanim jeszcze wybiegła spomiędzy drzew, poczuła na ramieniu wielką dłoń Turka. Obrócił ją ku sobie. Nagle niezwykle wyraziście dotarło do niej, że Turek jest taki silny i duży. Spoglądał na nią z twarzą wykrzywioną przez gniew i tłumioną namiętność.

- Czemu nie wrócisz do Illinois i nie wyjdiesz za niego? - spytał. - Może wtedy z powrotem stałabyś się dziewczyną, którą byłaś.

Czuła, jak ją ścisnął, nawet przez płaszcz. Bolało. Danny wściekał się całkiem podobnie. Podświadomie przygotowała się na uderzenie, które zawsze następowało po uścisku. Skuliła się, zadrżała i osłoniła twarz ramieniem.

Turek oprzytomniał w okamgnieniu. Natychmiast rozluźnił chwyt, gdy tylko uświadomił sobie, co Katy pomyślała.

- Mój Boże - jęknął, puszczać jej ramię. - Przecież cię nie uderzę! Jak możesz myśleć, że byłbym zdolny do czegoś takiego? Nie jestem Marlonem!

Musiała stoczyć walkę ze sobą, żeby jakoś się pozbierać. Zajęło jej to ponad minutę. Ale spojrzeć na Turka i tak nie śmiała.

- Myślałem, że on cię pobił tylko raz - powiedział szorstko. - Wtedy, gdy straciłaś dziecko. Ale nie, prawda? Bił cię częściej.

- Przez pewien czas nawet codziennie - szepnęła ochryple. Otarła łzy, nadal jednak nie patrzyła na Turka.

Im więcej brał narkotyków, tym był gorszy. Mam... siady. - Przełknęła ślinę. - Nie bił gołymi rękami, tylko pasem. - Spuściła głowę.

Turek zapomniał języka w gębie. Nie wiedział, co robić. Nigdy w życiu nie ogarnął go jeszcze taki zamęt. Nie rozumiał ani jej uczuć, ani własnych.

- Mówiłaś, że Wardell próbował go powstrzymać - odezwał się po chwili.

Wreszcie spojrzała mu w oczy. Wzrok miała zboląły.

- Ciebie naprawdę to irytuje. Mam rację, Turku? - spytała. - Nienawidzisz nawet myśli o Blake'u Wardellu.

- Nic na to nie poradzę - powiedział szorstko. - Marlone był twoim mężem. Ale Wardell... - Zaklął i odwrócił głowę. - Przewraca mi się w żołądku...

Katy jeszcze nigdy nic tak nie uraziło. Turek wyraźnie nie zamierzał pogodzić się z tym, co zrobiła. Nienawidził jej i Wardella. Czuł do niej odrazę.

Odwróciła się i wolnym krokiem wróciła do samochodu. Może to i lepiej, że myśli o niej jak o ladacznicy, bo ze swej reakcji na zachowanie Turka wnosiła, że nie wiadomo, czy kiedykolwiek pozbędzie się lęku przed siłą mężczyzny.

Turek zapalił papierosa i dopiero wtedy również wrócił do samochodu. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Zazdrość kompletnie go ogłupiała. Przecież nie miał prawa karać Katy za to, że kogoś kocha, za jej uczucia. Kiedyś kochała jego, ale ją odtrącił. Czego więc się spodziewał? Że będzie czekała na niego całe życie i nie pozwoli się dotknąć nikomu innemu?

- Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem - powiedział. - Dobrze się czujesz?

- Doskonale, dziękuję - odparła z chłodnym spokojem.

Nie spojrzała na niego. Wyjechał więc na drogę i ruszyli. Do samego domu Katy nie odezwała się ani słowem.

W dwie godziny później znaleziono Katy nieprzytomną na podłodze we wspólnej łazience, łączącej sypialnię jej i Marion. Przy jej rozpuszczonych i potarganych włosach leżał flakonik po proszkach nasennych. Turek dosłownie oszalał. Kiedy zobaczył nieprzytomną Katy na podłodze, chwycił ją i zaczął histerycznie szlochać. Cole musiał go w końcu uderzyć, żeby ją puścił i pozwolił zabrać do lekarza.

- Biedny Turek - westchnęła Lacy, przytulając się do Cole'a. Czekali w ciasnej poczekalni, aż sytuacja się wyklaruje. Oblewał ich zimny pot. - Jeśli ona umrze, ten człowiek się zabije.

- Wiem - ponuro odpowiedział Cole. W gardle miał wielką gulę. Kochał Katy i czuł się w jakimś stopniu odpowiedzialny za to, co się stało. Kiedy wyszedł lekarz, Lacy kurczowo chwyciła męża za rękę. Człowiek w białym fartuchu był bardzo zmęczony, ale lekko się uśmiechnął.

- Wyjdzie z tego - powiedział. - Oczywiście prześpi całą dobę, ale nie wzięła wystarczająco dużo, żeby się zabić. Przywieźliście ją na czas.

- Och, dzięki Bogu - jęknął Cole. - No, i dziękujemy panu.

- Miło jest przynieść komuś dla odmiany dobre wiadomości. Jak tam Marion?

- Trzyma się - odparł Cole posepnie. - Właśnie jest u swojego lekarza, żeby dał jej coś na uspokojenie. Pilnuje jej Turek.

- Razem chodziliśmy do szkoły. To wspaniała kobieta. Wasz ojciec miał szczęście. Zostawcie Katy do jutra u mnie. Jeśli jej stan się poprawi, rano będziecie mogli zabrać ją do domu. Tymczasem dobranoc.

- Dobranoc.

- Chwała Bogu - westchnęła Lacy, znajdując oparcie na piersi Cole'a. - Miałeś przebłysk geniuszu, żeby Turkowi dać pod opiekę Marion.

- Nie wątpię, że jeszcze mi za to będzie chciał łeb rozwalić - powiedział. - Ale nie mogłem narażać ani matki, ani Katy.

- Rozumiem... Rozległo się echo ciężkich kroków. Obejrzeli się. Wąskim korytarzem nadchodził Turek z twarzą białą jak kreda.

- Marion jest w samochodzie, odpoczywa. Lekarz mówi, że wszystko będzie w porządku. Jak Katy? - spytał. W jego oczach malowała się rozpacz.

- Odeśpi swoje, a potem będziemy mogli zabrać ją do domu.

Turek odwrócił się. Nie chciał, żeby widzieli jego twarz. Dosłownie trząśł się ze strachu;

uginęły się pod nim kolana. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł, tylko przelykał ślinę. W końcu ciężko oparł się o ścianę i zaczął skręcać papierosa. Przy okazji gęsto naprószył tytoniem na podłogę.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego ona to zrobiła - odezwał się Cole. - Zdawało mi się, że jest jej coraz lepiej.

- To przez niego - wyrzucił z siebie Turek. - Kocha go i dlatego to zrobiła.

- Ona nienawidziła Danny'ego - zaproponowała Lacy.

- Nie Danny'ego. - Odwrócił się do nich. Wzrok mu pałał. - Wardella!

Lacy wytrzeszczyła na niego oczy. Katy wyznała jej, że nadal kocha Turka. Skąd więc wpadł na pomysł, że za samobójczą próbę odpowiedzialny jest Wardell?

- Co ona ci dzisiaj powiedziała? - spytał Cole. - Musiała ci coś powiedzieć.

- Powiedziała, że był dla niej miły - odparł znużonym tonem. - Przeze mnie wszystko zaczęło się od nowa. Straciłem panowanie nad sobą. Tak cholernie trzęsa mnie zazdrość, że mogłem myśleć tylko o tym, jak byli ze sobą. Szarpnąłem ją, a ona cała się skuliła. Danny często ją bił. Śmiertelnie się mnie przeraziła. Myślała, że chcę ją uderzyć! - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Ja! Jakbym mógł jej zrobić krzywdę! Jej!

- Dlaczego myślisz, że ona kocha Wardella? - spytała spokojnie Lacy.

- Jest nieszczęśliwa. A on był dla niej dobry wtedy, kiedy wszyscy nią pomiatali. To jasne, że go kocha. - Spojrzał bykiem na Cole'a. - Wiem, że z nim czasem rozmawiasz. Powiedz mu, że ona go potrzebuje. Może będzie umiał powstrzymać ją przed... zrobieniem tego drugi raz.

Popatrzył na drzwi, za którymi zniknął lekarz. Twarz wykrzywiła mu męka. Odwrócił się i ruszył przed siebie korytarzem.

- Ale ona nie kocha Wardella. - Lacy zwróciła się do Cole'a. - Powiedziała mi, że nigdy nie przestała i nigdy nie przestanie kochać Turka. Skąd mu przyszło do głowy, że jej chodzi o Wardella?

- Może ona sama mu to podsunęła - powiedział Cole w zadumie. - Nie rozumiem jednak, dlaczego łyknęła te proszki. Turek się o nią troszczy. Nigdy nie widziałem, żeby był taki załamany.

- Może wzięła jego zazdrość za pogardę - podsunęła Lacy. - Katy jest bardzo wyczulona na punkcie tego, co zaszło. Turek mógł niechcący wyrobić w niej przekonanie, że jej zbliżenie z Wardellem budzi w nim odrazę.

Cole głośno nabrał tchu.

- Jeśli to prawda, Lacy, następnym razem możemy nie zdążyć na czas. Katy i tak myśli już o sobie jak najgorzej. Trzeba coś z tym zrobić.

- Spróbuj zaprosić tutaj Wardella - zaproponowała Lacy. - Nie chcę ranić Turka ani Katy, ale może on im pomoże wydobyć na jaw prawdziwe uczucia.

- Wiesz, kochanie... - powiedział Cole, unosząc brew. - Tak się złożyło, że chyba mam sposób na ściągnięcie go tutaj.

Nie wyjaśnił jaki. Zaczął jednak otrząsać się ze znużenia trudami dnia. Uświadomił sobie, że może wykorzystać nową sytuację dla swoich potrzeb. Nawet kłopoty Katy. Przy odrobinie szczęścia uda mu się rozwiązać problem jej i swój jednocześnie, a do tego uratować siostrze życie.

Pierwsze rozdziały książki Ben wprost wypieścił. Zaskoczyło go, że tak zręcznie składają mu się słowa. Słabo pisał na maszynie, więc posuwał się do przodu wolno, ale jednak robił postępy.

Przesunął dłonią po włosach; na podbródku wyczuł kłującą szczecinę. W czasie pisania prawie przestał jeść i spać. Teraz w końcu miał co pokazać wydawcy. Wiedział o jednym, który odwiedza Gertrudę Stein. Nie był awangardowy, jak amerykańscy powieściopisarze mieszkający w Paryżu. Z wyglądu sprawiał nawet wrażenie szokująco konserwatywnego, ale taka była ogólna tendencja za prezydenta Coolidge'a, po szalonych latach powojennych. Książka Bena nie traktowała o łamaniu reguł, lecz o nobilitacji, jaką daje dojrzewanie do nich. Ben uśmiechnął się podekscytowany. Takim myśleniem mógł trafić dokładnie w nurt. Jeśli się nie mylił i wahadło moralności istotnie wychyliło się w drugą stronę, to miał szansę znaleźć się na szczytach piramidy literackiej z bardzo staroświeckim punktem widzenia.

Podczas epizodu z Bradleyami wygładził swój dziennikarski styl. Dużo wycierpiał i był też świadkiem, jak inni cierpią z jego powodu. Wszystko to znalazło się w książce, włożył w nią bowiem serce i duszę. Było to największe dokonanie jego życia. Teraz musiał tylko przekonać kogoś do publikacji.

Tego wieczoru wprosił się na przyjęcie i obskakiwał Reba Garnetta jak szczeniak, póki wydawca nie zmęczył się wreszcie ucieczką przed natrętem i nie usiadł ze zrezygnowaną miną, by wysłuchać streszczenia fabuły. Ale w miarę upływu czasu jego irytacja słabła, ustępując miejsca zaciekawieniu. Zanim Ben skończył, wydawca zamienił się w słuch.

- Więc pracował pan jako dziennikarz? - spytał Garnett.

- Tak.

- Jest pan bardzo młody.

- Bo teraz czas należy do młodych - argumentował Ben. - Ale czy nie widzi pan, że wszyscy mają dość nieskrępowanej swobody? Hasło „Wszystko dla mnie, nic dla innych” dosięgło szczytu. Prezydent Coolidge zmienia bieg historii. Jego fascynacja ponadczasowymi wartościami, które społeczeństwo powinno i może traktować jako podstawę, budzi wielkie zainteresowanie w kraju. - Pochylił się ku rozmówcy. - Zrobiłbym wszystko, żeby wzmóc to zainteresowanie.

Garnett przyglądał mu się przez dobrą minutę, cały czas intensywnie myśląc. Hemingway i jemu podobni wyrabiali sobie nazwiska lansując postaci, których dekadencja zapowiadała znudzenie i alienację całego pokolenia. Książka Bena była inna. Uwydatniała pozytywne



myślenie moralne. Pięć lat wcześniej byłaby śmiechu warta. Teraz wyznaczałaby zmianę kierunku w literaturze awangardowej.

- No, dobrze - powiedział w końcu. - Niech mi pan da rękopis do przeczytania. Zastanowię się nad nim.

Ben wydał okrzyk wojenny, który na chwilę zakłócił tok rozmów.

- Dziękuję!

- Niech pan poczeka na recenzję - powiedział ostrożnie Garnett. - Może się okazać, że nie ma za co.

- Nie ma mowy!

Tego wieczoru Ben usiadł i napisał długi list do Cole'a. Opisał w nim swój potencjalny sukces. Przeklinał opieszałość poczty. Pytał o wszystkich mieszkańców rancza i okolicy, a szczególnie Faye. Interesował się, co z dzieckiem, czy Faye daje sobie radę. Gdyby dostał przyzwoite honorarium za powieść, mógłby wysłać jej trochę pieniędzy. Wiedział, że Lacy będzie pomagać, ale przecież nie był to jej obowiązek, lecz jego. Nie powinien pozwolić, żeby dziecko cierpiało przez brak opanowania ojca.

Opadł na oparcie krzesła, wspominając chwile z Faye. Brakowało mu jej. Miał wrażenie, że jego życie bez niej nigdy nie będzie kompletne. Pod wpływem odruchu sięgnął po nową kartkę i zaczął pisać drugi list. Może tymczasem Faye wybaczyła mu choć na tyle, by zgodziła się poznać jego punkt widzenia.

Do Bożego Narodzenia brakowało zaledwie kilku dni, gdy Cole spotkał się z elegancko ubranym Blake'em Wardellem na dworcu w San Antonio. Przed wyjazdem z rancza nie powiedział nikomu, dokąd się wybiera ani po co. Po prostu wziął mały samochód i ruszył do miasta.

Zastanawiał się, czy pozna Wardella. Nigdy go przecież nie widział. Lacy powtórzyła mu opis Katy, co było pomocne, ale prezencja i strój gościa bardzo go zaskoczyły. Wardell miał płaszcz wykończony bobrowym futrem, a na głowie kosztowny kapelusz z szerokim rondem, zsunięty nisko na czoło. Nie wiadomo czemu przez ułamek sekundy Cole miał wrażenie, że w jego postawie, wzroście i budowie oraz w sposobie trzymania cygara dostrzega Turka. Co prawda Turek palił ostatnio papierosy, ale we Francji z upodobaniem delectował się cygarami.

Wardell był starszy, niż spodziewał się Cole, ale wyglądał zdrowo i nawet poza Chicago na pasażerach, którzy wysiadali razem z nim z pociągu, robił wrażenie groźnego.

Cole ubrał się w swój najlepszy ciemny garnitur, wysokie buty i kapelusz z szerokim rondem. Nie chciał sprawiać wrażenia biedaka, chociaż w istocie musiał się liczyć z zajęciem rancza.

Podszedł do przybysza i przystanął. Wardell spojrział na niego. Miał duże, ciemnobrązowe oczy, głęboko osadzone i budzące respekt. Również on dokonał krótkich oględzin, po czym wykrzywił usta w wątlym uśmiechu.

- To pan jest Whitehall. - Skinął głową.

- Czyli pan jest Wardell. Przybysz roześmiał się.

; - Nie boi się pan pokazywać publicznie z takim łotrem jak ja? - spytał wyzywająco. - Jestem złym człowiekiem.

- Ja nie lepszym - odparł Cole. - Kawę czy coś mocniejszego? - Dobrze wiedział, gdzie można w San Antonio dostać jedno i drugie, bez względu na prohibicję.

- Jeśli mogę wybierać, to kawę. W zasadzie już nie piję. To, co ostatnio pędzą, smakuje jak mydliny.

Cole roześmiał się.

- Chodźmy wobec tego na kawę. Zaprowadził gościa do niedużej kafejki w pobliżu dworca. Znalazł miejsca na ławach z wysokimi oparciami, odgradzającymi łożę od reszty sali, i czekał, aż kelnerka zrealizuje zamówienie.

- Jak ona się czuje? - spytał Wardell. Kiedy zdjął kapelusz, okazało się, że ma gęste szpakowate włosy. Bardziej sprawiał wrażenie bankiera niż gangstera.

- Dobrze... - Cole skrzywił usta i przesunął dłonią po głowie. - Ech, do diabła! Wcale nie dobrze. W tym tygodniu wzięła za dużo proszków nasennych i omal nie przeniosła się na tamten świat. Nie spuszczaamy jej teraz z oka.

Wardell zbladł.

- Tego się obawiałem - powiedział. - Dziewczyna pokroju Katy nie pasuje do takich doświadczeń, jakie były jej udziałem. Założę się, że nigdy przedtem nie widziała martwego człowieka... a ja jej podsunąłem taki widok. Ma do mnie pretensje, prawda?

- Odkąd jest w domu, nie powiedziała o panu ani jednego złego słowa - stwierdził stanowczo Cole. - Powiedziała za to, że był pan jedynym człowiekiem w Chicago, który próbował jej pomóc. Katy ma coś ze mną. Nigdy nie zapomina wyświadczonej przysługi.

Wardell wziął głęboki oddech.

- Marlone był wstrętnym szczurem - mruknął. - Boże, jak ja go nie znosiłem! - Spojrział na młodą kelnerkę tak, że aż się zarumieniła, i roześmiał się, gdy szybko odeszła od ich stolika. - Tam, skąd pochodzę, rzadko widuje się dziewczyny, które się rumienia - powiedział. - To mi się właśnie podobało w Katy. Potrafiłem wywołać na jej twarzy rumieniec, nawet kiedy się nie starałem. - Wziął do ręki filiżankę z kawą. - I co z nią zrobimy, Whitehall?

- Turek nie jest zbyt bystry - zaczął Cole. - On myśli...

- To ten przystojniak, tak? - upewnił się Wardell z takim samym wyrazem twarzy, jaki przybierał Turek na wzmiankę o Wardellu.

Cole z trudem powściągnął szeroki uśmiech.

- On uważa, że Katy tęskni do pana - powiedział. - I że dlatego chciała odebrać sobie życie.

Oczy Wardella na chwilę rozjaśniły się radością, zaraz jednak wzruszył szerokimi ramionami i wbił wzrok w kawę.

- Nie - powiedział, kręcąc głową. - Dałbym wszystko, żeby w to uwierzyć, ale znam uczucia Katy wobec mnie. Ona chce tego blond osła. Poszłaby za nim w ogień. Jak on może tego nie wiedzieć?

- Od jej wyjazdu zachowuje się jak nie on. A od jej powrotu jest jeszcze gorzej. Kiedy wieźliśmy Katy do szpitala, musiałem mu solidnie przyłożyć, żeby ją puścił. A odkąd znowu znalazła się w domu, nie powiedział nawet dwóch słów, ale boi się stracić ją z oczu choćby na chwilę. Natomiast ona nie chce się do niego odezwać.

Wardell uważnie mu się przyjrzał.

- On ją tak bardzo kocha? - Wypił trochę kawy i schylił się, żeby ponownie zapalić cygaro, odłożone na popielniczkę. - Bo Katy oddałaby za niego życie - powiedział po chwili, patrząc prosto w oczy Cole'a. - Taka miłość nie przemija. Co on takiego zrobił czy też powie - , dział? Czemu Katy się wydaje, że on jej nie chce?

- Nikt tego nie wie. Katy nie chce mówić, Turek też nie. Domyślam się, że ma to jakiś związek z panem. Według mojej żony, Katy uważa, że zbyt się skompromitowała, by jeszcze go pociągać.

- Czy według niego też tak jest? - spytał Wardell.

- On nie jest hipokrytą. Po prostu czeka w pobliżu.

- Czy to w sprawie Katy chciał się pan ze mną zobaczyć? - spytał nagle Wardell. - Czy też chodziło o coś innego?

Cole uśmiechnął się pod nosem.

- Bystry z pana człowiek.

- Dlatego jestem bogaty. - Zmrużył oczy. - Jeśli proponuje mi pan spółkę, dam się skusić - dodał, szeroko uśmiechając się na widok zdumionej miny Cole'a. - Wie pan, że legalizuję swoją działalność. Mam udziały w hurtowni żywności w Chicago. Częściowe zaangażowanie w sprawy rancza pasowałoby do moich planów. Nie znaczy to, że chciałbym być partnerem, który będzie osobiście tam pracował - zapowiedział stanowczo. - Wolę raczej jeść koninę niż jeździć konno.

Cole roześmiał się na myśl o tym szacownym mieszczuchu dosiadającym jednego z jego półdzikich wierzchowców.

- Wszystko jasne.

- Więc możemy przejść do konkretów. Co pan proponuje?

Rozmowa zajęła im prawie godzinę, po której Wardell dysponował pewną wiedzą o hodowli i miał wyrobione pojęcie o przyszłej spółce.

- Katy nie może się o tym dowiedzieć - powiedział cicho.

- Nigdy się nie dowie - zapewnił go Cole.

Żaden z nich nie wiedział jednak, że poprzedniego wieczoru Katy podsłuchiwała telefoniczną rozmowę Cole'a z Wardellem. A po wyjeździe Cole'a wykorzystwała chwilę nieuwagi Turka i zabrała się z sąsiadem do San Antonio. Wprawdzie znalezienie Cole'a z Wardellem zajęło jej trochę czasu, lecz jednak się udało.

Zacisnęła poły płaszcza z futrzanym kołnierzem i pchnęła drzwi kafejki. O tej porze dnia w środku siedziało niewiele osób. Zresztą Wardell wyróżniałby się nawet w tłoku.

- Witaj, Blake - powiedziała cicho, przystając koło stolika.

Podniósł głowę i osłupiał.

- Katy! - szepnął wzruszony. Wstał, a Katy rzuciła mu się w ramiona. Blake zamknął ją w objęciach jak najcenniejszy skarb. Bezradnie spojrzał nad jej ramieniem na Cole'a.

- Co ty tutaj robisz, Katy? - spytał łagodnie Cole.

- Usłyszałam waszą rozmowę - szepnęła uszczęśliwiona, wtulona w płaszczy Wardella. - Musiałam przyjechać. Blake, zabierz mnie z powrotem do Chicago. Nie chcę tutaj zostać.

Wardell zamknął oczy. Jak mógł jej odmówić? Ale gdyby pozwolił jej jechać razem z nim, na zawsze pozostałby tym drugim, przy którym Katy wypłakiwałaby oczy za mężczyzną, którego kocha naprawdę.

- Nie możesz uciec, króliczku - szepnął jej do ucha. - Nie wiesz tego?

- On mnie nie chce - powiedziała z rozpaczą. Uniosła głowę. - Powiedz mu, Cole! Turek mnie nie chce! Patrzy na mnie tak, jakbym budziła w nim obrzydzenie!

Cole bardzo starannie dobrał słowa.

- Odniosłaś całkiem niewłaściwe wrażenie, Katy. Turek wcale nie czuje do ciebie obrzydzenia. Bardzo mu na tobie zależy.

- Wcale nie - zaprotestowała ze łzami w oczach. - Sam mnie spytał, dlaczego nie pojedę z powrotem do Blake'a, do Chicago. Nie rozumiesz, że chciał, żebym wyjechała?

- A nie powinnaś przypadkiem poczekać, aż sam ci to powie?

- Za późno - szepnęła żałośnie. Otarła chusteczką łzy i popatrzyła na Wardella, który bił się z myślami. - Czy mogę z tobą jechać? - spytała.

Nagle ich uwagę przykuło głośne wołanie imienia Katy. Wysoki kowboj chodził tam i z

powrotem po ulicy. Przy kafejce stanął i zajrzał przez okno. Potem cisnął papierosa na ziemię i wpadł do środka. Twarz miał równie zaciętą jak Cole.

- Więc dlatego przyjechałaś do miasta - oświadczył. Przystanął kilka kroków od stolika i spojrzał na Wardella ze szczerą nienawiścią. - Jeśli chcesz ją zabrać, musisz mnie najpierw zabić, bo inaczej jej nie dostaniesz - oznajmił wyzywająco. Oczy płonęły mu gniewem. - Jeśli ona odejdzie, to i tak nie mam po co żyć.

Wardell patrzył, jak twarz Katy nabiera koloru. Uważnie przyjrzała się Turkowi, niepewna, czy się nie przesłyszała.

- Przecież ty mnie nie chcesz - wyjąkała. - Uważasz, że jestem wulgarna. Nie możesz nawet spokojnie na mnie patrzeć. Nieustannie wypominasz mi tamten wieczór. Sam spytałeś, czemu nie wrócę do Chicago. No więc dobrze, właśnie chcę jechać. - Głos jej się załamał. Przytuliła głowę do szerokiej piersi Wardella. - No, zostaw mnie w spokoju!

- Wcale nie uważam, że jesteś wulgarna - powiedział z wahaniem Turek i zrobił zdziwioną minę. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Sam powiedziałaś. - Ramię Wardella dodawało jej otuchy. Popatrzyła z ukosa na Turka. - Budzę w tobie obrzydzenie.

Turek skrzywił się. Wyciągnął ręce w geście absolutnej bezradności.

- To nieprawda, Katy! Przysięgam na Boga! Zamknęła oczy. Nie mogła znieść bólu widocznego w jego oczach.

- Nie chcesz mnie - powtórzyła tępo.

- Nie chcę? - Zacisnął dłonie w pięści. - Ty mały, uparty głuptasie! Jak możesz być taka ślepa?

- Powiedziałaś, żebym wyjechała!

- Myślałem, że go kochasz - powiedział rozzłoszczony, nie zdając sobie sprawy z zaciekawienia, jakie wywołuje. - Nawet cię o to spytałem, a ty nie odpowiedziałaś!

Spiorunował wzrokiem Blake'a Wardella i znów spojrzał na Katy. - Nie potrafisz rozpoznać zazdrości? Myślałem, że chcesz jego, a nie mnie!

Skuliła się wtulona w pierś Wardella. Patrzyła na Turka z najwyższym zdumieniem.

- On się na mnie nie wydziera!

- A powinien - stwierdził Wardell z zadumą. Spojrzał na nią czule i nieco smutno, jakby dopiero teraz zrozumiał, jak całkowicie Katy należy do tego młodego blond furjata. - Czemu nie patrzysz, króliczku? - Odwrócił jej głowę. - Popatrz na niego.

Usłuchała. I nagle pojęła, że Turek jest po prostu piekielnie zazdrosny. Czy człowiek może się tak zachowywać z pożądania, litości czy nawet poczucia winy?

- Ona rzeczywiście ma kłopoty ze wzrokiem. - Wardell przytaknął. - Jesteś klasycznym przypadkiem, pilocie. Za nic nie powinieneś być jej wypuszczać spod skrzydeł.

- Myślisz, że tego nie wiem? - spytał Turek. Odwrócił od niego wzrok i spojrzał na Katy - Chodź do domu - powiedział stanowczo.

Nie poruszyła się ani nie odezwała. Patrzyła na Turka wielkimi, urażonymi oczami.

- Moim zdaniem powinnaś - stwierdził z powagą Wardell. - Chicago jest niebezpiecznym miejscem, pełnym złych ludzi, takich jak ja. A ty jesteś orchideą, która potrzebuje cieplarni, nie lodówki. Zwiędłabyś, gdybym zabrał cię z powrotem do Chicago.

Przygryzła wargę i błagalnie spojrzała na Cole'a.

- To twoja decyzja - powiedział brat. - Nie mogę podjąć jej za ciebie.

Wardell pociągnął ją za kosmyk włosów wystających spod kapelusika. Kiedy na nią patrzył, oczy mu łagodniały.

- Tym razem, dzieciaku, lepiej posłuchaj serca. Westchnęła.

- Chcę cię kochać - szepnęła tak, że tylko Wardell usłyszał.

Posmutniał.

- Ale zgodnie z planem nie kochamy się, prawda?

- Prawda. - Uśmiechnęła się przez łzy. Wardell spojrzał na Turka nad głową Katy.

- Ona za chwilę przyjdzie.

Turek się zawahał, ale Cole go odciągnął. Wytłumaczył, że lepiej nie pogarszać sprawy. Wardell odczekał, aż Cole z Turkiem znajdą się poza zasięgiem jego głosu. Przesunął kciukiem po nosie Katy.

- On cię kocha. Nie bardzo może się zebrać, żeby ci to wyraźnie powiedzieć, ale to widać.

Katy zaczerpnęła tchu.

- Zupełnie nie wiem, co robić.

- Masz więc jeszcze jeden powód, by nie podejmować nagłych decyzji w ważnych sprawach. Będę w pobliżu, śliczna dziewczyno - zapewnił. - Wystarczy iść na pocztę albo do telefonu. Zawsze będę w pobliżu... Obiecuję.

Zarumieniła się, przypomniawszy sobie, jak się kochali. Wardell sprawiał wrażenie człowieka, który ma złamane serce. Musiała coś dla niego zrobić.

- Tamtego wieczoru - szepnęła - wmawiałam sobie, że jestem z Turkiem. Ale nie byłam. - Czerwień na jej policzkach jeszcze się pogłębiła. - Tamtego wieczoru... byłeś tylko ty. Nie myślałam o nikim innym.

Wydał gardłowy odgłos i odwrócił głowę. Poczł pieczenie w oczach. Chłonał te słowa, które zawierały i gorzyc, i słodycz.

- Dziękuję ci - powiedział z zakłopotaniem. Katy milczała przez chwilę. Musiała się opanować.

- Nigdy cię nie zapomnę - powiedziała w końcu. - Nawet kiedy będę już stara.

- Ale nie możesz żyć bez tego przystojnego blondyna - dodał za nią.

Skinęła głową.

- Przykro mi.

- Po co? - Odchylił jej głowę i spokojnie spojrzał na nią, jakby chciał ją jak najlepiej zapamiętać. - Moimi wspomnieniami nic mu nie zabieram. On będzie miał własne.

- Tak. Musnął dłonią jej twarz.

- Lepiej idź. Twój brat traci siły. Nie utrzyma go już długo.

- Będzie mi ciebie brakowało, Blake.

- Chcę dostać zdjęcie dzieci, kiedy przyjdą na świat - powiedział. Spojrzał lodowato nad jej głową na marszczącego brwi Turka. - Mam nadzieję, że będą miały więcej z ciebie, biedactwa.

- Jeszcze nie skończyliście? - spytał niecierpliwie Turek.

Wardell wcisnął obie ręce do kieszeni i wydał wargi, wciąż patrząc na Katy.

- Jedź do domu. Spojrzała mu w oczy.

- Do widzenia.

- Żegnaj. Zawahała się, ale Turek miał już dość. Podeszedł do niej i pociągnął ją za rękę.

- Nie spodziewaj się świątecznych życzeń - powiedział do Wardella.

- Łamiesz mi serce, chłopcze. Turek z niezłomną twarzą opuścił kafejkę, zostawiając Cole'a z Wardellem.

- Przystaniesz mnie wreszcie ciągnąć? - prychnęła Katy, zgłaszając sprzeciw wobec przemocy.

- Przestań się wlec - odparł, nie patrząc na nią. - Co tak długo sobie szeptaliście?

- Wspominaliśmy, jak nam było dobrze! - odparła.

Przystanął i obrzucił ją tak rozwścieczonym spojrzeniem, że aż zadrżała i mocniej otuliła się płaszczem. Ponieważ jednak wyraźnie był u granic wytrzymałości, uznała, że nie ma co kusić losu. Kiedy dostawał szału, stawał się niebezpieczny. Spuściła oczy.

- Poszedłeś za mną - powiedziała z wyrzutem.

- A co, miałem cię zostawić samą? Po tym, co próbowałaś zrobić?

Nie lubiła przypominania o tej próbie, ale nie sądziła wtedy, że Turkowi tak na niej zależy. Prawdę mówiąc jednak w tej akurat chwili Turek objawiał raczej mordercze niż miłosne skłonności.

- Jak dostałeś się do miasta? - spytała nerwowo.

- Podjechałem okazją, tak samo jak ty. Teraz oboje musimy poczekać na Cole'a. - Puścił jej rękę. - Czy wiesz, gdzie on zostawił samochód?

Rozejrzała się po placu i dostrzegła Forda. Był zaparkowany pod potężnym dębem.

- Stoi tam.

Pociągnął ją za sobą na ławkę z widokiem na samochód i ulicę. W pobliżu wznosiła się statua żołnierza konfederatów Południa, który trzymał wartę nad Spanish Flats. Katy ścisnęła torebkę, na zmianę zapinając i rozpinając zameczek, a tymczasem Turek skręcił sobie papierosa, skrzyżował nogi i spojrzał na nią z groźną miną.

- Nie kochasz Wardella? - spytał.

- Chyba w pewien sposób kocham - odparła ze smutkiem. - Ale nie na tyle, żeby z nim wyjechać, i nie w ten sposób, w jaki on by chciał. Gdybym z nim wyjechała, byłoby to z mojej strony oszustwo. Pożądanie bez miłości jest puste. Nauczyłam się tego od ciebie.

- Ode mnie? - spytał, marszcząc czoło.

- Wardell dostał ode mnie nie więcej niż ja od ciebie - powiedziała z rezygnacją. - To było czyste pożądanie.

- Sądziłem, że będzie bezpieczniej, jeśli tak pomyślisz - niejasno powiedział Turek, bacznie jej się przyglądając. Uniósł papierosa do ust i wlepił wzrok w ulicę, po której z rzadka przejeżdżały samochody. - Kochałem moją żonę - powiedział, błędząc gdzieś myślami. - Znalіśmy się od małego. Wiedziałem, że wkrótce nadejdą śniegi i siarczysty mróz, ale bardzo potrzebowaliśmy pieniędzy. Zostawiłem ją, bo musiałem. W niczym nie złagodziło to moich wyrzutów sumienia, kiedy wróciłem do domu i znalazłem ją martwą. Lata zajęło mi godzenie się z tym, co się stało. Wciąż czułem się winny. I nie sądziłem, że jeszcze kiedyś kogoś pokocham.

Katy miała podobne odczucie. Uświadomiła sobie, co opowiada jej Turek, i to ją zabolalo.

- Nie musisz mi niczego wyjaśniać - powiedziała. Spojrzał na nią z ukosa.

- Jak, na miłość boską, mogłaś sobie pomyśleć, że budzisz we mnie obrzydzenie?

- Za każdym razem, gdy wspominałam Blake'a, wpadałeś w złość.

- Byłem zazdrosny.

- Tylko traciłeś energię - odparła tępo. - To tak, jakbyś był zazdrosny o siebie.

- Nie rozumiem.

- On jest bardzo do ciebie podobny - powiedziała z wahaniem. - W uśmiechu, w niektórych ruchach...

Przeszył ją wzrokiem.

- Wyobrażałaś sobie, że Wardell jest mną?

- Nie... świadomie nie - wybąkała, odwracając oczy.



Turek się uspokajał. Sam zauważył pewne podobieństwo. Więc to dlatego Katy tak polubiła tego człowieka. Nadal nie podobało mu się to, co zrobiła, ale przynajmniej wydawało mu się to teraz łatwiejsze do zniesienia.

- Więc tobie się zdawało, że to, co stało się w Chicago, budzi we mnie obrzydzenie? Dlatego chciałaś wyjechać?

Skinęła głową.

- To nie było obrzydzenie - powiedział stanowczo. - Współczuję ci, ale nie myślę o tobie ani trochę gorzej dlatego, że miałaś kochanka. Czy naprawdę tak się rzucałem, słysząc o Wardellu?

- Albo wpadałeś we wściekłość, albo zachowywałeś się, jakbym nagle przestała dla ciebie istnieć - powiedziała bezradnie.

- Myślałem, że tego właśnie chcesz - wyjaśnił. Cisnął niedopałek na ziemię i rozgniół go obcasem. Potem odwrócił się, ujął jej twarz w dłonie i pochylił się do jej ust. - Ale ponieważ nie...

Co za szok! Niemożliwe, żeby ośmielił się na coś takiego w środku miasta przy dziennym świetle! A jednak się ośmielił. Czują napór jego chłodnych warg i zamykające ją w środku jego ramiona. Zdrętwiała, ale Turek stopniowo pokonywał jej opór.

- Nie broń się, Katy - szepnął, czule skubiąc jej wargę. - Przecież lubisz mnie całować.

- Jesteśmy w mieście... - zaczęła.

- I co z tego? Otwórz usta - szepnął bezczelnie, popierając żądanie atakiem rozchylnych warg. - Pamiętasz, jak to było za pierwszym razem?

Pamiętała. Jęknęła cicho i poddała się jego woli, natychmiast porwana falą namiętności.

- Byłem twoim pierwszym mężczyzną - szepnął. - I będę też ostatnim. Dzieci, które urodzisz, będą moje. A reszta nie ma znaczenia. Żał mi Wardella, ale on przeżyje bez ciebie, a ja nie. - Uniósł głowę. - Nie mogę żyć bez ciebie, Katy. Zresztą nie chciałbym... Chodź, malutka.

Wpił się w jej usta. Tym razem poddała się bez protestów. Chyba jakoś oswoiła się z przeszłością, bo pocałunek obudził w niej pierwsze oznaki pożądania. Pomyślała w zamroczeniu, że nie jest całkiem martwa. Zostało w niej jeszcze sporo życia.

Tymczasem w kafejce Cole z Wardellem obgadali umowę do końca. Wardell zbierał się do powrotu. W drodze na stację, znajdującą się zresztą naprzeciwko kafejki, dostrzegli Katy i Turka w objęciach, całkiem wyłączonych ze świata.

Wardell wzruszył ramionami, potem się uśmiechnął.

- Będzie szczęśliwa - powiedział. - Nie mam co żałować, że ją tu zostawiam. To prawdziwe piekło kochać kogoś, kto nie odwzajemnia uczucia.

Cole skinął głową.

- Zupełnie jak z moją żoną zaraz po ślubie - powiedział. - Myślałem, że zabiłem w niej to wszystko, co do mnie czuła. - Uśmiechnął się. - Życie jest pełne niespodzianek.

- Niektóre są bardzo przyjemne - przyznał Wardell. Weszli na stację akurat w chwili, gdy nadjechał pociąg. Wardell uściskał dłoń Cole'a.

- Nigdy nie będziesz wiedział, jak wiele dla mnie robisz - powiedział Cole. - Trzeba zapewnić spadek. Ja nigdy nie będę miał dzieci, ale ktoś kiedyś odziedziczy to ranczo.

Wardell zmarszczył czoło.

- Czemu nie będziesz miał dzieci? Nie lubisz? Cole wyjaśnił mu, dlaczego. Wardell skrzywił się.

- No popatrz, ze mną jest to samo - powiedział, smętnie kręcąc głową. - To wstyd, nie? Dwóch takich przystojnych facetów! Ale byłyby śliczne dzieciaki, tylko pomyśl. - Klepnął Cole'a w ramię. - Chyba musi nam wystarczyć, że będziemy przystojni i bogaci. Zarób na ranczu kupę forsy. Zawsze miałem ochotę zostać królem bydła.

- Dziękuję za to, co zrobiłeś dla Katy - powiedział Cole.

- Och, tylko otworzyłem jej oczy - powiedział z uśmiechem zadumy. - Czasem ludziom trzeba powiedzieć, czego chcą, a nie ciągle pytać. Będę z tobą w kontakcie. I pamiętaj, ani słowa Kary. Ten szarooki połykacz ognia, za którego ona chce wyjść, wpadłby w furję.

- Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal - powiedział Cole.

- Jestem tego samego zdania. Cole zczekał na odjazd Wardella, a potem wrócił do samochodu. Katy była wyraźnie poruszona. Miała wielkie oczy i nabrzmiałe wargi. Turek nie wyglądał o wiele lepiej, a do tego był jak rozdrażniony grzechotnik.

- Myślałem, że się dogadaliście - mruknął Cole.

- Jedziemy do domu - powiedział Turek, nasuwając kapelusz na oczy.

Posadził Katy na siedzeniu koło kierowcy, a sam zajął miejsce z tyłu. Skrzyżował ramiona i nogi. Sprawiał wrażenie niesłuchanie ponurego.

- Co się stało? - spytał Cole.

- On chce natychmiast wziąć ślub - wyjaśniła Katy tępo. - A ja nie.

- Ona ciągle duma o tym gangsterze - pinił się Turek.

- Wcale nie! - Przesłała mu mordercze spojrzenie. - Chcę tylko być pewna, to wszystko! Możesz mnie namawiać do końca świata, ale dopóki nie wróciłam do domu ledwie żywa, nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby się ze mną ożenić. Nie jestem kalekim cielakiem, którym trzeba się opiekować. Jestem kobietą. Dawno temu wypłakiwałam za tobą oczy, ale teraz jestem starsza i mądrzejsza. Nie chcę mężczyzny, który nie jest pewien swoich uczuć do mnie. A ty nie jesteś, Turku - powiedziała, gdy próbował się odezwać. - Wydaje ci się, że nie pozwalając mi wrócić do

Chicago, wyrwałś mnie sprzed bram piekła. Ale od tego do miłości jest jeszcze daleko. Oczy Turka zalśniły pod szerokim rondem kapelusza.

- Nie posłuchasz, co mam do powiedzenia, prawda? - spytał wściekle.

Odwróciła się od niego, nieświadoma wysiłków Cole'a, który z największym trudem powstrzymywał śmiech.

- Nie posłucham - odparła sztywno. - Jeszcze mi zostało trochę dumy i godności. W każdym razie dość, żeby nie brać ślubu z człowiekiem, który widzi we mnie jedynie przedmiot uczuć dobroczynnych.

Turek się zachnął, ale Cole nie dopuścił go do słowa.

- Hej, wy dwoje, możecie to wszystko wyjaśnić sobie w domu - oświadczył stanowczo. - Tu nie jest czas i miejsce.

Katy musiała przyznać mu rację. Nagle coś przyszło jej do głowy. Spojrzała na brata z jawnym zainteresowaniem.

- A po co Blake Wardell tu przyjechał? - spytała niespodziewanie.

Cole spojrział prosto przed siebie. Siostra pokazała, że jest z Whitehallów, musiał jej to przyznać. Wobec takiej bystrości kłamstwa zawodzą. Musiał szybko wykombinować coś bliskiego prawdy.

- Poprosiłem go, żeby przyjechał - powiedział z namaszczeniem - bo wszyscy się baliśmy, że odbierzesz sobie życie. A Turek wspomniał, że tęsknisz do Wardella.

Katy przygryzła wargę.

- Rozumiem.

- Jesteś dla niego bardzo ważna - ciągnął Cole. - Gdybyś miała ochotę z nim wyjechać, to zabrałby cię bardzo chętnie.

- Nie miałeś prawa! - wykrzyknął wściekle Turek.

- Miałem wszelkie prawo - odparł Cole. - Katy jest moją siostrą.

- Ale sprawa jest nasza, a nie Wardella.

- On już raz uratował Katy - przypomniał mu Cole. - Zapomniałeś o tym?

Turek trochę się uspokoił.

- No, niech będzie. - Westchnął. - Chyba masz rację Ale ona i tak z nim nie wyjedzie!

- Decyzja należała do niej.

- Decyzja decyzją, a ślub weźmie ze mną - powiedział Turek, rozpalonym wzrokiem śledząc Katy. - Porozmawiam z księdzem i wszystko przygotuję. Jeśli będzie trzeba, to zaniosę ją do ołtarza związaną i zakneblowaną.

Katy zapało dech.

- Nie ośmielisz się! - krzyknęła zapalczywie, po raz pierwszy od powrotu z Chicago wykazując tyle wigoru.

- Uważaj, bo... - stwierdził z wielką pewnością siebie. - Skończyły się dla ciebie dni swobody. Zostaniesz moją żoną i będzie ci się to podobało.

Lacy i Marion bardzo się śmiały, kiedy Cole opowiedział im później na boku, co wydarzyło się w mieście.

- Biedna Katy! - jęknęła Lacy. - Nigdy w życiu nie pozbędzie się tego ogona.

- Ja tam jestem zachwycona - wtrąciła Marion z uśmiechem. - Katy będzie szczęśliwa z Turkiem. Tylko co z hipoteką, Cole? - dodała stroskana. - Jak sobie poradzimy, skoro bank nie chce dać nam pożyczki?

- Znalazłem bank, który pożyczki - odparł Cole i uśmiechnął się.

Żona uniosła brew i przesłała mu znaczące spojrzenie, ale nie przerwała podnieconego

monologu Marion, która zapewniała, że ani przez chwilę nie wątpiła w pomysłowość Cole'a. Później jednak Lacy spytała go, czy tym bankiem jest Wardell.

- Nie wolno ci zdradzić tego przed Katy - ostrzegł. Objęła go za szyję i pocałowała w usta.

- Nie powiem. Ale bardzo się cieszę, że Wardell jest naszym przyjacielem. Musimy się postarać, żeby nie pożałował swojej decyzji.

- Mam taki zamiar - potwierdził Cole. Potem znowu schylił się do ust Lacy i całkiem zapomniał o Wardellu. Bądź co bądź, udało mu się wyciągnąć ranczo z kłopotów bez korzystania z jej pieniędzy. Uratował więc swoją dumę.

północy Katy wciąż jeszcze przechadzała się po pokoju, przytłoczona wydarzeniami dnia. Pierwszy raz od śmierci Danny'ego nie dręczyły jej duchy przeszłości, ule wciąż nie wiedziała, jak podejść do propozycji Turka. Małżeństwo to poważna sprawa. A jeśli Turek poniewczasie stwierdzi, że popełnił błąd?

Z niespokojnych rozmyślań wyrwał ją stuk. Wolno podeszła do zasłoniętego okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Jeszcze nie była przebrana do spania, co okazało się szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Pod oknem stał bowiem Turek i ciskał żwirem w szybę. Miał na sobie robocze ubranie, tyle że bez ochraniaczy na spodniach. Wyglądał, jakby nagle odmłodził. Szeroko się uśmiechał.

- Wyjdź do mnie - zaprosił. Otworzyła okno.

- Turku, czy masz pojęcie, która godzina? - jęknęła. - W dodatku jest zimno jak w psiarni.

- Turek miał na sobie grubą kurtkę, ale Katy nie, a wiał przenikliwy wiatr.

- Nie martw się, laleczko, ogrzeję cię - powiedział. - No, chodź.

Przez całą drogę do kuchennych drzwi tłumaczyła sobie, dlaczego powinna go zignorować i położyć się do łóżka. Nie zdołała jednak znaleźć wystarczająco mocnych argumentów. W pośpiesznie narzuconym płaszczu zeszła więc na tyły domu. Turek czekał na nią przy schodkach. Bez słowa otoczył ją ramieniem i poprowadził w stronę korralu, gdzie w chłodnym świetle księżycy hasała samotna biała klacz.

- Wybrałbym się na mszę - powiedział. - A ty? Spojrzała przed siebie z kamienną twarzą.

- Nie jestem już godna tego, by wejść do kościoła.

- A po co niby jest kościół? - spytał najwyraźniej próbując ją pocieszyć. - Dla ideałów? Nie ma ani jednego wiernego, który nigdy w życiu czegoś nie przeszkrobał. Przecież zadaniem księży jest nawracanie grzeszników. - Delikatnie pociągnął ją za pukiel włosów przy uchu. - Przypuszczalnie mam znacznie więcej na sumieniu niż ty. Zacniemy chodzić na mszę, kiedy się pobierzemy. Skorzystają na tym dzieci.

Zarumieniła się i odwróciła oczy.

- Rozmowa o dzieciach sprawia ci przykrość, prawda? - spytał, spostrzegłszy jej reakcję. - Nie martw się następnego nie stracisz. Nikt i nic już cię nie skrzywdzi.

Jej spojrzenie zatrzymało się na wielkich butach Turka, zakurzonych i poplamionych. Różne rzeczy można było o nim mówić, ale pracy się nie bał, podobnie jak Cole. I był dobrym człowiekiem. Na pewno zaopiekowałby się nią, nawet gdyby nie kochał jej tak, jak ona jego. No, właśnie...

- Nie mogę zostać twoją żoną - powiedziała ledwie słyszalnym głosem. - Gdybym bardziej prosiła, Blake może by mnie zabrał do Chicago, choć wiedziałby, że go nie kocham. Ale nie chciał mi tego zrobić. I ja nie chcę zrobić tego tobie. Miłość bez wzajemności nie wystarcza.

- Nie kochasz Wardella - stwierdził krótko.

- Nie mówiłam o mnie, tylko o tobie. Nadal należysz do swojej żony. - Ciężko westchnęła. - Zawsze będziesz do niej należał. A ja zawsze byłabym jej zastępczynią.

- To nieprawda. Może w pierwszym roku mojego pobytu w Spanish Flats, ale minęło dużo czasu, Katy. - Oparł stopę o poprzeczną belkę ogrodzenia korralu i przyjrzał się jej smutnej, wymizerowanej twarzy. - Powiedziałem ci w mieście, że jesteś dla mnie wszystkim. Gdybym cię stracił, wszystko przestałoby mieć jakikolwiek sens.

- Zawsze będziesz z niechęcią wspominał moje małżeństwo i kontakt z Blakiem...

Położył jej palec na ustach. Jasne oczy lśniły mu w blasku księżyca.

- Jestem zazdrosny o Wardella, bo wiem, że on chętnie oddałby za ciebie życie. Trudno mi się z tym pogodzić. Ale nigdy więcej ci tego nie wypomnę.

- Dziś to zrobiłeś - przypomniała z wyrzutem.

- Wtedy jeszcze nie rozumiałem, co do mnie czujesz. Bo widzisz, ja byłem przekonany, że kochasz Wardella. Myślałem, że nałykałaś się tych przeklętych pigułek, bo nie chciałaś żyć bez niego.

Nie znosiła tego wspomnienia.

- To dlatego, że tak mówiłeś o nim i o mnie - wyjaśniła drżąco. - Byłam pewna, że już nigdy nie będziesz chciał kogoś tak niemoralnego i rozwiązłego jak ja. Czułam, że nie mogę tu zostać ani chwili dłużej, a nie chciałam prosić Blake'a o ratunek. Wydawało mi się to nielojalne wobec niego. Pragnęłam oszczędzić wszystkim dalszego bólu.

- Zabijając się? - wydusił z przerażeniem. - Boże!

- Kocham cię - powiedziała z rozpaczą w głosie i odwróciła oczy. - Kiedy tamtego dnia powiedziałeś to wszystko, myślałam, że nie możesz znieść osoby, którą się stałam. To była głęboka rana... - Głos jej się załamał.

Turek objął ją i przytulił.

- Nie chcesz uwierzyć, że odwzajemniam twoją miłość. Dlaczego?

- Bo... - Wzruszyła ramionami. Poglaskała ją po głowie.

- Część mojego życia jest już skończona. Ale ja wciąż żyję. Chcę mieć dzieci - szepnęła jej do ucha. - Synów i córki, których będzie można rozpieszczać. A najbardziej chcę ciebie. Odkąd wyjechałaś, nic nie było takie jak przedtem. Straciłem ochotę do życia.

Uśmiechnęła się w zadumie. Nie wierzyła w ani jedno słowo. Już tyle czasu spędziła blisko niego, a ludzie nie zmieniają się z dnia na dzień.

- Nie wiem dlaczego uważam, że powinnaś mi uwierzyć - powiedział z rezygnacją. - Przez lata cię unikałem albo złośliwie ci docinałem, byle tylko utrzymać cię na dystans. A po tym, jak cię uwiodłem, powiedziałem ci, że nie ma dla nas przyszłości. Podejrzewam, że dokładnie pamiętasz każde moje słowo.

- Byłeś dla mnie miły, kiedy wróciłam z Chicago - przypomniała sobie - chociaż pewnie sądziłeś, że mam to, na co zasłużyłam.

- Zasłużyłaś? - Uniósł głowę. Minę miał marsową. - Dlaczego?

Poruszyła się niespokojnie.

- Byliśmy z sobą, zanim wyjechałam. Zachowałam się jak rozpustnica - szepnęła z zażenowaniem. - A potem w Chicago całkiem popuściłam sobie cugli.

- To z urazy. - Wzruszył ramionami. - Bardzo cię przepraszam, Katy. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co naprawdę czuję, póki nie było za późno. Nie winię cię za nic. Kiedy myślę o tym, jak traktował cię ten szczur Marlone, robi mi się niedobrze. Przykro mi to mówić, ale gdyby nie Wardell, Marlone mógłby cię nawet zabić.

- Wtedy chyba było mi wszystko jedno - odparła wpatrzona w klacz chodzącą po korralu. - Poddałam się. Po stracie dziecka zdawało mi się, że życie jest jednym wielkim cierpieniem.

- Jeszcze możemy mieć dziecko - powiedział. - Tym razem będzie chciane, zaplanowane i wymarzone.

Nerwowo skubnęła futrzane oblamowanie płaszcza.

- Nie mów, że chcesz kogoś takiego jak ja - zaprotestowała.

- Co ty wygadujesz? - Ujął jej twarz w dłonie. - Do licha, Katy, kocham cię!

Czas stanął w miejscu. Wpatrywała się w niego, osłupiała.

- Nie mówisz szczerze - szepnęła.

- Jak najszczerzej. - Pocałował ją delikatnie. - Z głębi serca - dodał i przywarł do jej ust.

Doznanie było tak głębokie, że Katy przebiegły ciarki. Chciała zaprotestować, odsunąć się, powiedzieć mu, że nie musi niczego udawać. Prawdę mówiąc jednak, wcale nie miała wrażenia, że Turek udaje. Znowu stał się jej światem, tak jak było zawsze. Po policzkach popłynęły jej łzy, a

Turek zbierał je wargami.

- Co się stało? - spytał.

- Nawet mi się nie śniło, że możesz mnie pokochać - szlochała.

Uśmiechnął się czule.

- Jesteś tak samo ślepa, jak ja byłem, malutka?

- Pewnie tak. Turku, czy ja śnię? - spytała. Pochylił głowę.

- Sprawdźmy. W kilka sekund później zaparło mu dech. Całując Katy pragnął, żeby znalazła się jak najbliżej. Ostatkiem sił bronił się przed namiętnością.

- Nie wolno nam... - szepnęła niepewnie. Nagle z wnętrza domu doleciał ich głośny, suchy trzask. Turek poderwał głowę. Spojrzał ku ciemnym oknom. Dźwięk się powtórzył. Turek roześmiał się.

- Co to jest? - Katy była półprzytomna.

- Sygnał. Nie musimy się martwić tym, że ktoś nam przerwie - oznajmił zagadkowo. Popatrzył na Katy. Była czerwona ze wstydu, uświadomiła sobie bowiem, jak zareagowała na pocałunek. - Dość patrzania za siebie, Katy - powiedział cicho. - Od dzisiaj patrzemy tylko w przyszłość, zgoda?

Skinęła głową.

- Jeśli jesteś pewien...

- Jestem - szepnął, pochylając się do jej ust. Pocałował ją bardzo delikatnie, żeby znowu nie stracić panowania nad sytuacją, po czym rozplótł ramiona. - Wracaj teraz do domu. Jutro porozmawiamy. Ale tak czy owak, ślub bierzemy w piątek.

- Ty arogancki kowboju - powiedziała zirytowana. Przekrzywił kapelusz.

- Do usług, szanowna pani. - Ujął ją za ramię i popchnął przez kuchenne drzwi do wnętrza domu. - Szoruj teraz do łóżka...

Zawiesił głos, bo niespodziewanie zobaczył Cole'a w długim, grubym szlafroku. Stał przy kuchni i podgrzewał czekoladę.

- Do jasnej cholery, co wy robicie o tej godzinie na dworze? - spytał napastliwie.

Turek wydał wargi.

- Ależ nic - odparł. - Za dużo tu hałasów. Cole spiekł raka. Zdumiona Katy spoglądała to na jednego, to na drugiego. Męskie sekrety, pomyślała.

- No, to dobranoc - powiedziała i zamknęła za sobą drzwi.

Cole odczekał, aż ucichną jej kroki, po czym rzucił się na Turka.

- Ja tylko chciałem powiedzieć, że słyszeliśmy trzask deski spod materaca - zapewnił go Turek. - Zresztą Katy nie wie, co to było. Bogactwo wyrażen zachowaj więc z łaski swojej dla



cowbojów. Mnie taki język szokuje.

- Szokuje? Mój Boże! Przecież połowę tego sam wymyśliłeś we Francji.

- Zmieniłem się od tamtej pory. Zamierzam ożenić się z twoją siostrą i mieć dzieci.

Cole złagodniał.

- Rozumiem, że chcesz dostać braterskie błogosławieństwo - powiedział, nalewając czekoladę do kubków.

- Niekoniecznie - z niezmaconym spokojem odparł Turek. - Żenię się tak czy inaczej. Jeśli sądzisz, że urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą, to spróbuj mi przeszkodzić.

Cole roześmiał się.

- Ale zuch z ciebie.

- Będę się o nią bardzo troszczył - obiecał uroczyście Turek. - Poza tym, ja ją kocham, jeśli to cię interesuje.

- Wiem to, od kiedy wystartowałeś do Wardella w kawiarni - odparł kpiąco Cole. - Trzeba mieć jaja, żeby stawiać się takiemu gościowi.

- On nie jest taki znowu twardy, w każdym razie jeśli chodzi o Katy. Nie lubię go - dodał stanowczym tonem. - Ale jestem mu wdzięczny za to, co dla niej zrobił.

- Ja mu raczej współczuję - powiedział cicho Cole. - On nigdy nie pozna takiego życia, jakie mamy my.

Turek przez chwilę milczał.

- Chcę kupić od ciebie ten kawałek ziemi nad wodą i postawić tam dom. Katy na pewno zechce mieć własny.

- Możesz dostać tę ziemię - powiedział Cole. - Dam ci ją w ślubnym prezencie.

- Czuję się przygnieciony - stwierdził Turek. - Ale jakim cudem stać cię na to, skoro ledwo wiążesz koniec z końcem?

- Dostałem pożyczkę. - Cole wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Poczekaj, to zobaczysz.

- Och, wiem, jaki jesteś, kiedy się na coś uprzesz - przytaknął Turek. - Nie stawiałbym przeciwko tobie. - Spojrzał na czekoladę i uniósł brwi. - Nocna przekąska?

- Coś w tym rodzaju. Nie wychodzisz? - spytał Cole, podnosząc kubki.

- Właśnie się zbierałem - westchnął Turek. - Dobrej nocy.

- Spokojnych snów.

- Chyba nie powiem ci „wzajemnie” - odparł Turek, otwierając kuchenne drzwi. - Musisz poprzybijać deski do ramy.

Cole gniewnie błysnął białkami oczu, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, Turek znalazł się w bezpiecznym miejscu, poza zasięgiem jego głosu. Przez cały czas chichotał.

Ranek w dniu Bożego Narodzenia był zimny i pogodny. Po normalnym nabożeństwie w kościółku w Spanish Flats Katy wzięła ślub z Turkiem. Wszyscy parafianie z aprobatą przyglądali się młodej parze. Katy była w długiej białej sukni z wysokim koronkowym kołnierzykiem i atłasowym trenem oraz hiszpańskiej mantylce, którą Turek z szacunkiem uchylił, by pocałować żonę. Wyglądała bardzo pięknie. Turek powiedział jej to kilkakrotnie w tańcu, podczas skromnego przyjęcia weselnego, które odbyło się w domu Cole'a.

Marion Whitehall wyglądała kwitnąco. Troska domowników dobrze jej robiła. Oszczędzano jej niemiłych przeżyć i pomagano w codziennych zajęciach. Jej stan poprawił się na tyle, że lekarz zaczął przebąkiwać o latach życia, oczywiście pod warunkiem dbania o siebie. Marion postanowiła być bardzo ostrożna, z niecierpliwością czekała bowiem na wnuki.

Faye nie przyjechała, ale święta i tak były wyjątkowe. Zjedli wspaniały obiad, z indykiem i szynką, i obdarowali się prezentami. Lacy dostała od Cole'a nową obrączkę, z wygrawerowanymi różami. Rozczuliło ją to. Ona z kolei dała Cole'owi zegarek z dewizką.

Późnym popołudniem Turek z Katy wsiedli do pociągu i wyruszyli w krótką podróż poślubną do San Antonio. Obiecali przy okazji odwiedzić Faye.

Kary udawała absolutny spokój, ale kiedy pokazano im pokój po przyjeździe do San Antonio, ze zdenerwowania rozboleł ją brzuch. Pierwszy raz od śmierci Danny'ego miała być z mężczyzną. Dręczyły ją złe przeczucia. Nie była pewna, czy to zniesie. A jeśli nie, to jakie szanse miało jej małżeństwo?

San Antonio Faye wciąż jeszcze była wstrząśnięta po tym, jak kuzynka Lacy, Ruby, przeczytała jej list od Bena. Stempel na znaczku był z Paryża. Ben podsumowywał swoje małe sukcesy, włącznie ze spodziewaną publikacją książki, którą napisał. Zawiadamiał Faye, że radzi sobie dobrze, ale wciąż przykro mu z tego powodu, jak ją potraktował. Ma dla niej całkiem wyjątkowe uczucia, więc chciałby zaopiekować się nią i dzieckiem, jeśli mu na to pozwoli.

Faye wahała się. Wiele się zdarzyło od chwili, gdy ostatnio widziała Bena. Teraz była niezależna i miała swoje życie. Nie musiała na nikim polegać. Do tego uczyła się czytać i pisać. Kto wie, jakie możliwości otworzą się przed nią, gdy przestanie być analfabetką.

Na razie jednak nie potrafiła jeszcze ani odpisać, ani nawet przeczytać listu. Ben oczywiście nie zwrócił uwagi na taki drobiazg. Zawsze był bezmyślny. Nie zrobił tego złośliwie, ale dał dowód braku taktu i troski o innych ludzi. Faye pomyślała, że może nawet chętnie go zobaczy, lecz dopiero wtedy, gdy dobrze pozna litery.

Tego samego dnia podyktowała Ruby odpowiedź dla Bena. Dziękowała za zainteresowanie i wyjaśniała, że może obejść się bez niego. Był to chłodny i krótki liścik, bardziej wymowny, niż gdyby napisano go na wielu stronach. Faye żałowała, że nie może zamienić się w

muchę i zobaczyć tego zarozumialca Bena w chwili, gdy dowie się, że głupia wiejska dziewczucha, którą zostawił, wcale go nie chce. Nie wątpiła, że będzie to dla niego wstrząs.

Miała rację. Ben przeczytał liścik trzy razy. Dopiero wtedy uprzytomnił sobie, że Faye nie pisała sama, bo przecież nawet nie umie czytać. Jęknął żałośnie, wstał od biurka i zaczął przechadzać się po pokoju. Czemu o tym zapomniał? Znowu wskutek własnej bezmyślności naraził się Faye.

Pomyślał, że ma niesamowity talent do piętrzenia przed sobą życiowych kłopotów. Nie tylko doprowadził do opłakanego stanu swoje stosunki z rodziną, lecz także zraził do siebie jedyną kobietę, która naprawdę go kochała... kobietę, która urodzi jego dziecko.

W przedświątecznym tygodniu miał dwudzieste pierwsze urodziny. Przeminięły bez echa, nie dostał nawet krótkiej kartki z domu. Teraz było Boże Narodzenie, a on nie miał z kim go spędzić, jeśli nie liczyć panienki bez zahamowań, mieszkającej dalej w tym samym korytarzu. Ale jej propozycja nie pociągała go już tak jak tydzień wcześniej. Tęsknił za domem. Brakowało mu Teksasu. Zastanawiał się, czy matka jeszcze żyje, bo nikt ze Spanish Flats nie odpowiedział mu na list. Cole prawdopodobnie dalej się na niego wściekał, nie był wszak wyrozumiały.

Ben wziął marynarkę z oparcia krzesła i przystanął, żeby sprawdzić, czy ma jeszcze zaliczkę, którą dostał na poczet druku książki. Uznał, że starczy mu na skromną uroczystość. Jedno wiedział na pewno: nie było nic gorszego niż siedzieć w tym pokoiku i smętnie rozpałmiętywać własne błędy.

W hotelowym pokoju w San Antonio Turek stał przy oknie całkowicie nagi. Mięśnie twarzy miał napięte, oczy pełne udręki. Katy leżała pod kołdrą i wciąż jeszcze drżała. Od dłuższego czasu usiłowała zapanować nad lękiem przed mężczyzną. Sprawność Turka w niczym nie pomagała. W żaden sposób nie potrafił uspokoić jej drżenia ani rozluźnić mięśni. Żle to wróżyło na przyszłość.

Katy patrzyła na Turka i lękała się wybuchu, który musiał wkrótce nastąpić. Czuła, z jaką złością wyszedł z łóżka, ale jednak nie zaczął jej wymyślać.

- Wiem, że jesteś zły... - zaczęła z wahaniem.

- Nie - odparł bardzo łagodnie, mimo że nadal stał zwrócony do niej plecami. - Nie jestem zły, Katy. Wiedziałem, że nie pójdzie nam łatwo. - W jednej dłoni trzymał dymiącego papierosa. Patrzył na uliczne latarnie, choć nie rozładowane pożądanie zasnuwało mu oczy mgłą.

Katy usiadła na łóżku; podciągnęła kolana pod brodę. Z trudem przełykała łzy.

- Tyle złego narobiłam... - zaczęła złamanym głosem.

- Och, Katy - powiedział cicho Turek i wreszcie na nią spojrzął, ciepło i z miłością. - Nic nie narobiłaś, tylko życie dało ci w kość. Po prostu nie możesz zapomnieć o tym, jak zginął Danny. To wszystko.

Spuściła oczy i skupiła wzrok na nerwowo poruszających się dłoniach Turka.

- Nie mogę - powiedziała opanowanym tonem. - A chciałabym!

Turek usiadł na łóżku obok niej. Kompletnie nie zwracał uwagi na swoją nagość, ale Katy spuściła oczy. Wahala się między zakłopotaniem i wstydliwą fascynacją. Najgorsze, że Turek wciąż był podniecony.

- Jesteśmy małżeństwem - przypomniał jej z uśmiechem. - Możesz na mnie patrzeć, Katy, nie ma w tym nic złego.

- Wcale nie jestem taka pozbawiona hamulców, jak mi się zdawało. - Spojrzała na niego zatroskana. - Przecież kochałam się z tobą wtedy pierwszy raz. Kochałam cię i pragnęłam tak, że zapominałam o całym świecie. Liczyłeś się tylko ty. Nigdy w życiu nie było mi tak trudno jak wtedy, kiedy wyjeżdżałam. Wiesz Turku, dzisiaj to nie przez Danny'ego. No, może trochę - poprawiła się. - Ale przede wszystkim wciąż nie mogę uwierzyć, że jesteśmy małżeństwem. Przecież ty nigdy nie chciałeś się ze mną ożenić. Co cię nagle odmieniło?

- Wardell patrzący na ciebie w kawiarni - odparł krótko. Odwrócił się. Nie znośił wspominać o tamtym człowieku, jednak w tej chwili było to nieuniknione. - On wziąłby cię ślepą, kulawą i oszalałą, byle tylko mieć cię przy sobie. Nagle zrozumiałem, co się z tobą przeze mnie

stało. I śmiertelnie się przeraziłem, że możesz znaleźć w sobie dosyć litości, żeby przyjąć to, co on ma ci do zaoferowania.

- Przecież ty się niczego nie boisz - wyjąkała z niepewnym uśmiechem.

- Boję się... że znowu cię mogę stracić. Kiedy wyjechałaś, coś we mnie umarło, ale w dniu twojego powrotu życie znów nabrało dla mnie kolorów i smaku. Biegłem całą drogę do domu. Spodziewałem się, że zobaczę cię taką jak kiedyś, roześmianą psotnicę. - Wzdrygnął się. - A tymczasem znalazłem ludzką powłokę bez iskry życia. Wiedziałem, że to ja jestem za to odpowiedzialny. Kochałaś mnie, ale wtedy nie byłem gotowy do przyjęcia tej miłości. W każdym razie tak mi się zdawało. - Poglaskał ją po włosach i spojrzał jej w oczy. - Nie wierzysz mi, że drugi raz cię nie odrzucę. Czy nie o to ci chodzi, Katy? Chyba nie myślisz, że ożeniłem się z tobą z poczucia winy albo z litości.

Nie mogła zaprzeczyć. Zresztą zdradzał ją wyraz twarzy. Uśmiechnęła się smutno. Poniewczasie zauważyła, że popiół z papierosa sypie się na stary perski dywan przy łóżku. Turek sięgnął po popielniczkę i postawił ją w pobliżu.

- Słuchaj - powiedział. - Mamy przed sobą resztę życia, mnóstwo czasu. Więc nie zmuszaj się do spania ze mną i nie miej wyrzutów sumienia, jeśli jeszcze mnie nie pragniesz. Mnie się nie śpieszy i nie będę naciskał, bez względu na to, ile czasu przyjdzie mi czekać. Kocham cię, Katy. - Uśmiechnął się do niej. - I nigdzie nie odejdę.

Katy straciła czujność; pozwoliła samotnej łzie wyznaczyć ciepły, szybko stygnący szlak na policzku. Do pierwszej dołączyła druga, potem trzecia i następne. Turek przytulał ją i kołysał.

- Ty konewko - zachichotał. - A to co znowu?

- Musisz być tego absolutnie pewien - powiedziała, dławiąc się łzami. - Bo ja już drugi raz nie potrafię odejść, nawet gdyby to było dla ciebie najlepsze. Bez ciebie chyba umarła.

Mimowolnie przytulił ją mocniej.

- Ty głuptasie! Nie słyszałaś, co powiedziałem Wardellowi? Jeśli odejdiesz, nie mam po co żyć. To nie były tylko słowa, Kary. Mówiłem całkiem poważnie. - Pocałował ją w usta oblane słonymi strumykami łez. Jęknął, bo znów ogarnęła go namiętność. Musiał odsunąć się od Katy, póki jeszcze był w stanie. Nie chciała tego...

- Nie! - zaprotestowała, gdy zaczął unosić głowę. Przygryzła jego dolną wargę. - Nie teraz.

Ujął ją za ramiona, oplatające mu szyję, i delikatnie je rozłączył. Ręce mu drżały, cały drżał.

- Nie - powiedział cichutko. - Ty nie rozumiesz, Kary. Nie będę mógł się powstrzymać.

Namiętnie otarła twarz o jego piersi. Sięgnęła dłońmi do rąbka nocnej koszuli i nagłym ruchem zdarła ją z siebie. Usiadła dumnie, prezentując kształtne piersi, których sterczące

wierzchołki nieomylnie dowodziły jej podniecenia.

- Tak, popatrz na mnie - powiedziała, czując ciarki na całym ciele. - Często zdarzało mi się nie spać w nocy. Myślałam wtedy o tym, co czułam, kiedy pierwszy raz zobaczyłeś mnie tak jak teraz.

Turek rozchylił wargi, łapczywie złapał oddech. Wielkimi dłońmi czule objął te piersi i palcami potarł sutki. Usłyszał jęk; zobaczył, że Katy wygina plecy jak kot, zapraszający do głaskania.

- Katy - szepnął. Odepchnęła na bok kołdrę. W pokoju panował chłód, ale ona czuła, że płonie.

- Możesz robić wszystko - powiedziała nienaturalnie napiętym głosem. Przesunęła się trochę, by ułożyć ciało w pozycji gotowej na przyjęcie Turka. Rozchyliła wargi.

Jęknął i płynnym ruchem osunął się na nią. Gorączkowo szukając jej ust, podciągnął jej biodra do góry.

- Wybacz, Katy! - szepnął chrapliwie tuż przy jej wargach i nie mogąc dłużej czekać, wypełnił ją jednym mocnym sztychem.

Wydała odgłos, jakiego nie słyszał nigdy w życiu. Jej ciało zeszywniało, a potem całkiem znieruchomiało. Turek również znieruchomiał nad nią i przyjrzał jej się bardzo zaniepokojony.

- Boli? - spytał. Nie zdążyła odpowiedzieć, bo jej ciałem targnęły skurcze. Szlochając chwyciła go za biodra.

- Pomóż mi! - jęknęła. - Turku, proszę, proszę, pomóż. Z opóźnieniem pojął, co się z nią dzieje. Pogłaskał ją po wilgotnych włosach i zaczął szybko, rytmicznie poruszać biodrami. W kilka sekund doprowadził ją do spełnienia. Wciąż jeszcze wpijała mu palce w plecy i szlochała, gdy potężna fala porwała z kolei jego. Cały świat zawirował i stał się wielką, pulsującą czerwoną mgłą.

Kiedy Turek odzyskał ostrość widzenia, miał pod sobą ciało Katy, ciepłe, miękkie i pełne czułości. Wtulił na chwilę twarz w zagłębienie przy jej obojczyku i wreszcie znalazł siłę, by unieść głowę. Katy miała nieprzytomne oczy i nabrzmiałe wargi. Z zachwytem przesunęła palcami po jego twarzy.

- Za szybko - szepnął ochryple Turek. Kilka razy poruszyła na boki głowę, spoczywającą na poduszce.

- Wcale nie. - Oplotła go nogami, żeby został w niej, i objęła jego szerokie barki. - Nie - szepnęła. Nie spuszczając z niego wzroku, wypchnęła ku niemu biodra.

- Nie mogę - powiedział cicho. - Jeszcze nie.

- Na pewno? - Czule go pocałowała i niespodziewanie wsunawszy rękę między ich ciała,

dotknęła jego męskości.

Jęknął i gwałtownie stwardniał. Spojrzał jej w oczy. Widać było, że jest wstrząśnięty.

- Kocham cię - powiedział. Promieniał miłością, podobnie jak Katy, która znów zaczęła się poruszać w jego objęciach. - Pokażę ci, jak bardzo.

Wsunął dłonie w jej gęste włosy i przyciągnął głowę Katy do siebie. Złączony z nią pocałunkiem zaczął się w niej poruszać, tym razem leniwie, bez pośpiechu. Pokazał jej nowe pieszczoty. Niektóre ją szokowały, wszystkie podniecały tak jak jeszcze nic i nigdy. Kiedy w końcu Turek dał jej zaspokojenie, o które już od dłuższej chwili jękliwie go błagała, wydała okrzyk i popadła w omdlenie.

- Myślałaś, że dotrzymasz mi kroku? - spytał później, patrząc w jej nieprzytomne oczy z leniwym uśmiechem. Ćmił papierosa. - Jeszcze jesteś żółtodziobem.

Pogładziła owłosienie na jego piersi, jednocześnie bacznie mu się przyglądając.

- Miałaś wiele kobiet? - spytała.

- Tak - odpowiedział bez zakłopotania czy poczucia winy. - Zanim się ożeniłem i kiedy owdowiałem. Nigdy nie miało to dla mnie innego znaczenia niż fizyczne. Tylko z żoną było inaczej. - Spojrzał na nią. - I z tobą. Nie obawiaj się, nie będę cię zdradzać. Poważnie traktuję przysięgi.

- Wiem. - Przygryzła wargę.

- Co jest nie tak? Nerwowo wzruszyła ramionami.

- To, co zdarzyło się ostatnim razem, było takie... przerażające.

- Coś tak głębokiego powinno być przerażające - odparł cicho. - Kochanie się jest aktem tworzenia - dodał, chłonąc ją wzrokiem. - Połączenie ciał i dusz na wyżynach uwielbienia. Przez wiele lat traktowałem to lekko, ale będąc z tobą mam wrażenie, że sięgam nieba.

Mimo woli drgnęła.

- Nie pomyślałam o dziecku. Zaczął całować jej powieki, dotykając językiem jej długich rzęs.

- Ja pomyślałem.

- Czy miałbyś coś przeciwko temu? - spytała z uśmiechem.

Roześmiał się.

- Nie. - Wycisnął na jej wargach mocny pocałunek. - Jeśli jesteś przy nadziei, nie będziesz mogła ode mnie odejść.

- I tak nie odejdę. Poczul się bezpieczny. Nawet przez ułamek sekundy pomyślał ze współczuciem o Wardellu, który nigdy nie będzie miał ani miłości Katy, ani jej dzieci. Był zadowolony, że Chicago leży daleko. Zgasił papierosa i przyciągnął Katy do siebie.

Na Grand Central Station Ben niecierpliwie wyczekiwał pociągu, który miał go zawieźć do Teksasu. Minęło sześć miesięcy, odkąd skończył powieść, a już można ją było kupić na stoiskach z książkami. Czas poświęcony na czytanie korekty spędził w Nowym Jorku. Był tak rozentuzjasmowany swoim osiągnięciem, że nie przeszkadzały mu nawet radykalne zmiany w tekście, które zaproponował wydawca. Spełniły się jego marzenia. Może nie sięgnął jeszcze literackich szczytów, ale przynajmniej był autorem publikowanym. I miał czas, nawet gdyby potrzeba było lat na zdobycie sławy.

Zaliczka na poczet autorskich tantiem zabezpieczyła go finansowo w dostatecznym stopniu, by mógł wrócić do domu i spojrzeć w twarz rodzinie. Po Bożym Narodzeniu Cole wreszcie się nad nim zlitował i napisał. Marion Whitehall zaskoczyła wszystkich, kpiąc sobie z lekarskich prognoz. Z dnia na dzień nabierała sił. Katy i Turek wzięli ślub. Tę nowinę Benowi trudno było strawić. Dziwaczna była to para. No, ale miłość też jest dziwaczna. Zdziwiło go postscriptum. Cole wziął pożyczkę, żeby zabezpieczyć rancho przed zajęciem. Bena naszły wyrzuty sumienia. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Cole może mieć kłopoty finansowe. A to niepokojące. Przecież Cole ponosi odpowiedzialność za wiele osób, z matką włącznie. No nic, wróć, to będę mógł pomóc, pomyślał Ben. Cole się odezwał, więc może nie zrzuci mnie z ganku, kiedy przyjadę do Spanish Flats.

Rancho wyglądało doskonale. Ben zauważył odmalowane ściany domu, a wokół pastwisk nowe płoty z drutem kolczastym, równo rozciągniętym między słupkami. Samochód, którym udało mu się podjechać, był odkryty, na kosztownym, jasnym garniturze osiadło mu więc mnóstwo pyłu. Mniejsza o to. Przyszło lato i dookoła królowała soczysta zieleń, podlana w swoim czasie odpowiednią ilością deszczu.

Ben od lat nie widział Marion w tak znakomitej formie. Wybiegła na ganek, żeby go uściskać. Potem ze łzami w oczach trzymała go przed sobą i wpatrywała się w niego z dumą.

- Urosłeś, synku, chyba się nie mylę - powiedziała.

- To było nieuniknione, chociaż na pewno już we mnie zwątpiłaś - odpowiedział grzecznie Ben. Rozejrzał się dookoła. - Czy Cole jest w domu?

- Jest w stodole z Lacy. Oglądają nowego byka rasy santa gertrudis. Może pójdziesz zrobić im niespodziankę? Ja tymczasem nakryję stół. Na pewno strasznie zgłodniałeś.

- To prawda. Jak wrócimy, powtórzysz mi wszystkie nowiny. Dobrze się czujesz? - spytał troskliwie.

- Nadspodziewanie. Doktor aż kiwa głową ze zdziwienia - powiedziała energicznie. - Serce



mam w lepszym stanie niż kiedykolwiek. Podobno jestem chodzącym cudem, tak mnie nazywa.

- Zawsze nim byłaś. - Ben pocałował ją w policzek. Lacy i Cole stali przed bramką do boksu i gapili się na olbrzymiego czerwonego byka, opychającego się kukurydzą, owsem i melasą.

- Witaj, zdobywco! - zaśmiała się Lacy i rozłożyła ramiona.

Ben ją uściskał. Zanim wypuścił ją z objęć, przez chwilę ukradkiem wdychał jej ciepły zapach. Przypomnił sobie, że Lacy okazała się jego jedynym nieosiągalnym marzeniem. Do sławy i fortuny z pewnością dojdzie ciężką pracą, ale Lacy na zawsze należy do Cole'a.

Wymienił uścisk dłoni z bratem.

- Co słychać?

Cole uśmiechnął się.

- Widzisz: to mój najnowszy rozplodowiec. Przystojny, nie?

- Jak na czworonożne bydlę pewnie tak. A jak się wam układa we dwoje? - spytał, bo coś się zmieniło. Lacy i Cole stali bardzo blisko siebie, a kiedy na siebie patrzyli, Ben czuł się jak intruz ładujący się z butami do czyjegoś prywatnego świata. Bez względu na to, co czuli do siebie kiedyś, teraz niewątpliwie byli zakochani. Nawet ślepy by to zauważył.

- W porządku - powiedział Cole, uśmiechając się do Lacy. - Coraz lepiej.

- O, tak - potwierdziła. Objęła Cole'a w pasie i westchnęła, przytulając się do jego piersi. Mąż przyciągnął ją do siebie jeszcze bardziej i pocałował we włosy.

Tak, pomyślał Ben. Będę mu zazdrościł do końca życia. I to ja sam doprowadziłem do tego małżeństwa!

- Pisałeś, że Katy wzięła ślub z Turkiem - odezwał się.

- Jeszcze lepiej. - Lacy roześmiała się. - Katy spodziewa się dziecka. Turek doprowadza nas wszystkich do obłędu swoją troskliwością. W zeszłym tygodniu Katy wspomniała, że ma ochotę na lody, więc pojechał do San Antonio i przywiózł jej w starej lodówce. Powiedziała, że o daktylach nie odważy się wspomnieć, bo Turek prawdopodobnie natychmiast poleciałby do Arabów.

- Rozumiem, że z tym gangsterem, który był jej mężem, już koniec - powiedział Ben.

- Tak, koniec - przyznał Cole. - To był narkoman. Zginął tragicznie, ale nie żałuję drania.

Bił Katy.

Ben posmutniał.

- Biedaczka.

- Teraz już z nią wszystko dobrze. Sam zobaczysz, kiedy wrócą z Turkiem od lekarza.

- A Faye? - spytał Ben, oglądając byka. Usiłował nie okazać nadmiernego zainteresowania.

- Spodziewa się rozwiązania lada dzień - odpowiedziała Lacy. - Pracuje już bardzo krótko. Ben zacisnął palce na ogrodzeniu.

- Nie odpowiada na moje listy. Wiem, że nie umie czytać i pisać, ale mogłaby kogoś poprosić.

- Umie i czytać, i pisać, Ben - uświadomiła go Lacy.

- Kuzynka Ruby nauczyła ją. Faye zmieniła się nie do poznania. Nawet bierze lekcje angielskiego.

Ben był wstrząśnięty.

- Nasza Faye?

- Właśnie nasza Faye. Byłbyś bardzo dumny z postępów, jakie zrobiła - powiedział Cole. - Nawiasem mówiąc, w San Antonio, mimo swego stanu ma duże powodzenie - dodał, odrobinę koloryzując, żeby podpuścić Bena. Niewątpliwie udało mu się, bo brat nagle strasznie spochmurniał.

- Pomyślałem, że może jutro pojechałbym ją odwiedzić.

- Świetny pomysł - poparł go Cole.

- W ostatnim liście napisałeś, że sprzedałeś książkę - włączyła się Lacy. - Gratulacje!

- Musiałem wprowadzić mnóstwo zmian, ale takie jest życie pisarza - odparł Ben, uśmiechając się z niezmaconą dumą. - Nie byłem pewien, czy po tym, co się stało, przyjmiecie mnie z otwartymi ramionami. Bardzo żałuję, Cole. Chyba za wysoko zadzierałem nosa, żeby zauważyć, jaki stałem się okropny.

- To przede wszystkim córka twojego szefa, a nie ty - powiedziała Lacy. - Już się martwiłam, że mi nie wybaczysz odprawy, jaką mu urządziłam. Potwornie się wtedy wściekłam na Jessicę za jej zachowanie wobec Faye.

- Nie musisz mnie za nic przeproszać, Lacy - powie dział Ben. - Byłem tak zauroczony Jessicą, że dopiero tamtego wieczoru przejrzałem, jaka jest zimna i wyra chowana. W ogóle nie widziałem, że ktoś mnie wykorzystuje. A powinienem był się zorientować, kiedy stary Bradley odmówił zatrudnienia innych pracowników. Po prostu nie potrzebował, skoro robiłem dla niego wszystko, od pisania tekstów poczynawszy, na sprzedaży miejsca na reklamy skończywszy!

- Najbardziej wartościowe dla Bradleya było twoje nazwisko - powiedziała cicho Lacy. - Może nie zwróciłeś na to uwagi, ale San Antonio jest wciąż małym miasteczkiem, tyle że się rozrosło. Mój dziadek był tam dobrze znany, więc większość ludzi wciąż mnie z nim kojarzy. To, że wyszłam za męża za Cole'a, również powszechnie wiadomo. A poza tym nazwisko Whitehall również cieszy się w San Antonio dużym prestiżem. - Spojrzała z uwielbieniem na Cole'a. - Każdy wie, że słowo Cole'a jest warte tyle, co najbardziej uroczysta przysięga. Otwiera przed tobą każde

drzwi.

Cole wiedział, że nie jest to do końca prawda, ale spojrzenie Lacy go obezwładniło. Schylił się i pocałował ją w czoło.

- No, oczywiście, twój talent też był pomocny - powiedział, zerkając na brata. - Oblaskawiasz słowa tak samo jak Cherry i Taggart konie.

- To duża pochwała.

- Jesteś moim bratem. Ben wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cieszę się, że zauważyłeś. Czy to znaczy, że pożyczysz mi jutro mały samochód na przejażdżkę do San Antonio?

Cole jęknął.

- No proszę, od razu w coś się wpakowałem.

- Jasne jak słońce - przyznał Ben. - Dzięki, Cole. Jesteś wielki!

Jazda trwała długo. Na łonie rodziny Ben czuł się bezpiecznie, cały poprzedni wieczór spędził więc w domu. Wreszcie przekonał się, czego najbardziej chce. A chciał tego, co mieli Cole i Lacy. A także Katy i Turek. Chciał mieć żonę i własny dom, i rodzinę. Pomyślał z rozbawieniem, że gdyby udało mu się przekonać Faye do zmiany poglądów, przyszedłby na gotowe.

Faye była w sklepie. Ben stanął przed wystawą i zagapił się, zafascynowany zmianą, jaka w niej zaszła. Nie nosiła już tych frywolnych sukienek, przestała być diablifikowanym podlotkiem. Była kobietą, co objawiało się w każdym szczególe, od schludnej szarej sukienki ciążowej po modną krótką fryzurę. Nie miała żadnego makijażu, zresztą nie potrzebowała go. Zwracała uwagę zdrową cerą i ładnym kształtem twarzy.

Otworzył drzwi. Zadźwięczał dzwoneczek. Faye z uśmiechem spojrzała na wchodzącego.

- Czy mogę w czymś pomóc?... - Głos jej zawisł w próżni. Osłupiała i zbladła. Zastanawiała się, czy znowu nie nawiedza jej sen na jawie. Wiele razy myślała o tym, jak by się czuła, gdyby któregoś dnia Ben do niej zajrzał. Teraz zwyczajnie zaniemówiła.

Ben zdjął kapelusz i zaczesał dłonią włosy. Spojrzał na Faye przez ladę.

- Owszem, możesz - odparł. - Idę właśnie do księgarni kupić poradnik dla pokutujących. Nigdy tego nie robiłem, ale chyba widzisz, że doznałem oświecenia. Postaram się też o włosienicę i popiół, bo chciałbym wszystko załatwić jak należy.

Faye odłożyła wiersze Tennysona, na których uczyła się czytać, i wlepiała w niego wzrok. Podszedł nieco bliżej i oparł się o ladę. Zatrzymał wzrok na opartej tam małej dłoni. Jej bieli nie uświetniała ani obrączka, ani pierścionelek.

- Wspaniale wyglądasz, Faye - odezwał się po dłuższej chwili. - Dobrze ci się wiedzie?

- Tak. - Zabrzmiało to jak żaloszny pisk.

- Nie odpowiadałaś na moje listy - powiedział z łagodnym wyrzutem.

- Nie widziałam specjalnie sensu - zdołała wydusić. - Bardzo dobrze sobie radzę sama. A ty masz swoją karierę.

- Rodzina mojej karierze na pewno nie zaszkodzi - powiedział. - Przekonałem się, że szukam szczęścia w całkiem niewłaściwych miejscach. Wcale nie byłem w Paryżu, Faye. Przez cały czas byłem tutaj. - Bardzo delikatnie dotknął szarego materiału jej sukienki na wysokości serca.

Cofnęła się raptownie, zarumieniona.

- Ben, nie wolno ci! - wykrzyknęła, gorączkowo rozglądając się dookoła, żeby sprawdzić, czy nikt nie stoi przed wystawą.

Uśmiechnął się.

- Nie jesteś moją dawną Faye, prawda, kochanie? - spytał cicho. - Teraz zachowujesz się bardzo przyzwoicie. Nawet mówisz jakoś inaczej.

- Pracuję nad sobą - wyjaśniła.

- Nigdy tego nie potrzebowałaś. Zawsze byłaś wielkoduszna, szczodra i przepelniona miłością. To mnie praca nad sobą była potrzebna. Nie chcę powiedzieć, że osiągnąłem doskonałość, ale na pewno jestem lepszy niż wtedy, gdy wyjeżdżałem. Zaryzykujesz, Faye? - spytał smutno.

- Z po... powodu dziecka? Pokręcił głową.

- Nie. Dlatego, że cię potrzebuję - odparł. - Nie wiedziałem tego, ale już wiem.

- Nie kochasz mnie.

- Nie? - Ujął jej delikatną dłoń i przysunął do ust. - Z żadną kobietą nie przeżyłem czegoś takiego jak z tobą tego dnia, gdy tak czule się kochaliśmy. Jeśli to nie była miłość, to nigdy się nie dowiem, czym ona jest.

Wahała się. Ben zranił ją bardzo głęboko. Nie była pewna, czy jeszcze raz chce zaryzykować.

- No, nie wiem - powiedziała, dotykając zaokrąglonego brzucha. Nagle drgnęła niespokojnie.

- Co się stało? - spytał Ben przerażony. - Faye?!

- Nic... kopnęła. - Faye spłonęła rumieńcem.

- Co?

Niepewnym ruchem sięgnęła po jego dłoń i rozglądając się nerwowo dookoła, przytknęła palce Bena do twardej wypukłości na swoim brzuchu. Ben zachłysnął się powietrzem, zaczerwienił się, a potem zbladł. W oczach pojawił mu się wyraz zdumienia i zachwyty.

- Faye, czuję... Czuję stopę!

- Naturalnie - powiedziała, mimo woli parszkając śmiechem na widok jego emocji. - Dzieci się ruszają. Nie wiedziałeś o tym?

- Nie! - Płasko ułożył dłoń w miejscu, gdzie wyczuł ruch, i spojrzał w oczy Faye. - Och, Faye. Musisz teraz wziąć ze mną ślub!

- Nie mogę jechać do Paryża...

- Zamierzam kupić dom tutaj, w mieście - przerwał jej. - Możesz dalej pracować tu, gdzie pracujesz, jeśli masz ochotę, a ja będę pisał.

- Dziecko będzie ci przeszkadzać.

- Zajmę się dzieckiem, kiedy ty będziesz w pracy - powiedział z uśmiechem.

- To byłby skandal! - jęknęła.

- I co z tego? Nie lubisz szokować ludzi? Chyba lubisz, skoro pracujesz w takim stanie. - Pochylił się nad ladą. - Weź ze mną ślub. Codziennym trudem będę zarabiał na utrzymanie i doprowadzał cię do obłędu w chwilach miłosnych uniesień.

Roześmiała się z całego serca, pierwszy raz od wielu miesięcy.

- Och, Ben.

- To tylko jedno małe słówko. Łatwo wymówić. Po prostu powiedz „tak”.

Zawahała się. Ale dziecko znowu kopnęło, a Ben uśmiechał się coraz szerzej. Ustąpiła.

- No, więc dobrze. Więc... tak. Oczy mu zabłyśły.

- Wiedziałem, że się zgodzisz. Faye jeszcze przed chwilą sama o tym nie wiedziała, ale kiedy przyciągnął ją do siebie tak blisko, jak tylko pozwalało dziecko, uznała, że tak trzeba. Ben pocałował ją namiętnie, raz po raz.

- Chwileczkę - powiedział nagle, podnosząc głowę i marszcząc czoło. - Powiedziałaś, że to ona kopnęła.

- Bo chcę mieć małą dziewczynkę - wyjaśniła.

- Ale przecież nie wiesz...

- Ruby mówi, że dziecko jest bardzo nisko i mam brzuch powiększony na boki, więc to musi być dziewczynka. Chłopców nosi się wyżej, a brzuch jest bardziej zaokrąglony z przodu.

- Bajki starej ciotki - burknął pogardliwie.

- Możesz się śmiać, jeśli chcesz - powiedziała. - A ja i tak urodzę dziewczynkę. Zobacysz.

Teresa Margaret Whitehall przyszła na świat trzy tygodnie później, mocno dając się mamie we znaki. Ben i Faye byli już małżeństwem, wzięli bowiem ślub w dwa dni po powrocie Bena do domu. Ben kupił dla nich mały, ale schludny dom w pobliżu sklepu z odzieżą, w którym pracowała Faye. Tak jak obiecał, zajmował się dzieckiem w czasie, gdy żona pracowała. Sąsiedzi

tylko się uśmiechali, kręcąc głowami, gdy Ben wychodził z małą na spacer, popychając przed sobą wózek. Były to jednak bardzo życzliwe uśmiechy.

Turek niespodziewanie odziedziczył rancho w Teksasie, w pobliżu miasta Victoria. Po długim zastanowieniu przeprowadzili się tam z Katy, gdy przyszła na świat ich córka, Mary Elizabeth. Cole podarował Turkowi piękne zarodowe buhaje santa gertrudis, na zaczątek stada. Turek obiecał zamienić swoje rancho w imperium hodowlane. Najpierw wyremontował stary hiszpański dom, znajdujący się na terenie posiadłości. Nazwał go Casa Verde. Budowla była niepowtarzalna, podobnie jak właściciel. Katy żyła tam bardzo szczęśliwie, dzieląc czas między kochającego męża i córeczkę. Często dostawali nie podpisane karty z Chicago. Przychodziły na urodziny Katy i Mary, na Wielkanoc i Boże Narodzenie, a niekiedy także w dzień świętego Walentego. W miarę jak Mary rosła, wraz z kartami zaczęły przychodzić prezenty. Turek początkowo sarkał, ale z czasem miłość w rodzinie dała mu wystarczające poczucie bezpieczeństwa, by mógł przymknąć oko na względy okazywane jego żonie przez dawnego rywala.

Dręczyło go tylko, że nie ma syna, któremu mógłby zostawić rancho. Ale Mary była wspaniałym dzieckiem. Odziedziczyła po nim blond włosy, a po Katy zielone oczy, otwartość i ciepło. Turek miał nadzieję, że doczeka się wnuków. I tak wydawało mu się, że złapał Pana Boga za nogi. Przynajmniej miał dziecko. Cole nie miał, toteż jego szczęście naznaczone było drobną skazą.

Był rok 1926, kraj chwilowo przeżywał hossę, ceny akcji szły bowiem do góry. Dzięki partnerowi z Chicago Cole poczynił różne inwestycje i zarobił dostatecznie dużo, by móc zwrócić Wardellowi pożyczkę. Do tego odłożył jeszcze pokaźną sumę w banku. Zainwestował w następne akcje i stawał się powoli zamożnym człowiekiem.

Mimo namawiania, Lacy nie chciała grać na giełdzie. Inwestowała w grunty. Weszła w spółkę z Turkiem. Twierdziła, że kupowanie ziemi jest bezpieczniejsze niż nabywanie akcji. Sam się przekonasz któregoś dnia, mówiła Cole'owi. Mąż tylko się śmiał.

Cała rodzina spotkała się czwartego lipca, z okazji Święta Niepodległości. Korzystając z okazji, Lacy poszła na spacer z Mary Elizabeth, by nazrywać polnych kwiatów niedaleko domu. Nagle zakręciło jej się w głowie i zemdlała. Gdy odzyskała przytomność, ujrzała nad sobą bladą twarz Cole'a, podtrzymującego ramieniem jej głowę.

- Niedobrze mi - wykrztusiła.

- Proszę, Lacy - powiedziała Katy, przykładając jej do czoła zimny, wilgotny okład. - Nie powiedziałam nic Marion. Ona też dzisiaj kiepsko się czuje.

- Dobrze zrobiłaś - mruknął Cole. - Jej serce jest na wykończeniu. Lacy, kochanie, czy

możesz wstać?

- Nie sądzę. - Jęknęła. - Musiało mi coś zaszkodzić. Katy uśmiechnęła się szeroko.

- Tak sądzisz? W tym tygodniu nie przełknęłaś ani jednego śniadania.

- Wiem - westchnęła Lacy. Spojrzała z z troskaniem na Cole'a. - Nie chciałam ci o tym mówić. Dość masz zmartwień z Marion, żeby jeszcze myśleć o mnie. Nie mam pojęcia, co mi się stało.

Katy wybuchnęła śmiechem. Śmiała się tak, że aż łzy popłynęły jej po policzkach. Cole zmroził ją spojrzeniem.

- Bawi cię choroba? - spytał gniewnie. Katy usiadła na ziemi.

- Och, Cole! Naprawdę nie wiecie, co jej dolega? Lacy leżała bez ruchu. Przypomniała sobie, że dawno nie miała okresu. Pomyślała wtedy, że to z powodu zmartwień z Marion. Ale, prawdę mówiąc, wcześniej żadne opóźnienia jej się nie zdarzały. Zresztą to nie było zwykłe opóźnienie. Przypomniała sobie pewną długą noc sprzed sześciu tygodni, po której ledwie wstała z łóżka, a Cole chodził dumny jak paw. Poczowała, jak sztywnieje ramię męża podtrzymujące jej głowę.

- Ale... to niemożliwe - powiedział słabo. - Ja nie mogę mieć dzieci.

Nagle Lacy wybuchnęła płaczem. Ogarnęła ją niewysłowiona radość.

- Lekarze powiedzieli tylko, że to mało prawdopodobne - przypomniała mężowi całkiem obojętna na zdumione spojrzenie Katy, która nic o tym nie wiedziała. - Cole, jestem w ciąży!

Mocno ją przytulił, układając głowę na ramieniu Lacy i zaraz potem poczuł, że wilgotnieją mu oczy. Schrypniętym głosem szeptał żonie miłosne wyznania.

Katy dyskretnie zostawiła Cole'a i Lacy samych, ale dostrzegł ich ze stodoły Turek. Pędem przybiegł na pomoc.

- Co jej jest? - spytał wystraszony, przyklękając obok leżącej na ziemi Lacy. - Czy coś się stało? - dodał, widząc załzawioną twarz Cole'a.

- Ona spodziewa się dziecka - zduszonym głosem odparł Cole.

Turek odprężył się. Na jego twarzy pojawił się wyraz zachwytu. Spojrzał na Lacy, w jej wielkie, niebieskie oczy pełne łez radości.

- No, no, no - roześmiał się. - Od razu mówiłem, że trzeba przybić deski.

- Ty sku... bańcu! Turek wykonał zręczny unik przed ciosem Cole'a.

- Mówiłeś, że nie możesz! Teraz będziesz przez miesiąc puszył się jak paw, a robota będzie leżeć odłogiem!

Cole wybuchnął śmiechem.

- Jeszcze ci dam po łbie.

- Proszę bardzo, czekam - oznajmił Turek. - Lacy, czy dobrze się czujesz?

- Dobrze - powiedziała przez łzy. - Och, bardzo dobrze, Turku.

Cole wstał i ostrożnie wziął ją na rękę.

- Lacy - szepnęła i pocałował ją z uwielbieniem i zachwytem.

Odwzajemniła pocałunek, jak przez mgłę uświadamiając sobie, że Turek odszedł dzielić się nowiną z resztą świata. Nie miała nic przeciwko temu. Radość wprost ją rozsadzała, a o tym, jak cieszył się Cole, trudno nawet było mówić.

Syn przyszedł na świat w siedem miesięcy później. Śmierć Marion głęboko ich zasmuciła, ale narodziny następcy pomogły im lżej znieść żałobę. Dali mu na imię Jude Everett. W dwa lata później urodził się drugi syn, James. Ten podwójny cud dopełnił ich szczęścia.

James nigdy się nie ożenił. Wykształcił się na lekarza i otworzył praktykę w San Antonio. Jude ożenił się z młodą elegancką panną o imieniu Margueritte, która urodziła mu dwóch synów, Jasona Everetta i Duncana. Zamieszkał w końcu z rodziną na wiele szczęśliwych lat w Casa Verde, odziedziczonym po Turku. Ben stał się wziętym autorem i zbił fortunę. Kupili z Faye posiadłość w San Antonio i przygotowywali córkę, zwaną przez wszystkich Tess, do wielkiej podróży po Europie. Chcieli, żeby poznała świat. Wielki kryzys zniweczył inwestycje Cole'a, ale Lacy zachowała stan posiadania, więc ranczo nie tylko przetrwało, lecz jeszcze się rozrosło i zyskało znaczną sławę.

Turek z Katy żyli długo i szczęśliwie. Gdy Katy wreszcie owdowiała, niespodziewanie pojawił się bogaty finansista z Chicago, niejaki Blake Wardell. Społeczność Victorii i okolic przeżyła wstrząs, gdy w niecałe pół roku później Katy wyszła za niego za mąż i wyjechała do Chicago, nie napotykając zresztą na najmniejsze sprzeciwy ze strony córki Mary. Tymczasem bowiem Mary zadziwiła wszystkich, postanowiwszy iść w ślady kuzyna Jamesa i studiować medycynę. Została pierwszą kobietą lekarzem w Spanish Flats, a po pewnym czasie wzięła ślub z ranczerem z sąsiedztwa. Do ołtarza poprowadził ją kochający ojczym.

W chwili gdy Cole niósł Lacy do domu, wszystko to jednak było jeszcze odległą przyszłością.

- Tyle czasu minęło - szepnęła Lacy.

- Od kiedy? - spytał, uśmiechając się do niej czule.

- Od chwili, gdy pierwszy raz cię zobaczyłam. Siedziałam wtedy na koniu, a ty podjechałeś pod ganek samochodem. Wiesz, chyba od razu cię pokochałam. Stałeś się moim wielkim, jedynym marzeniem. - Uśmiech jej stopniał. - Nadal nim jesteś. Jesteś całym światem!

- Nie, maleńka - odszepnęła. - To ty nim jesteś! - Pocałował ją z zachwytem. - Kocham cię, Lacy, i będę kochał aż do śmierci. A nawet po śmierci.



Wtulila się w niego i zamknęła oczy. Długie kroki Cole'a coraz bardziej przybliżały ich do domu. Zachodziło słońce. Lacy przyglądała się czerwonym, leniwie zmieniającym kształt pasmom na niebie. Wreszcie Cole stanął na ganku. Minął kolejny dzień. Każdy następny miał być teraz pełniejszy, nieść z sobą nowe znaczenie, nową radość.

- To dopiero początek - szepnęła Lacy. - Wszystko przed nami, Cole!

Skinął głową.

- Tak, kochanie, wszystko przed nami.

Wniósł ją do domu wśród hucznych gratulacji i okrzyków radości reszty rodziny. Tego dnia, i przez wszystkie następne dni, w domu tym królowała miłość.